

Powieść

Kuszenie w Chikaldzie

Consilia Maria Lakotta

WYDAWNICTWO ITM

Kuszenie w Chikaldzie

Consilia Maria Lakotta

WYDAWNICTWO M Kraków

Tytuł oryginału: Versuchung in Chikalda

A stylized, handwritten-style logo consisting of the letters 'M', 'L', and 'K' intertwined. The 'M' is on the left, the 'L' is in the middle, and the 'K' is on the right, all rendered in a bold, black, cursive font.

I

- Można sobie ułatwić życie i przy wyliczaniu chorób tropikalnych orientować się według alfabetu: ameboza, cholera, czerwotka, dur, febra... O co chce ksiądz zapytać, ojcze Stefanie? - przerwał lekarz, uśmiechając się lekko.

Kiedy wysoki palotyn chciał zabrać głos, należało coś dodać do tematyki kursu medycyny tropikalnej.

Wezwany z poważną miną powiedział:

- Lęki, sporadycznie występujące ciężkie lęki zaraz jak tylko pan doktor wymieni malarię i trąd. Obawiam się, że kiedy dotrę do Indii, nie będę się mógł ich pozbyć? Czy nie ma na nie żadnego lekarstwa?

Lekarz zaśmiał się pogodnie. Lubił te krótkie dygresje po wykładzie, kiedy to, co zostało powiedziane, jeszcze raz krótko streszczano. Miał wrażenie, że jest wykładowcą pośród studentów.

- Nie ma takiej potrzeby, ojcze Stefanie. Objawy ustąpią, gdy tylko znajdzie się ksiądz w Bombaju. Przy temperaturze osiągającej trzydzieści stopni w cieniu trudno będzie wyprodukować nawet porządną gęsią skórkę. Ale ponieważ wspomniana została malaria, powróćmy do niej jeszcze raz.

Spojrzał wokoło. Palotyn usiadł, burząc z rezygnacją rudawą czuprynę. Obok niego siedział drobny franciszkanin, przed nim jezuita, za nim salezjanie oraz inni członkowie wszelkich możliwych zakonnych „jednostek”.

Lekarz rozpoczął odpytywanie.

- Jakie lekarstwa należy zażywać, chcąc zapobiec malarii?

Wszyscy się zgłosili.

- Rezochina na przemian z chininą.

- Dobrze. I proszę nie zapominać o regularnym i terminowym zaopatrywaniu się w te środki, kiedy zapasy są na ukończeniu. Może zabraknąć chili do przyprawiania ryżu na własnym talerzu, ale nie rezochiny. A co zażyje ksiądz przy pierwszym podejrzeniu o tyfus, ojcze Stefanie?

Zagadnięty aż podskoczył. Był jedynym, który się nie zgłosił.

- Streptomycynę!

- W porządku! Należy jednak przy tym pamiętać o jednej sprawie...

Błękitne oczy ojca Stefana zwięzły się, sygnalizując namysł. Milczał zmieszany.

- Oho, najwidoczniej przeżywał ksiądz właśnie ów sporadyczny atak lęku, kiedy omawiałem ten problem. Powtarzam więc: po podaniu streptomycyny chory wkrótce czuje się lepiej, ale nie jest jeszcze zdrowy. Należy zalecić spoczynek w łóżku, aż ustanie niebezpieczeństwo nawrotu choroby. Dlaczego jej nawrót mógłby być szczególnie niebezpieczny, ojcze Stefanie? Pamiętaj ksiądz przynajmniej o tym?

Twarcz młodego palotyna zajaśniała tryumfalnym uśmiechem:

- Mogłaby wystąpić niedrożność jelita. Jedyna możliwość uratowania życia to natychmiastowa operacja!

- Znakomicie! Wygląda ojciec tak, jak gdyby operacja perfekcyjnej ileus była czystą przyjemnością. Dziękuję. Kończymy na dzisiaj. Pozostały nam jeszcze trzy godziny wykładów. Potem musicie być już na takim poziomie wiedzy, żeby jako laicy stawiać prawie nieomylnie diagnozy i bez wahania rozróżniać smallpox, ospę, od chickenpox, ospy wietrznej. Coś jeszcze, ojcze Stefanie?

Doktor Larsen zaczął zbierać swoje notatki.

- Jak rozróżnić koler tropikalny od zwykłego napadu złości?

- Proszę się uspokoić, ojczu. Przy księdza flegmatyczności jest to zupełnie wykluczone. Można się liczyć najwyżej z ciężką depresją wywołaną szokiem klimatycznym. Ale skoro obaj w najbliższym czasie w centralnych Indiach nie będziemy narażeni na wilgotną duchotę z nad morza, to mam nadzieję, że nie będzie konieczna podróż z Jalnapuru do Raipuru wozem ciągniętym przez woły w celu dokonania niezbędnych iniekcji w doskonałe żyły księdza.

Tu zamknął swoją aktówkę.

- Dzięki za uprzejmość, doktorze. Brat Grzegorz wczoraj wał mi już w zgięcie łokcia całą zieloną deltę Gangesu, próbując przy tym bezskutecznie wstrzyknąć mi dawkę soli kuchennej. Proszę się raczej nim zainteresować!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Teoria i praktyka! Nie zostawało się tak łatwo misjonarzem w Indiach. Ale dość już było kpin, na jakie mógł sobie pozwolić ojciec Stefan uważany za przyjaciela młodego lekarza i mający ponadto szczęście podróżowania z nim w jednym czasie w tę samą okolicę. Zajęcia miał właściwie prowadzić jeden z profesorów uniwersytetu z Würzburga, ale przeszkodziła mu choroba. Zastąpił go więc doktor Larsen, który niedawno ukończył kilkumiesięczny kurs medycyny tropikalnej w Hamburgu.

Niestety, teraz i te spotkania już się kończyły, i to o wiele za szybko. W krótkim czasie nie tylko wiele się nauczono, lecz także nawiązano koleżeńskie relacje z człowiekiem, który, podobnie jak i zakonnicy, gotowy był przejąć ciężkie obowiązki w Indiach.

Odziana w zakonne stroje gromadka stłoczyła się w drzwiach. Za chwilę zatrzymali się, dyskutując i gestykulując żywo przed domem sióstr będącym częścią kliniki misyjnej.

Ojciec Stefan pospieszył za młodym lekarzem.

- Jedną chwilę, doktorze. Czy miałby pan ochotę pójść dziś wieczorem na koncert? Mozart, i to w dodatku w ogrodach dworskich.

Zdumiony Larsen spojrzał na potężną dłoń ojca Stefana.

- To przecież dwa bilety!

- No oczywiście, jeden dla pana, jeden dla mnie. Partnerka dla kogoś takiego jak ja jest wykluczona, a szkoda, żeby się zmarnowały.

Larsen zastanowił się przez chwilę: właściwie miał w planach coś ważniejszego. Ale Eine kleine Nachtmusik przy wspaniałej letniej pogodzie, a ponadto w romantycznym ogrodzie rezydencji biskupiej? Hm.

- Zgoda i wielkie dzięki! Wiedzie mi się podobnie jak ojcu, również i mnie brakuje damy, ale nie z zasady, tylko... Chętnie bym się dowiedział, co robią lekarze przyjmujący posadę w instytucie, aby zdobyć małżonkę. Pewnie w październiku będzie to wyglądało podobnie beznadziejnie jak i teraz. Chyba że w ogrodach dworskich poznam kogoś noszącego imię Konstancja.

Ojciec Stefan potrząsnął głową.

- Nazywa się Sita.

Lekarz zareagował uśmiechem.

- O czym mowa? Przecież to hinduskie imię.

- Oczywiście! Do tego braminka. Z najwyższej kasty, w dodatku bez towarzysza, to znaczy przyjdzie na koncert z niemiecką studentką, ale my będziemy siedzieć obok niej.

Larsen pokiwał głową, patrząc na palotyna krytycznie. Ten wysoki, pogodny młodzieniec z jasnymi, gęstymi włosami miał trochę zbyt bujną fantazję!

- Gdzie ją ojciec poznał?

- A gdzieżby indziej, jak nie w mojej przystani. Nocuję w akademiku instytutu przy Friedensstrasse. Pozwoli pan, że coś wyjaśnię, doktorze! Odrobinę cierpliwości, przecież pański samochód nie wyżera tak jak koń siana z worka z paszą.

Podeszli do wałów Wzgórza Mnichów, skąd roztaczał się widok na imponujący kompleks kliniki medycyny misyjnej oraz położony w pobliżu przysadzisty kościół misjonarzy z Marianhill. Widoczne stąd również amerykańskie koszary ojciec Stefan wolał mieć za swoimi plecami.

- No więc proszę posłuchać! Niemiecka studentka to krewna kapelmistrza, dlatego mogła zdobyć kilka kart wstępu. Zaprzyjaźniła się z Hinduską studiującą tutaj medycynę i właśnie zdającą

egzaminę, która z powodu śmierci dotychczasowej gospodyni straciła w Würzburgu dach nad głową, więc była zmuszona zwrócić się o pomoc do ojca dyrektora instytutu misyjnego. Dobrotliwy z natury przyjął braminkę, chociaż ona wcale nie ma zamiaru zostać chrześcijanką. Wszystko jasne, doktorze? Czy muszę coś powtórzyć?

Larsen zaprzeczył.

- Nie, zrozumiałem wszystko. Zdumiewające jest tylko to, jak egzotyczne znajomości ksiądz zawiera. W zeszłym tygodniu widziałem ojca w towarzystwie Kongijczyka, a teraz, no, ciekaw jestem...

- Wolno panu! Sita Durpali to skończona piękność. Oczywiście nie ma mowy o jakimś małżeństwie. O czymś takim marzy się najwyżej, będąc sztubakiem.

Doktor Larsen przytaknął. To oczywiście - śmieszne było myśleć o zakochaniu się w Hindusce z najwyższej kasty. Nie, jemu chodziło jedynie, by dowiedzieć się czegoś na temat wieczoru. Być może uda się przy tym uzyskać jakieś interesujące informacje na temat Indii.

Zwrócił się w stronę garażu, mówiąc przy tym uprzejmie:

- Mogę księdza zabrać kawalek, przynajmniej do Friedensstrasse.

- Pomyłka. Chcę do centrum, ale wyrzuci mnie pan gdzieś w okolicy szpitala Echtera.

- To ta sama droga. Chwilę cierpliwości. Dyrektor to prawdziwy dobry duch, ciągle oddaje mi do dyspozycji swojego opla. My sami nie zaszliśmy jeszcze tak daleko, a do Indii nie wolno przywozić tego typu wytworów cudu gospodarczego.

Ojciec Stefan odczekał, aż czarnobiałe opel rekord zostanie wyprowadzony z garażu, po czym w dobrym nastroju usiadł na miejscu pasażera. Zdaży się nabiegać w tym upale, a zresztą zamierzał porozmawiać jeszcze o czymś z doktorem Larsenem. Nie można się przecież narzucać, a tu trafiła się doskonała okazja. Trzasnęły drzwiczki i ruszyli ku miastu, najpierw w dół zbocza, a potem wzdłuż obsadzonej zielenią obwodnicy.

- Słucham - oznajmił Larsen. - Widzę, że ma ksiądz coś jeszcze na sercu. Wieczorem, podczas koncertu, nie chcę żadnych rozmów na tematy służbowe.

Zagadnięty w ten sposób duchowny nie bardzo wiedział, co powiedzieć, więc tylko przyglądał się doktorowi z boku taksującym wzrokiem.

- Pewnie ma pan jeszcze przed sobą pracowity dzień w szpitalu Echtera, nieprawdaż? - zaczął.

- Myli się ksiądz. Dzisiaj mam wolne.

- Znakomicie - ucieszył się ojciec Stefan.

- A to z jakiego powodu?

- Doskonale pasuje do moich planów. Czy zechciałby pan pomóc w kawalerskiej potrzebie pewnej osobie, względem której zobowiązany jest pan do wdzięczności, ponadto darzy ją życzliwością?

Doktor Larsen uśmiechnął się.

- Kim jest ta osoba?

- To ja! Niestety, z misjonarskich względów obiecałem zaprowadzić Hinduskę do Käppele, naszego sanktuarium Matki Bożej, którego, jak dotąd, unikała.

Pewnie ze swoich studiów na temat Azji orientuje się pan, że te damy nie przywykły do długich marszów, nie mówiąc o tym, aby pokonały trzysta trzydzieści trzy stopnie, które wiodą do sanktuarium. Samochód mógłby rozwiązać ten problem.

Doktor Larsen zwolnił nieco tempo jazdy. Mijali właśnie kutą misternie z żelaza wysoką bramę rezydencji dworskiej, a ten widok wciąż na nowo przyciągał wzrok. Za chwilę przejeżdżali wzdłuż dziedzińca. Dziwne, ale zawsze myślał o tym, że kryją się pod nim ogromne piwnice win! Zastanowił się, a potem odparł z wahaniem:

- Gdyby to był mój pojazd, ojciec Stefanie, z przyjemnością bym pomógł, ale nie wiem, czy mogę nadużywać czyjejs uprzejmości.

- Oczywiście, nie powinien pan. Proszę wystąpić w roli przewodnika, to przecież tylko godzina! Pozna pan braminkę i wieczorem będzie łatwiej prowadzić konwersację.

Doktorowi Larsenowi opadła ze zdumienia szczęka.

- Tego już chyba trochę za wiele, ojciec Stefanie!

- Uwaga, niebezpieczne skrzyżowanie!

- Dziękuję! Jeśli na misji w Raipurze zaczniesz działać z podobną energią, to wkrótce Hindusi przystąpią do burzenia swoich świątyń! Czy nie było dziś mowy o tym, że Sita nie myśli o zostaniu chrześcijanką, a ksiądz chce ją zawlec do chrześcijańskiego sanktuarium?

Westfalczyk uśmiechnął się szeroko.

- Naturalnie tylko ze względu na zainteresowanie sztuką, choć nie wiadomo, czy coś nie pozostanie. Ostatecznie między hinduską boginią Kali a Madonną są istotne różnice. Ponadto zostało mało czasu. Hindusom wprawdzie wolno wstępować do chrześcijańskich świątyń, a nawet się w nich modlić, ale w wypadku naszej bramki jest pewna trudność.

Jej brat Ramdas Durpali odbywa praktykę w Zagłębiu Ruh-ry i ma się tu zjawić jutro, a wtedy skończy się dla niej swoboda. Trzeba się więc pośpieszyć.

- Ojciec Stefanie, podziwiam księdza!

- Dziękuję, cieszy mnie pańska opinia. Ale czy za komplementami pójdą również czyny? Mogę na pana liczyć?

Byli już na placu Barbarossy i na horyzoncie pojawił się gmach Szpitala Juliańskiego ozdobiony od frontu szeroką kolumnadą. Lekarz zaparkował pod potężną, wykutą z brązu statuą arcybiskupa, założyciela tej instytucji. Stali dokładnie pod wyciągniętą we władczym geście prawicą księcia Kościoła. Ojciec Stefan spojrzął z uśmiechem w górę:

- Widzi pan, rozkaz to rozkaz! Proszę zawrócić i pojechać zaraz na plac Dominikański. Zamiast w kawiarni spotykam się z młodymi damami w kościele Augustianów, tam bardziej mi wypada. Założę się, że panu nie udało się zobaczyć go od wewnątrz.

Doktor Larsen zaczerpnął powietrza.

- Rety, gdzie się podziła księdza flegmatyczność? Nie ma ksiądz najwidoczniej najmniejszego pojęcia o zobowiązaniach dzisiejszych lekarzy. No więc tak na łeb i szyję też się nie da. Powiedzmy, najwcześniej za godzinę. Muszę najpierw odmelfować się, jak należy, i upewnić w sprawie zastępstwa. Poza tym w szpitalu Echtera jest nie tylko laboratorium i sale operacyjne, lecz także godna uwagi winiarnia. Jeśli wola, to proszę tam na mnie poczekać!

Ojciec Stefan wyrzucił kieszenie.

- Niechętnie pozwalam, aby damy mi fundowały!

Larsen musiał się uśmiechnąć.

- Wobec tego pośpieszę się nieco i będę czekał przed kościołem Augustianów. Proszę mi tylko powiedzieć, kim jest druga dama?

Ojciec Stefan pokręcił nosem.

- Niestety, również nic dla pana. To wprawdzie początkująca lekarka misyjna z instytutu, która podjęła zobowiązanie

O wyjeździe do Indii, lecz chce pozostać w bezżeństwie. To wspólnota życia konsekrowanego, ale nienosząca habitów.

- Ze też zawsze musi mi ojciec robić wyrzuty! To było tylko westchnienie. W gruncie rzeczy nie przywiązałem się do myśli, by bezwarunkowo wyjechać na misję po ślubie. U boku mojego ojca, który od dwudziestu lat dzielnie pracuje w Indiach, i tak nie pozostanie mi wiele czasu, żeby rozglądać się za kandydatką na żonę.

Ojciec Stefan puścił oko.

- Teraz to już przesada. Przecież jest pan jeszcze młody. Oceniam, że liczy najwyższej dwadzieścia sześć lat, aha, zgadłem! Według Adama Riese pańska matka musi więc...

Lekarz przerwał mu gestem, poważniejąc.

- Moja matka wróciła do Niemiec, do rodzinnego Würzburga, kiedy miałem sześć lat. Nie tolerowała indyjskiego klimatu i zaraziła się ciężką odmianą malarii tropica, na którą zmarła przed pięcioma laty. Odkąd opuściliśmy Jalnapur, mój ojciec został sam.

Duchowny spuścił wzrok. W tych kilku zdaniach odsłoniła się rodzinna tragedia albo przynajmniej coś, co było do niej bardzo podobne. Nie miał o tym pojęcia, wiedząc jedynie, że

Larsen podążył za wezwaniem ojca, który w Jalnapurze prowadzi prywatną klinikę chorób tropikalnych.

- Proszę wybaczyć, doktorze, czasem brak mi wyczucia!

- Bzdura, jest ksiądz w porządku! W każdym razie jest ksiądz właściwym człowiekiem na Indie, podczas gdy ja ciągle się waham. Ale to pewnie wpływ mojej lękliwej matki robiącej wszystko, aby zatrzymać mnie w Niemczech. Teraz wszystko się odmieniło. Na miejscu będę potrzebował pomocy księdza, żeby przezwyciężyć niektóre kompleksy.

- Z miłą chęcią, jeśli teraz wybawi mnie pan z kłopotu i w elegancki sposób pokaże dwom damom nasze wspaniałe miasto od nieznanego im strony. A do tego należy oczywiście wizyta w sanktuarium.

Wymienili szybki uścisk ręki, po czym lekarz udał się do szpitala, a ojciec Stefan pomaszerował ku placowi Dominikańskiemu, gdzie znajdowały się klasztor i kościół Augustianów. We wcześniejszych wiekach należały one do Ojców Dominikanów. Od wejścia do przestronnej jasnej świątyni nadal widać było w głównym ołtarzu zdobiące go wielkie malowidło przedstawiające bitwę pod Lepanto, a na pierwszym planie świętego Dominika przyjmującego z rąk Matki Bożej zbawienny różaniec.

Nie widząc swoich podopiecznych w głównej nawie, ojciec Stefan wszedł do bocznej kaplicy poświęconej świętej Ricie, orędownicze w sprawach beznadziejnych. Zawsze można tu było spotkać kogoś zatopionego w modlitwie lub podziwiającego wystrzępiony habit dzielnej augustianki wystawiony w szklanej witrynie. Udało się, w jednej z ławek uniosła się z klęczek studentka medycyny Edyta Hafner, obok niej stała w milczeniu braminka, przypatrując się z ciekawością posągowi świętej, świecom i kwiatom. Była ubrana po europejsku, więc nie zwracała na siebie uwagi pośród wielu cudzoziemskich studentów.

Kiedy schodzili razem ze schodów, Hinduska ostrożnymi krokami jako ostatnia, ktoś zamachał w ich kierunku. Ojciec Stefan był zaskoczony, że Larsen tak szybko uporał się ze swoimi sprawami! Najwidoczniej ciekawość zrobiła swoje!

W rzeczy samej, obok samochodu niczym usłużny taksówkarz stał urodziwy mężczyzna o kasztanowej gęstej czuprynie i błękitnych oczach. Gdyby nie to, że całkowicie pochłonęły go praca i wyznaczony cel, z pewnością już dawno znalazłby sobie jakąś towarzyszkę.

Ale on w każdej studentce widział tylko dobrą przyjaciółkę, a w każdej lekarce koleżankę po fachu. Dobrze, że choć raz udało mu się go wyrwać z tego zawsze trzeźwo myślącego środowiska. Na koncertach dworskich zjawiały się najelegantsze damy wüzburgskiej śmietanki towarzyskiej. Być może uda się coś zrobić.

Teraz, pomimo uśmiechu, Larsen był nieco rozczarowany. Oczekiwał egzotycznej hinduski w tęczowym sari, a zobaczył przed sobą młodą osobę, której smukłą twarz o oliwkowej cerze otaczała aureola kruczoczarnych włosów zawiązanych na karku w praktyczny węzeł, lecz nieodróżniającą się w niczym od zwykłej Europejki. Szary kostium nie przydawał jej wdzięku, szczupła i delikatnie nieśmiała stała obok towarzyszącej jej solidnie zbudowanej blondynki, która energicznie i bez skrępowania odwzajemniła uścisk ręki medyka.

Edyta Hafner uśmiechnęła się. Tak, to ona ofiarowała zaproszenia na koncert, a oto obdarowany już chce się zrewanżować. To właśnie jest Sita Devi Durpali. Przedstawiana przez przyjaciółkę braminka złożyła w pozdrowieniu smukłe dłonie, pochylając według hinduskiego obyczaju głowę. Najwidoczniej podanie ręki obcemu mężczyźnie traktowała jako coś niesłychanego. Jej towarzyszkę niemało trudu musiało pewnie kosztować, aby nakłonić ją do zajęcia miejsca w pojeździe z dwoma mężczyznami. Milcząca i zmieszana usiadła na tylnym siedzeniu, Larsen za kierownicą, a u jego boku, na miejscu pasażera, gwizdzący pod nosem ojciec Stefan.

Trudno było rozpocząć jakąś konwersację. Nie bardzo wiedząc, co począć, Larsen przyspieszył i ruszyli w kierunku przecinającej miasto rzeki. Dopiero na starym moście odwrócił głowę, informując tonem obeznanego z materią przewodnika:

- My ladies! Here you see the famous old bridge with its renowned statues of Saints!

Edyta Hafner zachichotała, Hinduska natomiast pochyliła się do przodu, oznajmiając łagodnym tonem:

- Panie doktorze, proszę mówić po niemiecku. Mieszkam tu od kilku lat i władam pańskim językiem.

Larsen spłonął rumieńcem.

- Oczywiście, przepraszam, nie pomyślałem o tym. Co poczęłyby pani na wykładach, będąc ograniczona jedynie do znajomości angielskiego. No więc, to był stary most na Menie z replikami figur świętych z wcześniejszych stuleci.

Jeszcze jedno złudzenie mniej: braminka mówiła po niemiecku, chociaż używając angielskiej składni. Był zły na siebie, co psuło mu nastrój, nie pozwalając wcielić się w powierzona mu rolę. Ojciec Stefan szturchnął go w bok.

- Nie musi pan pokonywać wzniesienia z setką na liczniku, doktorze. Nie zamierzam bezpośrednio z sanktuarium jechać zaraz do nieba. Stop! Proszę tam zerknąć! A więc i dziś można jeszcze coś takiego napotkać!

Larsen zatrzymał pojazd. Z tego miejsca mieli dobry widok na piętrzące się przed nimi stopnie wiodące ku Käppele. Zobaczyli na nich młodą dziewczynę w mocno marszczonej, kraciastej wiejskiej spódnicy, wspinającą się na kolanach stopień po stopniu w górę. Czarne wełniane pończochy i buty trzymała w ręce.

Edyta Hafner nachyliła się ku Hindusce:

- Sito, proszę spojrzeć! To ciężkie doświadczenie dla pielgrzymów. Co powie pani na to? Braminka skłoniła się nieco z uśmiechem.

- W mojej ojczyźnie jogini i fakirzy porywają się na znacznie trudniejsze rzeczy dla swojego boga.

Siedzący z przodu mężczyźni spojrzeli na siebie zaskoczeni.

To była odpowiedź bezsprzecznie hinduska, europejskie odzienie łudziło. Ojciec Stefan zaczął tracić nadzieję, że Sita Durpali przeżyje w sanktuarium wewnętrzne przeobrażenie.

Trzysta trzydzieści trzy schody - pokutnica wspinała się wytrwale. Samochód ruszył, pokonując ostre serpentyny jedynej drogi dojazdowej na szczyt. Gwar miasta oddalał się coraz bardziej, cisza pod potężnymi drzewami zwieszającymi nad drogą węzłowate konary stawała się coraz głębsza. Powoli nad koronami drzew zaczął się wyłaniać pokryty łupkiem obły dach Käppele. Podjechali nawet nieco dalej, bo aż do szczytu wzniesienia, gdzie znaleźli miejsce do zaparkowania, i wysiedli.

Oddychając głęboko, stanęli obok siebie, kontemplując zapierający dech widok doliny Menu: wijącej się szeroko wstęgi rzeki spiętej łukami mostów, brunatnej mozaiki dachów i wież kościołów. Lekarz ukradkiem zerknął na Hinduskę. Stała zamyślona, z rękami wsuniętymi w rękawy kostiumu, zwracając ku niemu swój urodziwy, oliwkowy profil. Błyszczący od olejku czarny węzeł włosów wydawał się być zbyt ciężki dla delikatnej głowy. Miał wrażenie, że jest dzieckiem, lecz biorąc pod uwagę ukończone studia, musiała osiągnąć wiek co najmniej dwudziestu trzech lat, uchodząc w swojej kulturze za „starą pannę”. Uśmiechnął się na tę myśl. Niemiecka dziewczyna u jej boku sprawiała „barbarzyńskie” wrażenie, chociaż była proporcjonalnie zbudowana, nie za wysoka i nie za tęga, pochodząc z zupełnie innej rasy niż ta, którą reprezentowała Sita Durpali.

Hinduska drgnęła wystraszona, gdy ojciec Stefan zagadnął ją swoim tubalnym, beztróskim głosem:

- Jest na co popatrzeć w tym mieście, nawet jeśli przybywa się z tak daleka jak pani, nieprawdaż?

Braminka zwróciła się ku niemu, a na jej ustach pojawił się dziwnie daleki uśmiech. Nie odpowiadając bezpośrednio na pytanie, powiedziała:

- Tak wiele świątyń, i wszystkie dla jednego boga?

Ojciec Stefan opanował się, emocje zdradziło tylko drgnienie kącików ust.

- Owszem - stwierdził spokojnie.

Udzielona odpowiedź zdała się ją satysfakcjonować, milcząc spuściła głowę. Dopiero gdy podeszli bliżej do sanktuarium - musieli jeszcze pokonać kilkanaście schodów - oznajmiła poważnie:

- W Indiach bóg jest bogatszy. Jeden z naszych myślicieli orzekł: wszystkie religie są tylko perłami, różnorodnymi perłami w naszym bogu. Podobnie i nasi bogowie są tylko wyrazem wielorakości Brahmy. No co bogu tyle świątyń, w których czci się go jako jednego?

Duchowny pozostał u jej boku.

- Aby to pani wyjaśnić, kumari, potrzebowalibyśmy więcej czasu i spokoju. Ponadto trzeba by było zapoznać się z chrześcijaństwem.

Doszli przed główny portal świątyni.

- Dlaczego - zapytała cicho braminka - dlaczego to Kāp- pele poświęcone jest jedynie Miriam?

Wybrała hinduskoorientalne imię dla Maryi.

- Również i ta kaplica czci jednego Boga chrześcijan, kumari Sita. Maryja, Matka Jezusa, wskazuje nam tylko na Niego. A także wszyscy inni święci, których tu przedstawiono, Augustyn, Dominik, Rita, wszyscy stoją tu, aby ukazywać jednego Boga, podobnie jak arcybiskup przed szpitalem Echtera. Rozumiemy się?

- Ach, tak. Sama Miriam nie jest boginią?

- Nie, ale jako Matka Boga godna jest wszelkiej czci. W tym miejscu, na przykład, czci się Ją jako tę, która cierpiała najbardziej gorzkie męki z powodu Swego Syna. Wejźmy do środka.

Doktor Larsen szedł za nimi w milczeniu. Teraz poznawał innego ojca Stefana, misjonarza.

Pogłębiło to tylko jego szacunek dla palotyna. Wydawało się, że celowo przykrywa głęboką pobożność głośnym, wesołym zachowaniem. Teraz jednak uzewnętrzniła się. Spokojnie oprowadzał braminkę po świątyni, objaśniając jej treść malowideł ściennych, śmierć świętego Franciszka, którego nazwała „czcigodnym sannjasi” - mnichem, tęczowe barokowe polichromie na sklepieniu, i wreszcie - specjalnie na koniec - niewielki, słynący łaskami obraz w głównym ołtarzu.

- O, darshan - wyszeptala Sita Durpali na widok ukoronowanej Matki Bolesnej, składając przed sobą ręce w pełnym czci pozdrowieniu.

- Co ma na myśli? - chciał się dowiedzieć lekarz zza pleców ojca Stefana.

- „Darshan” oznacza widok czegoś świętego.

Spojrzał w bok. panna Hafner, której Kāppele wydawała się być nieobca, ruszyła w kierunku kilku Hindusek kroczących przez główną nawę. W przeciwieństwie do Sity miały na sobie wielobarwne sari. Były nieco niższe i ciemniejszej karnacji niż braminka, zapewne pochodziły z południa subkontynentu.

- Studentki z akademika - poinformował półgłosem ojciec Stefan. Nie chciał przeszkadzać Sicie, póki sama nie oderwie się od frapującego ją zwiedzania. W milczeniu dołączyli do Hindusek, które zajęły miejsce w pierwszej ławce, i uklękli na chwilę. Braminka przyglądała się jeszcze, jak pielgrzymi zaopatrzyli się w przedsionku kaplicy w świece i zapalili je.

Wreszcie odwróciła się powoli, jednak przy ławce zawahała się nieco, a potem szybko przeszła obok i wyszła na zewnątrz.

Po chwili podążyli za nią ojciec Stefan z lekarzem, a wkrótce po nich opuściły kaplicę studentki medycyny oraz trzy Hinduski z południa.

- Oczywiście mogę panie zabrać, w samochodzie jest dość miejsca, jeśli się trochę ściśniemy - odrzekł ochoczo Larsen na pytanie Niemki. I w tym momencie dostrzegł, jak w oczach braminki mignęło przerażenie. Sita Durpali wyciągnęła ręce w obronnym geście:

- O, dziękuję, wolałabym pójść w dół piechotą. Nie musi się pan kłopotać, proszę jechać!

Przez kilka sekund wszyscy milczeli zaskoczeni, wreszcie ojciec Stefan zrozumiał, o co chodzi, dotarło to także do trzech mieszkanki Goa. W pośpiechu pożegnały się w hinduski sposób, wznosząc przed sobą złożone dłonie, skłoniły się przed braminką, po czym zaczęły schodzić po schodach najszybciej, jak tylko pozwalały na to długie sari.

Lekarz nie rozumiał, o co poszło. Dopiero kiedy panna Edyta z Hinduską ponownie znalazły się w pojeździe, ojciec Stefan, otwierając przednie drzwi, wyjaśnił mu szeptem:

- Kastowość. Bramince nie wolno zająć miejsca w samochodzie z kimś z niższej kasty. Z drugiej strony te goanki są chrześcijankami i od dawna żyją poza tym porządkiem.

Larsen się oburzył, a jego szacunek dla braminki doznał znacznego uszczerbku.

- Co za głupota! Przecież my też nie przynależymy do żadnej kasty.

- Cudzoziemcy! Od nich Hindus nie oczekuje niczego innego. Widzi pan, to był, można powiedzieć, przedsmak tego, co nas czeka w Indiach. Będziemy się zmagać nie tylko z ciałem i krwią, lecz także ze złymi duchami niebios - wyjaśnił ojciec Stefan z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru. Ale twarz Larsena pozostała nieporuszona, trudno mu było pozbyć się irytacji. Tym razem jechali przez most świętego Ludwika, ale niczego już nie wyjaśniał.

Nie spodziewał się takiej kastowej dumy po łagodnej bramince. Czy nie przebywała na tyle długo w Europie, żeby się jej wyzbyć? Ostatecznie chodziło o Hinduski zamieszkuje z nią w akademiku pod jednym dachem. Czy nie powinna być wdzięczna i szczęśliwa, że w ogóle spotkała rodaczki? Wybrał najkrótszą trasę ku Friedenstrasse przez aleję Sandera. Zupełnie przeszła mu ochota na dalsze odgrywanie roli przewodnika.

Nowy Uniwersytet, przed którym ku błękitnemu, letniemu niebu wznosiła się statua trzymającego pochodnię w ręku Prometeusza, Hinduska знаła aż za dobrze. Wątpliwe tylko, czy widziała już zabytkowy relief na gmachu Starego Uniwersytetu symbolizujący Zesłanie Ducha Świętego. Ale to stanowiło domenę ojca Stefana. Gdyby był misjonarzem, to zniechęcony niedawnym incydentem już dawno by zrezygnował.

W pośpiechu skręcił we Friedenstrasse, nie zważając na cichą rozmowę siedzących z tyłu pań, pragnął jak najszybciej się ich pozbyć. Najchętniej oddałby ofiarowane mu na dzisiejszy koncert zaproszenie, lecz obawiał się urazić tym przyjaznego mu duchownego.

Hinduska wysiadła wraz z niemiecką przyjaciółką.

- Dziękuję. Bardzo pięknie było na górze, ładniej niż jestem w stanie wyrazić.

Uśmiechała się przy tym jednak do ojca Stefana. Lekarz stał sztywno obok, po czym skłonił się lekko. Edyta Hafner odwróciła się jeszcze:

- Proszę być punktualnym w ogrodach dworskich! Liczymy na panów!

Ojciec Stefan pomachał im wesoło.

- Oczywiście, to nasze ostatnie spotkanie z rozrywką w starej Europie. Niedługo i tak będziemy słuchać tylko fletów Kriszny!

Damy oddaliły się, a duchowny obrzucił medyka badawczym spojrzeniem.

- Ma pan już dość hinduskiej kumari?

Larsen udał obojętność, zły, że rozmówca zauważył jego poirytowanie.

- Niewiele mam z nią do czynienia. Proszę mi powiedzieć, co znaczą tytuły „kumari” i „devi”?

Ojciec Stefan rozciągnął twarz w grymasie udającym uśmiech, po czym specjalnie naśladowując brytyjski akcent, wyjaśnił:

- „Kumari” to po hindusku „panna”. A „devi” to coś w rodzaju tradycyjnego dodatku, jaki kobiety z wyższych kast dodają do swoich imion. Znaczący: pochodzący od bogów. W to oczywiście przestali już wierzyć.

- Teraz już poważnie, ojciec Stefanie. Jak można pogodzić to jaskrawe podkreślenie różnicy kast z gestem pobożnego pozdrowienia: złożeniem rąk pozdrawiają boskość w człowieku, a z drugiej strony uważają za przewinienie zajęcie miejsca z innymi w jednym pojeździe.

- Oho, tak właśnie przypuszczałem, że nie da to panu spokoju. Trzeba się do tego przyzwyczaić. Hindusi wiedzą, jak pogodzić ze sobą wiele spraw, które dla nas są niezrozumiałe. A tak na marginesie, kiedy pański ojciec był ostatni raz w Niemczech?

Larsen zastanawiał się przez chwilę.

- Przed trzema laty. Bardzo rzadko się widywaliśmy, wtedy jednak miał ważny powód: wydzierzawił na pięć lat klinikę w Jalnapurze. Najchętniej zabrałby mnie wówczas ze sobą, ale rozsądniejsze było, abym odbył praktykę i zrobił dyplom tu na miejscu. Teraz oczywiście będzie potrzebował mojej pomocy, bo chodzi o pomyślnie zakończenie okresu próby.

Duchowny pokiwał głową ze zrozumieniem.

- To mi wyjaśnia, dlaczego nie miał czasu porozmawiać z panem o hinduskich tradycjach i obyczajach. Ale zaciekało mnie, dlaczego wspomniana dzierżawa ma tak krótki termin? Czy to opłacalne? To znaczy, pewnie za dwa lata po prostu się ją odnowi, czy tak?

Spacerowali po obsadzonej drzewami alei. Larsen zdawał się być rad, że znalazł kogoś, z kim mógł porozmawiać o swoim problemie.

- To bardzo dziwny przypadek, proszę księdza. Właścicielem tej instytucji był Wellings, angielski lekarz wojskowy z Nagpuru i dobry znajomy mojego ojca, który również odbył służbę u Anglików. Po ogłoszeniu niepodległości i wycofaniu się Brytyjczyków również Wellings udał się do Londynu. Przekazał jednak wcześniej dawny lazaret, który rozbudowano na klinikę, swojemu rodakowi. Typowo angielskim zwyczajem obwarował przejście szpitala pewnym warunkiem, przez co całą sprawę spowiła aura tajemniczości.

Ojciec Stefan wytrzeszczył oczy i zatrzymał się, wbijając ręce w kieszenie.

- Halo, halo, to się staje coraz bardziej intrygujące. Każdy biały dziwaczkuje tam z upału, ale szczególnie Anglicy dostają bzika. Co to było?

Doktor Larsen wzruszył z rezygnacją ramionami:

- Tego nie udało się dowiedzieć naszemu poprzednikowi, brytyjskiemu lekarzowi ordynatorowi, gdy musiał odejść po upływie terminu, ani nam, gdy objęliśmy po nim schedę. Mówi się jedynie, że ten, kto prowadzi klinikę, powinien przez pięć lat sprawdzić się jako przyjaciel narodu hinduskiego. Jako lekarz Anglik wykonywał swoje obowiązki bez zarzutu, nie spełniając jednak najwidoczniej dziwacznych oczekiwań tajemniczego Wellingsa. Teraz przyszła kolej na nas. Czy działamy lepiej, dowiemy się dopiero za dwa lata.

Ojciec Stefan zaśmiał się, kiwając głową.

- Nie ma co, a tymczasem przyszły przyjaciel narodu hinduskiego zwiesza głowę, bo braminka ściśle przestrzega wymogów kasty. Ludzie dobrzy, czarno widzę przyszłość pańskiego dzieła!

Larsen poczuł, że się czerwieni, więc próbował ratować sytuację.

- Proszę się nie śmiać, właściwie to ma ksiądz rację. Wydaje mi się, że noszę w sobie zbyt wiele europejskich uprzedzeń. Kiedy choroba się nasiliła, moja matka wcale nie była zwolenniczką hinduskiego stylu życia. A to, czego się dowiedziałem na temat Indii od mojego ojca, obejmowało tyle, ile zakres jego medycznej działalności.

- Wobec tego nadszedł najwyższy czas, aby samemu wyrobić sobie opinię. Czyli nie potrzebuję pana nakłaniać, aby pozostał kawalerem naszej braminki ze względu na studia?

Doktor Larsen był już w bardziej pojedynczym nastroju.

- Całe szczęście, że Jalnapur i Kutela, taką chyba nosi nazwę osada misyjna ojca w kierunku Raipuru, leżą w odległości tylko 100 kilometrów od siebie!

- Proszę tak nie mówić. Sam jestem nowicjuszem, tyle tylko że nasi współpracownicy nieco szerzej zapoznali nas z hinduskim stylem życia. W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy tam greenhorns, jak powiedzieliby Brytyjczycy. Przybyliśmy do Indii dopiero w 1951 roku. Jeśli to pana zadowoli, to podzielimy się naszymi doświadczeniami.

- W każdym razie będziemy tam jedynymi Niemcami. To wystarczający powód, aby trzymać się razem. A więc za braterstwo! Do wieczora, muszę wracać do szpitala!

Siedząc już za kierownicą, skinął jeszcze duchownemu z uśmiechem, ponieważ dzięki pośrednictwu młodego misjonarza pierwsze spotkanie z „Indiami” nie okazało się totalnym niewypałem.

Od strony ogrodów, przed imponującą fasadą niegdysiejszej rezydencji księcia biskupa, przechadzali się zaproszeni goście. Surowy fronton pałacu kontrastował harmonijnie z szerokimi rabatami róż i wypielęgnowanymi grupami krzewów, oświetlonymi fontannami oraz nadgryzionymi zębem czasu figurami z piaskowca. W jakiejś mierze prosta uroda dworskiego ogrodu przypominała Sanssouci. Na tarasie przed oranżerią zaczęła się zbierać orkiestra, pilnie strojąc instrumenty i budząc w pełnych oczekiwania gościach czarodziejski przedsmak bogatego w przeżycia wieczoru.

Zebrane towarzystwo stało w grupach, panie w sukniach wieczorowych, panowie w ciemnych garniturach. Letni wieczór był ciepły, ale nie duszny. W świetle lamp i reflektorów połyskiwały kaskady upiętych fryzur i delikatne wzory eleganckich strojów. Cytrynowy jedwab, ognisty aksamit, lekki perlon, ciężki srebrny brokat otulający ramiona starszych pań. W rzeczy samej, arystokratyczny świat w zaczarowanym parku!

Doktor Larsen, jeszcze sam, trzymał się nieco na uboczu, wyglądając niecierpliwie ku kutej z żelaza bramie, a tymczasem ciągle nie widać było żadnego tęczowego sari! Wreszcie dojrzał ojca Stefana, który szeroki i czarny niczym opiekuńczy parowiec ciągnął za sobą dwa małe żaglowce, obie damy z akademika, którym najwidoczniej zabrakło śmiałości, aby kroczyć u jego boku, a tym samym ściągać na siebie powszechną uwagę.

Medyk ponownie doznał zawodu. Sita Durpali kolejny raz zrezygnowała z tradycyjnego stroju. Miała na sobie lekki wełniany płaszcz, spod którego połyskiwał ciemny, matowy jedwab. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, co pasuje do jej wspaniałej, ciemnej karnacji? Edyta Hafner natomiast zrezygnowała z wierzchniego okrycia, a jemu jasny błękit jej prostej kreacji wydawał się bardziej stosowny dla towarzyszącej jej Hinduski.

Dopiero kiedy podeszły bliżej, zobaczył z zadowoleniem, że w uszach braminki połyskują dwie duże złote obręcze, a kiedy złożyła w pozdrowieniu dłonie, w pierścionkach błysnęły diamenty. Więc jednak przystroić się nieco egzotycznie. Do rozpoczęcia koncertu był jeszcze kwadrans, zaczęli się przechadzać po alei parkowej rozciągającej się naprzeciwko sali cesarskiej. Podświetlono kilka grup dziecięcych figur. Wyglądały jak żywe, najchętniej przemówiłoby się do nich - tylko czy wypadało to robić przed samym koncertem? Zachwycona Hinduska stanęła przed uroczym łobuzem wciskającym swojemu towarzyszowi do ust ogromne winogrono!

Larsen znalazł okazję, aby wziąć na stronę pannę Hafner i zapytać:

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego kumari nie nosi nigdy swojego urokliwego stroju narodowego?

Edyta Hafner rozejrzała się ukradkiem, po czym odparła szybko:

- Głupia sprawa. Pewnego razu kilku wyrostków zaczęło wołać za nią „Cyganka”, a dumę Hinduski łatwo zranić. Tam, gdzie nie docenia się jej ubioru, nie pokazuje go już więcej. Ale proszę się nie zdradzić ze swoją wiedzą!

W tym momencie Sita odwróciła się w jego stronę i po raz pierwszy zobaczył na jej czole jasnożółte, okrągłe bindi, znak kasty: musiała ją dopiero co namalować ochrą. Rozbrzmiały brawa i musieli się pospieszyć, aby dotrzeć na swoje miejsca. Kapelmistrz skłaniał się właśnie, zaraz uniesie batutę. Wszyscy czworo usiedli w pierwszym rzędzie, Sita Durpali po prawej stronie Larsena w jednej chwili pogrążona w pełnym oczekiwania milczeniu i niedostępna żadnym słowom.

Zapięła ciasniej spowijający ją płaszcz, odczuwając najwidoczniej dwadzieścia dwa stopnie ciepła, jakie termometr wskazywał jeszcze wieczorem, jako chłód.

Rozbrzmiały pierwsze takty Eine kleine Nachtmusik, a na szerokiej fasadzie rezydencji biskupiej rozpoczął się niespokojny balet gamy kolorów i światła rozświetlający malowidła sali cesarskiej widoczne w tle przez wysokie okna. Każdy z instrumentów prowadził swój głos, melodie przeplatały się ze sobą na podobieństwo spłoszonych, oślepionych światłem ciem powracających nieznużenie do źródła światła. Rabaty roztaczały ciężki aromat kwitnących róż.

Larsen spojrział ukradkiem w bok. Hinduska spoglądała przed siebie bez drgnienia. Jej regularne rysy odzwierciedlały wyłącznie pełne koncentracji wsłuchiwanie się, lecz bez emocji, bez żadnego głębszego poruszenia - harmonie zdawały się nie wzruszać jej duszy.

Czyżby marzyła o prastarych ragach muzyki hinduskiej? Dziwne, ale Larsen ponownie poczuł się nią rozczerowany. Tylko czego oczekiwał?

O ileż bardziej całemu wydarzeniu oddawała się panna Hafner! Jej oczy były roziskrzzone, policzki płonęły ogniem, cała pochylona ku przodowi postać wyrażała radość - zdawało się, że znikła siła ciężkości.

Mozart wyzwolił ją z chłodnego dystansu, jakim zwykła się otaczać na co dzień.

Spoglądając na ojca Stefana, Larsen niemal się przeraził. Duchowny wyglądał, jak gdyby za

chwile miał zamiar gwizdać w takt muzyki. Kędzierzawa, rudawa czupryna lśniła w blasku lamp, rozochocony założył nogę na nogę, kiwając rytmicznie stopą.

Medyk chrząknął, sprowadzając palotyna na ziemię - a ten zaraz mrugnął do niego porozumiewawczo okiem: to było to!

Przecież na dłuższy czas trzeba będzie zrezygnować z możliwości usłyszenia choć kilku taktów niemieckiej muzyki.

Nie, potrafi się zachować, nawet jeśli rozpiera go przemożna ochota zrobienia czegoś, co nie bardzo dałoby się pogodzić z surowymi wymogami kodeksu towarzyskiego. Wydawało się, że odetchnął z ulgą, kiedy nastąpiła pierwsza dłuższa przerwa.

- Kumari, myślę, że dobrze zrobimy, udając się na spacer po górnym tarasie. Roztacza się stamtąd wspaniały widok na cały ogród, a poza tym nie depta się nikomu po nogach! - zagadnął bez ogródek Hinduskę, gdy tylko dyrygent odłożył batutę. Zabrzmiały gromkie brawa, a Edytę Hafner od oklasków bolały dłonie.

Z wielkim trudem udało mu się nakłonić Sitę do opuszczenia miejsca i wyrażenia zgody na przechadzkę. Musiał oczywiście nieco opanować swój długi krok, bo braminka ani nie biegła, ani nie poruszała się z nieeleganckim pośpiechem, lecz spokojnie stawiała krok za krokiem.

Larsen mimowolnie porównał jej sposób poruszania się z chodem niemieckich kobiet: żadna nie dorównywała jej gracją. Doprawdy szkoda, że zrezygnowała z sari. Wiodące ku tarasowi schody były tak skonstruowane, że pokonanie ich nie było szczególnie męczące, pomimo tego Sita Durpali pozostała nieco w tyle, więc medyk po rycersku jej towarzyszył.

Wysilek opłacił się. Ujrzeni roztaczający się przed nimi ogród, park przy obwodnicy oraz „małą Niceę”, a najpiękniejsze elementy krajobrazu zostały podświetlone.

- Kumari - zagał ostrożnie, opierając się obok Hinduski o kamienną balustradę. - Myśli pani w tej chwili o czymś, czego tu nie ma, prawda?

Zdawała się otrząsać ze snu i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Jest bardzo pięknie - odparła uprzejmie.

- Ale brakuje czegoś, aby było wspaniale. Co to takiego?

W jej oczach pojawiło się rozmarzenie.

- Ogniste chrząszcze, świecące, jak się je nazywa?

- Robaczki świętojańskie?

- Tak, całe łańcuchy, całe szeregi w cieniu drzew. Nie widział ich pan?

- W Niemczech rzadko się je widuje w większej liczbie. To musi być poruszający widok.

- Tak, jak klejnoty bogini Parvati. Zapalają się i gasną, gasną i zapalają się, a do tego słychać gdzieś zawołanie fletu Kriszny. O, usłysz pan tę muzykę, bardziej słodką niż tutaj.

Spojrzał na nią zaskoczony. Mozartowska Kleine Nachtmusik miała być niczym wobec czaru jednego fletu rozbrzmiewającego do tańca robaczek świętojańskich?

- Przeżyję to, owszem. Szkoda tylko, że nie będę mógł potwierdzić, czy naprawdę jest piękniejsza. Będzie pani bardzo daleko, Indie to przecież nieomal kontynent. Czy wolno mi zapytać, kumari, gdzie pani zamieszkuje?

- Pochodzę z Nagpuru - odparła spokojnie.

- Co takiego? Co pani powiedziała? Nagpur? To przecież okolica okręgu Raipur! Będziemy sąsiadami. Rozumie pani to słowo?

Pozostała niewzruszona.

- Neighbours? Nie. W Indiach nic nie jest w pobliżu. Nagpur dzieli od Raipuru około 250 kilometrów.

Ależ potrafiła go sprowadzić na ziemię!

- Mamy niezawodnego hindustana - odparował zirytowany. - Cóż to takiego 250 kilometrów?

Uśmiechnęła się do siebie.

- Duża przeszkoda, zwłaszcza gdy nadchodzi pora mon- sunowa.

- Wyruszam w podróż po monsunach, w październiku, a pani?

Pograżona w myślach Sita spoglądała na położone w dole rabaty, nad którymi tańczyły bawiące się ze sobą światła reflektorów.

- Wyruszę, kiedy powie pandit brat. Najprawdopodobniej będziemy w Nagpurze na Diwali.

Nie chciał znowu pytać, co to takiego, wstydził się swojej niewiedzy o Indiach, chociaż miał zamiar obrać ten kraj za swoją nową ojczyznę.

- Czyli swoją praktykę odbędzie pani w Nagpurze? Udało się tam pani dostać miejsce w szpitalu?

Jaka szkoda, że w dole rozświetlono widownię, dając tym samym znak do zakończenia przerwy, i szerokimi ogrodowymi alejami zaczęli ze wszystkich stron schodzić się goście. Również oni musieli wracać.

Sita Durpali sprawiała wrażenie zadowolonej, że udało się jej uniknąć odpowiedzi na ostatnie pytanie lekarza, on natomiast czuł się urażony jej milczeniem.

Czyżby był nietaktowny? Prowadził przecież luźną rozmowę, spokojną konwersację, właściwą, gdy się kogoś poznało. A może posunął się za daleko, chcąc się dowiedzieć o niej czegoś więcej?

Druga część koncertu nie sprawiła mu przyjemności, ponieważ wciąż powracał myślą do rozmowy. Czy rzeczywiście uraził w jakiś sposób Hinduskę? Siedziała nieporuszona jak poprzednio. Najwidoczniej nigdy nie traciła równowagi ducha, jeśli coś jej nie odpowiadało, odgradzała się milczeniem. Dobry sposób, by się niepotrzebnie nie denerwować! Pozostał roztargniony aż do końcowego crescendo orkiestry.

Zrobiło się późno i znacznie chłodniej. Sita zadrżała, zapinając płaszcz pod samą szyję, najwidoczniej nie wiedziała, co to szalik.

Doprawdy, przydałoby się jej futro. Dziecko indyjskiego słońca odczuwało nocny chłód niczym ostry mróz. Najlepszym wyjściem był powrót do domu, więc pospieszono ku wyjściu.

Larsen odwiózł wszystkich do akademika, prawie nie zamieniając z bramką słowa. Panie wysiadały, zaś ojciec Stefan pozostał na swoim miejscu, wiedząc, że lekarz ma odprowadzić pojazd do garażu na Wzgórzu Mnichów, a potem ostatnim autobusem wróci do szpitala w mieście, gdyż jutro wczesnym rankiem samochód będzie potrzebny ojcu dyrektorowi.

- Proszę mnie zabrać ze sobą, doktorze, nie mogę przecież pana zostawić w takim stanie ducha - protekcyjnie zwrócił się do niego palotyn, a kiedy Larsen zasiadł znowu za kierownicą, dodał.- Widzę po pana minie, że znowu popełnił pan co najmniej jedno faux pas. Co to było tym razem?

- Proszę mi powiedzieć, zna ksiądz Nagpur?

- Równie dobrze jak Münster, moje rodzinne miasto. Studiują tam nasi seminarzyści, to również siedziba naszego hinduskiego biskupa, którego władzy podlegamy. Czy coś pominąłem?

- Owszem. Czy wie ksiądz, kim jest jej ojciec. Mam na myśli pandita Durpali. Czym się zajmuje?

Ojciec Stefan uśmiechnął się krzywo.

- Pewnie myśli pan o tym, że stać go na to, by dwoje jego dzieci studiowało w Niemczech? Jest urzędnikiem miejskiej elektrowni wodnej w Nagpurze, ale to pana nie interesuje. Dla uspokojenia dodam, że miasto posiada duży szpital, ale nie przypuszczam, by tam miała odbyć swój staż.

- Dlaczego? Nie ma warunków?

- Owszem! Ale jej rodzina, jak zakładam, celuje wyżej. Skoro posyła się na studia tak urodziwą dziewczynę jak Sita Devi, to ma się na oku przynajmniej Bombaj albo New Delhi. A pan oczywiście wypytywał o to wszystko?

Larsen zagryzł wargi, przytakując w milczeniu. Ojciec Stefan zachichotał.

- To kardynalny błąd. To znaczy kardynał Gracias pewnie by go nie zrobił, bo jest Hindusem. W Indiach nie wypytuje się kobiet o sytuację rodzinną, chyba że jest się zainteresowanym ze względów zawodowych, ale wtedy najlepiej zasięgnąć języka u pandita ojca.

- Hm, dziękuję, zapamiętam to sobie. Jak można to naprawić?

- Tym już ja się zajmę. Mieszkam w tym samym budynku i częściej ją spotykam. Pana

natomiast ominie ta przyjemność. Mam coś przekazać?

Pokonali ostatnie wzniesienie. Spowity ciemnością wieczoru na wzgórzu przed nimi pojawił się kontur gmachu kliniki misyjnej.

- Nic mi o tym nie wiadomo! Nie znoszę humorzastych kobiet! - wymruczał Larsen. Ojciec Stefan milcząco, uśmiechnął się lekko, po czym wysiadł. Lekarz wprowadził samochód do garażu, zamknął go i oddał klucz siostrze odźwiernej. Chwilę potem schodzili razem ku pobliskiemu przystankowi autobusowemu.

Cały Würzburg był jednym morzem migocących świateł. Wyglądało to imponująco. Larsen odczuwał dziwne rozdrażnienie. Stali na przystanku, rozmawiając o błahostkach, których wcale nie mieli na myśli. Gdy nagle zza rogu wyłonił się nadjeżdżający autobus, lekarz oznajmił z pośpiechem:

- Tak przy okazji: urządzam dla kursu przyjęcie pożegnalne. Proszę to przekazać innym. W niedzielę po ostatnim wykładzie! Poszukam dobrego lokalu, a ksiądz zorganizuje resztę!

Wsiadł do pojazdu, a palotyn pomachał za nim z uśmiechem:

- Takich zaproszeń nigdy nie odrzucam. Nie na próżno prowadziłem przez dłuższy czas w Augsburgu grupę studencką. Jak będzie trzeba, zaangażuję nawet oryginalnego hinduskiego fakira.

Medyk uśmiechnął się w odpowiedzi, drzwi zamknęły się. Ojciec Stefan zatrzymał się na chwilę, machając na pożegnanie, po czym ruszył samotnie ku Friedensstrasse.

Pogodny lipcowy dzień wywabiał gości piwnicy zamkowej na taras. Popijali znakomite wino, spoglądając raz po raz ku dolinie Menu i skąpanemu w słońcu miastu. Była to podwójna przyjemność! Świecące z ukosa promienie oślepiły na chwilę gospodarza, gdy niosąc tacę ze szklankami wyszedł przed drzwi. Z przymrużonymi oczami przyglądał się uważnie wesołej męskiej kompanii. Same stroje zakonne i tylko jeden cywil: właśnie podniósł się z miejsca i przy gromkich owacjach wypił bruderszaft z jednym z duchownych. Zachowywali się jak studenci.

Ociągając się, podszedł do nich restaurator.

- Panowie wybaczą! Jakiś cudzoziemiec prosi o rozmowę pana doktora Petera Larsena. A, to pan? Mam go tutaj przyprowadzić?

Rozochocony Larsen strzelił palcami.

- Dawać go tu. To pewnie jeden ze studentów pragnący się dowiedzieć, jak najszybciej zostać lekarzem. Niech dołączy do nas, w stągwiach jeszcze pełno.

Nie, ten wysoki, szczupły mężczyzna ubrany w szary garnitur i noszący do tego nieskazitelnie biały turban, nie był studentem. Gdzie widział już te ciemne, migdałowe oczy? Przedstawiając się, Hindus ukazał w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

- Ramdas Durpali. Czy mam zaszczyt rozmawiać z panem doktorem Larsenem? - zapytał w nienaganej angielszczyźnie.

Lekkie podchmienie natychmiast przeszło, lekarz zerwał się z miejsca.

- Tak, proszę, shri Durpali, natychmiast idę z panem. Czy.

Hindus, ciągle się uśmiechając, powiódł uważnie wzrokiem po zgromadzonych.

- Jeśli to nie przeszkadza towarzystwu, wolałbym pozostać z panem tutaj.

Z podziękowaniem przyjął ofiarowane mu przez młodego kleryka krzesło, a wszyscy spojrzeli na niego w oczekiwaniu.

Spokojnie, jak gdyby był sam na sam z lekarzem, Hindus zagaił rozmowę, a jego pochodzenie zdradzał jedynie lekki akcent:

- Jestem bratem poznanej przez pana Sity Devi. Być może wiadomo też panu, że w Zagłębiu Ruhry zapoznawałem się z wybudowanymi tam zaporami wodnymi?

Larsen przytaknął zmieszany.

- Słyszałem, że pański ojciec kieruje hinduską elektrownią wodną. Co sprowadza pana do mnie? Mogę w czymś pomóc?

Widać było, że Hindusowi nie bardzo było na rękę bezpośrednio poruszenie tematu.

- Pan interesuje się moim zawodem, a ja pańskim, sahibie! Od mojej siostry dowiedziałem się, że będzie pan kierował znaną mi dobrze kliniką w Jalnapurze. To pański pierwszy pobyt w

Indiach?

- Tak, a ordynatorem szpitala od trzech lat jest mój ojciec.

- Tym sposobem zostanie pan dobrze wprowadzony. Wydaje mi się, że będzie pan miał wpływ na prowadzenie kliniki. Nie, dziękuję, my, bramini, nie spożywamy alkoholu.

Larsen odstawił karafkę nieco zbity z tropu. Do czego Hindus zmierzał? Tymczasem klerycy, widząc, że rozmowa nabrała bardziej osobistego charakteru, zaczęli jeden po drugim wstawać z miejsc. Podeszli do balustrady i udając zainteresowanie, zaczęli przyglądać się miastu. Przy stole pozostał tylko ojciec Stefan zatrzymany dyskretnym gestem lekarza.

- Zakładając, shri Durpali, że udaję się do Indii z określonymi planami, jest pan w błędzie.

Znając charakter mojego rodzica i jego energię, trudno będzie w jakikolwiek sposób zmienić kurs, jaki wytyczył. Nie bardzo też rozumiem, jaką propozycję mógłbym mu złożyć jako nowicjusz. Jeśli chodzi o mnie, to mogę się tylko podporządkować.

Bramin przytaknął. Na jego czole widniał trójpromienny żółty znak kasty, odznaczający go jako wyznawcę Wisznu. Ponownie uśmiechnął się uprzejmie.

- Rozumiem. Jestem daleki od wtrącania się w pańskie sprawy, sahibie. Czy wolno mi jednak ufać, że po pańskim przybyciu do Jalnapuru zostanie zachowana dotychczasowa, jak dotąd bardzo życzliwa linia? Wszystkich wpływowych Hindusów w regionie Raipur cieszy, że pański ojciec nie naruszył naszego starego kastowego porządku, lecz go respektuje. Czy mogę być pewny, że nic się nie zmieni w tym względzie?

Larsen wymienił spojrzenie z ojcem Stefanem, odczytując w jasnych oczach palotyna milczące ostrzeżenie, dlatego jego odpowiedź wypadła dyplomatycznie:

- Zdumiewa mnie pańskie obeznanie z tematem, shri Durpali. Proszę mi otwarcie powiedzieć, z jakiego powodu interesuje się pan naszą kliniką?

Hindus złożył razem swoje wąskie, brunatne dłonie, spoglądając na nie przez chwilę, jak gdyby zmieszany. Na jego prawicy zamigotał szeroki złoty sygnet. Wreszcie podniósł wzrok, nawiązując do otwartego pytania Niemca:

- Chodzi o to, że staram się znaleźć odpowiednie miejsca na odbycie praktyki lekarskiej dla mojej siostry Sity Devi. Początkowo myślałem o klinice państwowej w New Delhi. Odkąd jednak moja siostra powiedziała mi o panu, zrodził się we mnie inny pomysł, ale widzę, że nie ma sensu wspominać o nim.

Larsen przemógł się. Czyżby Durpali rozważał...

I zanim ojciec Stefan zdążył go pod stołem kopnąć w kostkę, wyskoczył z pytaniem:

- Shri Durpali, myślał pan o tym, aby kumari Sitę Devi posłać do naszej kliniki?

Ramdaz Durpali błyskawicznie opuścił wzrok, kryjąc odbijający się w nich tryumf.

Europejczyk wpadł w zastawione sidła. Teraz już wiedział, że lekarz ani przez chwilę nie będzie się wahał i poprze jego prośbę u ordynatora w Jalnapurze.

- Sahibie, braminka wchodzi do obcego domu, takiego jak pański, dopiero wtedy, gdy pisemną umową ureguluje się wszystkie kwestie z przedstawicielami jej rodu. Sama nigdy nie będzie się o to ubiegać. Jeśli zależy panu na tym, aby na oddziale kobiecym zaangażować hinduską lekarkę, a myślę, że jest to szansa dla sahibów, to proszę negocjować ze mną. Tu, w Niemczech, ja odpowiadam za moją siostrę, a ostateczną decyzję podejmie pandit ojciec w Nagpurze.

A zatem to jego spotykałby zaszczyt, gdyby udałoby mu się związać Sitę ze szpitalem jako lekarką na praktyce. Ojciec Stefan chrząknął energicznie, ściągając przy tym groźnie krzaczaste brwi. Oznaczało to - spokojnie! Larsen zrozumiał ten gest, udając, że się waha.

- Kiedy wyrusza pan w podróż, shri Durpali?

Zagadnięty sięgnął do bocznej kieszeni, wyciągając z niej kolorowy prospekt.

- Według europejskiej rachuby czasu 22 października wylatuję Swisssairem z lotniska MonachiumRiem. Niecałe dwa dni później dotrzemy do Bombaju. Pozostanie dość czasu, aby znaleźć się w Nagpurze na święto Diwali. To byłby najlepszy czas na rozmowy.

Również Larsen przewertował rozkład szwajcarskich linii lotniczych. W rzeczy samej, można było podróżować z wszelkim komfortem, wprawdzie nieco drożej, lecz jakaż oszczędność czasu w stosunku do rejsu statkiem! Jakby czytając w jego myślach, Ramdaz Durpali

zapropował:

- Jeśli nakłonię pana, sahibie, do podróży samolotem, to oczywiście biorę na siebie różnicę kosztów, podobnie jak i wydatki związane z podróżą do Nagpuru. To oczywiste.

I znowu w oczach ojca Stefana pojawił się ostrzegawczy błysk.

- To bardzo uprzejme! Zastanowię się. Daję moją wizytówkę z numerem telefonu. Myślę, że zatrzyma się pan w Würzburgu na dłużej?

- Z pewnością. Dla mojej siostry i siebie znalazłem pierwszorzędny hotel. Kwatera w akademiku była jedynie tymczasowym rozwiązaniem.

Larsen poczuł się rozczerowany. Zaledwie brat Sity zjawił się w mieście, już znalazła się pod jego surowym nadzorem. Pobyt w domu należącym do towarzystwa misyjnego najwidoczniej nie znalazł uznania w oczach ortodoksyjnego Hindusa. Tym sposobem nie uda mu się dowiedzieć, jakie jest jej zdanie na temat planów brata. Zapytał więc bez ogródek:

- Czyżby żywił pan obawy, że pańska siostra ulegnie w akademiku jakimś wpływom?

Jeśli Hindus przytaknie, stanie w obronie dyrektora kliniki misyjnej, gdyż nigdy nie nastawał on na niczyje sumienie. W domu św. Krzysztofa przeznaczonym dla studentów zagranicznych obcowały ze sobą przyjaźnie osoby wszystkich ras i religii.

Ale bramin uśmiechnął się pojednawczo:

- Oczywiście, że nie. Ale dowiedziałem się, że to stowarzyszenie lekarzy chrześcijańskich posiada dom w Jhansi koło New Delhi. Wystarczyło, że moja siostra zaczęła się interesować działalnością amerykańskich Medical Sisters. Matka Anna Dengel to znana postać w całych Indiach, kierująca dużym szpitalem w New Delhi. Zachodziło niebezpieczeństwo, że Sita Devi dostanie się do instytucji misyjnej. Wyrażam się bardzo jasno, sahibie, aby wiedział pan na samym wstępie, gdzie moja siostra pozostanie: przy hinduizmie!

Wstał z miejsca, jak gdyby rozmawiali o pogodzie, ale na jego szczupłej twarzy widać było wyraźny cień fanatyzmu. A może to tylko złudzenie? Uśmiechając się uprzejmie, shri Durpali pożegnał się, dziękując za wszystkie informacje i pozostawiając swój adres. Do jesieni było jeszcze sporo czasu. Hindusi nie spieszyli się z decyzjami. Świat jest duży i ostatecznie nie było potrzeby uzależniać się od obietnicy sahiba, aby ulokować gdzieś szacowną braminę.

Brat Sity skierował się ku wyjściu z tarasu. Na jego turbanie błysnął w słońcu zdobiący go i zwracający uwagę wielkością szlachetny kamień. Odprowadzili go w milczeniu wzrokiem.

Larsen gestem przywołał uczestników prowadzonego przez siebie kursu medycyny tropikalnej, ale większość musiała się już pożegnać, a wraz z nimi ruszyli też inni, zwłaszcza że przeczuwali, iż lekarz ma wiele do omówienia ze swoim przyjacielem, ojcem Stefanem. Kiedy już ofiarowali sobie braterskie „ty”, będzie im łatwiej rozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. Zaraz też pozostali nieco w tyle za pozostałymi. Mieli przed sobą potężną twierdzę Maryi. Spacerowali po szerokiej, wysypanej żwirem promenadzie, lekarz gestykułując, misjonarz w milczeniu.

- Nie pojmuję twoich zastrzeżeń, Stefanie. Znowu jesteś rodowitym Westfalczykiem, wybacz proszę, o ciężkim pomyślnku. Co w tym złego? On tylko skorzystał z nadarzającej się okazji. Ostatecznie na obczyźnie bylibyśmy wdzięczni za wszelką pomoc.

Duchowny zatrzymał się na chwilę.

- Hm, tyle tylko że piekielnie rzadko jesteśmy dobrze poinformowani o przypadku, zwłaszcza gdy nas spotyka. Chętnie bym się dowiedział, skąd on tak dobrze zna pańskiego, I przepraszam, twojego ojca.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Jalnapur i Nagpur to nie Bombaj i New Delhi. Wiadomości szybko się rozchodzą, zwłaszcza gdy ma się ciągotki nacjonalistyczne i obserwuje historię kraju z podobną uwagą jak ten Durpali.

- Hm, wydaje mi się, że on interesuje się nie tylko polityką. Nawet jeśli w środowisku Hindusów wyższych kast konwersja jest rzadkością, to dla Sity jest wręcz niemożliwa. Już teraz wyraźnie dał ci do zrozumienia, że wszelkie próby religijnej indoktrynacji skazane są na niepowodzenie. Jako misjonarz musiałbyś odmówić, jako osoba prywatna możesz oczywiście zrobić, co uważasz za słuszne. W każdym razie, gdy chodzi o braminę, to narazisz się na sporo

nieprzyjemności

I poparzysz pokrzywami, które w Indiach są szczególnie gęste i ostre.

Larsen się uśmiechnął.

- Jak to się mówi? Czarnowidz? Nie, nie jestem aż takim pesymistą. Tolerancja i szacunek, tym można sobie poradzić, nawet w Indiach.

- Tak? Wobec tego szczęśliwej podróży i wysokiego lotu! Ja tymczasem przez całe miesiące będę się tłukł na starej łajbie pomiędzy Genuą i Bombajem. Uspokaja mnie tylko myśl, że zobaczymy indyjski brzeg mniej więcej w tym samym czasie, ponieważ wraz z innymi wyruszamy już wkrótce. Gdyby więc ten cwany bramin miał zamiar skasować cię wraz z kliniką, to pospieszę z pomocą.

Peter wybuchł śmiechem.

- On? Potrafię stawić mu czoło. Zanim podpiszę coś w Nagpurze, dokładnie przejrzę przygotowaną przez niego umowę. A Sicie nie będzie nic darowane z dwóch lat praktyki w naszej klinice. Nie zna nas, Niemców, jeśli myśli, że łatwo mu z nami pójdzie.

Schodzili już po wiodących z wałów schodach, nad nimi coraz wyżej wznosiła się twierdza, wokół wież latały stada kawek. Jeszcze raz spojrzeli za siebie - to był i pozostawał niezwykły widok.

Stulecia stojące za szarymi, strzelistymi murami i bastionami zdawały się przytłaczać widza swoją potęgą! Indie były stare, prastare - ale i ich ojczyzna miała swoją tradycję. Okaze się dopiero, kto będzie mocniejszy.

- Obiecuj mi jedno, Peter, że odpowiednio wcześniej powiadomisz twojego ojca o wszystkim, co tu zaszło. On zna Indie nieco dłużej od nas.

- Miło z twojej strony, że nie mówisz „od ciebie”! Sam też jesteś żółtodziobem. Ale bez obrazy, masz rację, Stefanie. Natomiast teraz to ja muszę cię pociągnąć za język. Dlaczego wyższe sfery Indii tak zażarcie bronią się przed chrześcijaństwem?

Ojciec Stefan odetchnął głęboko.

- To proste: od czasów, kiedy apostoł Tomasz zaczął udzielać chrztu na południowym wybrzeżu, wciąż jeszcze uważani jesteśmy za Kościół pariasów. Hindusi z wyższych kast już wtedy trzymali się z daleka, jego nauk słuchał jedynie prosty lud. To właśnie bramini mieli być tymi, którzy wydali go na męczeństwo.

- Ładne widoki, nie ma co. A czy później nie podejmowano prób.

- Oczywiście. Szczególnie jezuitom udało się zainteresować wiarą Hindusów z wyższych kast, zwłaszcza że jako najwyższy cel postawili sobie poszukiwanie prawdy. Potem jednak przybyli franciszkanie oraz inne zakony, gromadząc wokół siebie niedotykanych niczym Dobry Pasterz zawzione i zagubione owce. W ten sposób skończyła się praca misyjna wśród wyższych sfer. Ta tragedia trwa do dziś.

Wzruszył ramionami, a lekarz pokręcił głową.

- A wy, misjonarze, podejmujecie pewnie wciąż na nowo tę nierokującą nadziei sprawę? Gratuluję odwagi, Stefanie.

- Oczywiście nie możemy lekceważyć porządku kastowego, ale też nie trzymamy się go sztywno. Skromna dziewczyna z Nazaretu przeczuwała to, śpiewając: „Strącił władców z tronu, a wywyższył pokornych”. A poza tym jest tam i to piękne zdanie: „Bogatyh z niczym odprawił”. I tak pewnie zawsze pozostanie. A ty i twój ojciec chcecie inaczej?

Peter okazał zmieszanie.

- Sam nie wiem. Jak dotąd słuszna była taktyka niezrażania sobie nikogo. Jeśli po pięciu latach uda nam się przejąć klinikę, to pewnie nabierzemy większej śmiałości.

Ale ojciec Stefan nie mógł się pozbyć niepokojącego przeczucia, które wzbudził w nim Hindus.

- Jeśli tylko bramin nie rzuci wam kłód pod nogi.

- A tam! My też jesteśmy na miejscu! Stop! Dokąd się wybierasz?

Duchowny, który nagle skręcił w boczną uliczkę, wyciągnął w odpowiedzi z kieszeni

niewielką, grubą książkę.

- Dzisiaj odmówię mój brewiarz w krypcie apostoła Franków, żeby chłód sklepienia wypędził mi z krwi twoje wino. Nie narzekaj! Wino Franków to wino zdrowia! Pozdrów ode mnie świętego Kiliana i towarzyszy! Oni swego czasu tak samo trudzili się z naszymi przodkami, jak my teraz z Hindusami. Powiedz im też, że nie mam zadatków na męczennika. Dobry lekarz zdziera skórę z innych. Bronię się ze słońcem w rękę!

„No, temu to jeszcze dobrze szumi wino w głowie - pomyślał przyjaciel, ruszając dalej w drogę. - Ale Indie okiełznają go na swój sposób. Lekarz z pewnością nie będzie misjonarzem, a nawet szczególnie gorliwym chrześcijaninem w pogańskiej krainie. Oby tylko Indie go nie pochłonęły”.

Zatopiony w myślach i nieco przygnębiony ojciec Stefan powędrował ku katedrze. Przed średniowiecznym krzyżem zdobiącym lewy boczny ołtarz odnalazł ukojenie. Jakże dziwnie przedstawiony był Chrystus! Ukrzyżowany uwolnił swoje ręce z ramion krzyża, trzymając je geście uścisku przed sobą. Legenda opowiada, że podczas wojny trzydziestoletniej figura przytrzymała szwedzkiego rajtara chcącego obrabować krzyż z darów wotywnych. Nie wierzył jej. Dla niego ten gest oznaczał miłość, która chce wszystko przyciągnąć do siebie.

II

Cztery śmigła napędzane potężnymi silnikami wprawiały w drżenie kadłub maszyny szwajcarskich linii lotniczych. Po przystawionych schodkach weszli do kabiny ostatni pasażerowie.

Zaniepokojony doktor Larsen był już prawie przekonany, że Hindusi się nie zjawią. Dopiero w ostatniej chwili w drzwiach pojawił się mężczyzna w pomarańczowym jedwabnym turbanie i zielonym, zapiętym po szyję atlasowym aczknie. Do tego nosił białe spodnie jodhpur - w tym narodowym stroju prezentował się niczym syn jakiegoś maharadży. Obraz jak z filmu kostiumowego! Ale gdzie podziała się Sita?

Jak gdyby przeczuwając jego zaniepokojenie, jeszcze przy przekraczaniu progu samolotu bramin odwrócił głowę i uśmiechając się, szarmanckim gestem podał rękę podążającej za nim damie.

W tym samym momencie, gdy ją zobaczył, Peterowi krew uderzyła do głowy. To już nie była hinduska lekarka w nudnym europejskim odzieniu, lecz prawdziwa bogini swojej ojczyzny! Podobnie wyobrażano sobie pewnie Lakszmi, zrodzoną z piany morskiej i błękitu nieba boginię szczęścia.

Śnieżnobiałe jedwabne sari Sity zdobił wzór przedstawiający szmaragdowe baldaszki kwiatów wielkości dłoni. W zgięciach materiału układającego się w eleganckie, wytworne fałdy tworzyły one kompozycje kwiatowe, których zapach był nieomal wyczuwalny.

Gdy podeszła bliżej, rozległ się delikatny dźwięk towarzyszący jej krokom: nosiła sandały, bransolety oraz srebrną biżuterię wokół kostek i na palcach stóp, których paznokcie były pomalowane na czerwono.

Najchętniej przetarłby powieki, aby spędzić z nich sen, ale sen nie odchodził. Owiana chmurą prawdziwych hinduskich perfum przepłynęła obok niego, delikatnie podzwaniając nausznikami, które zwieszały się jej prawie do ramion. I jeszcze chwila nowego szczęścia: pochyliła w pozdrowieniu czoło, po czym zajęła miejsce przed nim, u boku swojego brata, z uśmiechem zdając się delectować niemym podziwem lekarza.

- Proszę zuć! - wezwała stewardesa. W tej samej chwili poczuli lekki ucisk w uszach, więc posłusznie poruszyli szczękami. Wkrótce jednak lot maszyny nabrał stabilności. Kiedy odważyli się wyjrzeć na zewnątrz, od ziemi oddzielała ich warstwa chmur, nie widać było żadnego krajobrazu. Szybko zmierzali do Zurychu, a stamtąd w przeciągu dwóch godzin znaleźli się w Genewie.

Czas upływał Peterowi dosłownie jak na skrzydłach, zwłaszcza że miał już przed sobą „kawalek Indii”. Ilekroć spoglądał na szczupły, delikatny profil Sity, ogarniało go dziwne uniesienie: był to znajomy, a jednocześnie obcy mu widok.

Prawie nie zważał na temat niezobowiązującej rozmowy zagajonej przez Ramdasa Durpali. Udzielał roztargnionych odpowiedzi, a delikatny poszum śmigieł towarzyszący każdemu słowu raczej usypiał, niż przeszkadzał.

W Genewie skład pasażerów uległ kolejnej zmianie. Wzrosła liczba Azjatów, gdyż pokład samolotu opuściło wielu Europejczyków pracujących w Szwajcarii. W Kairze będzie kolejny etap egzotyki. Już teraz widziało się wełniane fezy, turbany i wygolone czaszki buddyjskich mnichów. Zaraz po starcie w kierunku stolicy Egiptu stewardesa podała lekką przekąskę. Hindusów obsługiwał steward Sikh noszący ogromny jedwabny turban w błękitnym kolorze.

Skrywał pod nim najpewniej długie włosy, których - według wymagań stawianych przez sektę - nie wolno mu było naruszyć nożyczkami. Gęsta broda zabarwiona była czerwienią i ondulowana. Peter obserwował go z uśmiechem. Braminom podał potrawy wegetariańskie, bo zgodnie z wymogami prawa hinduskiego nie wolno im było spożywać mięsa. Mieli praktykować swattik, styl życia podporządkowany sprawom duchowym.

Obserwowanie, jak Hindusi wytwornie i zręcznie spożywają ryż rękoma, w młodym lekarzu

obudziło odległe wspomnienie. Czy jeszcze jako dziecko nie podziwiał, że zarówno proste pochodzeniem, jak i wywodzące się z wyższych sfer osoby z równą zręcznością, i to rezygnując z korzystania ze sztuczków, posilały się w dużo bardziej estetyczny sposób niż niejeden Europejczyk?

Teraz z bliska mógł obserwować, jak przyozdobiona pierścionkami dłoń Sity zanurza się w misie, formuje błyskawicznie smukłymi palcami kuleczkę z ryżu i wrzuca ją ust. Prawdziwa sztuka cyrkowa, bo lewej dłoni służącej do przysuwania kolejnych naczyń, nie można było do tego używać, a ponadto nie wolno było ubrudzić palców ponad drugi palec. Ale nie miał ochoty iść w ich ślady, choć używając widelca i noża sam sobie wydał się niezręczny i ociężały. Rozejrzał się wokoło. Pozostali Hindusi spożywali ryż z ostro przyprawionym sosem, którego aromat wypełniał całą kabinę. Rozmowy prowadzono prawie wyłącznie po angielsku. Obczyzna oplotła ich swoimi mackami.

Pułap chmur się obniżył, więc przez okrągłe okienka można było dostrzec zmieniający się krajobraz, góry, równiny, lasy i zbiorniki wodne. Każda godzina lotu oddalała ich coraz bardziej od Europy, sygnalizował to nawet nieboskłon, zmieniając barwę z błękitnego na turkusowy. Stopniowo zaczęto podejmować temat Indii.

Prowadzenie konwersacji Sita pozostawiła bratu. Najwidoczniej wolno jej było się odezwać tylko wtedy, gdy została zapytana. Sprawiała też wrażenie jeszcze bardziej zamkniętej niż zwykle. Peterowi wydawało się, że wraz z sari otoczyła ją tajemnica albo tylko wmawiał sobie, że coś takiego przynależy do romantyki tego ubioru.

Nie wierzył własnym oczom, gdy na ścianie kabiny wyświetlił się napis informujący o zbliżaniu się do Kairu. Czyżby minęło już sześć godzin lotu? Kolejny raz musiał przestawić zegarek. Byli, można powiedzieć, szybsi niż czas. Zanim dotrze do Bombaju, będzie to musiał zrobić jeszcze kilkakrotnie, choć od stolicy Egiptu do celu podróży dzielił ich jeszcze dwunastogodzinny, po części nocny lot, najbardziej męczący etap podróży.

Kiedy maszyna wylądowała, natychmiast poczuł, że wełniana odzież zaczyna mu ciążyć. Tu można było założyć tropikalne odzienie. Przewidziany był dłuższy postój, prawie wszyscy pasażerowie opuścili samolot, aby odświeżyć się w lotniskowych lokalach, skorzystać z usług fryzjerskich lub przebrać. Otoczenie pasa startowego przypominało bazar. Można było obejrzeć błyszczące wystawy z wyrobami jubilerskimi, nabyć kompletne wyposażenie na wyprawę do dżungli, w lombardzie zamienić zbędne rzeczy na gotówkę albo wymienić pieniądze w kantorze.

Peter opuścił przebieralnię w świeżym białym garniturze tropikalnym i niezdecydowany wałęsał się wzdłuż zadaszonej hali, gdy nagle jak spod ziemi wyrosła przed nim Sita, po raz drugi cudownie przemieniona. W przeciągu krótkiego czasu zmieniła sari - na noc wybrała delikatny jedwab o amaranto- wym odcieniu, na którym widniały zielonozłote pawie oczka, a wzdłuż krawędzi materiału biegł delikatny złoty pasek. Szerszą końcówkę dziewczyna malowniczo zarzuciła na głowę, jak gdyby chcąc zakryć twarz i nie być obserwowaną przez przechodzących.

Czy nie przyglądał się jej zbyt długo? Oblała się rumieńcem i wznosząc w geście prośby rękę, zwróciła się do niego po niemiecku:

- Proszę wybaczyć, sahib doktor! Proszę wybaczyć, że dopuszczam się śmiałości i jako kobieta pierwsza zwracam się do pana.

- Kumari, cieszę się, że zdobyła się pani na odwagę! Już dawno chciałem z panią porozmawiać na osobności. Czy pozwoli się pani zaprosić do herbaciarni?

Zaprzeczyła obronnym gestem

- O nie, proszę. Bardzo się spieszę. Mój brat umówił się na spotkanie z pewnym Persem, dlatego mogłam się oddalić. Mam wielką, bardzo wielką prośbę, Sahibie!

Jej ciemne jak u gazeli oczy wpatrywały się w niego błagalnie. Instynktownie cofnął się głębiej pod zadaszenie, a ona poszła w jego ślady.

- Co się stało, w czym mogę pani pomóc, kumari? - zapytał serdecznie, a Sita odetchnęła.

- Chciałam prosić, aby przekonał pan mojego bhai, brata, żeby z Bombaju jechał bezpośrednio do Nagpuru i nie zatrzymywać się w New Delhi, proszę!

- Chce jechać do New Delhi?

- Tak, jeśli będzie się pan wahał z zatrudnieniem mnie albo wystąpią jakieś trudności z pańskim pandit ojcem. Proszę, sahibie, niech pan nie robi żadnych innych planów i przyjmie zaproszenie do Nagpuru, chodzi o całe moje życie.

Przeraził się, bo z przejścia jej głos łamał się i drżał.

- O pani życie? Nie, kumari, najwyżej o decyzję, czy odbędzie pani praktykę w klinice państwowej w New Delhi czy w Jalnapurze. Czego się tam pani obawia?

Rozejrzała się lękliwie wokół, odruchowo mocniej otulając się swoim błękitnym sari.

- Obawiam się małżeństwa, sahib doktor. W New Delhi żyje bogaty bankier, który już starał się o moją rękę. A ja chcę najpierw skończyć studia, chcę osiągnąć mój cel.

Patrzył na nią, nie rozumiejąc.

- Małżeństwo? Ale to przecież nie jest przeznaczenie, które spadłoby na panią bez pani wyraźnej zgody! W jaki sposób mógłbym się temu sprzeciwić?

Wyczerpana wsparła się o rzeźbiony filar.

- Sahibie, proszę zrozumieć! O wszystkim w życiu hinduskiej kobiety decydują inni. Ale jeśli zgodzi się pan mnie zatrudnić, to uzyskam dwa lata dające mi bezpieczeństwo i ucieczkę przed małżeństwem.

Nagle dotarło do niego, o czym dziewczyna mówi. Pojął także, jak dziwną rolę przyszło mu odegrać.

- Zna pani człowieka, który prosił o pani rękę?

Zaprzeczyła.

- Nie, hinduska dziewczyna nie wie nigdy, do kogo będzie należeć. Poznajemy się dopiero po ślubie. Wcześniej nie uważałam tego za tak okrutne, ale poznałam wolność białych kobiet. Studiowałam i znam swobodę europejskich dziewcząt mogących znaleźć dla siebie człowieka, którego kochają. Pewnie nie uda mi się tego osiągnąć. Ale jeszcze dwa lata zwłoki, sahibie, proszę!

Spojrzał na nią. Była piękna w tym odruchu kobiecego lęku! Mógł jej zaoferować tylko słabą pociechę, ale przynajmniej do tego poczuł się zobowiązany.

- Kumari, proszę się nie obawiać. Postaram się zrobić wszystko, aby odbyła pani praktykę dyplomową w Jalnapurze. Obiecuję. Czy to wystarczy?

Jej ciemne oczy rozjaśnił blask radości. Jak szybko dała się pocieszyć!

- O, dziękuję, sahib doktor, wiedziałam, że mi pan pomoże.

- Nie mogę, niestety, wiele, kumari. A co będzie, gdy miną te dwa lata?

Skuliła ramiona.

- Nie wiem. Wiem tylko, że pandit ojciec będzie ze mnie dumny, kiedy już uzyskam dyplom lekarski, i łatwiej zgodzi się spełnić moje życzenie. Dużą szansą jest też to, że mój bhai również jest przeciwny pracy w klinice państwowej w Delhi.

- Zna pani powody?

- Nie, nie znam. Nikt nie wie, co myślą mężczyźni.

Uśmiechnął się wzruszony. To znowu była typowa zależność hinduskiej kobiety. Odtąd pewnie każdego dnia coraz bardziej będzie zanikał wpływ, jaki Zachód wywarł na Sicie. Czuł to i rozumiał, dlaczego uchwyciła się właśnie jego. Był dla niej jedyną szansą zachowania choć części wolności poznanej w świecie białych.

Oczywiście jego własny ojciec nie może się domyślać tych wewnętrznych zależności. Znał go i wiedział, że nigdy nie da się przekonać. Mógł jedynie wspomnieć mu o zaletach, jakie klinice przyniesie zatrudnienie hinduskiej lekarki.

Wiedziona kobiecą intuicją Sita zdawała się czytać w jego myślach.

- Uda się panu przekonać pandita ojca?

Przytaknął pełen ufności, chociaż nie za bardzo mógł to sobie wyobrazić, przywołując w myślach postać szefa z Jalnapuru, niegdysiejszego lekarza wojskowego, surowego i oszczędnego w słowach.

Drgnęli wystraszeni: przez głośniki rozległo się wezwanie, aby pasażerowie Swissair udali się do samolotu. Wyciągnął do niej rękę i po raz pierwszy oddał mu uścisk.

Wydawało się, że dotknął go mały, wylękniony ptak, który szybko odfrunął.

- Dziękuję pani za zaufanie, kumari!

Odeszła szybko, nieomal uciekła, on zaś zachował na tyle przytomność umysłu, by nie ruszyć zaraz za nią. Dopiero po drugim przynaglającym wezwaniu skierował kroki na pas startowy. Włączono już górne oświetlenie, na Wschodzie szybciej zapadał zmrok. Teraz już Europejczyków pozostałych na pokładzie maszyny dało się policzyć na palcach jednej ręki, przeważali mieszkańcy Azji. Równie urozmaicona jak ubrania i stroje była także narodowość pasażerów.

Nagle niemiecki lekarz poczuł się zmęczony. Rozłożył fotel, mając nadzieję, że po lekkiej przekąsce uda mu się szybko zasnąć. Ale otoczenie było zbyt obce, a sam był za bardzo poruszony. Przed nim z zamkniętymi oczyma siedziała spokojnie Sita. Nic nie zdradzało, że właśnie odbyła rozmowę decydującą o jej dalszych losach. Ramdas Durpali przeglądał hinduski dziennik, który udało mu się dostać w Kairze, zatrzymując się najdłużej przy lekturze artykułu wiodącego. Peter nie znał ani jednej litery z pisma devanagari, więc odwrócił głowę w bok. Nie mógł zasnąć. A gdy już usnął, dręczyły go koszmary i budził najłżejszy szelest, przeszkadzały mu nawet przechyły samolotu spowodowane turbulencją powietrza. Ochłonął dopiero, gdy zobaczył, jak pewnie stoi steward Sikh, uspokajający z niewzruszonym uśmiechem zaniepokojonych pasażerów.

Budził się, gdy do modlitwy skłonili się muzułmanie, potem znowu, gdy z kolei powstali Hindusi i w głębokim skłonie dotknęli czołami podłogi. Jak się później dowiedział, samolot przelatywał nad świętą rzeką Indii, a oni w ten sposób ją pozdrawiali.

Wreszcie zjawiła się szwajcarska stewardesa i obudziła go:

- Przepraszam, panie doktorze, celem pańskiej podróży jest Bombaj?

Zerwał się wystraszony.

- Tak, oczywiście!

- Za pół godziny lądujemy na lotnisku Santa Cruz. Trzeba dopełnić pewnych formalności, co pozwoli uniknąć kłopotów z kontrolą celną i innymi służbami.

Podawała mu kilka kwestionariuszy, które pozostali goście już wypełnili. Nikt nie miał czasu, aby wyglądać na zewnątrz i ekscytować się pełnymi napięcia chwilami lądowania.

Kwestionariusze! Można było mieć nadzieję, że to ostatni wymysł zachodniego świata. Resztę czasu zajęło mu wypełnianie rubryk i odpowiedzi na pytania. Maszyna schodziła już w dół, gdy oddał stewardesie pożyczony długopis i schował do kieszeni przygotowane formularze. Na krótko przed lądowaniem przez chmury przebiły się promienie porannego słońca i w jednej chwili, nieomal gwałtownie, nastał dzień.

Aż trudno było uwierzyć, że podczas dwudziestu godzin lotu pokonali dystans Monachium - Bombaj.

Zaraz po opuszczeniu samolotu otoczyły go Indie.

Ubrana w jasnożółte sari stewardesa zawiesiła mu na ramionach oszałamiająco pachnący wieniec kwiatów - w ten sposób powitano każdego gościa. Na zielonym liściu obsługa podała na odświeżenie betel do żucia. Natychmiast pojawili się odziani w czerwone stroje tragarze wyrrywający sobie z rąk bagaże podróżnych. Na szczęście miał u boku Ramdasa Durpalego, który kilkoma słowami wydał stosowne polecenia. Szybko poradził sobie z wychudłymi postaciami odzianymi w postrzępione dhoti. Jednemu przekazał podręczny bagaż doktora, drugiemu walizki, natomiast trzeci babu miał za zadanie przywołać taksówkę do hotelu Taj Mahal.

Wszystko kosztowało tylko parę rupii i to gdy było się hojnym, jak zwykle bywają przybyli do Indii nowicjusze.

Ramdas Durpali przestrzegł go.

- Ostrożnie, sahib doktor! Kiedy opuścimy urząd celny, rzuci się na nas cała chmara bhikaris, żebraków. Nie należy im dawać niczego albo tylko parę annas, groszy, inaczej nie będzie można ruszyć się z miejsca, a nawet można zostać okradzionym. To zorganizowane szajki.

Bez życzliwej pomocy bramina spędziłby na lotnisku najpewniej jeszcze z godzinę, walcząc o swoją wolność i bezpieczeństwo. Gdy podjechała taksówka - za kierownicą znowu zasiadał Sikh - był przekonany, że bez fachowej porady na pewno nie poszłoby mu tak łatwo.

Lotnisko Santa Cruz oddalone było około dwadzieścia pięć kilometrów od miasta. Najpierw

minęli otaczające miasto mało zachęcające slumsy, całymi odcinkami wzdłuż dziurawych dróg nie było widać nic innego, tylko nędzne chaty z bambusa i trzciny. Nieprawdopodobny brud, prymitywizm, wynędzniałe postaci niepodnoszące wzroku na przejeżdżające auta. Lekarz pochylił się do przodu, rozglądając się z ciekawością, co najwidoczniej nie spodobało się Ramdasowi.

- O, to nic, to nie jest nadmorska perła bogini Lakszmi! Odrobinę cierpliwości, niedługo dotrzemy do Bombaju. Sama bogini wzniosła tamę ku portowi i założyła drogę do miasta, a nie do tych chat niedotykalnych!

I rzeczywiście, dla tych ludzi zdawała się nie istnieć żadna bogini szczęścia: to było pierwsze trzeźwe wrażenie z Indii.

W niskich, wyplatanych z trzciny barakach gnieździł się razem na wpół zagłodzeni ludzie i szczury. Nagie dzieci, z wzdętymi od głodu brzuchami stały w ulicznym błocie, a ich ciemne oczy zdawały się jeszcze rosnać, gdy spoglądały za samochodem.

Wreszcie pojawiły się pierwsze hinduskie świątynki, murowane domy, droga polepszyła się, przechodząc w gładką jezdnię.

- Proszę tam spojrzeć. To Gateway of India!

Peter znał słynną budowlę. Wzniesli ją Anglicy, dlatego w języku ludowym nazywano ją Getaway, odejście z Indii, zamiast „bramę Indii”. Ale te czasy minęły bezpowrotnie. Quit, India! brzmiało wezwanie do stawienia oporu i Brytyjczycy stopniowo zaczęli odchodzić, na końcu nawet ci, którzy pozostali w życiu gospodarczym.

Gdy Ramdas Durpali rozwodził się na ten temat, jego oblicze wyrażało satysfakcję i zadowolenie. Oczywiście, eleganckie centrum, jakie zobaczyli, z flats, wieżowcami z betonu i szkła, pałacami kinowymi i domami towarowymi, dwupoziomowymi liniami kolejowymi i autobusami, stworzyli Anglicy. Ale Bombaj pozostawał dziełem bogini Lakszmi. Któregoś dnia zetrze ona ostatnie ślady po obcych i miasto znowu nabierze hinduskiego kolorytu.

Taksówka stanęła. Hotel Taj Mahal zwracał swoją wzniosłą fasadę ku połyskującemu na horyzoncie błękitnozielonemu oceanowi. I tu jeszcze czuć było wyziewy unoszące się nad miastem od strony portu - ryby, tran, olej, benzyna.

- Baba, baba, babaji! - zawył znowu chór żebraków, którzy natychmiast otoczyli wysiadających. Błagalnie wyciągnięte ręce, wychudłe i szponiaste, a do tego słowa: „Sahib, sahib, annas, rupies! Ponad wszystkimi głowami Ramdas Durpali zdecydowanym ruchem przywołał chowkidara, odźwiernego, który energicznie zaczął torować gościom drogę. Tylko nie okazywać współczucia, większość tej zgrai to próżniacy i lenie - tym też sposobem prawdziwie potrzebujący muszą niestety cierpieć wraz z hołotą.

Dotarli do schodów, Peter sprawdził wszystkie kieszenie i odetchnął z ulgą: portfel i dokumenty oraz tak ważne zaświadczenie o odbytych, niezliczonych szczepieniach przeciwko chorobom tropikalnym, przez jakie przejść musiał każdy przybywający do tego kraju cudzoziemiec, były na swoim miejscu.

Przez kilka minut przyglądał się obcemu dla niego tłokowi ulicznemu, masie samochodów, rikszy, wozów zaprzężonych w woły i limuzyn! Oto za szerokim pojazdem amerykańskiej produkcji dreptał prawie nagi chłopiec ciągnący riksze, czekający cierpliwie aż droga będzie wolna. Inny przejechał obok, gdyż był na tyle zmyślny, że przed swój obwieszony dzwoneczkami wehikuł przyczepił rower. Tam tonga driver męczył się, by wyminąć zażywającą odpoczynku na środku jezdni białą krowę i nie niepokoić świętego zwierzęcia. Tu hinduska matka niosła na biodrze dziecko, jednocześnie trzymając na głowie olbrzymi kosz z owocami. Pomiędzy nimi Hindusi odziani w eleganckie tropikalne ubrania, flegmatyczni Anglicy i bez skrępowania gapiący się na wszystko Amerykanie. Oczy i uszy bolały od orgii kolorów, odgłosów i krzyków!

Peter zmęczony skierował się do hotelu - nawała morskiej wilgoci nieomal pozbawiała go tchu, poczuł się wyczerpany, jak gdyby całą drogę odbył na piechotę, chociaż tragarze uwolnili go od konieczności niesienia czegokolwiek. Oczywiście, zmiana klimatu. Październik, okres po monsunach, słychać z przytłaczającej wilgotnej duchoty!

Dzięki Bogu w lobby nieustannie kręciły się pod sufitem ogromne elektryczne fans,

wentylatory. Ramdas Durpali był na tyle uprzejmy, że załatwił za niego wszystkie formalności. Przenocuje wraz ze swoją siostrą w tym samym budynku, jedynie piętro niżej.

Przed dalszą podróżą niezbędny był przynajmniej jeden dzień wypoczynku, a do tego dobrze przespana noc. Potrzebowali tego również Hindusi, choć przecież byli przyzwyczajeni do panującego klimatu. Przydzielono mu hamals, służących, i ku jego zadowoleniu wreszcie poprowadzono przez puste, wiejące chłodem korytarze do pokoju. Nie poświęcono mu zbyt wiele uwagi. Okres od września do stycznia, najmniej gorący czas miesiący suszy, był głównym sezonem turystycznym dla cudzoziemców. Wkrótce zarówno Taj Mahal, jak i każdy inny hotel w Bombaju będzie wypełniony po brzegi.

- Kąpiel?

Oczywiście była już przygotowana, na razie nie brakowało wody, później będzie dostępna jedynie przez kilka godzin w ciągu dnia. Peter odetchnął z ulgą - oby jak najszybciej pozbyć się przepracowanego ubrania! W taksówce było okropnie! Ale wkroczywszy do „łazienki”, prawie odskoczył - nie było tam nic oprócz stojącej pod kranem cynowej wanny napełnionej letnią, mętną, brunatną cieczą!

Służący gestykując szeroko, zapewnił go, że właśnie została napełniona. Kiedy Peter odkręcił kurek, zobaczył, że nic innego nie leje się z baterii. Zrezygnowany zamknął drzwi, po czym wrzucił do wanny kilka ziaren permanganatu. Najważniejsze, że była woda! Odtąd trzeba będzie zrezygnować z niejednej europejskiej czystości!

Kiedy wrócił do pokoju, walizki były rozpakowane, prześcieradła i poduszki rozłożone, a wentylatory z szumem przecinały powietrze. Nie do pomyślenia, żeby przykryć się czymkolwiek!

- Sahibie, tragarze czekają na dole!

Wręczył Sikhowi garść monet, wybawiając się z kłopotu. I tak szybko to poszło. Nie, na razie musi się położyć i odpocząć po nieprzespanej nocy.

Zasnął pomimo hałasu i gorąca, choć oczywiście przy pomocy nieszkodliwego środka uspokajającego. Musiało być około południa, kiedy w drzwiach pojawił się jego służący.

- Sahib! Sahib doktor!

Otworzył oczy.

- Co się dzieje?

Przecież śniło mu się, że w szpitalu Echteras asystuje przy trudnej operacji, a pacjentką jest Sita Durpali!

- Oczekują na pana, sahib doktor!

- Dziękuję, zaraz przyjdę!

Czuł się znacznie lepiej. Świat też wyglądał znośniej, również na nieznanym kontynencie. Nałożył czyste ubranie tropikalne, które świeżo wyprasowane wisiało na krześle - doprawdy uważna obsługa, zdawali się znać wszystkie potrzeby białych mężczyzn. Nawet jego elektryczna maszynka do golenia leżała na przeznaczonym dla niej miejscu w łazience, hamals doskonale zorientowali się w jego bagażach, a poza tym pracowali bezszelestnie, gdy spał.

No dobrze, trzeba zejść na drinka, whisky and soda albo - jak rozweselony przeczytał na zewnątrz - „cocacola z lodem”! Dla reklamy świat był za mały. Najwidoczniej znaleźć ją można było w najbardziej odległym zakątku dżungli.

Sprężystym krokiem zszedł po schodach w radosnym oczekiwaniu, że wreszcie będzie mógł porozmawiać z Sitą, której nie widział od chwili lądowania. Ledwo jednak wkroczył do lobby, aby dostać się do jadalni, z głębokiego skórzanego fotela ktoś się podniósł - wysoki, szczupły mężczyzna o pozbawionej włosów czaszce i w błyszczących okularach chirurga.

- Dzień dobry, chłopcze!

Peter zatrzymał się jak wryty. Ojciec był w znacznie lepszej formie niż Peter, śmiejąc się głośno i serdecznie.

- Niespodzianka, prawda? Przyleciałem samolotem, to tutaj drobiazg!

To był jego rodzic, taki, jakiego zachował w pamięci, jak gdyby przed chwilą się rozstali. Tylko żadnych sentymentów!

- Ojcie! Trzeba powiadomić shri Ramdasa. To najprawdopodobniej pokrzyżuje mu plany!
- Już to zrobiłem, właśnie skończyliśmy rozmowę. Poznał wreszcie pruską rzeczowość. Nic nie będzie z pośpiesznie zawieranej umowy.

Peter usiadł. Tego się można było spodziewać, ojciec zawsze był szybszy, rezolutniejszy od „kontrahenta”. Ale co przeszkadzało, gdyby ona.

- A więc jesteś przeciwko zatrudnieniu kumari Sita? Widziałeś ją w ogóle?

- To zbędne. Wystarczy, że jest braminką. A co z tobą? Wypocząłeś wystarczająco, żeby pojechać do Puna?

Peter odetchnął głęboko. Energia ojca prawie zwałała go z nóg. Czy nie przybył właśnie do Bombaju?

- Widzę już, że nie masz ochoty. Pewnie miałeś zamiar zwiedzić miasto? Dzielnice milionerów Malabar Hills albo Marine Drive Street, plażę w Juhu, nieprawdaż?

Peter zaprzeczył.

- Dziękuję, bardziej interesowałyby mnie slumsy miejskie. Puna, oczywiście, to dobry pomysł! Medyczny instytut misyjny z Würzburga prowadzi tam szpital. Opowiadano mi o nim w Niemczech, chętnie go zobaczę. Ale pewnie nie mamy na to czasu? A może ty chciałeś tam pojechać, ojcie?

Starszy pan potrząsnął głową.

- Nie, Nobili Colleg, papieska akademia jezuitów. Zasięgnę tam rady, co w wypadku braminki byłoby najroztropniejsze.

Peter spojrział na ojca zdumiony.

- Właśnie u jezuitów? Dlaczego?

- Dlatego, że są tu prawie od czterystu lat.

- Ale to przecież misjonarze, a nie lekarze!

- No właśnie! Coś ci powiem: kto nie jest tu również misjonarzem, obojętnie w jakim zawodzie, ten tonie w materializmie albo oddaje się kultowi bogów. Ale mogę przecież pojechać sam.

- Nie, ojcie, oczywiście będę ci towarzyszył. Nie odmówiłes chyba shri Durpalemu prosto z mostu?

- Wyglądam na tak nieroztropnego? Wsadziłem go tylko trochę z howdah, jak dla mnie siedział trochę za wysoko! Howdah, to miejsce dla tego, kto kieruje słoniem. Coś mi się wydaje, że wszyscy arystokraci hinduscy usadowili się tam i spoglądają na nas z góry.

Przeciągnął dłonią po włosach, czując na ręce wilgoć. Okropna duchota w tym morskim klimacie! Senior wstał z miejsca.

- Jemy po hindusku czy po angielsku? Są tylko dwie możliwości.

Peter podejrzliwie wciągnął ostry aromat.

- Wolę zachodnią dietę, będę się stopniowo przestawiał.

- Tak myślałem. Takich jak ty trzeba od razu wrzucać na głęboką wodę, żeby nauczyli się pływać. Ja zaraz pierwszego dnia w Indiach, jeszcze jako młody wilk, robiłem kulki z ryżu, doprawiałem je curry i jadłem to gołymi rękoma.

Doprawdy, byli i pozostali zupełnymi przeciwieństwami. Peter wykazywał większe podobieństwo do swojej ostrożnej i wrażliwej matki. Nie będzie im łatwo przyzwyczaić się do siebie, więcej, może się to okazać dodatkowym obciążeniem w całym procesie aklimatyzacji!

Po lunchu wsiedli do jednego z dwupiętrowych, czerwonych autobusów i ze względu na lepszy widok zajęli miejsca na górze. Część trasy wiodła przez zatłoczone miasto. Ordynator od czasu do czasu wskazywał Peterowi różne ciekawostki, ale były to najczęściej drobiazgi, które w przyszłości będzie napotykał na każdym kroku, na przykład chłopców i mężczyzn myjących sobie plecy przy ulicznych studniach, kobiety kąpiące w nich dzieci oraz innych bez najmniejszych problemów czerpiących z tych studni wodę do picia.

Niezliczone świątynie Hindusów, Sikhów i Persów były dla ojca mniej godne uwagi, ale wyciągnął szyję, kiedy pomiędzy koronami palm wyrósł nowoczesny budynek ze szkła i betonu.

- To nie świątynia, tylko przybytek wszechmocnej Standard Oil Company! - wyjaśnił senior

lakonicznie.

- Anglia wydaje się jeszcze sporo inwestować w Indiach - stwierdził Peter z uznaniem.
- Angielski będzie tylko do 1960 roku językiem krajowym - odparł sucho doktor Larsen. -

Mieszkają jeszcze, o tam, w tych pałacowych bungalowach i willach przy plaży. Ale po promenadach maszerują czasami harijans Gandhiego z czerwonymi sztandarami i zakłócają im spokój. Nam, cudzoziemcom, nie pozostało tu wiele czasu, powiedziałyby: jesteśmy tu warunkowo. Zapamiętaj to sobie!

Minęli ocienione królewskimi palmami muzeum Prince of Wales, uniwersytet Rajabai, Wieże Milczenia, place grzebalne Persów, nad którymi krążyły sępy, stadion Brabourne, i wreszcie skończyła się zabudowa miasta. Do Puna mieli ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, na szczęście pasażerowie zaczęli stopniowo wysiadać. Powietrze można było kroić nożem. Ilekroć ktoś zawołał rokko, stop, robiło się nieco luźniej. Podczas podróży Hindusi również utrzymywali na głowach w równowadze wszystko, co możliwe, i z niejednego kosza, w którym były przenoszone ryby, kapła wilgoć.

Peter ukradkiem zażył dawkę chininy. Zamknął oczy, w głowie mu huczało, jego ubranie było nie tyle wilgotne, ile wręcz kleiło się do ciała.

Po dłuższej chwili ojciec potrząsnął nim, wskazując na zewnątrz.

- Zobacz - mruknął. - Käppele Bombaju. Budynek na wzgórzu to bazylika Bandra. Założyli ją Portugalczycy, ale oprócz chrześcijan przed Stella Maris modlą się i Hindusi.

Peter spojrział we wskazanym kierunku, myśląc o Sicie. Najprawdopodobniej jej ortodoksyjny brat nie pozwoliłby siostrze na odbycie pielgrzymki.

- Czy Durpali wiedzą o naszym wyjeździe do Puna? - zapytał.

- Nawet ich zaprosiłem, ale odmówili. Znasz powody?

Peter wzruszył ramionami, a potem oddał szybko:

- Oczywiście! Szpital misyjny w Shrirampurze! Musiała się o nim wiele nasłuchać, kiedy mieszkała w akademiku. Jak widać, chce ją chronić przed wszelkim wpływem ze strony chrześcijaństwa.

- Hm, i przy tym sprzymierzył się z tobą?

Młody medyk zaczerwienił się. To brzmiało jak wyrzut. Ojciec uśmiechnął się sarkastycznie, a w Peterze zawrzała złość. Czyżby tutaj natychmiast było się zmuszonym do zadeklarowania, za jakim obozem kto się opowiada? Nie wystarczyło być chrześcijaninem dla siebie, w ciszy i spokoju? Nie należał przecież do wspólnoty, która uroczyście i pod przysięgą zobowiązała się przynajmniej przez dziesięć lat służyć na misjach zdobytą wiedzą medyczną. Choć cenił ten idealizm, osobiście jednak wołał trzymać się na dystans. Przybył przecież do Indii jako osoba prywatna i do prywatnej kliniki, nieprawdaż?

Krytycznym wzrokiem spojrzął z boku na ojca, który wciąż jeszcze nie mógł oderwać oczu od Mont Mary, małego sanktuarium rybaków położonego na zielonych stokach Bandra. Jaką świeżością i głębią barw jaśniały drzewa! Również zatopiony w myślach ojciec zdawał się kontemplować piękno natury.

Peter miał zamiar zaskoczyć go i jednocześnie zdobyć pewność:

- U nas kumari Sita może być pewna, że nie napotka szpitala dla pariasów, tylko taki, który dostosowany jest do porządku kastowego i z pewnością da się pogodzić z chrześcijańskimi podstawami wiary.

Ojciec zaśmiał się krótko.

- Na tym problemie rozbiły się wysiłki całych generacji białych. Proszę bardzo, spróbuj coś zmienić! Nie mam nic przeciwko temu. Szansa na zdobycie Nagrody Nobla dla Lar- sena juniora!

Autobus znowu się zatrzymał. Za Bandra wysiadło sporo pasażerów, za to dolną część autobusu wypełniły ubogie postaci odziane w postrzępione, bawełniane dhoti. Ruszyli ku południowemu wschodowi w kierunku Puna. Teraz częściej na wiodącej przez pola drodze napotykali skrzypiące, powoli toczące się, zaprzężone w woły wozy wieśniaków. Monotonna jazda znowu uśpiła Petera, a upał nie sprzyjał skupieniu uwagi. Drgnął wystraszony, kiedy ojciec lekko dotknął jego ramienia.

- Pobudka! Tu pewnie nigdy nie zrobiłbyś dyplomu!

Stali pod palmami otaczającymi uniwersytet jezuitów. Przed nimi wyrastał gmach nowego budynku akademii papieskiej, w górę wznosiły się szare, wysokie wieże. Budowla równie dobrze mogła stać gdzieś w Europie, bo jezuici budowali wszędzie tak samo. Peter otrząsnął się, wytaczając na świeże powietrze. Z dala przyglądała im się grupa hinduskich studentów. Ordynator pochwycił go za ramię.

- Stop! Włóż kapelusz, nawet na te parę kroków. Najpierw spacer wokoło. Moim zdaniem jest to najważniejszy punkt w Indiach. Tak jest, tutaj cały subkontynent uczy się, jaką znaleźć odpowiedź na pytanie stanowiące o jego dalszym istnieniu: nauka społeczna Kościoła albo komunizm. Wygrać może tylko ta idea, która porwie za sobą miliony - głodujące miliony mieszkańców tego kraju.

Przyjrzyj się dokładnie! To ważniejsze niż zwiedzanie dzielnicy rządowej w New Delhi. Tutaj decyduje się, kto będzie formował Indie.

Powoli obchodzili potężny gmach, a Peter czuł na sobie badawczy wzrok ojca. Zapewne nie wyglądał najlepiej podczas podróży autobusem, teraz jednak z każdym krokiem dochodził do siebie. Kiedy senior doszedł do przekonania, że może bez obaw przedstawić syna doświadczonym misjonarzom, weszli do wnętrza budynku. Ojciec Petera znał tutaj każdy kąt.

Natychmiast powiadomiono niemieckich i szwajcarskich ojców, wszystko rodacy! Powitano ich serdecznie, jak po długim niewidzeniu. Był tylko jeden temat: Niemcy! Do Petera dotarło, co to znaczy spędzić w Indiach dziesiątki lat albo całe życie i nagle przeżyć niespodziankę - usłyszeć ojczyzną mowę!

Niestety, ojciec nie pozostawił misjonarzom zbyt wiele czasu na rozmowę o najnowszych nowinkach życia politycznego i kulturalnego. Tak jak przywykł, bez ogródek, przedstawił jednemu z profesorów delikatną i drażliwą kwestię zatrudnienia braminki na stanowisku lekarza praktykanta.

Jezuita pochwycił spojrzenie młodego medyka i wiedział wszystko. Odpowiadał więc początkowo nieco z dystansem: oczywiście, tego rodzaju krok będzie miał wpływ na prowadzenie kliniki, ograniczy nieco swobodę działania, konieczne okaże się dostosowanie do zwyczajów kobiety z najwyższej hinduskiej kasty, ale bez wątplenia byłby to odważny eksperyment, wzbogacający naszą wiedzę. Bo czy w gruncie rzeczy celem Europejczyków nie jest osiągnięcie porozumienia z Hindusami z najwyższych sfer towarzyskich? Peter odetchnął z ulgą, natomiast ojciec zaoponował:

- Muszę się trzymać określonej linii, to znana księdzu kwestia, ojczy profesorze. W Jabalpurze zamieszkuje adwokat pana Wellingsa obserwujący wszelkie nasze poczynania. Nie jestem lękliwy z natury, ale jedno błędne posunięcie może zniweczyć całą przyszłość szpitala. Jaki jest stosunek prostych ludzi do kasty braminów?

Profesor zastanawiał się przez chwilę, nie chcąc najwidoczniej proponować podejmowania radykalnych kroków ani zasłużonemu lekarzowi, ani młodemu nowicjuszowi.

- Oczywiście, sztywny porządek kastowy uległ w ostatnim czasie pewnemu rozluźnieniu, nastąpił przełom przede wszystkim dotyczący niedotykalności pariasów, zwłaszcza w dużych miastach. Niemniej warstwa braminów jeszcze przez kilka pokoleń zachowa silny wpływ, a może nawet obejmie kierownictwo w życiu publicznym tego kraju. Należy wziąć to pod uwagę. Nie będzie to oczywiście dla pana łatwe, gdyż bramini nie zawsze okazują się prawdziwymi przyjaciółmi biednego ludu.

Stary lekarz przytaknął. Jezuita trafił w sedno: siadało się między dwoma krzesłami. Jeśli w przyszłości braminka miałyby współdecydować o ich pracy w klinice, mogłoby się zdarzyć, że cała ich działalność zostałaby poniekąd „zneutralizowana” - zanikłby europejski standard w leczeniu chorych oraz prowadzeniu oświaty zdrowotnej. Przede wszystkim jednak, jak będzie można urzeczywistniać socjalne dzieło chrześcijańskiej miłości bliźniego, skoro stale trzeba będzie brać pod uwagę hinduski styl życia? To była najbardziej niepokojąca kwestia.

- Wie pan co, doktorze, proszę udać się do Medical Sisters, mają tutaj, w Puna, swój nowicjat i prowadzą szpital, albo do lekarzy misjonarzy w Shrirampurze, tam poczyniono sporo

praktycznych doświadczeń!

Peter tryumfującym wzrokiem spojrzął na ojca, przecież właśnie to proponował.

- No, dalej! - zachęcił go senior niedwuznacznym gestem ręki. - Idź i zobacz. Czekam tutaj, St. Lukas Hospital. Każde dziecko wskaże ci drogę.

Profesor się uśmiechnął.

- Spokojnie, dam panu do towarzystwa jednego z moich studentów!

Wyszedł.

- Dlaczego sam tam nie idziesz, ojczu?

- Znam już ich opinię. Sam bądź mądry po szkodzie!

Zdawał się być bardzo pewny siebie. Ale Peter nie chciał szybko dać za wygraną. Musi powalczyć o Sitę, bo jej to obiecał.

Oczekiwał wprawdzie sprzeciwów, ale nie tego, że będą tak poważnej, prawie politycznej natury. Na szczęście nie wspomniał ojcu, że chce jednocześnie uchronić braminkę od szybkiego wydania za mąż. Wtedy pewnie każde słowo wiązałyby się z ryzykiem.

Sprawy sercowe? W wypadku doktora Klausa Larsena były one na ostatnim miejscu, dobrze znał rodzica. Nie mógł się nawet domyślać, że gra toczy się również o taką stawkę.

Gdy znaleźli się przed obłożonymi przez ubogich schodami St. Lukas Hospital, towarzyszący mu hinduski student zawahał się przez chwilę.

- Po wejściu do środka, panie doktorze, proszę zapomnieć o wszelkich wyobrażeniach związanych z higieną i ochroną zdrowia. To szpital misyjny, a więc zawsze przepełniony niedotykalnymi i żebrakami.

Pospieszył przodem, by poszukać lekarza, i znalazł go dopiero po dłuższej chwili, zdyszanego i zagonionego, w kitlu z podwiniętymi rękawami. Wyglądał na bardzo zmęczonego, ale wyraził szczerą radość ze spotkania z rodakiem.

Oprowadził ich po budynku, to znaczy, z trudem szukali miejsca, aby gdzieś postawić stopę. Na korytarzach, na każdym skrawku wolnego miejsca albo leżał pacjent, albo przykucnęli krewni przygotowujący dla niego jakąś papkę.

W głównej sali chorych Peterowi nieomal zabrakło powietrza. Sześćdziesiąt łóżek zajmowało prawie dziewięćdziesięciu chorych. Ci, którzy przynależeli do tej samej kasty i cierpieli na to samo schorzenie, leżeli bok przy boku na tej samej przyczynie! W europejskich warunkach wręcz niewyobrażalne!

Miejscowy medyk podrapał się zmieszany po głowie.

- Nie ma, niestety, innego rozwiązania. Jest okres po monsunach, więc zwiększa się liczba zachorowań.

- Ilu macie lekarzy?

- Jest jeszcze moja żona - odparł po prostu zapytany, ale takim tonem, że Peter zapomniał o dalszych pytaniach. Kobieta pracująca za trzech! Stała w pobliżu, otoczona kobietami i dziećmi, nie mająca nawet czasu, aby podnieść głowę.

- Braminka tutaj? - Lekarz słysząc pytanie, przeraził się. - Jej noga tu nie postanie, doktorze Larsen! Skąd ten pomysł? Hinduska lekarka, ładnie i pięknie, ale braminka... Nie!

Peter spojrzął na niego błagalnie.

- Czy mógłby pan powstrzymać się od wyrażenia tej opinii na wypadek, gdyby mój ojciec pojawił się tutaj? - zapytał prawie zrezygnowany. Rozmówca zrozumiał.

- Aha, ma pan zamiar.

- Tak, powiedziałbym nawet: niestety. Ale zobaczyłem wystarczająco dużo. To bez sensu nawet o czymś takim myśleć.

Jakiś żujący betel Hindus splunął mu przed same nogi. Lekarz misyjny potrząsnął głową.

- Proszę, ludzie, nie spluwajcie przynajmniej, gdy mamy gości. - I nieco bezradnie dodał jeszcze: - Już samo odzwyczajanie pacjentów od tego nawyku kosztuje wiele wysiłku i nerwów, ale ciągle przybywają nowi, którzy o tym nie wiedzą.

Trzeba było przejść przez całe kałuże czerwonych plam - okropne. Nie do wyobrażenia,

jakie to ognisko zarazków i bakterii!

- Jak udaje się panu dać radę z tym wszystkim? - zdziwił się Peter. - To przecież zadanie dla całego sztabu osób!

- Egzystujemy od jednej epidemii malarii do drugiej. No cóż, trzeba mieć przyjaciół i dobrodziejów w Niemczech. Ale kto tam myśli o Indiach, skoro gdy zachoruje, wymaga dla siebie możliwie największego komfortu?

Młody medyk poczuł, że nie wolno mu zatrzymywać rozmówcy ani minuty dłużej, niż było to rzeczywiście konieczne. Ale zależało mu na jeszcze jednym pytaniu.

- Powiedział pan przed chwilą, że ma żonę. Jeszcze w Würzburgu dziwiłem się, dlaczego przywiązuje się taką wagę do tego, by lekarze misyjni byli żonaci. Naprawdę jest pan zdania, że w przypadku Indii najlepszym rozwiązaniem jest szybki ożenek?

Rozmówca ściągnął na chwilę okulary z nosa, odetchnął głęboko, po czym odparł:

- Bóg dobrze wiedział, co robi. Bez kobiety mężczyzna jest tylko połową siebie. Co począłbym bez niej! Tak, proszę się ożenić, jeśli tylko znajdzie pan ku temu okazję. W samotności mężczyzna ginie, upada wewnętrznie i zewnętrznie, albo uzależnia się od alkoholu.

- Ale mój ojciec.

- To wielki wyjątek - przerwał mu szybko lekarz. - A wie pan dlaczego? Podtrzymuje go dokładnie to, co nie pozwala ulec naszym ojcom, którzy żyją w celibacie.

Peter zamilkł. Z wnętrza rozległo się wołanie. Lekarz nałożył okulary i otarł ręce w fartuch.

- Pomyślności! Poradzi pan sobie, jeśli skorzysta nieco ze wzoru własnego ojca!

Pożegnał się. Na chwilę do drzwi podeszła lekarka, żeby przynajmniej zobaczyć rodaka, ale zaraz rzuciły się za nią dzieci, uczepiając spódnicy:

- Memsahib! Memsahib! Mother doktor!

Peter pomachał jej z uśmiechem. To musiało wystarczyć. Co miał powiedzieć swojemu ojcu? Ze niestety ma rację? Zobaczył go znowu pod palmami przed gimnazjum St. Xaverius zagłębionego w rozmowie z jednym z jezuitów. Widać było jednak, że jest gotowy do powrotu. Z wahaniem podszedł bliżej.

Wystarczyło mu akurat czasu, aby włożyć na głowę trzymany w ręku kapelusz, kiedy ojciec się odwrócił.

- No, nareszcie! Musimy się pospieszyć, żeby zdążyć na autobus. Jedziemy do dworca centralnego. Jutro w dalszą drogę ekspresem. Wszystkiego dobrego profesorze. Dziękuję!

Wymienili uścisk ręki. Peterowi nie pozostawało nic innego, jak również się pożegnać.

- Miałem nadzieję na coś do picia, choć łyk wody.

- Załatwimy to po drodze, chodź już.

Ruszyli szybkim krokiem. Na szczęście ojciec o nic nie pytał. Na przystanku autobusowym spotkali handlarzy siedzących pod parasolami z bambusa.

Woda! Czysta i chłodna, niedająca się porównać z mętłą zawiesiną z Bombaju.

- Stop! - Ojciec wyjął mu kubek z ręki, po czym wrzucił do wody środek dezynfekujący, dopiero wtedy wolno mu było się napić.

Sam zaś podszedł do siedzącego w kucki kucharza prowadzącego coś w rodzaju kuchni polowej. Na ogniu dymił w garnku świeży ryż, który polewano następnie ostro pachnącym sosem curry. Sahib dostał nawet łyżkę. Jedzenie podawano w małych porcjach na grubym, zielonym liściu. Potrawa miała czerwony kolor. Ordynator jadł ze smakiem, uśmiechając się.

- Chcesz spróbować? To czerwone chilli, piecze w ustach i chłodzi żołądek. W przeciwieństwie do pieprzu zdrowsze nawet od papryki. Skosztuj sam!

Peter posłuchał go. Po pierwszej łyżce rozkaszał się. Wydawało mu się, że przełknął gniazdo os. Stojący w pobliżu Hindusi parsknęli śmiechem. Widać było, że próbował po raz pierwszy hinduskiego przysmaku.

- Okropieństwo! Jak można zjeść tego większą ilość?

- Przyzwyczajenie. W tym klimacie nie smakuje nic mdłego. Tu nie wytrzyma nikt, kto nie jest twardy. Weź na drogę trochę betelu, tego z wapnem.

Peter wzdrygnął się.

- Żebym spluwał na czerwono. Nie, wielkie dzięki.

Mimo jego protestu ojciec zapakował dwie porcje. Właśnie podjechał autobus do Bombaju.

Dopiero gdy przejechali już kawałek drogi, junior odważył się zapytać:

- Jak powiadomimy Durpalich, że jutro rano wybieramy się w drogę?

- To znaczy? Przecież oni też jadą. Już dawno zaproszono mnie do Nagpuru. Ale czy przyjmę zaproszenie, o tym zadecydowałem dopiero w Puna.

Peter zdobył się na szczerość.

- Zatrudnisz ją?

- Sprawdzę warunki kontraktu w Nagpurze. Jeśli będą do przyjęcia, to tak. Przecież sam się zgodziłeś, nieprawdaż?

Junior nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

Czyżby ojciec zaakceptował jego obietnice złożone Ramdasowi Durpalemu? Mogli go też przekonać jezuici, by zgodził się podjąć ryzyko. Zadowolony usiadł wygodniej, bardziej odprężony niż w drodze do Puna. Kiedy po upływie godziny ojciec, milcząc, zaoferował mu betel, postanowił spróbować, bo w gardle znowu czuł nieznośną suchość.

Przeżuwał wytrwale - nieznany, ostry smak - lecz im dłużej ruszał szczękami, tym obfitsze stawało się wydzielanie śliny. Otworzył okno, gdyż musiał spluć! Nie można było inaczej, bo co zrobić z nadmiarem ostrego soku w żołądku? Betel odświeżał nie tylko, zwilżając usta, lecz także wprawiał w stan ogólnego odprężenia. Wszystko, co dotąd było trudne, zdawało się być do rozwiązania.

A potem zapadł w drzemkę. Kiedy ojciec go zbudził, na ulicach Bombaju zapadła noc.

- Jedź dalej do hotelu, poradzę sobie na dworcu. Halo, kierowca! Tego młodego człowieka należy wysadzić przy Taj Mahal, nawet gdyby zapomniał zawołać rokko!

Peter poczuł się zażenowany, ale zrozumiał, że miano na niego wzgląd, bo przecież był w Indiach pierwszy raz. Siedzący za kierownicą Sikh uśmiechnął się. Zwróci uwagę, bo autobus i tak był już prawie pusty.

Tej nocy Peter zasnął bez środka uspokajającego. Nie usłyszał nawet, jak zjawił się służący, mocując starannie moskitierę, którą on niedbale zasunął. Następnego ranka obudziłby pokąsany przez owady na całym ciele.

Nie miał już czasu na zwiedzanie Bombaju. Wczesnym rankiem, nie kontaktując się z Durpalimi, udali się taksówką na dworzec centralny. Tym bardziej był zaskoczony, gdy zobaczył Ramdasa siedzącego w tym samym przedziale, w którym i oni mieli swoje miejsca.

Tu każdy problem zdawał się do rozwiązania, jeśli tylko powiedziało się o nim obsłudze. Nie było sprawy, która mogła się nie powieść, jeśli tylko miało się wokół siebie odpowiednią liczbę troszczących się o wszystko babus. Gdyby okazało się to konieczne, zorganizowałyby nawet wyprawę w wysokie Himalaje. Zaden z sahibów nie musiał się troszczyć nawet o bagaż.

Peter rozejrzał się wokoło. Gdzie była kumari Sita?

- Moja siostra podróżuje w przedziale dla kobiet - wyjaśnił niezapytany Ramdas Durpali. Bramince wolno było podróżować jedynie w towarzystwie męża. Dodał też, że i ona będzie miała do dyspozycji służące, a w Nagpurze spotkają się znowu. Męski przedział to nie miejsce dla kobiet!

Przed zakratowanymi otworami okiennymi rozlegały się donośne okrzyki dworcowych żebraków, do drzwi cisnęli się handlarze, oferując tuż przed odjazdem pociągu napoje, przekąski, a także błyszczącą biżuterię. Na szczęście obsługa dobrze zamknęła drzwi do przedziału. Duże wagony nie miały wiodących przez środek przejść, lecz każdy przedział był twierdzą sam dla siebie. Ekspres z Bombaju do Kalkuty, z rzadka tylko się zatrzymując, przemierzał cały kontynent. Często zdarzały się przy tym napady rabunkowe, więc nieodzowne okazywały się rygle i zamki.

Pociąg ruszył powoli, nad głowami wirowały wentylatory, działała klimatyzacja. Na zewnątrz skończyły się zabudowania miasta, widoczny był teraz płaski, jednostajny krajobraz, pola kukurydzy i ryżu, skupiska krytych słomą glinianych lepianek. Tu zaczynały się Indie głodujących milionów. Ale podróżni nie zwracali uwagi na ulotne impresje. Po krótkim czasie panowie

pograżyli się w rozmowie.

Chodziło o utrzymanie w Indiach starego porządku kastowego. Ramdas Durpali stał się rozmowny niczym parlamentarzysta, dowodząc obu Niemcom, że nawet Gandhi nazywający niedotykalnych harijans, to znaczy „dziećmi boga”, walczył o bezwarunkowy powrót do hinduskiego dharma. Przewidywał upadek całej kultury, gdyby tysiącletni system został podważony przez współczesne wpływy.

- Rozumiem, że jako Europejczycy przybyliście panowie, aby pomagać wszystkim i to bez różnicy, ale nie pojmuję, jak możecie stawiać na równi egzystencję pariasa z życiem Hindusa z kasty! Czyż przez poprzednie wcielenie nie zasłużyli oboje: jeden na swoje szczęście, drugi na nędzę, w której teraz tkwi? Co chcecie zmienić, skoro boska sprawiedliwość wyznaczyła każdemu los, na który zasłużył? To karma, którą każdy z nas ma przyjąć i nieść przez życie bez różnicy, czy to bramin, czy to niedotykalny. Nie wydaje się panom, że dopiero taka postawa gwarantuje każdemu zadowolenie i cierpliwość?

Młody medyk nachylił się ku przodowi. Ramdas Durpali mówił z pasją w głosie, broniąc nie tyle wygłaszanej opinii, ile nieodwracalnego porządku rzeczy.

- Shri Ramdas, zgadzam się, że w pańskiej wypowiedzi jest coś z prawdy, zwłaszcza że jak dotąd nieszczęśliwe masy potulnie godziły się na egzystencję wyznaczoną im przez bogów. Ale człowiek tym różni się od zwierzęcia, że myśląc i działając, może i chce wpływać na swoje życie. Harijans, musi pan przyznać, przebudzili się ze swego nieomal zwierzęcego bytowania ku byciu ludźmi. Jak można zabronić im czuć i działać jako osobom? Tylko zwierzę bezwolnie akceptuje to, co się z nim robi. Człowiek urodził się wolnym i.

Ojciec wpadł mu w słowo, jego szczupłe oblicze oblała purpura.

- Bzdury! Humanizm! Uniwersyteckie banały! Shri Ramdas, pański Gandhi, którego pan cytował, zrozumiał Chrystusowe Kazanie na Górze, to znana sprawa. Próbował w jakiś sposób złączyć chrześcijaństwo z hinduizmem, ale się mu nie powiodło. My natomiast, jako chrześcijańscy lekarze, musimy pomagać każdemu człowiekowi, który nas potrzebuje.

Ramdas Durpali zagryzł wargi.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że w przeciwieństwie do wielu innych religii, które pojawiły się w Indiach, chrześcijaństwo zachowuje swoją tożsamość od prawie dwóch tysięcy lat. Mamy na to wzgląd, ale żyjemy również obawy, gdyż rozrywa ono prastare więzy i tworzy swobody, które mogą się przyczynić do zguby Indii. Jednej tylko siły obawiamy się bardziej: komunizmu, bo i on tworzy wyzwolone masy. Gdzie więc różnica?

I znowu młody lekarz zabrał głos jako pierwszy.

- To chyba jasne, shri Durpali! Chrześcijaństwo szanuje wszystkich ludzi jako równych przed Bogiem, zarówno bogatych, jak i biednych. Komunizm zna jedynie równość pozbawionych praw i własności, buntując się przeciwko każdemu, kto ma więcej od pariasa w rynsztoku. Jego hasłem jest nie pokój, lecz walka proletariatu przeciwko kapitalistom. Wydaje mi się także, że sam pan wie, który nurt bardziej zagraża staremu porządkowi w Indiach. A może powinniśmy poprowadzić naszą klinikę w Jalnapurze według metod stosowanych przez bolszewików?

Shri Durpali siedział na poduszce z podwiniętymi nogami, ręce na kolanach, prawie jak w pozycji do medytacji, przedstawiając obraz opanowania i spokoju. Ale jego ciemne brwi drgały, w oczach zaś płonęło niespokojne światło.

Milczał przez chwilę, a potem odparł powoli:

- Jesteście ludźmi Zachodu, dobrze. Przynosicie zachodnią ideologię, to podejrzane, ale róbcie, co uważacie. W Jalnapurze pokaże się, czy Indie was tolerują.

To było podejście Hindusów - w określonym punkcie rozmowy, kiedy Europejczyk oczekiwał jasnej decyzji - ucieczka w tajemnicze niedopowiedzenia. Ale ordynator poszedł za ciosem:

- Obawia się nas pan, shri Ramdas? Dlaczego więc powierza nam pan swoją siostrę?

Teraz Hindus uśmiechnął się pogodnie, jak gdyby powiedziano mu komplement.

- O, Indie mogą się odważyć na wiele. Są stare, mądre, cierpliwe. Wszyscy biali są „młodzi”, nieroztropni i niecierpliwi. Ponoszą i będą ponosić klęski, gdy tylko dotkną czegoś, co

sprzeciwia się duszy Indii. Dlatego zachowujemy spokój.

Ojciec uśmiechnął się krzywo.

- A jeśli pomylił się pan co do nas, shri Ramdas?

Przez chwilę szerokie, ciemne oczy wpatrywały się w niego nieruchomo, jak gdyby patrzył w mrok.

- Moja siostra przybędzie, gdyż nie jesteście ani radykalnymi chrześcijanami, ani radykalnymi komunistami. Taka jest prawda. Satyagraha, trwanie przy prawdzie, to dla nas, braminów, wszystko. Nie zmusicie Sity, aby wyrzekła się siebie i tradycji, w której wyrosła.

Peter się oburzył.

- Nie jesteśmy barbarzyńcami, szanujemy przekonania każdego człowieka. Tego może być pan pewien, shri Durpali!

Przerwał, pociąg zwolnił, a następnie zatrzymał się. Czyżby minęły już dwie godziny? Rozległ się odgłos otwierania drzwi. W przedziale zjawił się służący, przynosząc na lśniących mosiężnych tacach drugie śniadanie, angielskie dla Europejczyków, swattik, wegetariańskie dla bramina.

Posiłek spożyto szybko, obsługa była wzorowa. Naczynia uprzątnięto jeszcze zanim pociąg ruszył w dalszą drogę. Służący zwrócili uwagę, że pociągami z łatwością można zamienić siedzenia na wygodne leżanki. Czekala ich jeszcze długa podróż.

Po posiłku nie powrócono już do rozmowy o polityce. Hindus zrećcznie unikał wszelkich tematów, które jeszcze raz mogłyby doprowadzić do otwartej konfrontacji. Dyskutowano o miejscowych zwyczajach, kwestiach kulturowych albo o uprawie ziemi. Okazję stwarzał widok na rozległe plantacje ryżu, na których po przejściu monsunu znowu podjęto prace. Peter przez dłuższą chwilę wyglądał przez okno. Melancholijny krajobraz. Ryż i kukurydza, kukurydza i ryż, dzikie odcinki dżungli, skupiska domów i wybielone wapnem hinduskie świątynki. Ruch pociągu prawie nie przynosił ochłodzenia, temperatura rosła. Najlepszym rozwiązaniem było ułożenie się na spoczynek.

Co mogła robić Sita? Okropny zwyczaj izolowania kobiet podczas wspólnej podróży. W jej obecności rozmowa z pewnością toczyłaby się wokół mniej kontrowersyjnych tematów.

Zmęczony skulił się w kącie. Ojciec wyciągnął jakąś fachową publikację, shri Ramdas siedział nieruchomo niczym posąg, paląc tytoń w długiej mosiężnej fajce.

Z pólśnu wyrwano go, gdy pociąg kolejny raz zatrzymał się około południa. Odziani w śnieżnobiałe fartuchy kelnerzy podali lunch. Krajobraz na zewnątrz mocno się zmienił, pojawiły się lesiste pagórki, zobaczyli schowane pośród nich średniej wielkości miasto o niedającej się wymówić nazwie. Zbliżali się do Indii Centralnych.

- Proszę bardzo, jeśli sahibowie chcieliby skorzystać z kąpieli - zachęcił przyjaznym gestem ręki jeden z babus, otwierając wąskie drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. W ekspresie można się było wykąpać! Odświeżenie było potrzebne. Peter korzystał z prysznicy z nieopisaną ulgą, gdy nagle potrząsnęto gwałtownie kratą zabezpieczającą górny świetlik. Ukazał się zarys ciemnej głowy i potężna pięść.

Wystraszony sięgnął po ubranie. Jeśli była to któraś z osławionych band napadających na pociągi dalekobieżne, to dobrze wybrała moment. Oczywiście, jak zwykle w takiej sytuacji, nie miało się przy sobie broni.

Sapiący, wrzaskliwy odgłos!

Młody medyk z uśmiechem osunął się do wanny. Małpa! Najwidoczniej przejeżdżali przez jakiś zagajnik i ciekawski osobnik wskoczył na dach wolno jadącego pociągu. Zwierzę pokazało jeszcze kilka grymasów, po czym znikło na następnym zakręcie. Najwidoczniej bardziej odpowiadały mu znajome czubki drzew niż stalowy potwór. Jeszcze raz można się było przekonać, że są w Indiach.

Kiedy przebrany w świeże ubranie wrócił do przedziału, ojciec akurat zapadł w drzemkę. Siedział sam naprzeciw Ramdasa Durpalego i zapominał o wszelkich troskach. Od czasu przybycia na subkontynent nie nadarzyła mu się okazja porozmawiania z nim w cztery oczy. Jeśli miał zamiar

zwrócić się do niego z osobistym pytaniem, to należało skorzystać ze sposobności.

- Proszę mi nie mieć za złe, shri Durpali, ale dopiero podczas tej podróży przekonałem się, jak izolowane i strzeżone są hinduskie kobiety. Czy w wypadku programu dnia odpowiadającego zachodnim zwyczajom nie grozi pańskiej siostrze niebezpieczeństwo, że z powodu jakiegoś nieprzewidzianego wydarzenia może stać pod znakiem zapytania cała jej kariera?

Bramin spojrzał na niego z uwagą.

- Nie bardzo rozumiem, co ma pan na myśli, sahib doktor!

Peter odchrząknął i zarumienił się.

- Najprawdopodobniej orientuje się pan, że pańska siostra, hm, to urodziwa dziewczyna.

Miewamy czasem pacjentów z wyższych kast, a także w okresach wyęźzonej pracy europejskich lekarzy jako pomocników. Ponadto słyszałem, że hinduskie kobiety bardzo wcześnie wychodzą za mąż.

Przez szczupłą twarz Hindusa przemknął dumny uśmiech.

- Sahibie, nie zabiega się o rękę Sity!

Co za słowa! Młody medyk obrzucił go pytającym wzrokiem, myśląc o tym, co zawierzyła mu Sita w Kairze, kiedy jej brat już udzielał wyjaśnień.

- Jeśli moja siostra zostanie wydana za mąż, to tylko po wspólnym podjęciu decyzji przez rodzinę. Próby nawiązywania z nią jakichkolwiek stosunków, tak jak pojmują je ludzie Zachodu, są bezcelowe. Nikt, kto ma rozum w głowie, nie będzie starał się o względy braminki.

- A więc przez następne dwa lata nie będzie się podejmowało decyzji o związku małżeńskim?

Ramdas Durpali opuścił wzrok.

- To nie my decydujemy o małżeństwach, tylko bogowie przemawiający ustami domowych astrologów. O ile wiem, nic takiego się nie wydarzyło. Jak dotąd horoskop Sity mówił jedynie o kwestiach zawodowych.

Peter odetchnął, siadając wygodniej. Obawy dziewczyny okazały się na razie bezpodstawne, a dziwnym sposobem i jemu spadł kamień z serca.

- Będzie miał pan okazję zorientować się w relacjach panujących w hinduskim rodzie - poinformował go Ramdas uprzejmie - zwłaszcza że wieczorem spędzi pan z nami Divali, początek Nowego Roku. Przekona się pan wówczas, że nic nie dzieje się tutaj przypadkowo. Wszystko jest podporządkowane prawom.

Medyk rzucił okiem na zegarek.

- Wieczorem będziemy w Nagpurze?

- Oczywiście! Do Kalkuty ekspres potrzebuje jedynie dwadzieścia godzin. Nagpur natomiast położony jest w połowie drogi. Zdążymy na czas zapalania lamp oliwnych.

Peter nie bardzo potrafił to sobie wyobrazić, ale zaczął się cieszyć nieznanym celem podróży. Ramdas zaczął opowiadać o rodzinnym mieście. Kiedyś było ono ważną angielską bazą wojskową, posiadało nowoczesną zabudowę, piękne parki, wypielęgnowane korty tenisowe, było centrum kultu hinduistycznego. Znajdzie w nim prawdziwie hinduskie życie, nie tak mocno zdominowane przez wpływ Zachodu jak Bombaj, o którym Durpali wyrażał się jedynie z nutką pogardy w głosie.

Ostatnim większym miastem przed celem ich podróży było urokliwie położone wśród lasów i wzgórz Wardha. Tu podano dinner. Kiedy pociąg ruszył dalej, zaszło słońce. Tylko przez krótką chwilę rozpalona czerwienią słoneczna kula skąpała miasto i okolice w ciepłym, złotym świetle, a potem odziała w ciemnofioletową suknię aksamitu, który szybko przemienił się w głęboki błękit. Zaraz też niebo rozbłysło klejnotami gwiazd.

- Wardha, Amraoti, dla nas to tutaj coś w rodzaju małego Darjeeling i Simla - wyjaśnił przebudzony ojciec. - Jako miejsce wypoczynku wchodzi w rachubę niestety tylko dla naszych pacjentów. Sam nie byłem jeszcze w górach, tylko na polowaniu w dżungli razem z nadleśniczym Redcliffem. Zupełnie przyzwoita okolica. Leży w pobliżu Saraipali. Kiedy już ochłoniesz po pierwszych atakach malarii, wypiszę ci patent łowiecki zamiast recepty.

Ramdas Durpali uśmiechnął się.

- Bardziej bogate w dziką zwierzynę są tutejsze regiony. W górach można jeszcze napotkać niedźwiedzie. Pozwolę sobie zaprosić panów przy okazji.

Był tak uprzejmy, jak gdyby między nim a Europejczykami nigdy nie doszło do różnicy zdań. Stał wraz z nimi przy oknie, kiedy ujrzeli zbliżający się Nagpur. Góry cofnęły się na skraj horyzontu.

- Widzicie panowie te wille? Tak, bungalowy! Położone są pośrodku naszych słynnych plantacji pomarańczy. Szkoda, że nie możecie zobaczyć miasta w świetle dnia. Z pewnością jutro będzie mi wolno oprowadzić panów?

Doktor Larsen wyprostował się, sięgając po płaszcz i kapelusz.

- Mojego syna. Ja jeszcze dzisiaj w nocy udaję się pociągiem do Raipuru.

Peter drgnął zaskoczony.

- Chcesz mnie zostawić?

- Oczywiście. Diwali to godne uwagi hinduskie święto. Pozwól sobie na małą przyjemność, nie zaszkodzi, gdy je poznasz. Zaraz po podpisaniu umowy biorę riksę do dworca.

- Co jest powodem takiego pośpiechu, przecież.

- Nie masz pojęcia o pracy w klinice. Gardener, nasz asystent w Raipurze, nie jest zbyt lubiany, ponieważ za mało zwraca uwagę na hinduską mentalność, choć poza tym jest w porządku. Można się nim wyręczyć, ale najwyższy czas, żebym już wrócił.

Rozmawiali po niemiecku. Durpali tymczasem pakował swoją modną aktówkę. Po przyjeździe pociągu na dworzec służący otworzyli drzwi z zewnątrz, posłali też tragarzy po bagaże, niosąc za nimi do wyjścia nawet kapelusze i płaszcze.

- Tam stanął nasz hindustan - zwrócił się do nich Ramdas, wskazując na stojący pod lampą uliczną szarosrebrny błyszczący kabriolet. Peter natomiast wyteżał oczy, aby w tłumie obcych ludzi rozpoznać znajomą osobę. Czyżby Ramdas zapomniał o Sicie?

- Gdzie pańska siostra?

- Proszę się nie martwić, sahibie, przyjechały po nią służące i pojedzie za nami w przysłanej z domu rikszy. O, w tej, widzi pan?

Doprawdy, Sita musiała być tutaj wytworną damą. Udało mu się jeszcze zobaczyć, jak zielonozłote sari znika we wnętrzu ciągniętej przez rower rikszy na wysokich kołach. Petera wpakowano do samochodu prowadzonego przez jednego ze służących Durpalich, który zanim usiadł za kierownicą, kilkakrotnie ze złożonymi rękoma skłonił ze czcią głowę przed swoim młodym panem.

Mijali pogrążone w mroku miasto, jadąc szerokimi, równymi ulicami. Nowoczesne budynki przeplatały się z otoczonymi murem typowo hinduskimi drewnianymi budowlami, których szerokich dziedzińców nie było widać od ulicy. Wydawało się, że musieli wyjechać kawałek poza obszar miejski, ponieważ droga skręciła i znikły inne domostwa. Nagle wyrosło przed nimi zbcze oraz duża, kuta z żelaza brama, za którą widać było spowity ciemnością, wypielęgnowany park. Blask księżyca oświetlał rodową siedzibę Durpalich niczym zaczarowany zamek. Dwa podobne do werand piętra, rozkwitły ogród, ozdobiona wieżyczkami, stojąca pośrodku dziedzińca fontanna. Prawdziwa idylla!

Otworzyły się podwoje wejścia, naprzeciw nim wyszli służący z wieńcami kolorowych kwiatów. Zawieszono im na szyjach pomarańczowe, obsypane złotym pyłem girlandy o tak intensywnym zapachu, że zapierał oddech. Ktoś podał betel na odświeżenie, a potem Ramdas Durpali poprowadził swoich gości do chłodnego, położonego na parterze salonu. Ściany korytarzy ozdabiały zawieszane gobeliny, ogromny żyrandol rozbłysnął oślepiającym blaskiem, gdyż pomiędzy żarówkami umieszczono małe lusterka załamujące wielokrotnie światło.

- Czy mam wezwać służbę, aby przyniosła krzesła, do których jesteście panowie przyzwyczajeni? - zapytał Hindus z uprzejmym oczekiwaniem, ale Larsen senior wskazał z zadowoleniem na wysokie, kolorowe poduszki z jedwabiu ustawione wzdłuż ścian na dywanie.

- Dziękuję, hinduski sposób siedzenia jest najzdrowszy i najwygodniejszy. Mój syn musi się

go nauczyć.

Zmieszany młody lekarz spróbował pójść w ślady ojca, siadając na obleczonej zielonym jedwabiem poduszce i krzyżując przed sobą nogi. Gdyby tylko jeszcze można się było pozbyć wiszącej na szyi girlandy! Ale to poczytano by za obrazę. Zaraz też podano herbatę aromatycznie pachnącą jaśminem.

Ramdas nachylił się ku ordynatorowi:

- Proszę wybaczyć, że się oddalę, aby przywitać się z pan- ditem ojcem. Powiedziano mi, że właśnie przyszedł ze swojego math!

To mówiąc, pozostawił gości samych. Mieli czas przetrzeć spocone czoła i odetchnąć nieco swobodniej. Senior rozpiął marynarkę.

- Mówił o jakimś math. Co to takiego, ojczy?

Larsen uśmiechnął się, czyszcząc ceremonialnie okulary. Wiedział, że mają nieco czasu - hinduskie powitania trwały nieco dłużej.

- Po naszymu: pustelnia. Od określonego wieku, osiągnąwszy na przykład wiek emerytalny, albo i wcześniej, hinduscy ojcowie rodzin będący braminami wycofują się do życia kontemplacyjnego. Takie miejsce odosobnienia wznosi się na własnej ziemi. Starszy pan żyje niczym pustelnik, ale ani mu przez myśl nie przejdzie, oddać sprawowaną władzę, bo właśnie teraz uważany jest za uświęconą głowę rodu. Nazywa się go grihasta.

Peter z przyjemnością siorbał podaną herbatę.

- To by mi odpowiadało. Swego rodzaju papież we własnym klanie i do tego dysponujący małym Castel Gandolfo. Tyle tylko że nie wygląda mi to na coś mające wspólnego z klasztornym wyrzeczeniem!

Rzeczywiście, salon był urządzony nieomal z przepychem: kosztowne wiszące gobeliny, ciężkie świeczniki z brązu oraz błyszczące, przygotowane na ważniejsze święta mosiężne misy służące do rytualnych obmyć. Nie mieli czasu, by dłużej się przyglądać, gdyż służący zaanonsował pandita Kailatha Durpalego.

Zobaczywszy go, Peter poczuł się rozczarowany. Spodziewał się zobaczyć kogoś o wyglądzie radży. Tymczasem wysoki mężczyzna, który zjawił się w drzwiach, nosił proste odzienie pomarańczowej barwy, jakie w Indiach wybierają osoby pragnące prowadzić życie duchowe. Nie miał turbana ani innego nakrycia głowy, długie, siwe włosy sięgały mu aż do ramion. W pewien sposób to szczupłe, urodziwe oblicze przypominało twarz Rabindranatha Tagore.

Pan domu skłonił się głęboko, pozdrawiając gości. Podeszedł bliżej - na jego czole widniał żółty znak kasty Wisznu - po czym powitał gości po angielsku, którym posługiwał się prawie bez akcentu.

W swobodnej, rozluźnionej postawie, jakiej nabywa się, ćwicząc jogę, zajął miejsce naprzeciwko przybyszów, z grzeczności obierając najpierw za temat rozmowy ojczysty kraj Europejczyków. Okazał się przy tym zdumiewająco dobrze zorientowany w sprawach dotyczących Zachodu. Znać było po nim urzędnika zajmującego przez długie lata wysokie stanowisko publiczne.

I z kimś takim musieli pertraktować!

Gdy przemawiał spokojnym, miło brzmiącym głosem, jego ręce spoczywały nieruchomo na kolanach. Duże ciemne oczy skumulowały w sobie całą jego żywotność, sprawiając wrażenie znacznie spokojniejszych niż spojrzenie młodego Durpalego - w pewien sposób przypominały Peterowi Sitę. Również i jej wejrzenie miało tę niezbadaną głębię.

Prawie niezauważenie rozmowa zwróciła się ku sprawie leżącej im na sercu.

- Panowie, goście w czcigodnym domu, który jeszcze nigdy nie naruszył hinduskiej tradycji. Dlatego nie będzie wam trudno zrozumieć, że życie mojej córki musi się toczyć w określonych ramach. Jeśli zagwarantujecie mi, że wykonywana w Jalnapurze praca nie naruszy jej rytualnej czystości, rozproszy to żywione przeze mnie wątpliwości.

Ordynator odstawił trzymaną w rękę filiżankę, aby karkiem podniesioną głową stawić czoło przeciwnikowi.

- Czy może mi pan wyjaśnić, pandicie, jak należy rozumieć rytualną czystość?

- Oczywiście! Musicie respektować wszelkie wymogi tradycji bramińskiej, nigdy nie

przeszkadzać mojej córce w dopełnieniu koniecznego rytuału, a szczególnie chronić ją przed dotknięciem przez niedotykalnych. Nie wolno jej także wykonywać żadnej pracy, a nawet czynności, nie licującej z jej stanem. Dlatego nalegam, abyście zrezygnowali z jej obecności w wypadku udzielania pomocy komuś takiemu.

Ojciec zagryzł wargi, ściągając przy tym brwi, syn natomiast wtrącił energicznie:

- Pandicie, widzi pan, że przybyłem, by zasilić sztab lekarski. Jestem gotów przejąć każdą pracę, której nie będzie wolno wykonać pańskiej córce. Mogę to zagwarantować.

Senior spojrział na niego wzrokiem, w którym widać było rozdrażnienie, po czym dodał:

- Jesteśmy szpitalem dla Hindusów z kast, niemożliwe jest jednak wyznaczenie granic pomocy lekarskiej. Mam nadzieję, że postawa pańskiej córki będzie się cechowała otwartością. Nie będziemy jej nakłaniać do niczego, co naruszałoby godność jej stanu.

Skłonieniem głowy pandit wyraził swoją akceptację.

- Potrzebuję jeszcze zapewnienia, że mojej córce nie tylko będzie wolno posiadać własne służące, lecz także osobne pomieszczenie jako mieszkanie, w którym będzie mogła wypełnić wszystkie przepisy naszego prawa. Przede wszystkim ayas muszą mieć możliwość przygotowywania dla niej pożywienia swattik, którego nikt inny nie może dotykać.

Starszy Larsen machnął ręką.

- To oczywiste. Co jeszcze?

Lekceważący sposób podejścia musiał urazić gospodarza, ale najwidoczniej był przyzwyczajony do europejskich manier. Niewzruszony mówił dalej:

- Ilekroć tego zapragnie, będzie mogła uczestniczyć w religijnych kirtans, zebraniach wiernych, a przynajmniej dwa razy w roku będzie jej wolno odbyć większą pielgrzymkę do któregoś ze świątyn dla Hindusów miejsc.

Senior uśmiechnął się kpiąco.

- Oby tylko te pielgrzymki nie wypadały w czasie epidemii. Wymogi związane z udzielaniem pomocy mogą wówczas odsunąć na dalszy plan wszelkie inne zobowiązania. To lekarka, pandicie!

Bramin złożył dłonie jedna na drugą i zdawało się, że milcząc, pograżył się nagle w kontemplacji. Lekarze spojrzeli na siebie zdumieni. Czyżby zapomniał o ich obecności? Mieli wrażenie, że jego oczy spoglądają w głąb własnego wnętrza. Dopiero po dłuższej chwili krępującej ciszy Hindus poruszył się i jak gdyby między pytaniami upłynęło zaledwie kilka sekund, odpowiedział:

- Wymogi oznaczają dla nas zawsze żądania bogów. Kobieta praktykuje przede wszystkim bhakti, to znaczy pobożność według uczuć wyrażającą się w pieśniach i modlitwach. Pomimo tego nic nie skłoni jej do tego, aby naruszyć któryś z wymogów hinduskiej dharmy.

- Nigdy jej do tego nie będziemy przymuszali - potwierdził doktor Larsen nieco urażony. - Praktyka musi pokazać, co będzie się dało zrobić. Wystarczy panu moja dobra wola czy też nie?

Teraz pandit uśmiechnął się, reagując niczym wiekowy mędrzec na zniecierpliwienie młodego uczniaka.

- Wystarczy, sir! Proszę przyjąć zapewnienie, że moja córka obejmie proponowane jej stanowisko.

- Od kiedy?

- Zasięgnie rady guru, naszego astrologa, a on obliczy i wyznaczy najkorzystniejszy moment.

Klasnął w dłonie i natychmiast pojawiło się dwoje hamals, przynosząc mosiężne misy, lotas. Jedną z nich podali pandi- towi, drugą lekarzom. Bramin zanurzył w niej ręce, lekarze z ociąganiem poszli w jego ślady - chodziło o rytualne obmycie. Następnie pan domu kazał sobie podać sporządzony dokument, podpisał go i przekazał medykom. Była to spisana po angielsku i w hindi deklaracja, iż jego córka przez dwa lata zobowiązana jest służyć wszelką zdobytą wiedzą medyczną ordynatorowi szpitala w Jalnapurze, który ze swej strony po upływie okresu praktyki dopomoże jej osiągnąć tytuł lekarski.

Przeciwko temu nie było żadnych zastrzeżeń. Również senior podpisał zdecydowanym gestem, po czym europejskim zwyczajem podał panditowi rękę, którą ten przyjął nieco zakłopotany. Zaraz potem wstał, skłonił się głęboko i wyszedł.

Doktor Larsen popatrzył za nim sceptycznym wzrokiem.

- Po tym uroczystym akcie zamknie się najprawdopodobniej w swoim math! - zdążył jeszcze wymruczeć, bo już do salonu wszedł Ramdas Durpali, gratulując podpisania umowy.

Peter przeżył kolejne rozczarowanie, ponieważ Sita nie pojawiła się i teraz. Było jasne, nawet tym razem o jej przyszłości zadecydowała wyższa siła, a nie ona sama, i to teraz, gdy po studiach poznała wolność kobiet z Zachodu.

Ramdas zdawał się czytać pytania, jakie młodemu lekarzowi cisnęły się na usta. Wyjaśnił więc:

- Nie jest u nas w zwyczaju, aby kobieta pokazywała się, gdy właśnie o niej zadecydowano. Jeśli zaś chcielibyście przeżyć Diwali - to właśnie iluminuje się dom! Proszę ze mną!

Wreszcie mogli zdjąć kwieciste girlandy, a Ramdas poprowadził ich na zewnątrz, do ogrodu. Widok był naprawdę imponujący! Całą budowlę oświetlały setki oliwnych lampek palących się równym płomieniem w nieruchomym, suchym powietrzu. Weszli nieco w głąb parku, gdyż chcieli lepiej przyjrzeć się wszystkiemu. Nagle Peter wskazał ku werandzie na drugim piętrze, pytając:

- Tam, czy to Sita?

- Tak, Sita i nasza czcigodna matka!

Tylko przez kilka chwil światło rozjaśniło ciepłe barwy kobiecych sari. Zielonozłote, noszone przez Sitę podczas podróży, ustąpiło miejsca fioletowej kreacji w odcieniu bzu, spływającej wokół niej niczym eteryczny welon. Natomiast matka wybrała biel ze złotym pasem. Zjawiły się szybko i bezszelestnie niczym senne widziadła, i równie szybko znikły, jak gdyby obawiały się samego wzroku mężczyzny. Peter wraz z ojcem musieli chyba postradać zmysły, że zaangażowali bramińską lekarzkę.

- Co oznaczają te światła, shri Durpali? - chciał się dowiedzieć Peter, gdy już ruszyli dalej.

- Dipavali to pełna forma od diwali, oznacza dosłownie szereg płonących lamp. Zapala się je na cześć bogini szczęścia Lakszmi. Okazuje się wyrazy szacunku starym księgom rozliczeniowym i zakłada nowe, uczynili to prowadzący gospodarstwo domowe, kucharz, a także głowa rodu, pandit ojciec.

- Myślałem, że jako grihasta wycofał się z życia rodzinnego?

Ramdas uśmiechnął się wyrozumiale.

- To akt religijny, sahib doktor. Oczywiście, że dalej spełnia swoje obowiązki w elektrowni miejskiej. Grihastą jest, gdy wieczorem powraca do domu, w math studiuje nasze święte księgi, wedas i prowadzi życie wewnętrzne.

- Czy można zobaczyć math?

- Przykro mi, ale nie mają tam wstępu obcy, a czasami bywa on niedostępny również dla członków rodziny.

A więc rzeczywiście centrum religijne i uświęcone miejsce.

W milczeniu spacerowali po wypielęgnowanych alejkach skrytych pod gęstymi koronami drzew. Nagle Ramdas wyciągnął rękę, pociągając młodego lekarza ku środkowi ścieżki.

- Proszę uważać! To nie liany, lecz węże drzewne. Po mon- sunie są rozdrażnione i niebezpieczne!

Peter odskoczył niczym naelektryzowany, patrząc na Hindusa nierozumiejącym wzrokiem. Jadowite węże!

- Dlaczego nie pośle się służby, aby je wytropiła i wybiła?

Ramdas Durpali był wyraźnie wstrząśnięty.

- Sahib doktor, jutro nie mielibyśmy żadnych malis, ogrodników. Węże to również święte życie.

- Pozwoli się pan ukąsić, zamiast je wytępić?

Hindus wzruszył ramionami.

- Nikt nie zostanie ukąszony bez woli bogów. Człowiek może uważać i wymijać siostrzane stworzenia!

Odtąd zawsze omijał lukiem zwisającą gałąź, która równie dobrze mogła być nieruchomo czatującym wężem! Co za podejście do sprawy! Ojciec kroczył obok niego w milczeniu, z fatalistycznym uśmiechem na twarzy oraz założonymi z tyłu rękoma. Najwidoczniej już żałował zawartej umowy, tak bardzo nierealna wydawała mu się współpraca z Hinduską.

Za zakrętem ścieżki napotkali odzianego w białe szaty mężczyznę o wygolonej głowie, przed którym Ramdas Durpali, nie mówiąc ani słowa, rzucił się płasko na ziemię. Peter myślał, że stracił przytomność, ale senior powstrzymał go przed pospieszeniem z pomocą. Gdy tylko napotkana postać przeszła obok nich - jak się wydawało, prawie nie zauważając całego zdarzenia - ciało młodego człowieka powróciło do życia. Wstał, jak gdyby nic się nie stało, i szedł dalej wraz z nimi. Widząc pytające spojrzenie Petera, odparł z całym spokojem:

- To nasz czcigodny guru, mistrz z moich młodych lat, który wprowadził mnie w tajemnice męskiego bytowania. Należy mu okazywać największą cześć.

Peter obejrzał się. A więc to był astrolog mający ostateczne zdanie dotyczące najbardziej intymnych decyzji w życiu klanu Durpalich!

- Ilu członków rodziny żyje pod tym dachem? - zapytał ordynator.

- Sześćdziesięciu pięciu - odparł Ramdas skromnie. Staął. - Proszę teraz przyjąć moje zaproszenie na kolację w stylu hinduskim.

Senior spojrzął na zegarek.

- Mój pociąg odjeżdża za kilka godzin, nie wiem.

- Proszę mi tylko dać znać, a natychmiast wydam polecenie, aby odwieziono pana na dworzec!

Nie było innej rady, musieli przyjąć zaproszenie, jeśli nie chcieli ciężko obrazić gospodarzy.

Gdy powrócili przed portal, srebrny blask księżyca oblewał szemrzącą tajemniczo fontannę. Rozgwieżdżony nieboskłon zdawał się być na wyciągnięcie ręki. W Peterze obudziła się nagle nadzieja, że jednak zobaczy Sitę i będzie mógł z nią porozmawiać, może pokaże się przynajmniej podczas kolacji. Gdy weszli do domu, powitały ich dźwięki obcych instrumentów: rozbrzmiały flety, tambury i sarangi. Przed poduszkami stały niskie, płaskie, konstrukcje, z daleka jedynie przypominające stoliki. Na mosiężnych tacach służący wnieśli naczynia z potrawami. Nigdzie jednak nie było widać żadnego sari. Zaproszono jedynie męskich członków rodu.

Wytrącony z równowagi Peter zajął miejsce obok ojca, ten zaś uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy podano im pierwsze danie - mulligatawny, typowo hinduski rosół z drobiu, kwaskowaty, a jednocześnie intensywnie smakujący jabłkami i curry. Gdy Peter skosztował potrawę, także i jego twarz rozpozodziła się nieco.

Po raz pierwszy zobaczył płaskie, okrągłe placki, chapatis, pokarm ubogich i bogatych, tu upieczony na chrupko z białej pszennej mąki. Do tego sos z dwudziestu różnych przypraw oraz kuleczki ryżu na liściach świeżej sałaty. Peter sięgnął zaraz po szklankę, bo czerwone chilli piekło w ustach, ale nie było w niej wina, tylko sok z ogórków zmieszany z owocowym.

- Wypij, to zdrowe - zachęcił go ojciec, sam zaś sięgnął z zadowoleniem i otworzył orzech kokosowy.

- Dlaczego kobiety nie przyszły? - wyszeptał Peter.

Ojciec zachichotał.

- To dla Hindusów grzech śmiertelny. Mężczyźni i kobiety jadają osobno. Hi, hi, tak właśnie myślałem!

Junior, naśladując gospodarzy, spróbował wrzucić do ust dymiącą kulkę z ryżu, ale nie trafił, wskutek czego wylądowała na ścianie. Zawstydzony opuścił ręce. Siedzący obok niego Ramdas Durpali z głową owiniętą pomarańczowym turbanem, uprzejmie wręczył mu własnoręcznie uformowany kęs. Tym razem sztuczka się udała. Doprawdy, jak to dobrze, że nie było kobiet. Peter wydał się sobie barbarzyńcą pośród zręcznie i estetycznie jedzących synów, szwagrów, wnuków, kuzynów i prawnuków rodu Durpalich. Wszyscy należeli do jednego rodu. Najwidoczniej przy rodzinnym stole zawsze zasiadało tak liczne grono! Pojął, że w tego rodzaju

małym państwie jego głowa musiała być niekwestionowanym autorytetem.

Po posiłku opanowało go przyjemne rozleniwienie i chętnie pozostał w buddyjskiej pozycji lotosu, gdy ojciec dał mu znak, że udaje się na dworzec. Peter miał spokojnie spędzić noc w tym gościnnym domu. Przynajmniej jeden z nich musiał przyjąć ten zaszczyt. Wyruszy za ojcem wczesnym rankiem.

Odświeżyło go łagodne ochłodzenie. Było to curry, którego początkowa ostrość zaczęła ustępować. Poczul się wreszcie zadowolony z samego siebie.

- Pański ojciec udał się do Jabalpuru - niby mimochodem poinformował go po chwili Ramdas Durpali.

Peter zaprzeczył.

- Myli się pan, w przeciwnym kierunku, do Raipuru.

Hindus uśmiechnął się z wyższością.

- Przekona się pan, że ruszył na północ, do stolicy prowincji centralnych.

- Wykluczone. Doktor Gardener oczekuje go pilnie, aby go zastąpił. Co miałby robić w Jabalpurze?

Ramdas Durpali spojrział na swoje upierścienione ręce, uśmiechając się jeszcze bardziej zagadkowo.

- Również i w naszym rodzie synowie nie wiedzą, co postanowi czcigodny pandit ojciec.

- Nonsens, mój ojciec wtajemnicza mnie we wszystko. Nie mamy przed sobą sekretów.

Ramdas Durpali wstał z miejsca.

- Czy przybywszy jutro do Jabalpuru, zechciałby mi pan wysłać wiadomość?

Peter zaczerwienił się z irytacji.

- Z przyjemnością, od razu będę miał okazję potwierdzić, że się pan pomylił. A tak na marginesie, przecież przez cały czas, kiedy mój ojciec zmierzał na dworzec, siedział pan obok mnie.

- Bramin zachował się tak, jak gdyby nie usłyszał. Nakazałem przygotować dla pana najcichszy i najprzyjemniejszy pokój gościnny. Sprawdzono też dokładnie, czy nie ukryły się w nim węże lub skorpiony.

- Dziękuję!

Chwilę później niezdecydowany stanął przed plecionym hinduskim łóżkiem. Jak się na nim leżało? Wypróbował i zdziwił się: spoczywało się lekko i przewiewnie. To było w porządku, tylko co z tymi skorpionami? Mocniej zaciągnął wokół siebie moskitierę. Zjawił się służący i zgasił światło, przedtem jednak skłonił się głęboko - ale nie przed gościem. Nad łóżkiem wisiał wizerunek bożka.

Dopiero rankiem Peter zauważył, że pierwszą noc w centralnych Indiach przespał pod malowidłem przedstawiającym grającego na flecie Krisznę. Czy z tego powodu we śnie błąkał się po całym pałacu Durpalich, wołając po imieniu Sitę?

Nie udało mu się jej zobaczyć. Uprzejmy Ramdas osobiście odwiózł go na dworzec, a w rozmowie nie powrócili już do wczorajszego sporu.

III

- Pan doktor Larsen? Czy jest tu doktor Larsen? - zawołał dźwięczny kobiecy głos. Peter podszedł do okna, właśnie przygotowywał się do przesiadki. Tu w Raipurze musiał wsiąść do pociągu jadącego w kierunku Jalnapuru.

- Tak, proszę, jestem tutaj!

Stała przed nim młoda siostra Czerwonego Krzyża. Kręcone, jasne włosy wystawały jej niesfornie spod czepka. Teraz jej błękitne oczy zapaliły się blaskiem.

- Panie doktorze! Jestem Annemarie, przełożona pielęgniarek z kliniki. Szef polecił mi odebrać pana, gdyż wróci z Jabalpuru dopiero wieczorem!

Odstawił trzymaną w ręku walizkę. A więc jednak!

- Dzień dobry, siostrzo przełożona! Nie miałem pojęcia, że mamy w Jalnapurze kogoś z Nadrenii, słyszę to po pani głosie. Zgadza się?

Na jasnych policzkach młodej siostry ukazały się dołeczki.

- Tak, pochodzę z Düsseldorfu. Proszę się pospieszyć, nasz pociąg jest już gotowy do odjazdu!

Pobiegli razem na drugi peron. Siostra Annemarie była szybsza i otworzyła drzwi.

- Udało się. Nie jest pan rozczarowany z powodu nieprzybycia pańskiego ojca?

- Skądże! Tym sposobem można się swobodniej zapoznać. Czy orientuje się pani, co skłoniło mojego ojca do udania się do stolicy regionu?

Zmieszała się nieco.

- Domyślam się, choć myślę, że sam będzie chciał panu o tym powiedzieć. Jak minęła podróż, doktorze?

Oho, miała w sobie sporo kobiecej mądrości. Tylko nie wbijać klina między syna i ojca! Dobrze, jeszcze zdąży się dowiedzieć, o co właściwe chodzi z tym Jabalpurem, skoro nawet Ramdas Durpali dowiedział się o tym! Poruszył lżejszy temat.

- Ładna okolica. Miejmy nadzieję, że jest tu bezpiecznie. Ale chciałem zapytać o coś innego. Jak to możliwe, że w tak młodym wieku została pani przełożoną pielęgniarek? Jest pani dłużej w Indiach?

- Pięć lat. Przybyłam do Raipuru zaraz po skończeniu nauki i gdy pański ojciec przejmował klinikę, zgłosiłam się jako pierwsza. To jedyny powód powierzenia mi tego stanowiska. Ale to niewiele znaczy. Jesteśmy tylko we troje, obie córki Redcliff i ja. „Przełożona” to za dużo powiedziane.

Nadstawił uszu.

- Redcliff, czy to nie ten nadleśniczy zaprzyjaźniony z moim ojcem?

- Właśnie on. Jego zmartwieniem jest brak syna, a obie panny nie znoszą życia w dżungli. Gdy tylko dorosły, zrobiły kursy pielęgniarskie. Dobrze mi się z nimi pracuje, szczególnie z siostrą Margaret, która nas wkrótce opuści.

- A to czemu? Udało się jej dostać lepiej płatną pracę?

I znowu dołeczki w policzkach siostry Annemarie.

- Nie, jest zaręczona z pewnym inżynierem z Kalkuty, ale Brytyjczykiem.

Jej ojciec jest przeciwny temu związkowi, bo chce, aby wyszła za kogoś z jego fachu. Ale pewnie nudzę pana babskimi plotkami?

Uśmiechnął się.

- Skądże, muszę przecież wiedzieć, co dzieje się w naszej klinice. A więc dobrze współpracujecie. A jak z doktorem Gardnerem?

Na chwilę spuściła wzrok, a potem lekko wzruszyła ramionami.

- Dużo potrafi, to najważniejsze. Gdybym jednak była jego koleżanką, a nie tylko

pielęgniarką, to darlibyśmy koty. To zresztą nie ma znaczenia, odchodzi, bo pan przyjechał. Cieszymy się z pańskiego przybycia.

- Oj, żeby nie była pani rozczarowana.

- Nie, nie wydaje mi się. Nie jest pan wcale podobny do ojca! - Mówiąc to, spłonęła rumieńcem. - Przepraszam, jestem okropną istotą. Zawsze wszystko mówię tak, jak myślę. Z tego powodu już jako dziecko dostawałam często w skórę.

- Zupełnie niesłusznie. Cenię sobie tę „wadę” charakteru. Do mnie może pani zawsze mówić bez ogródek! Czy możemy budować na tym naszą współpracę?

Spontanicznie wyciągnął do niej rękę, dziewczyna mu się spodobała. Ona z uśmiechem oddała uścisk.

- Tak, praca z moim ojcem jest często bardzo trudna. Nie jest typem człowieka dającego fory kobietom albo liczącego się z nimi. Mimo to uważam go za wspaniałego człowieka.

Potwierdziła gorąco.

- To prawda, panie doktorze. Całe Jalnapur ceni go za talent. Ma tylko jednego zaciętego przeciwnika, to śmierć. Nigdy się z nią nie pojedna i oboje ciągle zmagają się ze sobą.

- Tak wiele osób umiera w Jalnapurze?

- Nie więcej niż gdzie indziej. Jeśli uda mu się uratować komuś życie, to mamy, można powiedzieć, święto w całej klinice. Wtedy można z szefem porozmawiać nawet o czymś więcej niż tylko o tym, co konieczne.

Znowu się zaśmiała wesoło, a on dołączył do niej.

- Nie jestem takim milczkiem przed Bogiem, to nie moja natura. Chcę wnieść trochę zapału, ruchu i radości. Cieszę się z przybycia do Indii. Dopiero teraz to do mnie dotarło. Moja biedna matka była pewnie zbyt chora, aby dostrzec i docenić bujność tutejszego życia.

Przytaknęła.

- Wtedy nie było jeszcze lekarstw przeciwko malarii, jakie mamy obecnie. Ta choroba atakuje również wewnątrz człowieka. To nie była jej wina, że na koniec zniechęciła Indii. Szef wspomniał kiedyś o tym.

Wyjrzała na zewnątrz, pociąg wjeżdżał właśnie na mały dworzec. Czyżby byli już u celu podróży?

- Nigdy nie zniechęcę Indii - powiedział Peter z naciskiem. Siostra Annemarie zerwała się z miejsca.

- Jalnapur! Dojechaliśmy!

Przy wyjściu stał krępy, brunatny człowieczek w turbanie i z gołą piersią. Postrzępione dhoti zachowało jeszcze pozór kolejarskiego uniformu. Z godnością skasował bilet i skłonił się przed sahibem doktorem. Wyszli przed budynek dworcowy. Natychmiast otoczyli ich tragarze, ale siostra zawołała do nich energicznie kilka słów po hindusku i odsunęli się nieco. Gestem przywołała chłopca z riksą posiadającego rower.

- Pojedziemy riksą, panie doktorze, bo z samochodu korzysta obecnie Gardener. Zapłacimy tylko rupię, a od razu zabierzemy bagaże.

Po raz pierwszy zajął miejsce w krucho wyglądającym pojeździe, obwieszanej dzwoneczkami, wesołej, otwartej „dorożce” na trzech kołach.

Brunatny, szczupły chłopiec nacisnął dumnie na pedały.

- To nie jest dręczenie ludzi - poinformowała siostra Annemarie. - Skoro ktoś jedzie na rowerze, to można pozwolić się pociągnąć. Ale proszę spojrzeć tam, wciąż dwożą nam takich nieszczęśników, kiedy już są na wykończeniu. A wtedy nie możemy już nic dla nich zrobić.

Prawie nagi, wychudzony kulis przebiegał obok. Oblany potem zatrzymał się, aby ustąpić miejsca elegantszemu pojazdowi.

- Dlaczego rząd nie położy temu kresu? - zapytał lekarz, spoglądając za biedną ludzką istotą. W rikszy siedział tęgi cudzoziemiec.

- O, panie doktorze, to nie takie proste. Gdyby państwo jednocześnie mogło zapewnić mu pracę!... Rikszarze biegają, żeby utrzymać się przy życiu, zarobić na garść ryżu i są wdzięczni,

dopóki tylko mogą się utrzymać na nogach. Proszę się nie przejmować, w Indiach trzeba najpierw przeżyć parę szoków. Czy myśli pan, że to, co robi tamten człowiek, jest mniej niebezpieczne?

Zerknął w bok. Na krawężniku przysiadł zaklinacz węży. W wyplatany koszu w takt wygrywanej przez niego na flecie melodii wyginała się kobra.

- Jedno ukąszenie! Wystarczy, że na sekundę straci koncentrację i nie pomoże mu żadne serum!

Wiozący ich riksarz zahamował. Przez ulicę kołyszącym się krokiem przechodził mężczyzna niosący dziwaczne no- sidło. Na karku ułożył sobie bambusowy drążek, na którego końcach, na podobieństwo szal u wagi, przymocowano sznurem płaski drewniany talerz. Z każdej strony, podobnie jak na odpustowej karuzeli, siedział na nim bliźniak, tyle tylko że „konstrukcją i napędem” był w niej ojciec.

Siostra Annemarie rozpromieniła się.

- Urocze, prawda? A przy tym to tylko najmłodszy, bo w domu ma jeszcze całą gromadę. Dziesięcioro, dwanaścioro dzieci, taka jest tutaj średnia. Żyje się i umiera koło siebie. Bardzo lubię pracę na oddziale dziecięcym.

- Taki też mamy?

Ich riksarz ruszył dalej, wydawało się, że zmierzają ku spokojniejszym częściom miasta.

- Owszem, oddział położniczy! Pilnie potrzebujemy lekarki, gdyż teren ten jest tabu dla mężczyzn. Oby tylko wkrótce zjawiała się Hinduska.

Przytaknął ucieszony. Sita! Prawie zapomniał o niej. Teraz jednak stanęła mu żywo przed oczyma.

- Cieszę się, że to słyszę. Martwiłem się już trochę, jak siostry potraktują naszą koleżankę. Siostrzo Annemarie, na początku może być nieco trudniej, ponieważ jest braminką. Czy mogę zdać się na to, że nie weźmie jej pani tego za złe?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Ja? Nie, tylko skąd to przypuszczenie, że obie Angielki są przeciwne?

- Nie wiem, ale wiele zastrzeżeń ze strony mojego ojca nie wzięło się znikąd. Będzie pani musiała być negocjatorem! - Przerwał, gdyż coś innego odwróciło jego uwagę. - Dokąd jedziemy? Czy klinika leży aż tak bardzo na uboczu?

- Nie, tylko zapomniałam wspomnieć, że szef chce tam pana osobiście wprowadzić. Teraz udajemy się do bungalowu dla lekarzy na przedmieściu, czyli do pańskiego domu. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Nie mam wyboru. Nagle znaleźliśmy się na wsi!

Polna lnu, juty, ryżu, dalej wysokie łodygi trzciny cukrowej! Zbliżyły się łagodne wzgórza, ubył domów, tu i tam podobny do willi bungalow. Z pewnością część Jalnapuru zamieszкана przez Europejczyków wyszukujących sobie zawsze najlepsze okolice.

- Tak, to angielskie osiedle, dziś zamieszkanе przez cudzoziemców ze wszystkich możliwych nacji. Dalej stoją lepianki tuziemców. To całkiem sympatyczny lud. Wysocy, mogliby uchodzić za Niemców. Nazywają się uriasami.

Rozejrzał się zaniepokojony.

- A tamte kobiety? Dlaczego chodzą same, prawie jak wspólnota klasztorna, i wszystkie na białe?

Pochyliła się.

- Ach, to randi, wdowy. Muszą przebywać na polach i pracować przy żniwach. Po śmierci męża wolno im się najeść w domu do syta dopiero pod wieczór. Większość nie wytrzymuje ciężkiego, pokutnego losu, uciekają i łączą się w takie grupy. Raz żebrzą, raz pracują, ale może być jeszcze gorzej. Są w gorszej sytuacji niż niedotykalni.

Spojrzał za chudymi, smukłymi postaciami. Z opuszczonymi głowami, odziane w brudne, białe, bawełniane sari, szły boso w milczeniu, zakrywając lekliwie ogolone głowy.

- Coś takiego spotyka się pewnie tylko w małych miastach?

Siostra Annemarie zaprzeczyła żywo.

- Myli się pan. Również wielkie miasta nie wiedzą co począć z gromadami żebrzących

wdów. Wielu uważa za szczęśliwsze te czasy, kiedy pozwalały się spalić wraz ze zmarłym mężem. Było to oczywiście okrutne, ale teraz też jest strasznie.

- Nikt nie może im pomóc?

Siostra Annemarie zastanowiła się przez chwilę.

- Przy wcześniejszej umieralności hinduskich mężczyzn, wątpliwe. Można powiedzieć, że jest ich w nadmiarze. Wdowy dzieci i wdowy starszki. Jeśli któraś zasłabnie na ulicy, musimy uważać, żeby żaden Hindus z kasty nie zauważył, iż sprowadzamy je potajemnie do kliniki.

Z tym wszystkim trzeba się liczyć, panie doktorze. Nie możemy zmienić Indii, a jedynie pracować, na ile siły pozwalają, i pomagać, gdzie i jak tylko możemy.

- Z niczym się nie pogodzę.

- Tak mówią wszyscy zaraz po przyjeździe, po kilku miesiącach łagodnieją. Jest zbyt wiele nędzy, a ma się tylko dwie ręce. My, pielęgniarki, możemy się cieszyć, że nie zalicza się nas wraz z nimi do jednej kasty. Posługa chorym nie uchodzi za zaszczytne zajęcie. Prawie się nami gardzi, gdyż zadajemy się z tymi, których bogowie skazali na zagładę.

Wytrzeszczył na nią oczy.

- A my, lekarze? Do jakiej kasty zalicza się nas?

Uśmiechnęła się.

- Do szudras, czwartej głównej kasty. Lekarze, muzycy, tancerze, wróżbici i służący, to mniej więcej ten sam poziom.

- Wielkie dzięki. Teraz dopiero zaczynam pojmować, co dla braminki oznacza odnalezienie się tutaj. Możemy się cieszyć, jeśli w ogóle przybędzie. A co to takiego, ten dziwny zagajnik? Potężne drzewa i to tworzące prawdziwe sklepienie.

- To nie zagajnik, tylko bananowiec z setkami korzeni powietrznych, które zapuszczają się w ziemię, dając początek nowym roślinom. W tym klimacie to żaden cud, prawda?

Odetchnął głęboko.

- Uważam, że tutaj jest bardziej znośnie niż w Bombaju.

- To prawda. Jest bardziej sucho pomimo wielu rzek i stawów. Możemy być zadowoleni, że mieszkamy w nie za suchej ani w nie za wilgotnej strefie. Co zaś się tyczy alkoholu, to niestety jesteśmy na pustyni. Brandy można dostać dopiero w Bhilaspurze. Ale potrzebujemy jej tylko do celów medycznych.

Ależ ona potrafiła prowadzić rozmowę! Teraz siostra wyciągnęła rękę.

- Tam, pod figami, stoi nasz bungalow lekarski!

Peter spojrział we wskazaną stronę.

- Nie, ten żółty! To math zbudowany przez pobożnego swami, a drzewo nad nim to święte tulsi, zaraz koło jego świą- tyńki Kriszny. Wieczorami będzie pan słyszał, jak gra na flecie.

Wyciągnął ciekawie szyję. Math stał opustoszały - kwadratowy domek mnicha. Swami z pewnością był w drodze, aby wyżebrać dla siebie dzienną porcję ryżu.

Powozący riksą chłopiec zatrzymał się pod pochylonymi figami otaczającymi płaską budowlę. Niepozorny, szary budynek obwieszony plecionymi matami nawilżanymi przez służących, aby ochłodzić ściany.

- Nie ma sąsiadów?

- Owszem, bardzo wielu! Małpy, panie doktorze! Koczną tu całe stada i jeszcze nieraz narobią panu kłopotu. Nie można sobie poradzić z tą plagą. Od czasu do czasu będzie trzeba zawołać łapacza.

- Łapacza? - Wysiadł z rikszy. - Po co? Przecież można parę ustrzelić.

- Na litość boską, następnym byłby pan, doktorze. Małpy są święte, tak samo jak krowy! Nie, woła się łapacza, który rankiem je wylapuje, a potem wypuszcza w dżungli. Naturalnie to nie pomaga, jest tylko uspokajającą iluzją. O, pańscy hamals, zaraz będzie teatr!

Służący zobaczyli zatrzymującą się riksę i wyszli, aby powitać nowego pana: robiący zakupy, kucharz, pracz, posługujący do stołu, a na końcu zawsze z kasty niedotykalnych i w stosownej odległości sweeper odpowiadający za łazienkę i czyszczenie toalet.

Ukrył lekliwie ręce za plecami, robiąc krok w tył, gdy nieświadomy niczego Peter chciał mu podać dłoń. Przecież jego się nie dotykało! W New Delhi mogły się ukazywać prawa zrównujące ze sobą wszystkich, ilu tylko Nehru sobie życzył - tu, w głębi kraju nikt na to nie zważał. Pariasi pozostawali pariasami.

Siostra przywołała jednego ze służących, mówiąc coś do niego.

- Panie doktorze, Khare zaraz pokaże panu cały dom i pański pokój. Ja muszę wracać do kliniki. Pańskiego ojca można się spodziewać dopiero wieczorem. Nie trzeba się o nic kłopotać. Doktor Gardener przywiezie go tu samochodem.

Poruszony rozejrzył się wokoło.

- Chce pani już iść?

Roześmiała się.

- Oczywiście, przecież pan doskonale sobie poradzi beze mnie! Służący zatroszczą się o wszystko, każdy rozumie po angielsku.

I już wsiadała do rikszy, a on w pośpiechu zapłacił chłopcu, który z głodnymi oczyma wyciągnął rękę. Błyskawicznie ją też schował: już dawno nie otrzymał tyle pieniędzy. To był zarobek za trzy dni, obcy był pewnie niezorientowanym nowicjuszem! W pośpiechu ruszył z powrotem.

Ani jednej kobiety w domu. Dopiero żeniąc się, będzie sobie mógł pozwolić na ten luksus. Mimo to wszędzie było zdumiewająco czysto. Przeszedł przez dom. Pomieszczenia były puste i chłodne, w oknach nieodłączne kraty, pod sufitami wentylatory, kilka mebli, parę bambusowych, raczej niewygodnych krzeseł, duże puste biurko. Na jednej ze ścian zawieszono potężne kły słonia i kilka sztuk broni myśliwskiej.

Prawdziwie kawalerski przybytek. Czyli tak mieszkał ojciec, w spartańskiej prostocie. Jego pokój wyglądał podobnie. Kiedy wszedł do niego, wzdłuż ścian z szelestem przebiegło kilka zwinnych jak jaszczurki mangust, skrywając się za starym olejnym malowidłem. Służący uśmiechnął się.

- O, proszę je zostawić, sahib doktor. Nocą łapią setki mo- skitów i rozprawiają się ze skorpionami.

- Hałasują?

- Tylko trochę piszczą i chroboczą, sahibie, nic więcej. To zesłani nam przez bogów przyjaciele domu, sahib doktor. Nie wypędza się ich.

Najwidoczniej w tych szerokościach geograficznych nie przepędzało się żadnego żywego stworzenia. Bungalow świecił pustkami. Przyzwyczajony do praktyczności ojciec wyposażył pomieszczenia tylko w to, co niezbędne do życia. Brakowało choć tchnienia przytulności, jakie mieszkaniu może nadać jedynie kobieca ręka. Ale będzie się strzegł i nie powie na ten temat ani słowa, zanim sam nie będzie myślał o ożenku. Przysiadł zmęczony w kącie, pozwalając służącemu rozpakować walizkę.

Taka liczba hamals - jak ojca może być stać na to? Dlaczego nie odeśle połowy do domów? Musi jeszcze na parę godzin uzbroić się w cierpliwość, zanim otrzyma odpowiedź na to i inne pytania.

Senior przyprował doktora Gardenera, szerokiego w barach Brytyjczyka, który wyglądał jak marynarz i świadomy tego tak się również zachowywał. Mówił wiele i głośno, ucinając przez to każdą konwersację, gdyż ciągle już wprzódy wiedział wszystko lepiej od swojego partnera. Peter stał się więc małomówny, pozwalając rubasznemu Anglikowi śmiać się, hałasować i przechwalać. Według Gardenera „potrzebująca naprawy” była nie tylko sama klinika, lecz całe Indie, a on przybył, aby wszystko gruntownie zreperować - zarówno ludzi, jak i istniejącą sytuację. Klimatu nie był w stanie zmienić.

W ciągu godziny przepocił tropikalne ubranie i wypił morze whisky.

Kiedy wreszcie poszedł, było już późno. Obaj lekarze byli wyczerpani podróżą i wrażeniami. Ojciec odezwał się nagle:

- Byłem u mecenasa Vakila w Jabalpurze. Zgłosiłem mu twój przyjazd i myślę, że jest zadowolony. Nie sposób było się od niego dowiedzieć, czy uszczęśliwi to również pana Wellingsa.

Musimy dalej działać po omacku. Niech go licha weźmie!

Ten tajemniczy człowiek z Londynu trzymający w ręku wszystkie nici był Peterowi obojętny.

- Myśl o tym, że zawsze mam na karku niewidzialnego obserwatora, nie jest wprawdzie przyjemna, ale będę pracował w Jalnapurze tak, jak gdyby klinika należała już do nas.

Na twarzy ojca pojawiła się radość.

- Jak dotąd nie robiłem inaczej. Ale byłem mu winny zdanie relacji. Vakil to Pers, jest więc ponad wszelkimi hinduskimi sporami, a także oczekiwaniami Anglika. Niestety, również i ponad nami. Nie bardzo można się w tym wszystkim zorientować.

Junior się uśmiechnął.

- Gdybyśmy byli przekonani o naszych umiejętnościach, jak ten Gardener, to nie zastanawialibyśmy się nad tym, czy naprawdę uważa się nas za „przyjaciół Indii”.

Ojciec zrobił ręką nieokreślony gest.

- Nadaje się do czegoś tylko z sondą w ręku, przynajmniej wtedy nic nie mówi. Nie było, niestety, nikogo innego, dlatego ściągnąłem ciebie. Na dłuższą metę nie da się z nim współpracować, bo narzuca każdemu swoje zdanie.

Peter potrząsnął głową.

- Mnie nie. Ale czy w jednym punkcie nie ma racji, ojcze? Musimy naprawdę utrzymywać tyłu służących? Nic mi do nich, to porządni ludzie, tylko.

- Nie do przejścia. Nikt nie podejmie czynności drugiego, surowy porządek kastowy. Poza tym pracują za garść ryżu. Gardener zrezygnował z babus i zraża do siebie wszystkich.

Żaden Hindus, chyba że prawie umierający, nie przyjdzie do niego z własnej woli.

- I mimo to pracuje w klinice?

- Tak, szpital właśnie pęka w szwach. Zobaczysz jutro. Wprowadzę cię podczas watch round!

Kiedy następnego ranka Peter wstał z łóżka, ojca już dawno nie było. Dla niego dzień zaczynał się wschodem słońca, który tu następował szybko i nagle - podobnie jak noc. Ruszył więc do miasta z szoferem Sikhem w należącem do kliniki hindu- stanie.

W Jalnapurze było tłoczno na wąskich ulicach, prawie nie poruszali się do przodu. Wciąż pojawiały się tongas, wozy zaprzężone w woły, i całe stada ciemnych bawołów, chudych zwierząt o dużych rogach i migdałowych oczach.

- Czy to dzisiaj dzień targowy? - zapytał Peter niecierpliwie.

Siedzący za kierownicą młody Hindus uśmiechnął się, ukazując perłowo białe zęby.

- W Jalnapurze jest zawsze targ, tylko dzisiaj jest święto bogów. Proszę tam spojrzeć!

Zwolnił nieco. Do jednej z niezliczonych hinduskich świą- tyniek, tworzących wizerunek miasta, przeciskała się kobieta, po czym - dla ochłody - wylała dzban wody na łeb jednemu z wykutych z kamienia słoni zdobiących jej bramę wejściową. Świątynia Ganesza.

- Święto Kriszny - wyjaśnił Hindus, pokazując dalej stojące niskie domki. - Tutaj jest mu poświęcona co trzecia świątynia.

Również naprzeciwko kliniki wzniesiono przybytek boga miłości. Wysiadając, Peter obrzucił go krótkim spojrzeniem, a potem zafascynowała go imponująca budowla niegdysiejszego hotelu pana Wellingsa.

Klinika prezentowała się okazale. Wzniesiona w europejskim stylu przewyższała wszystkie budowle publiczne w miasteczku. Fasadę pomalowano na kolor żółty, ulubioną barwę Hindusów, barwę życia. Na wiosnę obchodzono święto kwiatów gorczycy. Każdy odziewał się wtedy na żółto.

Nagle zatrzymał się wpół kroku, ściągając brwi. Limited to parias!, „Niedotykalnym wstęp wzbroniony!”. Któż umieścił ten nieszczęsny napis? Ojciec był nieco zmieszany, gdy pierwsze pytanie Petera poruszyło ten problem.

- Pozostał po naszych brytyjskich poprzednikach, ale nie bierze się go poważnie. Nie można go też usunąć, nie obrażając przy tym odczuć Hindusów z kast.

Junior nie pozwolił się uspokoić.

- Powinniśmy zdobyć się na odwagę i zdjąć go! Jak można poważnie traktować nasz zawód, skoro.

- Milcz! - zgromił go ojciec. - Dokąd w Benares, Hard- warze i New Delhi wiszą na świątyniach hinduskich napisy „Pariasom, psom i białym wstęp wzbroniony”, będzie i u nas. Przyjmujemy oczywiście również i niedotykalnych, ale nieoficjalnie. Idziemy!

Nie miał zamiaru zaraz w pierwszy dzień wprawiać szefa w irytację, ale sądząc po gwałtownej reakcji, poruszył najwidoczniej jakiś czuły punkt. Obchód lekarski pojednał go jednak ze wszystkim. Wewnątrz kliniki ordynator nie znał żadnych granic ani ograniczeń dotyczących udzielania pomocy. Ratować życie, tak brzmiało jego prawie fanatycznie wyznawane hasło! I czynił to nie tylko za pomocą sztuki lekarskiej i znajomości medycyny.

Gdy stanął u łóżka chorego, mówiąc do krewnych bach gya, uratowany, to mogli na tym polegać. Lecz zanim do tego doszło, miał za sobą niedające się opisać zmagania z pacjentami.

Zdumiony Peter przyglądał się. Kiedy się pochylał nad apatycznie leżącymi pacjentami, znikająca jego osławiona mało- mówność. Korzystał z każdej drobiny wyuczonego języka, aby wzbudzić w nich wolę życia. Zaklinając, brał ich przy tym za ramiona i wychudłe ręce.

- Trzeba nimi wstrząsnąć, Hindusi szybko rezygnują. Kiedy poczują się chorzy, poddają się totalnie. Zapamiętaj sobie: pierwsze przykazanie, wzbudzić w chorym otuchę.

Czasami zdarzały się sytuacje drastyczne. Choremu leżącemu w bezruchu na boku i nie reagującemu na żadne wezwania, wylał na głowę dzbanek wody, zrywając go w ten sposób na nogi. Innemu z kolei wyciągnął matę spod pleców.

- Dalej leżą i umierają, i to nawet kiedy nastąpiła już poprawa, a tylko dlatego, że wczoraj zmarł ktoś w tej sali. Hej ty, dalej, wstawaj i do mycia! Mam cię sam zanieść do studni?

Najwidoczniej musiało się już tak zdarzyć, bo mężczyzna, mruczając pod nosem, zrobił, co mu kazano.

Peter rozejrzał się wokoło. W całym pomieszczeniu na matach przykucnęli obok siebie ludzie, ale odziani w dhotis, a nie w szpitalne piżamy.

- Wszyscy przynależą do kasty tkaczy. W następnej sali kasta rolników, a sala numer trzy to handlarze. Gdybyś ich wymieszał ze sobą, przestaną jeść i zaczną umierać. Kasta to więcej niż życie.

Wyszli z pomieszczenia i zatrzymali się na korytarzu. Młody lekarz nadstawił ucha.

- Tak wcześnie zaczynają pracę w kuchni? - Dzwoniły talerze i garnki, w powietrzu unosiła się dochodząca z parteru zapierająca dech mieszanka oparów i zapachów.

Szef uśmiechnął się tylko.

- Swego rodzaju kuchnia ludowa. Krewni pacjentów gotują tu dla nich. Typowo hinduskie i nie do wykorzenienia.

- Co takiego? Tolerujesz pichcenie dla każdego z osobna? Do czego to doprowadzi?

- Gdybym tylko kiwnął palcem w tym względzie, jutro nie miałbym ani jednego pacjenta. Muszę tylko zwrócić uwagę, by, jeśli to konieczne, zachowywali dietę. Nie rozumiesz? Nikomu z kasty tkaczy nie wolno dotknąć tego, co przygotował kucharz z kasty na przykład rolników i odwrotnie. Moglibyśmy spać w manatki. Niech ich kobiety gotują im ryż! Nic nas to nie obchodzi, to nie nasz problem!

Poszedł dalej. Zapoznawanie nowicjusza z hinduskimi obyczajami było nieco nużące. Ale nie chciał drugiego Gardenera likwidującego wszystko i niedającego nic lepszego w zamian.

- Gdzie sala operacyjna?

- Na dole. Pokażę ci ją na końcu. Dawna jadalnia, duża i jasna. To pojemniki z wodą. Nagle, podczas operacji, nie ma wody, nie ma światła. Wszystko już przerabialiśmy. Trzeba działać przewencyjnie.

Po chwili zza rogu wypadł nagle niski człowieczek niosący wiadra i skulony pobiegł dalej, jak gdyby coś ukradł. Wyszedł z umywalni.

- A temu co się stało?

- Sweeper, jedyny niedotykalny w klinice. Przyzwyczył się do przepędzania. Braknie wody, żeby oczyścić wszystkich, gdyby przypadkiem kogoś dotknął. Stare Indie, nic nie zrobisz!

- Ale przecież już dawno wydano ustawę zrównującą pariasów z innymi.
- Chcesz tu zatrudnić policję? - zapytał ojciec sarkastycznym tonem, zatrzymując się. -

Uwaga, przechodzimy na oddział prywatny, sale jedno- i dwuosobowe. Urzędnicy i pracownicy instytucji publicznych, spekulanci i posiadacze ziemscy, można by powiedzieć kapitaliści z Jalnapuru, nieprawdaż?

Nic z tego. Status większości wynika z przynależności do kasty, a żyją nie lepiej niż ci postawieni niżej od nich.

Otworzył drzwi. Maty ustąpiły miejsca wyplatany łóżkom. Obaj chorzy na malarię pacjenci siedzieli na nich ze skrzyżowanymi nogami. Starszy człowiek w starannie zapiętym brązowym aczknie i kunsztownie zwiniętym zielonym turbanie oraz drugi tęgawy osobnik odziany w białe dhoti, czytający książkę w sanskrycie i nie zwracający uwagi na obecność lekarzy. Starszy pacjent palił fajkę wodną, nie wyglądając przy tym na bardziej „obecnego” niż jego sąsiad.

Szef sprawdził puls i stetoskopem obsłuchał tęgiego, nie powodując nawet, że książka choć trochę zmieniła swoją pozycję. Podobnie było ze starszym pacjentem, który ani na chwilę nie przerwał cmokania cybucha.

- Lekarstwa zażyte? - Tak, szklaneczki z pigułkami były puste. Senior rzucił jeszcze okiem na karty chorobowe i zdawał się być zadowolony. Pozdrowił milczących podopiecznych i wyszedł na korytarz.

Peter był sfrustrowany.

- Posłuchaj, ojczu.

- Wiem, też przez to przeszedłem. Teraz rezygnuję z konwersacji. Obaj są rekonwalescentami i to mi wystarczy. Pan- chajata możemy jutro wypisać, niech go tonga przetransportują do wsi. Tak, gdzieś tam jest przewodniczącym rady pięciu, można powiedzieć grubą rybą w gminie. Od jego opinii zależy, czy kiedykolwiek będziemy mieli pacjentów z jego wioski.

- A ten starszy?

- Banya, właściciel ziemski, z tej samej miejsciny, przynależy do starego rodu Zemindari, rzadki biały kruk nieciemiejący prostego ludu. Tak na marginesie, obecnie piętnowany niesłusznie przez czynniki rządowe.

W następnym pomieszczeniu na łóżku siedział starzec mający wokół siebie swego rodzaju zgromadzenie ludowe.

Młodszy i starsi mężczyźni, pałac i gestykulując, siedzieli kręgiem wokół niego, wszyscy odziani w wiejskie dhoti i turbany. Starzec wymachiwał rękoma. Wstrząśnięty Peter zauważył, że brakuje mu kilku palców. Ojciec bez słowa podał mu kartę chorobową - zgadzało się, trąd. Ponieważ nikt z obecnych nie rozumiał niemieckiego, ordynator stwierdził bez ogródek:

- Bez obaw, stan chorobowy ustał, nie ma konieczności izolowania. Sulfony to doskonały wynalazek. Teraz nikt już nie musi umierać z tego powodu. Można powiedzieć, że to choroba jak każda inna. Jestem z niego zadowolony. Sam widzisz, tu nie ma potrzeby budzić ducha do życia.

Wyszedł na zewnątrz z uśmiechem na twarzy. Ta walka została wygrana. Uratowano klanowi czcigodną głowę rodu, widać było, że przejął już wszystkie swoje obowiązki. Za chwilę jednak jego twarz spoważniała.

- Sale jednoosobowe, miej się na baczności, pacjent z wyższej kasty, kszatrya, szlachetnie urodzony, krewny radży Singa z Saraipali. Został polecony.

- Saraipali! Czy to nie jest przypadkiem gdzieś w pobliżu misji palotynów w Kuteli?

- Dobrze powiedziane! Trzeba iść dobrych parę godzin, zwłaszcza gdy, jak ubodzy, ma się do dyspozycji tylko własne nogi. - Jeśli będą kobiety, nie zwracaj uwagi!

Ostrzeżenie okazało się jak najbardziej na miejscu. Obecna była małżonka księżęcego krewniaka wraz ze służącymi albo córkami, ale kto byłby je w stanie rozróżnić? Kiedy w pokoju pojawili się lekarze, niewiasty szczerzej otuliły się sari, po czym skłoniły głęboko, milknąc w pół słowa. Ordynator polecił, aby syn sam zbadał leżącego nieruchomo pacjenta.

- Stropantyna! - zalecił zdecydowanie Peter. Ojciec przytaknął.

- To dobre w innych warunkach, w Europie. Uważaj!

Podszedł do łóżka i pochylił się, kładąc choremu dłoń na policzku, po czym głośno zawołał:

- Halo! Pandit Nath! Obudzić się, zrozumiano? Czyżby to miał być ostatni tygrys, którego razem upolowaliśmy? Wykluczone! W dżungli koło Saraipali wytropiono niedawno ślady ludojada. Musimy tam jechać. No dalej, trzeba zdrowieć!

Apatyczny pacjent otworzył powoli oczy, ale nie ruszał się. Czy w ogóle poznał lekarza?

- Będziesz żył, pandicie! Pokażesz mojemu synowi, jak się używa słoni do karczowania lasu, jeszcze tego nie widział. Tak, to młody doktor z Niemiec. Prawdziwy cudotwórca, gwarantowanie cię wyleczy!

Peter się przeraził. Czy to jakiś kawał? Przecież pacjent był ciężko chory. Senior patrzył błagalnie w matowe oczy.

- Musisz! Słyszysz? Zostań przy życiu!

Mężczyzna wymamrotał coś w marathi, a potem po angielsku:

- Nevermore!

- Owszem i to nawet gdybym musiał polecić twoim mahouts, żeby odtransportowali cię na głowie słonia, bo z rikszy pewnie byś wypadł. No dalej, wyteż siły. Raj Singh też daje ci taki rozkaz!

Syn położył rękę na ramieniu ojca.

- Zostaw go, przecież widzisz.

Ordynator nie słuchał, wyprostował się, wziął nie tknięty kieliszek z lekarstwami i przysunął go pacjentowi do ust.

- Przełknąć! Popić wodą, dziękuję!

Skierował się do drzwi.

- Jutro siadasz na łóżku, zrozumiano?

Na korytarzu Peter odetchnął najpierw głęboko.

- Czy to nie za bardzo prusackie? Jesteś w Indiach, a nie w koszarach.

- Dawno to rozumiałem. Ale jak się go nie skrzyczy, to najchętniej sam rzuciłby się śmierci na szyję.

Ci ludzie mają w sobie jakąś namiętność do umierania. Nie znasz tego. Jeśli się pozbiera, uratuję go. Posłuchaj, wszyscy inni mają określoną przez Boga godzinę śmierci, tylko Hindusi nie. Uprzedzają ją, choć to jeszcze nie czas. Dlatego najważniejsze przykazanie brzmi: wyrwać z apatii.

Naprzeciw wyszła im siostra. Peter jeszcze jej nie znał, szczupła, nieco bezbarwna osoba o matowych włosach i pozbawionych blasku oczach Europejki żyjącej dłuższy czas w Indiach, a przy tym nie miała nawet trzydziestu lat.

- Siostra Ethel Redcliff, nasza instrumentariuszka. Co się stało, siostrze?

Jej szara twarz wydawała się jeszcze bardziej szarzeć.

- Exitus na czwórcę - poinformowała głuchym głosem.

Twarz szefa skamieniała.

- Znowu to samo! To pewnie była krait?

- Najprawdopodobniej.

Angielka z rezerwą zwiesiła głowę i poszła dalej.

- Co za pech! - wymruczał ordynator. - Nie zadają sobie nawet trudu, żeby zidentyfikować gada, który ukąsił. Niewłaściwe serum, i koniec!

Spojrzał za schodzącą po schodach siostrą. Trzymała się nieco sztywno.

- Doskonały fachowiec, powinna być zostac lekarką. Nie potrzebowałibyśmy wtedy Hinduski na oddziale położniczym. Rewir siostry Annemarie położony jest piętro wyżej. Ale najpierw odwiedzimy swami Lothasa, leży obok.

- Żebrzący mnich?

- Sannjasi, a więc coś więcej niż tylko sadhu. Wydaje mi się być jednym z niewielu prawdziwych hinduskich świętych. Dopiero co operowany, ciężki stan, ale powinno być dobrze.

Kiedy weszli do sali chorego, Peter się przeraził. Na wyplatany łóżku leżał wynędzniały

starzec mający pod sobą jedynie prześcieradło, grubo obandażowany, a poza tym cały nagi. Sfilcowane długie białe włosy zwisały mu aż do ramion. Na podłodze położono bambusową laskę z trzema żółtymi wstążkami na końcu oraz wyplatany koszyk na datki. Było to wszystko, co posiadał.

Podszedł bliżej. Brak oddechu, brak pracy serca, najmniejszych oznak życia. Wzruszył współczująco ramionami, ojciec się pewnie pomylił! Ale nie, nie wyglądał jak ktoś, kto stoi przy marach ze zmarłym, lecz raczej z zadowoleniem pokiwał głową.

- Wszystko w porządku. Właśnie jest w trakcie ekstazy medytacyjnej. Może trwać godzinami. Przywołuje swoją duszę dopiero wtedy, kiedy chce.

Peter nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Przecież to niemożliwe: fatalny wygląd, zeszytnienie i wychłodzenie ciała! Ojciec wykonał ruch głową.

- Chodź już, znam to. Swego rodzaju pozorna śmierć spowodowana wolą. Mistrzowskie ćwiczenie jogi, nic takiego, przyzwyczaisz się. Niektórzy Hindusi wierzą, że tacy swamis umierają, kiedy chcą. Po prostu nie przywołują wtedy swojej duszy.

- Chyba w to nie wierzysz!

Odpowiedzią był uśmiech.

- Tajemnica Indii. Nie zgłębimy jej. Ale gdy zobaczysz kiedyś fakira idącego przez dół z żarem, i nic mu się nie będzie działo, to spokojniejsz.

Peter nie mógł oderwać oczu, zafascynowany gapił się na leżącego w bezruchu sannjasi. Ojciec zmarszczył czoło.

- Nieznane siły duszy, nic więcej.

Z trudem wyprowadził syna z pokoju, po czym specjalnie wybrał lżejszy temat rozmowy.

- Nie daj się zafascynować, prawdziwe ekstazy świętych są czym innym: powoduje je Bóg, nie człowiek.

Bóg pozwala się joginom postponować, gdyż zwykł unikać wszystkiego, co zwraca uwagę. Chrześcijańscy święci nie mają świadków podczas ekstazy - lub bardzo rzadko. Natomiast hinduscy sadhus i fakirzy kalkulują wszystko na ludzką ciekawość. Nasz swami wiedział, że będziesz dzisiaj uczestniczył w watch round i to wyjaśnia wszystko.

Widać było, że się cieszy, gdy na prowadzących w górę schodach napotkali przełożoną pielęgniarkę trzymającą w ramionach zawiniątko z noworodkiem, który dopiero co przyszedł na świat. Uśmiechała się promiennie.

- Niestety, tylko córeczka! Ojciec będzie zawiedziony! Słodka istotka, prawda?

Dziecko miało już tak długie czarne włosy, że bez problemów dałoby się w nie wpleść kokardy. Ale nie było czasu na oglądanie, siostrze Annemarie zawsze się spieszyło. Była położną i jednocześnie jedyną osobą z personelu medycznego na całym oddziale kobiecym. Szef przystanął na piętrze.

- Midwifery! Tu nasza obecność jest konieczna tylko teoretycznie, siostry radzą sobie ze wszystkim same. Niezbędna jest obecność lekarza.

- A więc to będzie królestwo kumari Sity?

- Tak, zakładając, że kobiety się dogadają. Siostra Ethel zaraziła się niestety pogardą Gardenera do wszystkiego co hinduskie. - Na korytarzu pojawiła się pielęgniarka. - Nie, to jej siostra Margaret!

Obrzucił młodą Angielkę jedynie krótkim spojrzeniem. Zadziwiająco, że ktoś taki obrał zawód pielęgniarki. Była urodziwa i wystrojona jak modelka. Zbyt długo musieliby czekać, aby znów się zjawiała. Zdecydowali się przejść przez sale chorych - przynajmniej mogli odbyć wizytę, skoro wszelkiego rodzaju badania wolno im było przeprowadzać jedynie w wypadkach zagrożenia życia, i to za zgodą męża.

Jeśli Petera zdziwił widok pacjentów odzianych w codzienną odzież po stronie męskiej, to tutaj po prostu osłupiał. Kobiety otulone w tęczowe sari i obwieszane biżuterią siedziały ze skrzyżowanymi nogami na poduszkach. Jedna z nich nacierała właśnie olejem kruczoczarne włosy. Leżały tylko ciężko chore pacjentki, ale i ich poduszki ciemne były od tłuszczu. Ordynator w dialekcie hindi nieco podniesionym głosem zwrócił się do jednej z kobiet, ale zaraz się uspokoił.

- Tu trzeba być szczwanym jak lis. Jeśli obawiają się pobrania krwi albo przeczuwają, że

mogą być badane, to żeby nas zwieść, zamieniają się łózkami albo każą zająć w nich miejsce któremuś z krewnych. Lekarstwa zażywają tylko wtedy, gdy stoi się przy nich. Babskie sztuczki!

Przystanął przy starszej pacjentce.

- Radha, co to za fanaberie? - ofuknął ją po angielsku. - Przecież zaleciłem ścisłą dietę, a ty jesz ryż z chilli zamiast z ghee!

Zmieszana kobieta odsunęła naczynie, wskazując na męża siedzącego na podłodze u stóp łóżka.

- On uważał to za lepsze, sahib doktor!

Lekarz podniósł głos na nicponia.

- Ty jesteś lekarzem czy ja? Jeśli jeszcze raz coś takiego się przydarzy, to możesz iść z żoną do znachora, ale wtedy ona wyda ci na świat trzy córki!

Mężczyzna skulił się wystraszony. To byłoby niewyobrażalne nieszczęście. W pośpiechu odebrał połowicy miskę, skłaniając się głęboko.

- Natychmiast dostanie bhat z ghee, sahib doktor!

Ruszyli dalej.

- Zauważyłeś? Nawet jeśli czcigodny osioł małżonek domiesza jej truciznę do jedzenia, będzie posłusznie jadła. Mężczyzna jest bogiem kobiety, nic się nie da zrobić. Jedyna możliwość to oczy dokoła głowy!

Gdy zakończyli obchód, Peter był wykończony. Na ile rzeczy trzeba tu zwracać uwagę, jakiej zmiany myślenia i przyzwyczajzeń żądano, i to zaraz po przybyciu z Europy! Ale szef brał to pod uwagę - i jemu, jako młodemu medykowi, nie wiodło się inaczej, gdy musiał się wyrzec wszelkich wyobrażeń o systematycznej działalności medycznej.

Po obejrzeniu sali operacyjnej, która na szczęście wyposażona była we wszelkie nowoczesne urządzenia, zakończył się dla juniora pierwszy dzień pracy. Południowy upał i tak uniemożliwiał Europejczykom podjęcie jakiegokolwiek czynności, dlatego również operacje, z wyjątkiem nieszczęśliwych wypadków, przeprowadzano wczesnym rankiem. Po południu zamierał w klinice wszelki ruch, chorzy leżeli wyczerpani na matach, wskazania na termometrach i barometrach szły w górę, słychać było tylko furkot elektrycznych wentylatorów. Dopiero godziny wieczorne wprowadzały ożywienie.

O tej też porze na zewnątrz przed świątynką Kriszny zaczynał śpiewać flet, dziękując za miniony dzień.

Wczesnym rankiem Peter również słyszał podobną grę, zbudziła go krótko przed wschodem słońca. Podeszedł do zakratowanego okna, a następnie wyszedł na werandę. Z tej części domu, która stała naprzeciwko math, mógł dostrzec grającego wyznawcę Kriszny. Odziany w żółtoczerwony mnisi strój siedział pod drzewem tulsii. Nieznużenie wznosiły się i opadały prastare ragas, tradycyjne melodie przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Przypominał sobie o swami Lothasie, bo ten mały mnich to z pewnością nie tyle asceta, ile raczej nauczyciel wiejskich dzieci, odśpiewujący im ramapuranas na rogach ulic i w opłotkach.

Był to z pewnością tylko sadhu, zebrzący mnich, wprawdzie bez stałych ślubów, ale i tak czyniący więcej od niejednego włóczącego się „świętego”, któremu czcigodna szata pozwalała na wszelkiego rodzaju nadużycia. Pewnie wkrótce przyzwyczai się do tego dźwięku.

Trudniej było się pogodzić z obecnością małp i sępów. Pierwsze przeszkadzały do późnych godzin wieczornych i wczesnym rankiem wrzaskami i niezliczonymi beczelnymi psotami, drugie napawały mimowolnym lękiem, gdy rankiem syte i ociążałe, z rozepchanymi padliną brzuchami siedziały na drzewach mangowych. Wstręt budził widok ich długich gołych szyj i „trupie głowy”, choć jako medyk powinien być wdzięczny tej „policji zdrowia” w Indiach. Bez sępów byłoby jeszcze więcej epidemii. Gdy jechał do miasta, widział, jak na drzewach wisiały duże śpiące nietoperze, otulone w skrzydła na podobieństwo skórzanych worków. Te nocne stworzenia wydały mu się obce i upiorne. Pomyślał także, że ciągle jeszcze brzmi mu w uszach nocne wycie szakali i koszmarnie śmiechy włóczących się hien. Wszystko to spowodowało, że był przygnębiony i w ponurym nastroju. Co przyniesie mu pierwszy dzień samodzielnej pracy w klinice? Nie spodziewał

się niczego dobrego.

Zaparkował samochód przed budynkiem, obok hindustana, który wydał mu się dziwnie znajomy. Najwidoczniej przywieziono jakiegoś znacznieszego pacjenta. Już od dawna w wyższych kręgach wiedzano, że niemiecki lekarz uznaje stary porządek kastowy, a to przysparzało im wielu przyjaciół i mecenasów.

Ojciec wyszedł mu naprzeciw, spoglądając na zegarek.

- Dwie minuty spóźnienia. Jakaś krowa leżała na drodze? No, dobrze! Kumari Sita była bardziej punktualna.

Junior podskoczył jak ukłuty sztydłem.

- Przyjechała Sita Durpali?

Szef wskazał na samochód.

- Ze swoimi dwoma służącymi amahs. Przełożona pielęgniarek pokazuje im właśnie dom. Trzeba zaczynać, nie ma czasu, bo czekają dwie operacje.

Peter ruszył w stronę sali operacyjnej, zerwał fartuch z wieszaka i umył ręce. Ledwo skończył, a już siostra Ethel wwoziła na wózku pierwszego pacjenta.

- Wypadek! - skostatował ordynator, gdy tylko zobaczył rannego. Kiedy już podano mu narkozę, lekarze dokładnie zbadali straszliwą ranę ramienia. Należało amputować rękę, to było jasne. Junior pytająco spojrzął na seniora.

- Mahout! - wyjaśnił ordynator - przewodnik słońca, najprawdopodobniej zirytował zwierzę. Jedno kopnięcie wystarczy, aby pozbawić człowieka życia.

Musieli przeprowadzić transfuzję krwi, gdyż transport do kliniki trwał zbyt długo. Peter prawie nie żywił nadziei, ale dokładnie wypełniał wszelkie polecenia ojca. Koncentracja kosztowała go wiele wysiłku, gdyż myślami był przy Sicie wędrującej gdzieś po klinice. Jakże chętnie towarzyszyłby jej podczas pierwszych oględzin! Ale obowiązek był ważniejszy. Asystująca mu siostra ukradkiem poprawiła kilka błędów, które popełnił, spokojnie i sprawnie podawała potrzebne narzędzia. Ojciec też pomagał w milczeniu - im szybciej uda im się skończyć, tym lepiej!

Zanim siostra Ethel mogła przykryć wózek i odwieźć pacjenta do sali, minęły dwie godziny. Peter poczuł, że natychmiast musi wziąć prysznic. Pomimo wentylatorów duchota w sali operacyjnej była nie do zniesienia.

Gdy wyczerpany opuścił pomieszczenie, siostra Ethel była już z powrotem, podając mu świeży fartuch.

- Poleciłam sweeperowi, aby przygotował panu kąpiel, doktorze!

Spojrzał na nią zdumiony.

- Skąd pani wiedziała?

Przez szczupłe, nieco zbyt surowe kobiece oblicze przemknął cień uśmiechu.

- To doświadczenie, nic poza tym. Wszyscy się tak czujemy. Tylko Hindusi są po takim wysiłku susi niczym słoma. Proszę później nie dać poznać po sobie, gdy będzie asystować braminka. Ja zatroszczę się o wszystko. Nie okaże zrozumienia, a nie chcę, żeby miała nas za słabeuszy.

Próbował załagodzić sytuację.

- Siostrze Ethel, nie wydaje mi się, że nasza Hinduska jest zarozumiała. Będziemy tylko musieli dopasować się do siebie.

Wokół jej ust pokazało coś na podobieństwo nieustępliwej, dziecinnej przekory.

- Jak dotąd szpital funkcjonował bez hinduskiej pomocy. Oni robią wszystko inaczej niż my.

- Ale kumari Sita kształciła się w Niemczech!

- W chwili, kiedy Hindus staje w Bombaju, znowu jest sobą.

To wyprowadziło go nieco z równowagi.

- Tylko bez uprzedzeń, siostrze, są niesprawiedliwe. Przekonamy się jeszcze. Dziękuję bardzo za cenną pomoc.

Szybkim krokiem ruszył do łazienki. Miała rację - tak wyczerpany nie chciałby się pokazać Sicie na oczy. W tym wypadku jednak chodziło o coś innego. Najwidoczniej wszystkim Anglikom ciężko przychodziła rezygnacja z roszczeń do kurateli i konieczność pogodzenia się z

niezależnością Indii. Trzeba było wiele taktu i cierpliwości, aby zachować chwiejną równowagę.

Ledwie skończył kąpiel, kiedy znowu wezwano go do sali operacyjnej. Przywieziono położnicę w krytycznym stanie. Sita Durpali stała już obok wózka odziana w biały fartuch, spod którego widać było sięgające jej do kostek proste, również białe bawełniane sari. Kolejna metamorfoza!

To nie była ubrana po europejsku Hinduska, jaką widział w Niemczech, która niewiele go interesowała, ani bajkowa księżniczka z domu w parku - to była hinduska lekarka, jakiej jeszcze nie znał. Miała już założone gumowe rękawiczki i sprawiła nieco groteskowe wrażenie, gdy złożyła ręce w geście pozdrowienia.

Następnie, nie wdając się już dalej w ceremonię powitania, wskazała na poddaną narkozie pacjentkę, mówiąc:

- Kobieta ze wsi, doktorze! Wiejska dai, położna, próbowała na swój sposób ratować matkę i dziecko. Okropne! Biorą ostrą skorupę albo kamienny nóż i otwierają ciało. Tak, dziecko jest najważniejsze. Być może jeszcze jest szansa, aby je uratować.

Peter zatrzęsł się ze złości. Głęboka rana. Krew uderzyła mu do głowy.

- Niesłychane, powinno się ją aresztować.

- Doktorze, to niemożliwe. Kobiety hinduskie z niższych kast stokrotnie chętniej powierzają się swojej dai niż uczonym lekarzom. Zawsze się obawiają, że medyk z Europy może wybrać życie matki.

Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem. Proste wieśniaczki musiały sporo wiedzieć na temat europejskiej mentalności. W prostolinijności ich zapatrywań kryło się coś wstrząsającego. Życie dziecka było święte, i to za każdą cenę. Tak, musiał uratować tę kobietę!

Pracowali zgodnie. Nie zauważył nawet, kiedy zjawił się ojciec, aby popatrzeć im przez ramię, nie czuł też braku siostry instrumentariuszki, która tak pilnie mu asystowała. Sita pracowała bez słowa, poruszając się z bezszelestną gibkością dzikiego zwierzęcia. Jej szczupłe dłonie chwyciły delikatnie, lecz pewnie. Cesarskie cięcie udało się doskonale.

Noworodek był płci męskiej. Braminka odniosła go na stronę. Połyskał plusk wody, a potem słaby pierwszy okrzyk.

Uratowane, dziecko było uratowane! Ojciec podał mu klamry, milcząc założył szwy. Gdzie była siostra Ethel? Sami musieli wypchnąć wózek. Napotkana siostra Margaret przejęła od nich pacjentkę.

- Moją siostrę wezwano właśnie na oddział kobiecy - wyjaśniła szybko. - Jedna z kobiet odmawia pobrania krwi. Może panowie sami by zerknęli?

Odwróciła się szybko. Sita wyszła właśnie z sali operacyjnej, trzymając na ręku zawinięte w chustę dziecko.

Peter stwierdził w duchu, że w niczym nie wyglądała tak dobrze, jak z dzieckiem na ręku.

- Tak, proszę z nami, kumari, coś dzieje się na oddziale ginekologicznym. Takie przypadki będą w przyszłości zarezerwowane dla pani.

Śmieszyło go, iż trzeba wzywać na pomoc lekarza, ponieważ Hinduska nie zgadzała się na prosty zabieg. Kiedy jednak znalazł się przy łóżku pacjentki, zrozumiał wszystko, także to, że nie poradziła sobie z nią nawet siostra Ethel.

Ujrzeni żonę tkacza z klanu uriasów, o jasnej cerze, średniego wzrostu i klasycznej urodzie, wyglądającą teraz jak prawdziwa furia. Stała na wyplatany łóżku, kłusując i drapiąc, tak że nikt nie mógł nawet podejść. Aby wbić igłę do żyły, trzeba ją chyba uspić. Co robi Sita?

Braminka spojrzała z uśmiechem na bezradnych lekarzy.

- Czy próbowano wezwać admi tej kobiety? Jest może na miejscu?

Mąż? Nie, ale mieszka niedaleko miejskiego bazaru, można go sprowadzić. Tylko po co?

- Szybko - ponagliła Sita. - Trzeba posłać za nim któregoś z hamals. Tymczasem możecie panowie wracać do obowiązków. Gdy przyjdzie, sama poradzę sobie z Sheilą.

Była bardzo pewna swego, więc dali spokój. Tkacz się szybko znalazł, nie upłynął nawet kwadrans, kiedy hamal zgłosił jego przybycie w kancelarii. Peter przyjrzał się chudemu, drobnemu

mężczyźnie w szarym dhoti i postrzępionym turbanie, stojącym na bosaka, trzymającym w ręku ogromną butlę pełną gęstej żółtej cieczy. Przyjrzał się krytycznie etykietce, po czym zapytał nieufnie:

- To jakieś lekarstwo?

Sita uśmiechnęła się uspokajająco.

- Nie, tylko olej do włosów jako podarunek. Idziemy na oddział.

Skinęła na nieśmiałego człowieczka drepającego pokornie za nią. Cóż ten drapichrust osiągnie przeciw szalejącej furii? Gdy tylko Sita znowu pokazała się w sali, Sheila zerwała się z miejsca, rozpoczynając od nowa wściekły taniec. Braminka odwróciła się, przywołała jej męża, po czym powiedziała coś do niego w hindi. I, o dziwo, człowieczek wyciągnął rozkazującą rękę, mówiąc jedno jedyne słowo. Sheila spojrzała na niego nieprzytomnie i w jednej chwili zamarała w bezruchu, w następnym momencie osunęła się na łóżko, które aż się za-kołysało, odwróciła głowę, zamknęła oczy i heroicznie wyciągnęła rękę ku Sicie.

Lekarka spokojnie wbiła igłę, przy czym Sheila nawet nie drgnęła, osuszyła wacikiem ranę, zgięła jej rękę w łokciu, po czym lekko poklepała pacjentkę po policzku. U nóg łóżka przykucnął mąż Sheili, z grubymi kroplami potu na czole, trzymając oburącz pękatą butlę,

Zadowolona Sita wyszła na zewnątrz. Petera zatkało.

- Jakie zakłęcie wypowiedział jej mąż?

Uśmiechnęła się.

- Nic takiego, rozkazał jej tylko. Jest przecież jej admi, a ona musi robić to, co on powie.

Gdzie tu jakiś cud?

Młody lekarz ciągle nie mógł ochłonąć ze zdumienia.

- Takie posłuszeństwo byłoby nie do pomyślenia w wypadku kobiety z Europy, przecież śmiertelnie bała się pobrania krwi.

- Wszyscy Hindusi boją się widoku własnej krwi, ale jeśli mąż rozkaże, to hinduska kobieta pozwoli wyciąć sobie serce z piersi!

Ruszyli do laboratorium, pozostało jeszcze tylko tyle czasu, że mógł zapytać:

- Chętnie dołączyła pani do nas, kumari? Zdecydowano przecież nad pani głową. Bardzo żałowałem, że nie mogliśmy porozmawiać w Nagpurze.

Przystanęła.

- Z jakiego powodu? Czy nie było pandita ojca, aby poprowadził rozmowę?

Szczęka mu opadła. A więc nie szukała go, wszystko było dla niej jak najbardziej naturalne, a on tak bardzo troszczył się o nią. Najwidoczniej ojciec znaczył dla niej tyle, co mąż dla Sheili.

- A co by było, gdy pani ojciec zdecydował przeciwko nam? - Nie mógł się powstrzymać od zapytania. Sita na chwilę spuściła głowę, a potem odparła:

- Przyjęłabym jego świętą wolę.

Szybkim krokiem ruszyła dalej. Jej odpowiedź tak nim wstrząsnęła, że nie potrafił zdobyć się na żadną ripostę.

Siostra Ethel pracowała wraz z Margaret w laboratorium i mając pełne ręce roboty, nawet nie podniosły głów. Sita podała siostrze Ethel strzykawkę, prosząc o przeprowadzenie analizy. Odpowiedzią było krótkie skinienie.

Margaret tymczasem przemawiała do ubogo wyglądającej Hinduski, trzymającej za rękę małego nagiego chłopca, który chował się w fałdach jej sari.

Ale albo znajomość języka urodziwej Angielki była niewystarczająca, albo kobieta nie chciała jej zrozumieć. Nagle, załamując ręce, runęła młodej siostrze do nóg.

- Co tu się dzieje? - zapytał Peter.

Kłęcząca wieśniaczka odwróciła się do niego, wołając w kiepskiej angielszczyźnie:

- Doktor! Weź moja krew, moja krew, nie jego!

Aha, znowu podobna tragedia, tylko w innym wydaniu! Również i w tym wypadku trzeba było pobrać krew, a biedna matka dawała swoją, żeby tylko oszczędzić dziecko.

I znowu Sita uratowała wszystko. Zamiast wdawać się z lamentującą kobietą w dyskusję, odwinęła rękaw swojego fartucha, wzięła igłę, przysiadła na podłodze i spokojnie, nieomal bawiąc

się, wprowadziła ją do własnej żyły. Uśmiechała się przy tym, jak gdyby ją to bawiło. Matka chłopca zamilkła, gapiąc się z wytrzeszczonymi oczyma, potem gnana ciekawością usiadła naprzeciw braminki. Również chłopiec wyszedł z za jej pleców.

- Popatrz - zachęciła go Sita, wyciągając igłę i pokazując tryumfująco własną krew. - Małe ćwiczenie w jodze, nic innego.

Zanim zdążyła się podnieść, chłopiec wdrapał się jej na kolana i - zanim zdołała mu w tym przeszkodzić lękliwa matka - dumnie wyciągnął rączkę. Nawet nie drgnął, gdy Sita zręcznie i ostrożnie wbiła mu igłę. W oczach matki pojawiły się iskierki dumy - sprawa była wygrana.

Pochyliła się głęboko w podzięce.

- Shrimati, łaskawa pani, dziękuję ci, bo nie sprawiłaś mi bólu!

Odwróciły się również obie siostry Angielki, obserwując całe zdarzenie.

Margaret uśmiechała się, natomiast jej starsza siostra orzekła chłodno:

- Dokąd by to doprowadziło, gdybyśmy mieli tak postępować ze wszystkimi opierającymi się pacjentami!

Peter pospieszył z odsieczą hinduskiej lekarce.

- Proszę tak nie mówić! Nam nie przyszłoby to do głowy. Jestem wdzięczny, że w niektórych przypadkach będzie nam łatwiej z naszymi uriasami.

Poszedł, by przebrać się po raz drugi - duchota była straszliwa, poza tym nadszedł już czas na lunch. Trzymali się brytyjskiego programu dnia, gdyż w tym klimacie był zdrowszy. Ojciec zrelacjonował mu, że Sita wraz ze służącymi wprowadziła się już do apartamentu położonego na pierwszym piętrze obok oddziału położniczego, do którego wygodnie mogła się dostać przez werandę.

- Jak to będzie, ojcze? Będziemy porozumiewać się po niemiecku? Dla niej będzie to trudne.

Szef uśmiechnął się drwiąco.

- Powiniennem raczej załatwić ci korepetycje z angielskiego. Niemiecki jest dozwolony tylko w prywatnych rozmowach. Później musisz się nauczyć dialektów hinduskich. Bez tego nie dasz rady.

Peterowi nie bardzo uśmiechało się uczenie trudnych języków i wyężdżanie umysłu w takim upale. Na razie nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Co robisz po południu?

- Odwiedzam pacjentów.

- Na oddziale ?

- Nonsens, na zewnątrz w Jalnapurze. Nie mam tam wprawdzie ambulatorium, ale idę tam nie jako lekarz, tylko misjonarz. Nie dotarło jeszcze do ciebie, że inaczej bylibyśmy niepotrzebni?

Syn milczał, patrząc na niego pytająco, więc szef odłożył na bok trzymane w ręku sztuce.

- Być tylko lekarzem, inni też to potrafią. Ciąć, zszywać i obserwować proces powrotu do zdrowia. To nie wystarcza! Oczekuje się od nas więcej. Możesz mi towarzyszyć, jeśli chcesz się dowiedzieć, czego!

Wiedział, jak zaintrygować syna. Podczas odwiedzin w Niemczech ojciec o tym nie mówił ani nie pisał w listach najwidoczniej dlatego, że to podwójne zadanie można było zrozumieć, dopiero będąc tu, na miejscu.

Po raz pierwszy w towarzystwie ojca odbył wycieczkę do miasta. Uliczki były ciasne i zatłoczone. Najwięcej miejsca zajmował gwarny bazar pełen produktów rzemieślniczych, tkackich, koszykarskich, a także bambusowych rzeźb, ozdób z kości słoniowej oraz srebra. Większość klientów stanowili mężczyźni, jedynie przy kramach z jedwabiem można było zobaczyć kilka lepiej sytuowanych kobiet. Ale to nie był ich cel.

Przeszli aż na przedmieście, gdzie kamienne domy ustąpiły miejsca glinianym lepiankom. O czym ojciec dyskutuje z ubogimi, mógł się tylko domyślać, gdyż mówił z nimi w dialekcie marathi, od czasu do czasu wtrącając kilka angielskich słów. Zauważył jednak, że ordynator nie pyta o samopoczucie swoich niedawnych pacjentów, lecz o ich sytuację życiową. Jednemu trzeba było załatwić pracę, za innym wstawić się u zwierzchnika, trzeciemu pożyczyć pieniędzy, aby mógł spłacić natrętnego lichwiarza, czwartemu odradzić przeprowadzenie niekorzystnej transakcji.

Senior był nieco zmieszany, kiedy przybiegły dzieci, aby ucałować jego dłonie, a starsi synowie i córki padali przed nim, czyniąc gest strzepywania kurzu z jego butów.

To było dla niego bardzo krępujące, odpowiadało jednak hinduskiej mentalności.

- Wydaje mi się, że cię kochają - stwierdził zdumiony Peter, kiedy wyszli z jakiejś nędznej chatynki, gdzie ojciec milcząco pozostawił kilka rupii.

- Bzdura - odparł na to senior nieomal z obrazą. - Potrzebują mnie, nie więcej.

Jednak żaden z nędzarzy nie potrzebował lekarza tylko człowieka. Wątpliwe, czy doktor Larsen choć raz wymówił imię Chrystusa, ale podczas tej wizyty miłosierdzia był chrześcijaninem, a to znaczyło więcej. Resztę drogi przeszedł Peter wraz nim pogrążony w milczeniu. Okrężną trasą wrócili do bungalowu. Obeszli Jalnapur wokół. Nie wiedział dotąd, jak nędznie mieszkali ci ludzie, wielu w pozbawionych światła, świecących pustką chatach, w których często nie znajdowało się nic więcej niż miejsce na ognisko i mata do spania. Gdy wyraził swoje ubolewanie, ojciec spojrział na niego z dezaprobatą.

- Nie użalaj się nad prostotą ich egzystencji - wyjaśnił mu. - W dużym stopniu to nie kwestia nędzy, tylko ograniczenia się do tego, co niezbędne. Wielu mogłoby żyć lepiej, ale od kołyski uczono ich, że przemijające rzeczy też nie czynią bardziej szczęśliwym. Potrzebują tylko jednego do prawdziwego człowieczeństwa.

- Tak, wyzwolenia z niezdolnych praw kastowych.

- Nie: miłości - zripostował krótko szef. A potem, przystanąwszy, dodał dobitnie: - Miłości, chrześcijańskiej miłości. Każda świątynia hinduska krzyczy za nią, każdy flet Kriszny błaga o miłość.

Mijali właśnie math swamiego, który znowu wygrywał wieczorne pieśni zwrócony ku zachodzącemu słońcu. Przy wioskowej sadzawce wsparte na jednej nodze stały szarobłękitne żurawie, czyszcząc metalicznie błyszczące pióra, dzikie gęsi nurkowały za żerem - prawdziwa idylla spokoju.

Nie mówiąc już ani słowa, szef pozostawił syna samemu sobie, gdyż junior nie miał jeszcze ochoty przebywać w ciasnym bungalowie, lecz pozostał nad wodą pod bananowcem, przypatrując się wieśniakom spędzającym z pastwisk i pól swoje trzody. Po ich przejściu w powietrzu jeszcze długo unosiły się tumany kurzu. Później rozpoczęły swoje zachwycające harce kolorowe zimorodki. Ale nie patrzył na nie ani ich nie widział. Wydawało mu się, że tego wieczoru nie może myśleć o niczym innym, jak o tym, że dopiero teraz odkrył swego ojca. Dotąd był dla niego doskonałym lekarzem tropikalnym, znanym chirurgiem. Zbyt wiele lat przeżyli z dala od siebie, aby czuć wzajemną emocjonalną więź.

Dziś po raz pierwszy wejrzał w głąb ojcowskiego serca.

Niczym odrodzony podejmował Peter w następnych dniach wyczerpującą nerwy pracę, do jakiej dotąd nie przywykł, ale nie dał się już zwieść szorstkiej powierzchowności ojca. Ku jego radości również i pacjenci zaczęli nagradzać wysiłki lekarzy powrotem do zdrowia - i to świadomie. Towarzysz łowów, którego szef nieomal zaklinał, aby pozostał przy życiu, przechodził rekonwalescencję. W nocy przeszedł kryzys, przy którym Peter prawie się poddał. Pomyślne rokowania odnosiły się również do operowanego wczoraj mahouta. Uratują go, jeśli nie nastąpi pogorszenie.

- Jeszcze dzisiaj trzeba zamówić w Nagpurze protezę - zarządził ordynator - i to całą, z ruchomą dłonią.

Junior zerknął na niego z ukosa.

- Przewodnik słońca zarabia tak dobrze?

- Nie, ale jej potrzebuje. Napisz do Raja Singha.

Bez protezy nie będzie mógł pracować w swoim zawodzie. Potrzebuje jej jego słoń.

- O czym ty mówisz?

- To przecież jasne. Mohout jest skromnym człowiekiem, ale jego zwierzę już nie. Nie będzie go szanować kierowane tylko lewą ręką, musi zostać oszukane, żeby okazać posłuszeństwo.

- A jeśli księżę odmówi?

- Sam zapłacę. Sprzedam jakiś mebel zajmujący niepotrzebnie miejsce!

Aha, to dlatego wewnątrz bungalowu świeciło pustkami. Ojciec musiał już niejednemu pomóc w pilnej potrzebie. Peter pilnował się, aby nie zdradzić swojego wzruszenia, tego ojciec by nie zniósł. Należało zachowywać się tak, jak gdyby to było oczywiste.

Ale z pokoiku sannjasi Lothasa szef wyszedł z bladym, zmarszczonym obliczem. Pacjent zrobił mu figla i umarł. Na karcie gorączkowej naskrobał alfabetem devanagari: „Umrę jutro po zachodzie słońca”, i tak się stało. Najwidoczniej zrezygnował z przywołania swojej duszy z głębi medytacji.

- Operacja przebiegła normalnie, rekonwalescencja również. Swami nie powinien był umrzeć. Zrobił to, ponieważ chciał ci zaimponować. Ostatnia zemsta na poczuciu wyższości białych.

Syn się uśmiechnął.

- Wydaje mi się, że myślisz zbyt hindusko. Być może wystąpiła embolia.

- Nonsens. Nie umarł z żadnego innego powodu, tylko dlatego, żeby mnie zadziwić. Na szczęście nie spala go.

- Niby dlaczego?

- Świętych grzebie się w pozycji medytacyjnej, gdyż uważani są za zupełnie czystych.

Ogień nic w nich już więcej nie oczyści. To dla niego ostatnia możliwość obudzenia się z pozornej śmierci. Ale on nie chce, woli się raczej dać pogrzebać.

- Przecież nie żyje - exitus w rozumieniu medycyny!

- Masz na to gwarancję? Polecę, żeby nie chowano zwłok, to jedyna możliwość, żeby go jeszcze uratować.

Doprawdy, każdego dnia nowy świat. Jak go pojąć?

Gdy szli po schodach, naprzeciw wyszła im dama odziana w sari o barwie purpurowego klonu w złote arabeski, przystrojona biżuterią. Był tak zaskoczony, że nie poznał w pierwszej chwili Sity Durpali. Towarzyszyły jej służące, również wytwornie, lecz nieco skromniej ubrane. Czyżby wybierały się na bazar, teraz, przed południem, w czasie dyżuru w klinice? Szef nacisnął dzwonek. Jak spod ziemi wyrosła siostra Ethel.

- Dokąd udaje się kumari?

Siostra Ethel zadarła dumnie głowę.

- Na kirtan, szefie. Zgłosiła swoją nieobecność i nie będzie jej przez dwie godziny. -

Wzruszyła ramionami. - To bramin-ka, panowie.

Jej szare oczy miały kpiący wyraz, który zranił Petera, natomiast senior z trudem zapanował nad sobą.

- Jest pani teraz sama na oddziale?

- Nie, jest także przełożona pielęgniarek. To właśnie ona przyjęła zgłoszenie nieobecności.

O, właśnie idzie.

Odwróciła się na pięcie i odeszła. Peter zagadnął siostrę Annemarie. Ta się zmieszała.

- Panie ordynatorze, nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Ma swoje bramińskie prawa.

Poza tym próbowała jakoś zadośćuczynić swoje wyjście i dobrowolnie przejęła dzisiejszy nocny dyżur.

To najwidoczniej ułagodziło szefa. Skinieniem głowy odesłał rozmówczynię, ale dłuższy niż zwykle krok zdradzał jeszcze podenerwowanie.

Kiedy znaleźli się w gabinecie i zostali sami, Peterowi z trudem udało się go udobruchać. Rozmowa z Sitą wyjaśni wszystko. Muszą ją przyzwyczaić do regularnego planu dnia. Który Hinduś ma w ogóle wyobrażenie o europejskim porządku albo poczucie czasu? Nie znają przecież nieubłagane tykającego dyktatora z przegubu ręki dyrygującego działaniem Europejczyków.

Kiedy Sita wróciła, Peter na tyle urobił ojca, że odczekał aż do wieczora, zanim wezwał ją do siebie. Była naprawdę wystraszona. Wydawało się jej, że bez żadnych trudności może wypełniać swoje religijne obowiązki, kiedy jej tylko na to przyjdzie ochota. Miała przedstawić się odpowiedzialnemu za nią bramińskiemu guru, to wszystko. Peter dwoił się i troił, aby wybawić ją z opresji. Czy podobne obowiązki nie spadają również na chrześcijanina, kiedy trafi do innej

wspólnoty?

Rozmowę zakończono ostatecznie spokojnym porozumieniem. Sita zgodziła się odpowiednio wcześniej informować lekarzy o koniecznych wyjściach. Zawarta umowa gwarantowała jej przecież wszelką swobodę w tym względzie.

Europejczycy musieli się też przyzwyczaić, że dwa razy dziennie zmieniała sari i udawała się nad rzekę Yal, aby wraz ze bramińskimi służącymi wziąć przepisaną rytuałem oczyszczającą kąpiel. Nie korzystały z tej części rzeki, którą zajmowali odziani na czerwono dhobis, pracze, okupujący w ciągu dnia klinikę w nadziei zdobycia czegoś do wyprania i za parę annas doprowadzający do nieskazitelnej czystości całe ubranie tropikalne. Nieco niżej, tam gdzie rzeka zwalniała bieg, koło świątynki znajdowało się kąpielisko gorliwych Hindusów. Kobiety w kolorowych sari stały w wodzie, a następnie zanurzały się w niej, wykonując modlitewne gesty. Kiedy wychodziły na brzeg, zmieniały swoje odzienie tak zręcznie, że podobne to było do jakiegoś rytualnego ceremoniału - ani przez jedną chwilę nie były wydane na pastwę ciekawskich spojrzeń.

W ciszy i skupieniu wracały z symbolicznej kąpeli mającej oczyścić również duszę. Peter zapytał któregoś razu, czy nawet ta mało znana rzeka Yal uważana jest za świętą. Hinduska spojrzała na niego ze zdziwieniem, stwierdzając, że wszelka dająca płodność woda pochodzi od Brahmy jako żywioł, który stworzył jeszcze przed powołaniem do istnienia ziemię. Przy tej okazji Peter pozwolił sobie jeszcze na pytanie, jakie inne obowiązki religijne spoczywają na niej, dodając, że nie nurtuje go ciekawość, lecz prawdziwe zainteresowanie hinduizmem.

Uśmiechnęła się na to, jak gdyby nie bardzo chciała mu wierzyć, i odparła:

- My kobiety nie składamy ofiar, tylko przynosimy kapłanom dary dla bogów. Nam musi wystarczyć bakhi, pobożność uczucia, świętych mantras, modlitw przed wizerunkami i uczestniczenie w kirtans.

I spoglądając na niego przez dłuższą chwilę z niemym pytaniem na twarzy, dodała:

- Jeśli pragnie się pan dowiedzieć czegoś więcej, mogę się wystarać o rzadką okazję. Czy wzięłby pan udział w kirtanie Kriszny?

Peter się zaczerwienił. Tego się nie spodziewał. Co na to odpowiedzieć?

- Proszę się zastanowić - zakończyła rozmowę i oddaliła się dyskretnie.

Popatrzył za nią zatopiony w myślach.

Nieco później miał okazję przekazać jej inne zaproszenie. Nadleśniczy Redcliff zaprosił lekarzy na przyjęcie, wyraźnie wspominając przy tym o osobie braminki. Odwiedziny nie dało się uniknąć, ponieważ Anglik był jedynym pozostałym w Indiach brytyjskim przyjacielem ojca i poniekąd miał prawo poznać jego syna.

Sita odmówiła i - jak było widać - bez żalu. Chciała jednak przejąć za lekarzy dyżur w niedzielę, gdyż Hindusi nie celebryją tego dnia, a jedynie liczne święta bogów będące również dniami wolnymi od pracy. Siostra Ethel zrezygnowała z przyjęcia na rzecz swojej młodszej siostry, również przełożona pielęgniarek nie miała już od dłuższego czasu wolnej chwili.

Peter był nieco zatroskany. Czy na pewno można zostawić ze sobą właśnie siostrę Ethel i Site? A może to niezbyt dobry pomysł? Zdystansowana rezerwa Ethel względem Sity zdawała się rozrastać do rozmiarów jawnej niechęci. Ale być może najlepszym wyjściem była w tym wypadku wspólna praca. Był w nie najlepszym humorze, lecz gdy zobaczył siostrę Annemarie wystrojoną w błękitną letnią sukienkę, pełną radosnego oczekiwania, zrobiło mu się lżej na duszy. Dziewczyna naprawdę zasłużyła na trochę rozrywki.

Już sama jazda przez odludne leśne doliny i nieprzebytą dżunglę stanowiła wielkie przeżycie. Od czasu do czasu napotykali stada dzikich zwierząt przyglądających się samochodowi ciekawie i bez lęku. Drogi były bardzo kiepskie, rzadko udawało się bez awarii dotrzeć do leśniczówki położonej w pobliżu Grand Eastern Trunk Road. Jeśli się dobrze wyteżyło słuch, to nocą słyszało się w dali stukot kół ekspresu zmierzającego do Kalkuty. W pewnej chwili na skrzyżowaniu dróg rozległ się ostry gwizd lokomotywy. Peter poderwał głowę. Linia kolejowa? Tutaj?

Ojciec się roześmiał.

- Tam! Drongo siedzi na gałęzi i naśladuje każdy odgłos, szczekanie psa, klakson samochodu, a nawet gwizd parowozu. Często i mnie zwodził! To duży, podobny do papugi kpiarz! Nie, pociąg nie stanowił zagrożenia, bardziej ataki panter i słoni! Wciąż się zdarzało, że jakiś osobnik dostawał wścieklizny. Długiej wędrówki, zwłaszcza nocą, nie polecano nowicjuszom.

Ale kierowca Sikh wydawał się przygotowany na wszelkie ewentualności. Z uśmiechem opanowywał pojazd, gdy wydawało się, że niebezpiecznie się rozkołysał.

Z niewielkim opóźnieniem dotarli do leśniczówki będącej tradycyjnym bungalowem. Wnętrze urządzone jednak z komfortem, jaki znaleźliby w Anglii w każdym brytyjskim domu: kanapy, krzesła klubowe, radio oraz ogromny kominek z imitacją płomieni!

Redcliff, typowy urzędnik pracujący w tropikach, wysoki, szczupły, znękany upałami i malarią, pozdrowił gości radośnie, ale oszczędnie w słowach. Pod tym względem obaj przyjaciele byli do siebie bliźniaczo podobni. Jedno spojrzenie ciemnych, przenikliwie spoglądających oczu wystarczyło, aby właściwie ocenić młodego lekarza z Niemiec. Na poźółkłym obliczu Anglika pojawił się uśmiech - został przyjęty. Ucisk dłoni nadleśniczego wcale nie odznaczał się delikatnością.

Po chwili Peter stwierdził, że jego obecność jest zbędna, gdyż obaj starsi panowie zasiedli natychmiast przed kominkiem i zatopili się w grze w szachy.

Pani Redcliff, szczupła dama o siwych włosach, na której wszystko zdawało się być wyblakłe, nawet przestarzała suknia koktajlowa, załamała rękę.

- No i ma pan tragedię, doktorze! Od dziesiątków lat to samo. Po trzech pierwszych słowach szachy! Całe szczęście, że jesteście młodzi i nie znacie desperackich gier białych żyjących w tropikach. A, siostra przełożona, miło panią powitać. Gdzie się podziewa Margaret?

Tymczasem córka spotkała na zewnątrz swojego narzeczonego Henocho Bordale'a, inżyniera. Przyjechał do Saraipali na kilka dni wypoczynku i przybył na miejsce kilka godzin przed przybyciem gości z Jalnapura. Zakochani nie zwracali uwagi na nikogo oprócz siebie. Sytuacja pani Redcliff była naprawdę nie do pozazdroszczenia.

Podawała na werandzie schłodzoną kostkami lodu whisky, sama spożywając jej przy tym zdumiewające ilości.

Alkohol rozwiązuje język, więc tym sposobem siostra Annemarie i lekarz dowiedzieli się o jej największej matczynej trosce: najprawdopodobniej wkrótce straci Margaret. Nie pomagały żadne protesty nadleśniczego, młodzi ludzie uparli się przy małżeństwie, i to nawet wbrew woli rodziców.

- Zostanę wtedy zupełnie sama, bo Ethel też jest nieszczęśliwa. Jej miłością jest Anglia. Któregoś dnia powróci do starej ojczyzny, czuję to, natomiast mojego męża nie da się wyciągnąć z dżungli i będzie tu siedział, dokąd mu tylko tchu starczy.

Jej oczy spoglądały w dal matowo i ze smutkiem. Ręka gładziła z drzeniem wyblakłe włosy. Jak bardzo niepodobna była do niej elegancka, pełna życia Margaret. Ubrana w jasnożółtą kreację wieczorową stała w głębi ogrodu wraz ze swoim kawalerem. Siostra Ethel bardziej wdała się w matkę, ale były aż nadto podobne, aby się dobrze rozumieć.

- Ethel powinna wyjść za mąż za naszego hinduskiego leśnika, który od lat stara się o jej względy i jest utalentowanym człowiekiem z wyższej kasty. To najbardziej odpowiadałoby mojemu mężowi. O, jak bardzo można zazdrościć matkom Hinduskom! Z góry postanawia się o małżeństwach córek i przynajmniej w tej kwestii nie ma kontrowersji.

Siostra Annemarie pochyliła się ku niej.

- Nie, pani Redcliff, tu muszę się pani sprzeciwić. To, że ktoś miałby decydować o moim życiu, uważam za straszne. Te dziewczęta widzą swoich naręczonych dopiero w dniu ślubu, to niewyobrażalne! Jakie dramaty rozgrywają się w tych małżeństwach!...

Pani Redcliff potrząsnęła głową.

- O, romantyczna Niemka! Myli się pani zupełnie. Proszę nie zapominać, że hinduskim dziewczętom z gruntu obce jest pojęcie „miłość”, jakim my się posługujemy.

Jest tylko naturalna cześć dla posłanego przez bogów, nieznanego, przyszłego męża. Posłuszeństwo i wierność, to cała miłość hinduskiej kobiety.

Peter pospieszył siostrze Annemarie z pomocą, wnosząc sprzeciw:

- A kto może wiedzieć, pani Redcliff, czy w hinduskiej kobiece nie żyje jednak choćby skryte pragnienie wybrania mężczyzny, którego kocha, powiedzmy, na nasz sposób? Jeśli zaś nie, to ileż piękna nie doświadczą te dziewczyny nigdy w życiu!

Pani Redcliff uśmiechnęła się.

- Jest pan idealistą! Powiedziałabym nawet, że jest pan zbyt młody jak na Indie. Co tutaj nie opiera się na wierności i posłuszeństwie, pozostaje tylko ulotną burzą zmysłów. Ten klimat słynie z tego. Podkopuje uczucia. W ruinę idą nawet małżeństwa naszych rodaków, jeśli nie zostały wzniesione na tym samym fundamencie co hinduskie. Czy nie jest to również wielka pociecha dla rodziców, że wiedzą, iż ich córki wyrosłe w określonym, strzeżonym kręgu odnajdą zupełnie podobny krąg w małżeństwie? Przecież jedna kasta zawiera małżeństwa z tą samą, co z góry wyklucza już wiele powodów niejednej waśni. Proszę spojrzeć na Margaret! Nie była jeszcze nigdy w Kalkucie będącej milionową metropolią, a wychodzi za mąż za inżyniera, którego środowisko pracy jest jej zupełnie obce. On zewnętrznie absolutnie do niej nie pasuje. Nie jestem przekonana, że przeciwności się przyciągają. To samo i to samo, to zdrowa hinduska zasada. Uważam nawet porządek kastowy za absolutnie rozsądny i zdrowy.

Lekarz nie potrafił opanować zdumienia.

- Akceptuje pani ten skostniały system krępujący i duszący wszelkie życie?

Pani Redcliff oburzyła się.

- Tak, gdyż jestem tu wystarczająco długo. Można ograniczyć pewne przerosty, lecz w gruncie rzeczy to właśnie jest sprawdzony i wypróbowany porządek socjalny Indii. Proszę pomyśleć tylko o tym: dla młodych Hindusów nie istnieje szemranie przeciwko własnemu losowi, przeciwko zawodowi. Od kołyski dziecku tkacza przeznaczone jest stać się tkaczem, tak samo rolnikowi, rzeźbiarzowi, handlarzowi i kim tam jeszcze są. Porządek kastowy gwarantuje spokój w rodzinnych klanach - a także w społeczeństwie. Poszczególne, powiedziałabym „cechy”, żyją obok siebie bez zazdrości. Można to zaobserwować na bazarach.

Peter wzruszył ramionami.

- Coś w tym jest. Ale tym samym niektóre talenty nigdy nie osiągną celu. Życia nie da się zamknąć w schematach. Zapomina pani, że z powodu tego porządku również parias pozostanie na zawsze niedotykalnym.

Rozmówczyni uśmiechnęła się kpiąco.

- Proszę dać spokój z tym tak zwanym niegodnym człowieka bytowaniem pariasów! To europejska przesada, zwłaszcza odkąd Gandhi wywalczył dla nich pewne prawa! Muszą przecież być ludzie, którzy będą wykonywali niższe prace. - Zanim zdążył odpowiedzieć, kontynuowała z jeszcze większą zaciętością w głosie: - Wyprawiacze skór z naszych shikars, kótek łowieckich, i sweeper naszego domu są bardziej zadowoleni ze swojego losu niż my. Tylko komunizm podburza tych ludzi, aby domagali się czegoś, co przedtem nigdy nie przyszłoby im do głowy.

Wypiła znowu większy łyk whisky i zakrztusiła się.

- Nikt nie wyperswaduje mi błogosławieństwa porządku kastowego. Życzyłabym sobie czegoś podobnego i u nas.

W miarę możliwości, doktorze, proszę się ożenić z kimś pasującym do pańskiego zawodu, pielęgniarką albo kimś takim!

Siostra Annemarie i lekarz jednocześnie oblali się rumieńcem, to było zbyt jednoznaczne, na szczęście nadeszła Margaret i przedstawiła Henocha Bordale'a. Rzeczywiście niezbyt pasował do niej - był krępy i przysadzisty, nieco niższy, zmieszany i bezradny, ona zaś szybka i obrotna. A przecież kochali się.

- Nie pij tak szybko, mamó - upomniała matkę Margaret, energicznym ruchem odbierając jej szklankę. - To przecież tylko krótkotrwałe oszołomienie, a potem wszystko pozostaje tak samo.

Pani Redcliff nie sprzeciwiła się, ale też i nie zawstydziała. Ci młodzi ludzie z pewnością dojdą kiedyś i do tego stadium, jeśli pozostaną tu wystarczająco długo. U Hindusów było inaczej, obywali się bez alkoholu, gdyż od narodzin aż po grób wszystko było uregulowane.

- A tak na marginesie, to jak radzicie sobie z pańską bra- minką, doktorze? - zapytała nieco

rozpaczliwie, zmieniając temat, aby odwrócić od siebie uwagę. - Poddaje się obcemu dla niej porządkowi zawodowemu?

Spuścił wzrok.

- Trzeba się zdobyć na wzajemną tolerancję, a wówczas we wspólnie wykonywanym zawodzie nie ma nic, czego by się nie dało przezwyciężyć.

Na twarzy pani Redcliff pojawił się znowu ostry, sceptyczny uśmiešek.

- Ale tylko wtedy, gdy występuje niezwykle silny etos zawodowy albo miłość - stwierdziła.

- Proszę się nie zakochać w Hindusce, doktorze, to nigdy się dobrze nie kończy. Stwierdzi pan jedynie, że zadurzył się w kolorowym sari i pewnej dozie egzotyczności!

- Mamo! - zawołała oburzona Margaret - to przecież absurdalne!

Ale pani Redcliff wypła już trochę za dużo.

- Co w tym kraju jest absurdalne, proszę? Trzeba przestrzegać wszystkich nowicjuszy. On nie ma już matki, nieprawdaż?

Również inżynier wyglądał na wstrząśniętego. Jego świeże, młode oblicze splonęło rumieńcem. Doprawdy, trzeba się strzec, aby nie zamieszkać zbyt blisko takiej teściowej.

- Gdyby miłość zależała od sari, mamó, to nam Angielkom, żeby zdobyć męża, wystarczyłoby tylko nosić się jak Hinduski. Myślę na przykład o Ethel. Tylko jak ona wyglądałaby w sari?

- Jak upiór - potwierdziła rzeczowo matka. - Nie to miałam na myśli. Niektóre Angielki są w sari karykaturami. Mogłabym sobie wyobrazić w nim jedynie siostrę Annemarie, chociaż ma tak germańską urodę. Musi to pani raz wypróbować, siostró przełożona!

Zagadnięta w ten sposób siostra spojrzała na swoje dłonie, bawiąc się przy tym pierścionkiem z szafirem.

- Już dawno to zrobiłam, pani Redcliff. Otrzymałam podarunek od pewnego Hindusa. Ale sprawy nigdy nie poszły dalej, oni boją się naszych europejskich wolności. W tym przyznają pani rację. Hindusi i Europejczycy to ludzie z dwóch różnych światów. Nigdy jeszcze nie słyszałam, aby takie związki były udane.

- Brawo, przynajmniej jedna rozsądna! Na szczęście rzadko zdarza się coś takiego. Te, które rodzą dziecko białego, to dziewczęta w bawełnianym sari. Ale to w zasadzie wszystko. O małżeństwach rzadko się słyszy.

Wszyscy odetchnęli, gdy zjawił się odziany na biało służący.

- Memsahib, ready for dinner!

Margaret wzięła matkę na stronę. Jeśli zajdzie taka konieczność, to na siłę postara się o jej wytrzeźwienie. Gdy pani domu zjawiła się potem przy stole, nikt już nie zauważył, że miała nieco w czubie. Zachowywała się przy jedzeniu bez zarzutu - troskliwa w każdym calu gospodyni, a córka, nie musząc się troszczyć o ekscesy matki, mogła się znowu poświęcić narzeczonemu dającemu dowodnie świadectwo, iż posiada zdrowy apetyt.

Problemy rodzinne nie wydawały się napawać go najmniejszą troską.

Partnerką Petera była Annemarie, ojciec politykował właśnie z nadleśniczym - rozmawiali po angielsku.

- Widzi pan, doktorze - orzekła nieprzyjaźnie pani Redcliff, wskazując na obu mężczyzn. - Jeśli nie szachy to Nehru! I to ma wytrzymać kobieta. Rozmawia pan z siostrą Annemarie tylko o medycynie?

Peter się zaśmiał.

- Nie, chwałę właśnie nadziewane jajka i pieczeń! Prowadzi pani znakomitą kuchnię, moje uznanie! I to w Indiach Centralnych.

Pani domu poczerwieniała z dumy.

- Tak, mam kucharza, który za każdym razem oburza się, gdy memsahib osobiście działa w kuchni. Tego nie wolno wypuścić z ręki. Choćby ze względu na właściwe odżywianie proszę za żonę poszukać sobie Europejki, doktorze!

O co właściwie chodziło pani Redcliff? Uparcie wracała do jednego tematu. Czyżby na siłę,

hinduskim sposobem, chciała go wyswatać?

- Okropna niewiasta - wyszeptała siostra Annemarie po niemiecku. - To nie moja wina, panie doktorze, nie stałam się w Indiach nimfomanką.

Znowu się uśmiechnął.

- Wcale tak pani nie wygląda, siostró. Za pani zdrowie oraz dalszą pomyślną współpracę.

Kiedy posiłek się zakończył, zapadła już noc. Hamals zapalili w ogrodzie kolorowe lampiony, które niestety przyciągnęły całe stado małp. Margaret puściła kilka płyt, ale zatańczyli jedynie parę rund na wybrukowanym dziedzińcu, bo klimat nie pozwalał na intensywniejszy ruch. Zakochanym wystarczało przytulenie się i po staromodnym angielskim walcu podjęli jeszcze kilka prób.

Lekarz wkrótce wycofał się na werandę. Nie chciał znowu rzucać samotnej pani domu na pastwę ponurych rozmyślań. Te przyjęcia były jedynym światłem rozjaśniającym mroki jej egzystencji.

- Miło, że pan przyszedł, doktorze - powitała go, oddychając z ulgą. - W tym czasie zaczyna straszyć.

- Co zaczyna? - zapytała zdumiona siostra Annemarie, której wydawało się, że nie rozumiała angielskiego słowa, ale pani Redcliff powtórzyła głośno i wyraźnie:

- Tak, straszy. To pan nie wie, że Indie są tego pełne? Prawie nie ma bezpiecznego kąta. To demony, tych wielu bożków, zawsze to powtarzam. Tutaj krąży mój babu Kriszny, chociaż dobrze mu było u mnie.

Lekarz popatrzył na nią współczująco. Najwidoczniej klimat i samotność poszarpały jej nerwy. Przypadek do leczenia.

- Proszę tak na mnie nie patrzeć, doktorze, nie oszalałam. To bardzo proste. Obiecałam mu pielgrzymkę do Benares. Tylko że mój babu liczył sobie zbyt wiele lat, aby odbyć ją pieszo, więc chciałam mu dać pieniądze na podróż pociągiem. Ale zbyt zwlekałam, zmarł zanim mógł pojechać. Którejś nocy dostał gorączki i zmarł. Od tego czasu pojawia mi się regularnie albo tu na werandzie albo w moim pokoju. Stoi, spogląda na mnie ze smutkiem i prosiącym gestem wyciąga rękę. Ale dawać pieniądze zjawie? Jedynym wyjściem byłoby zawiezenie jego prochów do Gangesu, tyle tylko że moja wiara jest na to za słaba. Ostatecznie jestem anglikanką, a nie hinduską.

Peter pokiwał głową uspokajająco.

- Zupełnie możliwe skojarzenie myśli, projekcja fantazji, gdyż nie daje pani spokoju niedotrzymana obietnica.

Pani Redcliff parsknęła pogardliwie.

- Tak pan myśli? Wobec tego jak to możliwe, że widzą go również obcy nocujący w moim pokoju?

Siostra Annemarie spojrzała na lekarza ze strachem i wzdrygnęła się.

- Sugestia! - skwitował Peter.

- Well, doktorze, liczyłam się z taką odpowiedzią. Jest inny, znacznie bardziej znany przypadek. Proszę pojechać do Nagpuru, do pani Lodge, znanej w mieście starej nauczycielki. Lubowała się w historiach o zaświatach i wynajęła hinduski dom, w którym nikt nie chciał zamieszkać. Odkąd w mieście ostatni raz spalono wdowę, podobno zaczęło tam straszyć. Zaprosiła mnie kiedyś. Spałyśmy - było to w maju - na werandzie, gdyż nigdzie indziej nie można było wytrzymać.

Na własne oczy widziałam przed sobą płomienie i młodą suttę rzucającą się w nie z okrzykiem przerażenia. Ponieważ dokonała tego aktu satidaha niedobrowolnie, lecz pod przymusem, musi teraz straszyć. Tam więc, przy pełni księżyca, może pan jeszcze przeżyć oryginalne spalenie wdowy, a kiedy już zobaczy je pan, nie będzie więcej mowy o żadnych halucynacjach.

Zamilkła. Do drzwi cicho podeszła Margaret.

- Aha - odezwała się głośno. - Kolejny raz składamy wizytę pani Lodge? Wobec tego czas wracać do domu! Pański ojciec czeka na pana, doktorze!

Zerwał się z miejsca, przecierając czoło, po czym pojednawczo podał rękę pani Redcliff.

- Proszę wieczorami nie myśleć o takich okropnościach, mylady, to szkodzi pani zdrowiu.
Wielkie dzięki za gościnę.

Kobieta uśmiechnęła się słabo.

- W porządku, doktorze, wiem, co wiem, ale pozostanę sama z tą wiedzą.

Siostra Margaret wyprowadziła gości na zewnątrz.

- To okropne, co się dzieje z mamą - odezwała się przepraszająco. - Co roku jest gorzej, ale to nie jej wina. Wszystkim nam Indie atakują psychikę. Cieszę się, że Henoch zabiera mnie do Kalkuty. - Pobladła, kontynuując: - Nie, czegoś takiego nie da się wytrzymać. Wydam walkę każdej chorobie, ale kiedy Hindusi zaczynają z zaświatami i formalnie nas infekują, to ... - Wzruszyła ramionami.

Zdawała się dochodzić do siebie, dopiero gdy ściśnięci usiedli w samochodzie. Ordynator wcisnął się w róg i spał. Zegrali jeszcze jedną partię szachów, to uspokajało niczym narkoza. Peter półgłosem rozmawiał z Annemarie. Miło było mieć kogoś w pobliżu, z kim od czasu do czasu można było zamieć kilka zdań w ojczystym języku. Cenił ją bardzo, ale małżeństwo? Nie, tu pani Redcliff bardzo się pomyliła! Wreszcie oboje zamilkli, nocna podróż była męcząca, tylko Sikh promieniował świeżością, prowadząc pojazd ze zręcznością zonglera.

Gdy stanęli przed kliniką, aby wysadzić siostrę Annemarie, cały dom spowijały ciemności. Tylko nad werandą prowadzącą do pokoju hinduskiej lekarski świeciło się jeszcze słabe światło.

- Czy kumari przejęła także nocny dyżur? - chciał się dowiedzieć, otwierając bramę.

Annemarie potrząsnęła przecząco głową.

Nie, ale być może odprawia modły. Hindusi są bardzo pobożni i nie opuszczają żadnych przepisanych im modlitw.

Chętnie przechodzę tamtędy, gdy odmawiają swoje mantras. Pachnie wtedy ładnie topionym masłem.

Zachichotał.

- Co to ma wspólnego z modlitwą?

- Ofiarują roztopione masło wizerunkowi bożka. Wydaje mi się, że dozwolone jest to również kobietom. Ale co tam masło, wzrusza mnie tyle pobożności.

Zawahał się przez chwilę.

- Siostrze Annemarie, uczestniczyła pani kiedyś w kirta- nie?

Spojrzała na niego wystraszona:

- Ja? Przecież jestem chrześcijanką!

Uśmiechnął się przepraszająco, życząc dobrej nocy, a potem pospiesznie zszedł do ojca, aby pojechać wraz z nim do bungalowu lekarzy. Jeszcze się wahał, czy powinien przyjąć zaproszenie Sity.

IV

Następnego dnia miał dyżur przed południem. Z oddziału ginekologicznego wyszła mu naprzeciw Sita z noworodkiem w ręku, którego matka zmarła podczas porodu. Krewni obwiesili już dziewczynkę srebrną biżuterią, nałożywszy na małe rączki i nóżki bransolety, oraz pomalowali paznokietki wszystkich kończyn, przynależeli bowiem do wyższej kasty. Jeśli przedwcześnie narodzone dziecko pozostałoby przy życiu, chcieli je zabrać do siebie.

Widząc lekarzkę z małym człowieczkiem, poczuł wzruszenie, które szybko minęło, gdy spotkał się z siostrą Ethel.

Jej ostre oblicze płonęło oburzeniem:

- Panie doktorze! Drugi raz nie chciałabym przeżyć takiej nocy. Proszę pomyśleć, kumari odmówiła udzielenia pomocy ciężko rannemu. W nocy przywieziono pariasa pomagającego na kolei przy przetaczaniu pociągów. Stracił obie nogi, uratować go mógł tylko natychmiastowy zabieg. Kiedy usłyszała, że to niedotykalny, odwróciła się, polecając, aby odtransportowano go do Raipuru.

Peter wpadł w panikę.

- Wykrwawił się na śmierć?

- Najprawdopodobniej! No bo kto tak szybko przewoziłby pariasa?

- Szef o tym wie?

Na obliczu siostry Ethel pojawiła się satysfakcja.

- Oczywiście! Może być na coś przygotowana i to zupełnie słusznie. To przecież nie do pomyślenia. Postępując tak dalej, zrujnuje opinię kliniki!

Przeczuwał, że dojdzie do jakiegoś konfliktu, gdy ta siostra i Hinduska pozostaną razem, a do tego jeszcze ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Nie musiał długo szukać braminki.

W gabinecie szefa coś się działo, jeszcze na korytarzu usłyszał ostry głos ojca. Wszedł szybko do środka, aby załagodzić napiętą sytuację.

- A nawet gdyby właśnie sprzątnął krowią padlinę, kumari, w chwili, gdy chodziło o jego życie, miała mu pani udzielić pomocy. Proszę mi tu nie opowiadać o nieczystości. Zabraknie wody w Indiach, aby panią oczyścić, skoro bierze pani na siebie czyjaś śmierć!

Sita stała przed szefem blada, lecz opanowana.

- Bogowie sprawili, że miał umrzeć. W przeciwnym wypadku nie zostałby przywieziony, gdy europejscy lekarze byli na przyjęciu!

- Pani bogowie! Przekłęci zwyrodnialcy rodem z piekieł, skoro nie wlali pani do serca, co jest pierwszym obowiązkiem lekarza. Obojętne, czy jesteśmy kliniką dla Hindusów z kasty, w razie potrzeby jesteśmy dla każdego. Dla każdego, czy to jasne?

- Mam więc operować pariasów, gdy zajdzie konieczność?

- Dotarło to do pani? Miejmy nadzieję, że raz na zawsze!

Sita wzruszyła ramionami, spoglądając na Petera, jak gdyby widziała go po raz pierwszy.

- Zrobię to, sahib chef, ale później, aby się oczyścić, tak jak to jest przepisane, będę musiała odbywać dalekie pielgrzymki.

Skłoniła się i wyszła.

Peter natomiast musiał wyczerpać wszystkie siły, aby uspokoić ojca po tym pierwszym zetknięciu z bramińskimi prawami.

Niestety, już parę dni później Sita odmówiła asystowania przy operacji muzułmanina. Był to powszechnie znany w mieście finansista, jeden z niewielu wyznawców Allacha, jacy pozostali po podziale Hindustanu i Pakistanu. Najwidoczniej nigdy nie dało się sprowokować go do

nieprzychylnych wypowiedzi na temat kultu bogów hinduskich i dlatego go tolerowano.

Asystowanie! Nie!

- Ten człowiek jest bardziej obcy braminom niż parias. Prowadzi radzszazik i tamoszik, oba naraz, życie w dobrobycie i rozkoszach. Ma siedem żon i porzucił już pierwszą. Nie mogę go operować.

Ordynator zachował spokój.

- Natychmiast uda się pani do sali operacyjnej, kumari. Potem, jeśli chodzi o mnie, może pani pielgrzymować aż do Himalajów! Teraz ma pani pomóc!

Przeciwko bezpośredniemu poleceniu Sita nie mogła zaprotestować. Jej zdaniem od momentu podpisania umowy szef miał nad nią prawie tę samą władzę co rodzony ojciec. Widząc, jak cierpi na skutek posłuszeństwa, Peter bolał wraz z nią. W milczeniu pracowali razem, dokładnie jak zawsze. Jej szczupłe dłonie nie drżały, ale ani razu nie spojrzała na niego i zaraz po operacji udała się do swojego pokoju. Senior zawziętym wzrokiem spojrzał za nią.

- Pokażemy, że jesteśmy jej godni. Raz ustąpić znaczyłoby pozbyć się wszystkiego, czego żądają etyka lekarska i chrześcijaństwo.

Junior nie odpowiedział, ale poszedł za nią. Oczekiwał przed wejściem do apartamentu tak długo, aż znowu ukazała się w drzwiach. Dostrzegł, że płakała, i zastąpił jej drogę. Ubrana była do wyjścia, ale nie towarzyszyły jej amahs.

- Kumari, pytała mnie pani niedawno, czy chciałbym wziąć udział w kirtanie kapłana bramińskiego. Dziś proszę o to, bym mógł pani towarzyszyć. Być może mógłbym sprawić, że nałożona pokuta nie będzie zbyt ciężka.

Spuściła głowę, zastanawiając się.

- Europejczykom jest to zabronione, ale poproszę, aby pana dopuszczono. Acharja, nasz przywódca religijny, jest bardzo surowy. - Podniosła ostrzegawczo drobną dłoń. - Przy świątyni Wisnu acharii Radhakriszny musimy się zjawić osobno. Najlepiej żeby wziął pan riksę!

Mówiąc to, przemknęła obok. Zdjął z wieszaka kapelusz tropikalny i zgłosił w laboratorium swoją nieobecność siostrze Annemarie, nie mówiąc dokładnie, co zamierza. Miało go nie być około godziny.

Riksą rowerową przemierzył ścisk dzielnicy bazarów. Na jego polecenie jechali tuż za prostym, podobnym pojazdem ciągniętym przez bosonogiego kulisa, aż dotarli do leżącej nieco poza miastem świątyni Wisnu. Wsiadł prawie jednocześnie z Sitą i udał się do płaskiego białego domostwa, w którym zamieszkiwał guru Radhakriszna. Dziewczyna przeraziła się, słysząc jego nalegania, aby natychmiast zaprowadzić go do kapłana. Prosiła go usilnie, aby odczekał, aż sama z nim porozmawia.

Nie chciał jej odstąpić ani na krok, więc widział, jak Sita bez słowa rzuciła się na ziemię przed drobnym, ubranym na biało braminem, aby rękoma dotknąć jego sandałów. Nie zrozumiał, co powiedziała, bo mówiła w dialekcie. Guru przez chwilę stał nieruchomo z opuszczonymi oczyma, jak gdyby nie było żadnego przybysza. Ten brak uwagi był dotkliwszy, niż gdyby zamknęły się przed nim stalowe drzwi.

Wreszcie posłyszał łagodny głos odpowiadający w obcej mowie.

Sita podniosła się z pokornie złożonymi rękoma i odstąpiła od niego. Dopiero teraz acharja podniósł ciężkie powieki. Długie, spokojne i przenikliwe spojrzenie, a następnie odpowiedź po angielsku:

- Wolno panu wziąć udział w kirtanie, który za pół godziny rozpocznie się w tym domu, aby nauczył się pan rozumieć postawę hinduskiej kobiety!

Służący poprowadził oboje do sali, w której oprócz zasłoniętego niewielkiego posągu bóstwa i kilku mat do siedzenia nic więcej nie było. Zebrało się już kilku gości. Siedzieli na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, mężczyźni i kobiety osobno. Wysoki Anglik nie wyjmujący również tutaj fajki z kącika ust jako jedyny biały przykucnął przy tylnej ścianie. Gdy Peter zajął miejsce obok, pozdrowił go milcząco. Na chudych kolanach Brytyjczyka dostrzegł sporych rozmiarów blok stenograficzny - najwidoczniej był to jeden z wszędobylskich reporterów. Jak

udało mu się uzyskać zgodę na wejście?

Po chwili, gdy zbierało się coraz więcej Hindusów, a guru ciągle się nie pojawiał, lekarz odważył się zadać pytanie sąsiadowi?

- Orientuje się pan, co nas tutaj czeka? Rytuał ofiarniczy czy szkoła jogi?

Anglik przesunął fajkę z jednego kącika ust do drugiego, po czym odmruknął:

- Ani jedno, ani drugie. Najprawdopodobniej recytacja świętych pism. Dlatego tu przyszedłem. - Ukłonił się nieco niechętnie, wymruczał niezrozumiałe nazwisko i dodał wyjaśniająco: - Filozof, porównawcza filozofia religii!

- Dziękuję, Peter Larsen, jestem lekarzem.

Rozmówca spojrzał na niego z ukosa.

- Ma pan szczęście, jeśli będzie świadkiem samadhi. Ale, niestety, nie będzie go wolno panu zbadać. Szkoda.

- Co miał pan na myśli, mówiąc samadhi?

Brytyjczyk wytrzeszczył oczy.

- Stan całkowitej ekstazy. Myślałem, że interesuje pana zbadanie tego fenomenu. Tym ludziom udaje się w takim stopniu spowolnić oddychanie, że organicznie jest ono nie do wykrycia.

Peter uśmiechnął się.

- Nie, sprowadzają mnie prywatne sprawy.

Anglik zmarszczył brwi, odwracając się z niechęcią. Myślał pewnie, że ma do czynienia z jednym z tych, którzy gotowi byli przejść na hinduizm, co zdarzało się często, zwłaszcza w kręgach akademickich.

Ale zabrakło czasu na dalsze wyjaśnienia, bo zjawił się acharja.

Najpierw odsłonił posąg bożka przedstawiający tańczącego Krisznę, po czym rzucił na żar nieco ziaren kadzidła oraz polał go topionym masłem! Półgłosem odmówił prastare mantras!

Minęła dłuższa chwila. Hindusi siedzieli cierpliwie i w bezruchu. Wreszcie kapłan podniósł się, zwrócił ku wiernym i kazał podać spisana sanskrytem księgę. Rozpoczął swoją naukę brzmiącą podobnie jak recytacja psalmów.

Lekarz spojrzał pytająco na filozofa.

Ten pochyliwszy się ku niemu, wyszeptał:

- Tak właśnie myślałem: wersety z ramayana, ludowego poematu o bogach. Acharja jest jednym z niewielu, którzy studiowali, i to wszystkie wedy, upaniszady i puranas. To najwidoczniej przeznaczone jest dla początkujących albo kobiet!

Tak, szczególnie niewiasty przysłuchiwały się z oddaniem półgłósnemu pomrukowi. Kilkakrotnie padło przy tym imię

Sita, co zwróciło uwagę Petera. Pojawiało się wciąż na nowo, a wyraz twarzy kobiet świadczył o wzruszeniu.

Jaka szkoda, że oprócz imienia nie potrafił zrozumieć niczego więcej.

Dopiero gdy acharja zakończył i oddał księgę, Peter odważył się znowu na pytanie. Anglik, który prawie nie zrobił użytku ze swojego bloku, wyjaśnił cierpliwie:

- Sita oznacza „bruzda w roli”. Jako córka królewska została oddana za żonę Ramie, który jest inkarnacją szczególnie czczonego przez acharję boga Wisznu. Porwano mu ją, lecz gdy ją odzyskał, Rama wątpił w jej czystość. Sita - ten fragment właśnie słyszeliśmy - zaręczała uroczyście o swojej niewinności i zaklinała ziemię, jej matkę, aby się otworzyła i na dowód tego, że mówi prawdę, wzięła ją do siebie. I ziemia się otworzyła, zabierając miłosiernie Sitę, tyle tylko że na zawsze. Rama na próżno prosił nieubłaganą matkę, aby mu ją oddała. Wreszcie wstąpił do niebios, przyjmując znowu postać Wisznu, niedoznającego cierpienia boga, którym był wcześniej. To właśnie tragedia, którą słyszeliśmy.

Peter słuchał w zamyśleniu.

- A więc Orfeusz pomiędzy bogami!

Powędrował spojrzeniem ku Sicie noszącej to samo imię co bogini. Jej oblicze odzwierciedlało głębokie poruszenie. W tej chwili acharja oddalił się nieco, siadając w pozycji lotosu. Dopiero gdy nastała absolutna cisza, powiedział wolno:

- Rama bole!

Hindusi natychmiast powtórzyli za nim Rama bole!, ale nie brzmiało to jak odpowiedź, lecz jak echo, które wciąż narastało, biegło wkoło, raz słabsze, raz mocniejsze, niczym szept, wzdychanie, wezwanie i wyznanie. Młody lekarz już zamierzał o coś zapytać, ale Anglik potrząsnął odmownie głową. Dopiero teraz jego długopis zaczął sunąć po papierze.

Chór Rama bole wzmógł się aż do ekstazy, oczy Hindusów zaczęły błyszczeć, a oblicza płonąć.

Cóż to mogła być za magiczna formuła? Lekarz z ciekawością przyglądał się zebrany, lecz nie mniej krytycznie od filozofa. Jedynie Sita wydała się Peterowi najbardziej trzeźwa ze wszystkich. Jeśli przedtem jej rysy zdradzały poruszenie, to teraz na jej smukłym obliczu zdawał się odmalowywać raczej smutek niż ekstaza. Co działo się w jej wnętrzu?

Nagle pełne pasji Rama bole ustało. Oczy wszystkich skierowały się na acharję i doprawdy, to musiał być ów zagadkowy stan całkowitej ekstazy, który przybrał również swami Lothas.

- To inana joga! - wyszeptał Anglik Peterowi do ucha, aby nie ściągać na siebie oburzenia widzów. - Wszystkie ćwiczenia jogi zmiierzają ku temu. Dusza zwróciła się ku wnętrzu, aby odnaleźć jedność z atman, ze swoim osobistym atman.

Lekarz wzruszył ramionami, więc Brytyjczyk snuł wyjaśniał.

- To nie takie proste do wytłumaczenia, doktorze. Atman to coś, czego nie potrafia ująć ani medycyna, ani filozofia, to boski pierwiastek w człowieku. Również celem chrześcijańskiej medytacji jest możliwość zatopienia się Bogu. Acharja to osiągnął.

- Przez Rama bole?

- Coś w tym rodzaju. Wielokrotne powtarzanie jest tylko drogą do osiągnięcia jedności z bogiem. Rama bole nie oznacza nic innego jak „mówcie Rama”! Nam Europejczykom nic to nie mówi i do niczego nie doprowadzi!

Doprawdy, kirtan był bardziej interesujący, niż Peter sobie wyobrażał, a przecież pozostał niewzruszony i niezaangażowany, gdyż nie pokazano mu tu nic poza tym, co w wielkich miastach mogliby mu zademonstrować zręczni jogini.

Odetchnął też, gdy acharja odzyskał świadomość i bez słowa opuścił salę. Ludzie wstali z miejsc oszołomieni. Zadowolony Anglik zrolował swój blok.

- Wielka szkoda, doktorze, że nie mógł go pan przebadać. Ale to byłoby świętokradztwo. Miło mi było poznać.

Oddalił się sztywnym krokiem. Po wyjściu na zewnątrz Peter zaczął wyglądać Sity. Zobaczył, że jest blada i ciągle jeszcze wyglądała na smutną.

- Co się działo, kumari? Jaką pokutę wyznaczył pani guru?

Uśmiechnęła się słabo.

- O, był bardzo łaskawy. Tylko pielgrzymkę na Sagar w styczniu.

Zrobił zdziwioną minę:

- Gdzie to jest, okolice Benares?

- Nie, to w delcie Kalkuty.

Teraz już gapił się na nią z niedowierzaniem.

- Co takiego? Tak daleko? Wykluczone, aby mogła pani opuścić klinikę na tak długo.

Wystraszona podniosła dłoń.

- To bardzo mała pokuta, jeśli weźmie się pod uwagę, jak bardzo wykroczyłam przeciwko dharma. Do Kalkuty mogę pojechać ekspresem. Sagar to wyspa, gdzie matka Ganga po raz pierwszy dowiodła swej gładzącej grzechy siły. Przygarnęła kości poległych boskiego króla i wzbudziła je do życia, chociaż zmarli w grzechach. Tam otrzymuje się przebaczenie za wiele spraw.

Pokiwał głową.

- Sito, czy robi pani rzeczywiście coś złego, pomagając bliźniemu, nawet jeśli to muzułmanin albo parias z ostatniej kasty?

Spojrzała na niego.

- Myśli pan po chrześcijańsku, sahib doktor. Dla nas najważniejsze jest odnalezienie zjednoczenia z naszym atman, jeśli zostało ono zakłócone. A ja - w jej oczach pojawiły się łzy - sam pan widział. Nic nie poruszyło mojej duszy, gdy wszyscy wołali Rama bole. Jestem bardzo poróżniona z moim bogiem.

Delikatnie ujął ją za rękę.

- Porozmawiam z szefem, Sito, aby mogła pani udać się na pielgrzymkę. Mamy jeszcze cztery tygodnie. A nawet gdybym osobiście musiał pani towarzyszyć, pojedzie pani na Sagar. Czy to panią zadowala?

Uśmiechnęła się do niego jak dziecko i szybko uwolniła swoją dłoń.

- Dhanyabad.

Tyle już rozumiał, znaczyło to „dziękuję”. Wkrótce znikła mu z oczu w tłumie. On zaś po tym co przeżył, nie miał ochoty wsiadać do rikszy, lecz poszedł piechotą przez dzielnicę bazaru. Gdyby tylko jeszcze wiedział, czym mógłby sprawić jej choć drobną radość? Potrzebował jakiegoś upominku.

W kramach można było znaleźć prawie wszystko w niemożliwym do ogarnięcia bogactwie: sprzęty domowe, biżuterię srebrną i złotą, dywany, wyroby artystyczne i kultowe. Mijając sterty owoców, doszedł do kramu z kwiatami, wielkiej lawiny barw i zapachów, oszalałającego morza pąków, jakie kwitły od okresu po monsunie aż do suszy, która będzie narastała od lutego, aż wreszcie wyniszczy wszelką roślinność. Jeszcze świeciły orchidee, błyszczały czerwone hibiskusy poświęcone bogini Kali, płonęły trujące kwiatostany batszanag, którymi oddawano cześć bogini Gauri. Przystanął niezdecydowany.

Nagle posłyszał młody dźwięczny głos:

- Halo, sahib doktor, proszę wziąć biały jaśmin. To kwiat Kriszny!

Peter odwrócił się zdumiony.

Jeden z tych nieopisanie sprytnych chłopców czatujących we wszystkich kątach na cudzoziemców i naganiających ich bunyas, handlarzom, uśmiechał się do niego promiennie. Liczył może dziesięć lat i był chudy niczym bambusowa tyczka.

- Skąd mnie znasz i skąd wiesz, jakich szukam kwiatów?

- Każdy bazarboy zna sahib doktor - odparł malec w dobrze zrozumiałej angielszczyźnie. - Szedłem za panem od zakończenia kirtanu, był to kirtan Kriszny. Proszę wziąć biały jaśmin, sahib doktor. Każda shrimati i każda kumari czci Krisz-nę, to się zawsze sprawdza.

Peter poczuł, że się czerwieni. Co za natrętny łobuz, pomyślał, czyżby umiał czytać w myślach? Uśmiechnięty chłopiec przyglądał się, jak lekarz płaci.

- Sahib doktor, poniosę panu kwiaty, nie wygląda pan z nimi dobrze. Jeśli potrzebuje pan czegoś z czarnego rynku, to znam wszystkich handlarzy. Dostać można u nich szczerozłote tikas do ozdobienia czoła i takie same naths, do przyozdobienia nosa. Wszystko za parę rupii.

Peter potrząsnął głową. Nie wolno mu było zdradzać własnych uczuć. Tylko tego brakowało, żeby kupował Sicie biżuterię. Jutro pewnie wiedzieliby o tym wszyscy w Jalnapurze i to dzięki temu małemu lisowi u jego boku, który cały czas mu się przyglądał. Chłopiec naprawdę go bawił.

- Proszę nie zabłądzić, sahib doktor. Tędy do kliniki, a tam do Taj Bunya. Wiem nawet, gdzie można dostać taj, herbatę, z todody, prawdziwym, oszalałającym todody, i nie wydam pana policeman.

- Dzięki, chłopcze. Zabieraj się, ja się już nie zgubię. Stąd widać dach kliniki. Oddaj mi kwiaty.

Chłopiec nie dawał za wygraną.

- Tak pan myśli? Będzie pan zmęczony, sahib doktor. Chciał pan tędy? To ulica przypraw. Każdemu białemu jest niedobrze, kiedy musi przez nią przejść, albo kicha bez końca.

A kiedy już pan tam wejdzie, to nie ujdzie klanowi żebraków. Rzucają się na pana z dzwoneczkami i bębenkami, a ja obejdę ich wszystkich.

Peter znowu się zatrzymał.

- Posłuchaj, jesteś prawdziwym geniuszem. Kim chcesz kiedyś zostać? Pewnie jakimś

zamożnym handlarzem na bazarze? Jesteś synem jakiego bunya?

Łobuzersko uśmiechnięte oblicze chłopca nagle spowaźniało, pochylił ciemną głowę.

- Jestem Khub, syn randi - wymruczał zmieszany. - Nie weźmie mnie żaden bunya ani nawet marwari, przekupień.

Peter był wstrząśnięty. Słowo „randi” miało dwojakie znaczenie - wdowa, a także ladacznica. Które było właściwe? Nie odważył się pytać.

- A jak myślisz, kim zostaniesz. Przecież nie będziesz zawsze chłopcem z bazaru?

Chłopiec uśmiechnął się smutno. Nagle jednak uniósł głowę i z radością w oczach odparł:

- Gdyby kiedyś dowiedział się pan, że potrzebuje ktoś mahout, to proszę mnie zgłosić. Chcę zostać przewodnikiem słonia. Wszyscy biali znają przecież jakiegoś radzę, który ma słonie.

Peter był rozbrojony.

- Ja niestety nie. Nie pochodzę z arystokratycznej rodziny. Wyleczyłem tylko kiedyś pewnego mahout. To wszystko. Ale dobrze, jeśli kiedyś będę miał na stole operacyjnym jakiegoś radzę, to wstawię się za tobą, Khub!

Chłopiec natychmiast wręczył mu grzecznie bukiet.

- Dziękuję, sahib doktor. Tylko proszę dotrzymać słowa. O, tam jest klinika!

Nie poszedł dalej, patrząc jedynie za białym mężczyzną wielkimi, pełnymi tęsknoty oczyma.

Peter musiał tylko wyminąć ciągnięty przez woły wóz i stanął naprzeciw ojca, który wszedł dokładnie na niego, otwierając szeroko oczy na widok ogromnej wiązanki jaśminu.

- Co to za jarzyny? Gdzie byłeś tak długo?

Peter zbył go uśmiechem:

- Jedną chwilę, ojcze. Zaniose tylko kwiaty na górę. Oboje zachowaliśmy się niewłaściwe względem Sity.

- Tak? Nic mi o tym nie wiadomo!

Junior przeszedł obok niego i wbiegł na schody. Ale na jego pukanie w drzwiach ukazała się tylko jedna z amahs. Przyjęła kwiaty, ale nie wpuściła go do środka. Rozczarowany zszedł do ojca. Teraz dopiero będzie wiązanka, ale na pewno nie kwiatów!

Słyszac relację syna, ordynator nie wierzył własnym uszom.

- Uczestniczyłeś w kirtanie? Co cię opętało?

Peter zachował spokój.

- Chciałem się sam przekonać, jak daleko sięga władza tych guru. Wydaje mi się jednak, że hinduska kobieta prawie nie może się im oprzeć. Sita nie mogła postąpić inaczej. Żebyś tylko widział tego acharję!

Senior wpadł mu w słowo.

- Koniec! To był pierwszy i ostatni raz, kiedy uczestniczyłeś w jakiejś ceremonii hinduskiej! Zrozumiałeś?

- Ależ ojcze, musisz chyba uznać moje motywy. Chciałem.

- Nie przerywaj! Tak samo zaczęła kiedyś twoja matka! Tak, wybacz! Jestem ci teraz winien pewne wyjaśnienie, które zbyt długo odkładałem. Ale myślę, że będzie lepiej, gdy dowiesz się o wszystkim od razu.

Oszołomiony syn nie potrafił ruszyć się z miejsca. Nie pojmował, co jego matka mogłaby mieć wspólnego z kirtaniem.

Ojciec z trudem szukał właściwych słów. Przeszedł nerwowo kilka kroków tam i z powrotem, aż wreszcie z ciężkim westchnieniem rozpoczął:

- Ciężko mi przychodzi to wyznanie, ale jest konieczne. Powodem, że wtedy musiałem odesłać do Niemiec twoją matkę, była nie tylko malaria tropica. Miała słabość do hinduizmu. Rozpoczęło się to zwykłym zainteresowaniem, a skończyło tragedią. Doszło do tego, że uległa jednemu z tych guru i miała zamiar przejść na hinduizm. Długo ją ostrzegałem, aż wreszcie musiałem interweniować, bo pozostawała już tylko jedna możliwość, a była to pewnie najcięższa decyzja w jej życiu - opuścić na zawsze Indie. Wiem, nie miała łatwo, ale nie żałuję tego nawet

dzisiaj. W katolickiej atmosferze Würzburga wyzdrowiała, przynajmniej wewnętrznie. Odnalazła drogę wiodącą z powrotem do chrześcijaństwa, choć nieustannie traciła siły fizyczne. Ciężko mi to przyznać, ale warto było ponieść tę ofiarę. Z jej powodu żyłem przez dwadzieścia lat jak wdowiec. To, o czym mówię, odczujesz sam za parę lat. Owszem, możesz mi robić wyrzuty! Ale i tak nie przeszkodzą mi one w tym, aby postąpić z tobą tak samo jak z twoją matką, gdybyś przypadkiem poszedł w jej ślady!

Ordynator przystanął i przeciągnął ręką po czole. Nagle wyglądał na bardzo zmęczonego. Peter poczuł głębokie współczucie.

- Nie wiedziałem o tym, ojczu. Dobrze, skoro tak to wygląda, to się zgadzam. Poza tym nie widzę powodów, aby kolejny raz brać udział w kirtanie. Nie było w nim nic wzniosłego, raczej dobrze się bawiłem.

Senior wcale nie wyglądał na przekonanego.

- Tak wszyscy mówią. To jest jak opium, bo przecież idą znowu, żeby przeżyć całkowitą ekstazę. Czy nie tłumaczyłem ci, że trzeba być misjonarzem, jeśli chce się tutaj utrzymać?

Peter wstał.

- Myślę, że teraz cię rozumiem, ojczu.

Nie miej mi za złe tego, co zrobiłem. Miałem wrażenie, że muszę się wstawić za Sita, ale obawiam się, że niewiele osiągnąłem. W styczniu musi pojechać na Sagar.

Mówiąc to, zaczerwienił się, ale ku jego zdumieniu ojciec wcale się nie oburzył.

- Niech jedzie. Styczeń to najchłodniejszy i z doświadczenia wiem, że również najspokojniejszy miesiąc w klinice. Grasuje najwyżej malaria, ale z nią można się uporać we dwóch. Gorzej gdyby musiała pielgrzymować do Benaresu albo Hardwaru. Stąd ma dobre połączenie. No dobrze, do roboty!

Sprawa była załatwiona.

Udzielone mu przez ojca wyjaśnienie długo jeszcze nurtowało Petera. Zobaczył swoich rodziców w zupełnie nowym świetle. Wiele z tego, co wydawało mu się dziwne w osobie matki, teraz znalazło uzasadnienie. Jego szacunek dla ojca jeszcze wzrósł. Miał wrażenie, jak gdyby wewnętrznie zbliżyli się do siebie.

Od tego momentu Sita bez oporów podporządkowała się dyscyplinie w klinice, była jednak bardzo cicha i zamknięta w sobie. Nadal też odczuwało się pewne napięcie między nią a siostrą Ethel. Chociaż traktowały się z chłodną uprzejmością, to jednak konieczna okazywała się ciepła mediacja siostry przełożonej Annemarie przywracająca zachwianą równowagę.

Wkrótce też cały Jalnapur wiedział, że przy udziale hinduskiej lekarki uratowane zostało życie owej kobiety, która na skutek niebezpiecznych poczynań wiejskiej położnej o mało nie umarła. Stopniowo rosło zaufanie do braminki i oddział ginekologiczny miał coraz więcej pacjentów. Poza tym rzeczywiście nastąpił stosunkowo najspokojniejszy okres.

Styczniowe noce przyniosły pewne ochłodzenie. Na kilka tygodni ustąpiła duchota, doskwierająca zwłaszcza cudzoziemcom, dla niektórych będąc poważnym zagrożeniem. Osoby wrażliwe na zmianę pogody odczuwały boleśnie każdą zmianę.

Senior doradził synowi, aby chłodniejsze dni starał się wykorzystać na wypoczynek, gdyż wkrótce - wraz ze wzrostem upałów przed nadejściem monsunu - organizm będzie musiał wykorzystać wszystkie swoje siły obronne. W wolnym czasie Peter odbywał zatem wędrowki wokół Jalnapuru, poznając bliżej kraj i ludzi. Był jednak niespokojny i zdenerwowany, gdyż Sita wraz ze swoimi amahs udała się na Sagar i nie było jej przez parę dni. Kolej oddała wprawdzie do dyspozycji pielgrzymów cały pociąg jadący w kierunku Kalkuty, gdyż w tamtejszym sanktuarium odbywały się główne uroczystości, ale jakże wiele mogło się przytrafić samotnej pokutnicy w nieprzeliczonych tłumach! Wystarczyło, że pomyślał o możliwości infekcji, jaka mogła się zdarzyć w trakcie wspólnej kąpieli tysięcy pielgrzymów w nurtach Gangesu!

Wszyscy oczywiście przysięgali, że jeszcze nigdy żaden pielgrzym nie zachorował w wyniku ablucji w świętej rzece.

Sam nie bardzo pojmował, co się z nim dzieje. Wewnętrzny niepokój narastał z dnia na dzień, wszelkie jego myśli krążyły wokół hinduskiej koleżanki po fachu z intensywnością, która

zaczęła mu wręcz przeszkadzać. Złościł go brak opanowania, gdy trzy razy dziennie udawał się piechotą albo jechał na dworzec, ilekroć przybył pociąg, którym mogła przyjechać.

Czyżby był jedyną osobą odczuwającą nieobecność Sity? W klinice prawie nie padało jej imię, pytali o nią jedynie pacjenci. Dokładał więc wszelkich starań, aby nic nie dać po sobie poznać.

Gdy po raz kolejny wrócił z próżnej wyprawy do stacji kolejowej, ojciec stał w drzwiach kliniki, informując go sucho:

- Ostatni kawałek przeszła piechotą. Weź kąpiel i odśwież się trochę, żeby nie zauważyła, jak jesteś spięty.

Widząc, jak wiadomość zelektryzowała syna, uśmiechnął się sarkastycznie, dodając: - No, dalej, ruszaj się. Za godzinę musicie być oboje w Kuteli. Ojciec Stefan jest ciężko chory. Najprawdopodobniej niedrożność jelita, nie jest zdolny do transportu.

Peter skamieniał.

- Co takiego? Stefan?

Prawie zapomniał o przyjacielu, tak bardzo jego myśli skupiły się wokół Sity.

- Hindustan jest już przygotowany. Kumari musi ci asystować, a poza tym potrzebna jest w Kuteli, gdyż upominali się

1 nią wyżej postawieni Hindusi z kast. Wiem o wszystkim. A teraz pod prysznic!

Peterowi nie trzeba było powtarzać. To prawda, czuł się zmęczony i rozbity, ale w tym momencie wróciły mu wszystkie siły. Sita wróciła szczęśliwie, a jego przyjaciel był śmiertelnie chory.

Z pośpiechu nie mógł prawie dojść do siebie, nie doszło więc do żadnego szczególnego powitania pomiędzy nim a Sitą,

2 to najwyraźniej było na rękę szefowi. Przyglądał się, jak wsiadają, po czym dał Sikhowi znak do odjazdu. Przygotowania odbyły się w największym pośpiechu, ale ordynator o niczym nie zapomniał. Starannie spakowano walizkę z instrumentami chirurgicznymi, Peter obawiał się tylko, czy wrażliwe narzędzia przeżyją tę piekielną jazdę?

Pasażerowie kiwali się na wszystkie strony, podrzucani i wstrząsani do granic wytrzymałości. Jeśli Sikh jechał ratować ludzkie życie, to najwidoczniej z zimną krwią ryzykował własne i lekarzy. Przy tym cały czas gwizdał pod nosem uspokajające czy może zaklinające ragas pewnie po to, aby udobruchać silnik.

Za samochodem ciągnęła się chmura czerwonego kurzu, otulając ich tak szczelnie, że musieli zatkać każdą szczelinę. Pomimo tego pył szczypał w oczy. Od trzech miesięcy nie spadła ani jedna kropla deszczu, drogi w kierunku Raipuru był suche jak pieprz. Przy tym musieli ciągle wymijać wozy ciągnięte przez woły, rozklekotane autobusy i stada bydła, które najczęściej dostrzegano się w ostatnim momencie.

Odświeżające działanie kąpieli wkrótce ustało, ale Peter czuł się tak, jak gdyby nie mogło im się nic złego przytrafić. Ubrana w białe lekarskie sari Sita przysiadła obok niego, uśmiechając się i milcząc. Wyraz twarzy zdradzał, że jest pogodna, prawie wesoła. Ani śladu po smutku, który znać było po niej podczas kirtanu guru Radhakriszny. Czyżby oczyszczająca z grzechów kąpiel w Gangesie uczyniła ją wolną i szczęśliwą? Czyżby hinduizm miał taką władzę nad duszami?

Nie sposób było zadać takie pytanie. W pewnej chwili na zakręcie wpadła mu w ramiona. Przez moment przytrzymał ją na piersi, ale zaraz wypuścił. Sikh gwizdnął, aż w uszach zabolalo.

Za Mahasamundem krajobraz się zmienił, zbliżyły się zalesione wzgórza wokół Saraipali, a wraz z nimi pola ryżu, kukurydzy i juty, zagajniki bambusów, tu i tam również świątynki z samotnymi domkami sadhus. Potem znowu zrobiło się płasko i pusto. Sikh odwrócił się ku nim, mówiąc:

- Proszę spojrzeć tam, gdzie widać błyszczący znak na wieży. To chrześcijański dom modlitwy. Jesteśmy prawie w Kuteli - jeszcze tylko pięć kilometrów!

Samochód znowu przyspieszył. Tylko od czasu do czasu przez zasłonę z kurzu widoczne były poszczególne zabudowania stacji misyjnej zdającej się stać u zbiegu kilku dróg.

Peter wyciągnął szyję. Pojawił się spory kościół, prosty w konstrukcji i dopasowany do skromnego otoczenia, a obok niego utrzymane w podobnym stylu pozostałe budowle: dom misjonarzy, dom sióstr, apteka i wyglądający jak stodoła szpital. Ubogi ośrodek, lecz z pewnością dysponujący tym, co niezbędne.

Gdy tylko zaparkowali, naprzeciw nim wyszła jedna z francuskich sióstr katechistek prowadzących tutaj aptekę i szpital. Jednocześnie pojawił się jeden z misjonarzy, przywołując ich do siebie.

Siostra poprowadziła ich po schodach.

- To pilne, panie doktorze. Pacjent bardzo cierpi. W domu sióstr przygotowano na operację jeden z pokoi. Nasza lekarka nie może jej przeprowadzić, bo brakuje nawet tego, co najbardziej niezbędne.

- Wszystko będzie dobrze, zaraz tam pójdziemy.

Jeszcze tylko krótkie powitanie przez misjonarzy. Peter jednym haustem wypił podany mu napój, Sita żuła betel. Ruszyli ku wskazanemu domostwu.

Ojciec Stefan leżał na łóżku blady i ze skurczoną bólem twarzą. Spróbował się słabo uśmiechnąć, lecz lekarz zdecydowanym gestem położył mu dłoń na ustach.

- Ani słowa, Stefanie! Porozmawiamy, jak się obudzisz z narkozy.

Ale podczas szybkiego badania, gdy Sita przygotowywała maskę z chloroformem, udało mu się jednak wyszeptać kilka urywanych słów:

- Tak się dzieje, gdy się śpi na kursie medycyny tropikalnej. Zażyłem streptomycynę, tylko za wcześnie wstałem po zakażeniu tyfusem.

Peter uspokajająco przejechał mu ręką po szczerkowanej czuprynie, wybielonej jeszcze przed słońce.

- Postawimy cię na nogi, old boy. Jest nas dwoje. Moja asystentka słynie z leczenia skomplikowanych przypadków. A teraz, ojciec Stefanie, proszę odliczać.

Ten pokręcił przecząco głową.

- Wolę raczej odmówić hinduskie Ojciec nasz na wypadek, gdybyście nie mogli rozwiązać tego węzła marynarskiego w moim brzuchu: „Ojciec nasz, również Ojciec harians, któryś jest w niebie, nie znającym żadnych innych bogów. niech się święci imię Twoje, nie Brahma. lecz. Abba. Ojciec.”.

Jego głos stawał się coraz słabszy i mniej wyraźny, ale Peter usłyszał jeszcze, gdy Sita odliczała krople eteru, jak młody misjonarz szepce: „Niech przyjdzie Twoje królestwo, na które Indie wyczekują od tysięcy lat.”.

Zapadł w sen, głowa opadła mu na bok. Peter skinał na Sitę. Mogli rozpocząć operację. Był to najcięższy zabieg, jakiego dotąd podejmowali się razem, zwłaszcza że brakowało niezbędnych środków. Lekarzowi wydawało się, że jest znachorem z dżungli, pracował jednak dokładnie i spokojnie. Sita bez słowa stała u jego boku, podając mu narzędzia. Nie miał nawet czasu, żeby podnieść wzrok. Jeśli uda im się usunąć powstałą niedrożność, będzie to ostatni moment. Za godzinę młody duchowny mógłby już nie żyć.

Konieczność pracy w takich warunkach stanowiła dla lekarzy wielki wysiłek. Z powodu małą nie można było otworzyć okien. Jedno ciekawskie zwierzę zniweczyłoby wszystkie starania. Peterowi pot łał się strumieniami po twarzy.

Dopiero po dwóch godzinach mogli zacząć zszywanie. Pacjent pogrążony był w głębokiej narkozie, wyglądając na bardzo wycieńczonego, ale takie bywały skutki działania eteru. Francuska lekarka wyjechała z wózkiem z pokoju, chirurdzy zaś doprowadzali się do porządku. Chciała przejąć dyżur przy chorym, kiedy jednak Sita zdjęła fartuch i opaskę z twarzy, zaoferowała się, że pozostanie przy chorym.

Peter musiał wręcz błagać, aby udała się z nim do domu misyjnego na jakiś posiłek. Przecież upłynie jeszcze kilka godzin, zanim ojciec Stefan się obudzi.

Schronienie misjonarzy przykryte azbestowymi płytami było właściwie czymś niewiele więcej niż uboga chata, pustym, czworokątnym pomieszczeniem, w którym jednocześnie pracowano i spano. W narożnikach mieściły się spiżarnie, gdzie przede wszystkim grasowały

szczury.

- Jeszcze przed kilkoma laty - opowiadał jeden z ojców, ponad siedemdziesięcioletni zakonnik - my dwa samotne ludziki spaliśmy w czasie monsunu pod parasolem. W jednej ręce ochrona przed deszczem, w drugiej brewiarz, tak udawaliśmy się na spoczynek. Moskitiery stanowiły luksus. Za to ustawialiśmy na oknie miednicę z wodą, a pośrodku umieszczaliśmy świecę. Co opaliło sobie skrzydła, topiło się. Koszmar dla Hindusów, ale dla nas coś na podobieństwo pierwszej pomocy. Tak, to były czasy misyjne, kiedy musiała nam wystarczyć lampa naftowa. Dziś jest światło elektryczne. Czy nie żyjemy w zbytnim przepychu, panie doktorze?

Lekarz rozejrzał się wokoło, uspokajając starszego człowieka. Ten jednak dalej narzekał.

- Za każdym razem robię sobie wyrzuty, gdy korzystam z rozklekotanego roweru, bo inaczej nie podołam tym czterdziestu czy pięćdziesięciu kilometrom dziennie. Niebiańscy geodeci zbyt hojnie wymierzili teren parafii. Dobrze, że z pomocą przyszli nam palotyni. Dobrze też się stało, że teraz mamy jakąś ostoję w ojczyźnie i moi bracia w Panu przybywają już bogatsi o wiedzę, którą my musieliśmy zdobywać tu na miejscu. Jakże wiele popełniliśmy błędów, które łatwo było uniknąć!

Misje w Indiach to nie jest zajęcie dla indywidualistów. Niezbędna jest wspólnota kapłanów i świeckich, tylko w ten sposób możliwe jest działanie w szerszym zakresie i ku temu możemy zmierzać, odkąd duchowi synowie Pallottiego rozbili tutaj swoje namioty.

Obecni palotyni nie bardzo chcieli się pogodzić z usłyszaną pochwałą, doskonale bowiem wiedzieli, że dopiero rozpoczęli swoje dzieło i jak dotąd niewiele udało im się osiągnąć. Niemniej postarali się o wzmocnienie chat na czas monsunu oraz rozbudowę kościoła. Brakowało jednak wielu potrzebnych rzeczy, na przykład pontonu, aby w okresie deszczu móc dostać się do wsi. Na razie musieli korzystać ze starych gumowych kaloszy, których szczelność stała pod wielkim znakiem zapytania. Ale niech się dzieje wola nieba!

Braminka nic nie jadła, jedynie piła, najwidoczniej nie wolno jej było spożywać posiłków w obecności mężczyzny. Ojcowie poinformowali ją taktownie, że w domu sióstr dostanie bardziej odpowiadające jej pokarmy. Słusznie, chciała przecież przebadać jeszcze pacjentkę, żonę właściciela młyna ryżowego, przynależącą do wyższej kasty, będącą od kilku miesięcy przy nadziei, lecz skarżącą się na dolegliwości. Francuska lekarka chciała się upewnić, czy jej diagnoza się potwierdzi.

Sita kazała się do niej zaprowadzić, a misjonarze skorzystali z okazji, aby nieco dokładniej pokazać lekarzowi stację. Najpierw udali się do szkoły wioskowej, w której nauczał hinduski nauczyciel, a na koniec do świątyni będącej powodem dumy całej wspólnoty. Ściany kościoła zostały pomalowane na sposób hinduski przez siostry. Peter jako pierwszy zajrzał do środka i zdumiał się. Przed umieszczonym w ołtarzu obrazem stała ze złożonymi dłońmi Sita.

Ten widok przypominał mu jej wizytę w sanktuarium w Würzburgu. Czy dzisiaj także będzie lekliwie schodzić z drogi pariasom? Jak bardzo miał jej za złe tę postawę! Teraz jednak - tak mu się wydawało - nie wyprowadziłoby go z równowagi, cokolwiek by uczyniła.

Nie zwracając na nic uwagi, przyglądała się artystycznie przedstawionym aniołom składającym Chrystusowi w ofierze złoty kwiat lotosu oraz kadzidło. Przez dłuższy czas zatrzymała się także przy bocznym ołtarzu poświęconym Madonnie, która - przedstawiona w błękitnym sari, z ozdobą na czole i bransoletami na przegubach rąk - wyglądała jak swojska lepiej urodzona shrimati. Wreszcie, ociągając się, opuściła mury świątyni.

Na zewnątrz poinformowała Petera, że zbadała kobietę, nakazując przetransportowanie jej do Jalnapuru na krótko przed porodem. Należało spodziewać się sporych komplikacji, z którymi w Kuteli nie było możliwości się uporać. Kiedy omawiali tę sprawę, z wioski przybiegło kilkoro ciekawskich dzieci, aby pozdrowić hinduską lekarkę, ale nie mówiły Na- masthe, jak to było przyjęte, lecz DźchaiJezus, co gdzie indziej mogłoby znaczyć „Szczęść Boże”. Nie zwracając uwagi na to, że pomiędzy potomstwem tkaczy i wieśniaków mogło znajdować się dziecko pariasów, braminka pochyliła się ku nim, zagadując w znajomym im dialekcie. Uradowane udzieliły jej odpowiedzi. Stojący obok niej misjonarz pojął zaraz w czym rzecz.

- No tak - zwrócił się do lekarza, wzruszając ramionami - to właśnie jest nasz problem. Trudnimy się, aby zniwelować różnice kastowe, a dzieci zaraz wynajdują nowe bariery. Syn ojca zarabiającego trzydzieści rupii nie może się bawić z synem tatusia, który ma ich osiemdziesiąt. Tyle tylko że ten porządek kastowy wprowadzili biali.

Schwycił jedno z dzieci, odwracając je energicznie do światła.

- Przydałaby ci się znowu mała kąpiel! Co to za szyja! Czyżby chory ojciec Stefan miał wstać z łóżka, żeby w kaczym stawie znowu nabawić się tyfusu, kiedy was w nim myje?

I zrelacjonował przysłuchującemu się w zdumieniu Peterowi, że tak właśnie doszło do nieszczęsnej infekcji. Zaraz po monsunie, gdy wioskowe sadzawki pełne były jeszcze wody, zabrał się po raz drugi do „chrzczenia” lękających się nagle wody dzieci pierwszokomunijnych. Tym razem jednak dla oczyszczenia ciała, gdyż po przejściu na chrześcijaństwo Hindusów nie obowiązują różnorakie obmycia rytualne, więc tym samym uważają, że po nawróceniu nie muszą już nic robić względem utrzymania czystości ciała. Należało połączyć naukę religii z higieną, a ojciec Stefan wypróbował to w drastyczny sposób, sam dając przykład.

Ponieważ operowany pacjent ciągle był pogrążony w narkozie i znajdował pod dobrą opieką lekarki misyjnej, zaproszono gości do przejścia przez położoną nieco na uboczu wioskę Kutela.

Chociaż nie mieli pory deszczowej, to jednak gruba warstwa brudu pokrywała wyboiste wioskowe dróżki o głęboko wyżłobionych koleinach. Ubrana w długie sari Sita ledwie dawała radę. Stanowi dróg odpowiadał wygląd chat. Były tak ubogie, że trzeba było się przemóc, aby na nie spojrzeć, nie mówiąc nawet o tym, żeby wciskać się do ciemnego, pozbawionego okien wnętrza przez wąski otwór drzwiowy. „Szacunek dla palotynów”, pomyślał lekarz w skrytości ducha.

Właśnie kilka kobiet z wewnątrz i zewnątrz smarowało ściany chat krowim nawozem, a także polewało wszystkie kąty uryną świętych zwierząt. Mówiono, że zabieg ten dezynfekuje, ale Peter jakoś nie mógł w to uwierzyć.

W cieniu lepierek pokrytych liśćmi palmowymi siedzieli przy pracy tkacze.

- Zakładam, że Adam wymyślił te urządzenia zaraz po wypędzeniu z rajy - wyjaśnił z uśmiechem jeden z ojców - i od tego czasu nic nie zostało ulepszone ani zmodernizowane!

W trakcie tej inspekcji Petera uderzyło, że żaden z napotkanych ludzi, chociaż bardzo ubogi, nie wyglądał na ponurego ani nieszczęśliwego. Wszędzie pozdrawiano go przyjaźnie z promiennym uśmiechem. Przypomniał sobie wówczas słowa ojca, który zaoponował przeciwko współczuciu tym ludziom prostoty warunków ich egzystencji. Teraz go rozumiał. Jeśli mieli wystarczającą ilość pożywienia i zadowalało ich bogactwo wielodzietności, to czy nie posiadali wszystkiego, czego potrzebowali do ziemskiego życia? I czy w swoim braku wymagań nie byli szczęśliwsi niż niejeden znudzony przesytem Europejczyk żyjący w Indiach?

Gdy lekarz podzielił się z misjonarzem swoimi myślami, zagadnięty ojciec przytaknął.

- Proszę jednak nie zapomnieć, że tak naprawdę dopiero przyjscie misjonarzy sprawiło, iż każda rodzina ma wreszcie garść ryżu. Przedtem wymierali dziesiątkowani klęskami głodu i epidemiami. Dziś mają to, co niezbędne do normalnego bycia człowiekiem i bez czego prawdziwa religijność prawie nie jest możliwa.

Sita spojrzała z uwagą na misjonarza.

- Co więc zrobiliście? Posiadacie tyle ziemi, aby uprawiać ryż w ilości wystarczającej do żywienia całej wioski? - zapytała po angielsku.

Palotyn zmieszał się nieco.

- Nie, nasza misja nie posiada własności ziemskiej, jesteśmy ubodzy. Ale problem panującej powszechnie nędzy nie dawał nam spokoju. Doszliśmy do wniosku, że pomożemy tym ludziom w inny sposób.

Zaobserwowaliśmy bowiem, jak w mieście oszukuje się ich przy zakupie surowców. Każdy z nich kupował na własną rękę. Przekonaliśmy ich, żeby wybrali spośród siebie jednego kupca obeznanego z handlem, który będzie na tyle zręczny, aby poróżnić handlarzy między sobą.

Oczywiście nikt się nie zgłosił. Wówczas rolę kupców wzięliśmy na siebie my, misjonarze, oczywiście nieodpłatnie. Od tej pory mieszkańcy wioski zarabiają na swoich produktach tyle, że mogą przynajmniej żyć - i to jak widać - w spokoju.

Peter musiał się uśmiechnąć.

- Nie przyszłoby księdzu do głowy podczas studiów, że będzie miał z czymś takim do czynienia?

Misjonarz odparł pogodnie:

- Indie zawsze okazują się inne, niż można się spodziewać. Trzeba wykorzystać każdą okoliczność. Zrobiliśmy tak, i tym sposobem zdobyliśmy zaufanie ludzi. Przede wszystkim nie wpadną w sidła komunistom obiecującym im zawsze jedno: pozbawienie władzy możnych. Należy poważnie podejść do rozwiązywania ich własnych, konkretnych problemów. Narzucaniem im naszej kultury nie osiągniemy tego.

Słyszając to, zdziwiona Sita zatrzymała się, patrząc uważnie na duchownego.

- Macie zamiar pozostawić Hindusów Hindusami? - zapytała z naiwnością, jaka zdumiała Petera. Czego innego oczekiwała?

Misjonarz przytaknął.

- Oczywiście. Kościół nie zamierza europeizować całej ziemi. Azja dla Azjatów, nieprawdaż, to było również hasło Indii w Bangkoku? Nigdy nie chcieliśmy niczego innego. Czy nie widzi pani, kumari, że przyjęliśmy Indie nawet do naszego kościoła: w sprzętach liturgicznych i obrazach?

Również podczas nabożeństw, na ile to możliwe, odwołujemy się do pobożności hinduskiej. Wskazał ku szkole.

- Proszę spojrzeć, tam siedzą w kręgu nasze dzieci, a ojciec Stefan śpiewał im naszą chrześcijańską naukę na podobieństwo puranas, tak jak to robią wasi mnisiżebacy. Chrystus jest na tyle wielki, aby stać się wszystkim dla wszystkich.

Zabrał się do odejścia, gdyż tym rzeczowym stwierdzeniem nie chciał wywierać żadnego szczególnego wrażenia.

Nagle Peter poczuł, że braminka podeszła bliżej.

- Czegoś pani potrzebuje, Sito?

Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Tak, proszę poprosić swamis, aby po lunchu poświęcili mi chwilę czasu. Chciałabym zapytać o parę spraw.

- Oczywiście, kumari. Pójdziemy razem do stacji misyjnej. W południe obejmę dyżur przy ojcu Stefanie.

Zaraz po spożyciu posiłku lekarz udał się do chorego. Lekarka poinformowała, że właśnie odzyskał świadomość. Kiedy pochylił się nad nim, po matowym jeszcze spojrzeniu zakonnika skonstatował, że rozpoznaje przyjaciela, ale nie mógł jeszcze niestety mówić. Gdy ustąpiła narkoza, pojawił się ból. Nie można też było ostatecznie powiedzieć, czy przeżyje, choć w wypadku jego krzepkiej natury lekarz nie żywił co do tego większych wątpliwości. Prawdziwy Westfalczyk nie żegna się tak łatwo ze światem, a że operacja się udała, tego Peter nie poddawał w najmniejszą wątpliwość. Trudniej przychodziło uspokoić pacjenta, gdy poczuł zwykłe w takich wypadkach dręczące pragnienie. W Indiach stawało się ono jeszcze dotkliwsze, a pomimo tego choremu można było jedynie zwilżyć wargi.

- Nie mogę ci podać niczego do picia, Stefanie, bo to byłby wyrok śmierci i niepowetowana strata dla tej kwitnącej misji.

Usta ojca Stefana wykrzywił kpiący uśmiech. Najwidoczniej w tym ubogim kraju nie wszystko szło tak, jak by sobie tego życzył. Słusznie się mówiło, że trzeba tu przywieźć ze sobą worek cierpliwości.

- Tyle pragnienia, tyle pragnienia, w Indiach - szeptał - nie starczy wody w Mahanadi, żeby go ugasić.

- Owszem - sprzeciwił się Peter. - Jutro będziesz mógł zrobić pierwszy łyk.

- Pragnienie prawdy - wymruczał jeszcze ojciec Stefan, zanim zaczął działać zastrzyk ze środkiem uspokajającym, mającym mu ulżyć w pierwszych, ciężkich godzinach. Wzruszony lekarz spojrzał na leżącego przyjaciela. Najwidoczniej młody pacjent świadomie ofiarował Bogu swoje

cierpienia, aby w miarę możliwości pomóc Indiom. Czy nie był to słuszny cel w kraju, w którym tak wiele cierpiano? Kiedy już Stefan odzyska siły, miał zamiar zapytać go o dalszy ciąg wstrząsającego „hinduskiego Ojca nasz”, jakie odmawiał przy podawaniu narkozy.

Kiedy duchowny zasnął, zjawiła się znowu francuska siostra, aby zmienić lekarza. Powinien przecież skorzystać z odwiedzin w Kuteli. Szybko więc udał się do domostwa misjonarzy.

W środku dyskutowano tak zawzięcie, że nie usłyszano jego wejścia. Nieomal ze strachem w głosie Sita pytała właśnie:

- Więc nie zwalczacie hinduizmu? Mówicie, że tolerujecie go? Myślałam, że uważacie nas za zaślepionych pogan!

Starszy misjonarz zrobił ręką obronny gest.

- Zaślepione pogaństwo to coś zupełnie innego. Znam przepełnione wielką tęsknotą za Bogiem święte księgi Indii świadczące o głębokiej religijności pani narodu i przepowiadające pewne prawdy, które dadzą się pogodzić i z naszym ujęciem.

Peter podszedł bliżej. Sita nie zwracała na niego uwagi, gdyż tak wciągnęła ją prowadzona rozmowa.

- A co sądzicie o życiu naszych świętych mężów, sadhus i sannjasins, gurus i acharjas?

Na twarzy misjonarza pojawił się uśmiech.

- Mamy tu w Kuteli uczonego dwiwedi, z którym często rozmawiałem na temat stanu mnisiego w Indiach. Modlitwa, jaką mi wyrecytował, mogłaby równie dobrze pochodzić od naszego świętego brata Franciszka:

Skłaniam się przed tymi, którzy przewyciężają swoje namiętności,

Skłaniam się przed tymi, którzy dochodzą do poznania,

Skłaniam się przed religijnie doskonałymi,

Skłaniam się przed prawdami religijnymi.

Skłaniam się przed wszystkimi mnichami na świecie.

Sita przytaknęła z błyszczącymi oczyma.

- Tak - wyszeptwała cicho - tylko dlaczego od chrześcijańskich mnichów bije więcej światła i radości? W pewien sposób wszyscy nasi sadhus są smutni. Nawet w ekstazie jest smutek.

Misjonarz nachylił się ku niej.

- Myślę, że powodem jest poznanie jedynie części prawdy, kumari, a wolnym czyni tylko całość. Ponieważ nie znają całej prawdy o Bogu, najpoważniejsi hinduscy mnisi składają trzy straszliwe śluby zrezygnowania ze wszelkiego rodzaju szczęścia: szczęścia pochodzącego od człowieka, szczęścia pochodzącego od czystych duchów i wreszcie szczęścia w zaświatach, które my ujmujemy pojęciem „raju”. Tymczasem wyrzeknięcie się bycia szczęśliwym sprzeciwia się naturze człowieka.

Ciemne oczy Sity stały się jeszcze większe.

- To prawda, swami, poczułam to, kiedy brałam udział w kirtanie. Człowiek pragnie być szczęśliwy, lecz dlaczego?

- Ponieważ zostaliśmy stworzeni przez Boga, który sam jest szczęściem i pełnią zbawienia. Powołał nas do swojego szczęścia, a nie do całkowitego wyrzeczenia.

Zadając ostatnie pytanie, Sita pobladła.

- Jednakowe szczęście dla wszystkich ludzi?

- Tak, zarówno dla braminów, jaki i dla niedotykalnych.

Braminka zamilkła, a następnie złożyła dłonie i skłoniła się.

- Dziękuję! To wszystko, czego się chciałam dowiedzieć. Zgadza się z tym, o czym dowiedziałam się w Kalkucie.

Odwróciła się i bezszelestnie wyszła na zewnątrz. Chciała zostać sama. Z nieustępliwością właściwą wszystkim Hindusom, którzy oddają się medytacji, odsuwała się od ludzi, ilekroć tylko odczuwała taką potrzebę.

Peter w pojedynkę objął nocny dyżur przy ojcu Stefanie. Chory leżał spokojnie na wznak, oddychając regularnie. Lekarz pograżył się we własnych myślach. Tak długo pracował obok niej,

nie domyślając się nawet, jakie problemy ją nurtują. Dopiero przyjazd do Kuteli sprawił, że otrzymała odpowiedź na najbardziej dręczące pytania. Tylko co oznaczały jej poszukiwania?

Zatopiony w myślach nie zauważył, że od dłuższego czasu jest obserwowany. Przyjaciel się obudził - bóle najwidoczniej ustąpiły - i czytał w jego twarzy.

- Wolno mi zapytać, co masz na sumieniu? - wyszeptał.

Peter się wystraszył, po czym uśmiechnął zmieszany.

- Myślę o Sicie. Poszukuje prawdy.

Ojciec Stefan skinął głową.

- Powinna. Myślisz, że na próżno walczę tu jak lew z tym piekielnym pragnieniem i znoszę je bez jednego słowa sprzeciwu?

Lekarz się zdumiał. Czyżby Stefan wierzył w tę wzajemność? Czy cierpiał za lekarzkę, która pomogła go uratować? Czy naprawdę istniało coś takiego w królestwie ducha?

Nachylił się ku niemu.

- Posłuchaj Stefanie, zanim wzięliśmy się za ciebie, odmawiałeś Ojczy nasz, które wydało mi się nową jego wersją dla Indii. Ale usłyszałem tylko połowę!

Duchowny zrozumiał. Po chwili milczenia zaczął powoli:

- Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i w Indiach, a nie potęga możnych, którzy starają się o nasze względy.

Daj nam garść ryżu na co dzień bez różnicy kast.

I przebacz nam naszą winę, polegającą na tym, że na równi stawiamy Twoich misjonarzy ze zdobywcami Indii.

Bo i my przebaczymy naszym winowajcom, panom kolonialnym i białym chcącym na nas zarobić.

I nie wódz nas na pokuszenie stania się materialistami, gdy sięgamy po dokonania Zachodu.

Ale zbaw nas ode złego stania się komunistami, którzy chcieliby zabrać nam to, co zawsze było największym bogactwem Indii - wiarę w to, co boskie. Amen.

Peter odchrząknął, zaciskając wargi. Sposób, w jaki ciężko chory, cierpiąc bóle, odmawiał „hinduskie Ojczy nasz” mogło poruszyć nawet twardego mężczyznę. Położył swoją dłoń na jego.

- Dziękuję, Stefanie! Spróbuj teraz zasnąć. Porozmawiamy na ten temat, kiedy już wrócisz do zdrowia. Nie miałem pojęcia, jakich wewnętrznych dysput domagają się Indie. Myślę, że teraz mogę odpowiedzieć na jej pytania.

Po godzinie, gdy chory już zasnął, przyszła na dyżur Sita. Jej zachowanie jeszcze nadal było lękliwe i zdystansowane. Peter bez słowa udał się na spoczynek.

Pozostali w Kuteli jeszcze przez jeden dzień, potem zdrowie pacjenta poprawiło się do tego stopnia, że bez obaw mogli go powierzyć opiece miejscowej lekarki.

Rozstanie przychodziło z trudem. Niewiele brakowało, by pozostali dłużej, ponieważ kierujący hindustanem Sikh zachorował nagle na malarię, zapewne z powodu chłodnych wiejskich nocy. Ale ich czas dobiegł końca, musieli już wracać. Ordynator dzwonił, dowiadując się, kiedy przyjadą.

Peter sam zajął miejsce za kierownicą. W ciągu dnia trudno było się zgubić, gdyż Anglicy, odchodząc, pozostawili wystarczająco dużo kierunkowskazów. Spokojniejszy i wolniejszy sposób jazdy młodego lekarza zdawał się być dla Sity prawdziwą ulgą. Odważyła się nawet usiąść obok niego, patrząc na pokonywaną drogę.

Kilkakrotnie musieli wymijać leżące na drodze krowy albo czekać, aż same się podniosą i umożliwią przejazd. Byłoby prawdziwym świętokradztwem przepędzać siłą święte zwierzęta. Podczas takiej nieprzewidzianej przerwy w wąskiej leśnej dolinie Sita nagle zwróciła się do niego, pytając cicho:

- Sahib doktor, doświadczył pan tego, że chrześcijańskie miłosierdzie czyni szczęśliwym?

Co za pytanie! Spojrzał na nią zdumiony.

- Dlaczego pani pyta?

Spuściła wzrok.

- W Kalkucie miałam pewne spotkanie, ale nie chciałabym jeszcze o tym rozmawiać. Zobaczyłam, czym ono jest: miłością bliźniego w czynie i prostocie. Czy zna pan szczęście chrześcijan niemuszających pytać o karmę, lecz spieszących z pomocą?

Zastanawiał się długo, wreszcie odparł z ociąganiem:

- Wydaje mi się, że tak, Sito. Nasz zawód polega na spieszeniu z pomocą, a pani w nieco dramatyczny sposób musiała doświadczyć tego, co znaczy pomagać wszystkim bez różnicy.

Pokręciła głową.

- Mam na myśli coś więcej. Nie zawód, lecz miłosierdzie od wewnątrz. Czy to prawda, że wasz Bóg powiedział, iż pragnie miłosierdzia, a nie ofiary?

Peter spojrzał na nią zdziwiony.

- Owszem, to właśnie nauczanie Chrystusa. Można powiedzieć, że dziełem Jego życia jest przyniesienie nam miłosierdzia. Trzeba było zapytać o to z misjonarzy.

- Nie, sahib doktor. Nie misjonarzy, tylko chrześcijan. Gdybym chciała zostać chrześcijanką, to jako braminka nie mogłabym ot tak, po prostu, udać się do Kuteli - rozłożyła swoje wąskie ciemne dłonie - i powiedzieć: „Swami, proszę mnie ochrzcić”, bo wtedy natychmiast wykluczono by mnie z mojej kasty i byłabym bardziej bezbronna niż każda randi.

Do czego zmierzała? Biała krowa ciągle zastawiała drogę, gapiąc się na pojazd i przeżuwając spokojnie. Tym razem nie zdenerwował się. Czuł, że są to bezcenne, jedyne w swoim rodzaju chwile.

- Jak mogę pani pomóc, Sito?

Zwróciła się ku niemu i składając ręce w niedającym się opisać geście otwartości i prostoty, odparła miękkim głosem:

- Wiem o pewnej możliwości, jedynej dla braminki. Musiałabym wyjść za mąż za Europejczyka, gdyż tylko jako mężatka miałabym pełną ochronę przed prawem.

Krew uderzyła mu do głowy, ogłuszając na chwilę. Co odpowiedzieć? Jedno niewłaściwe słowo zniweczy wszystko na zawsze. Zachrypniętym głosem wykrztusił z siebie:

- Rozumiem. To musiałby być natychmiast pełny związek. Myśli pani o konkretnym mężczyźnie?

Przeleciało mu przez głowę, że w New Delhi miała przecież krewnych i kogoś starającego się o jej rękę, może nawet Europejczyka. Sita uśmiechnęła się, w jej ciemnych oczach pojawił się głęboki cień.

- Sahib doktor- odpowiedziała tylko.

Z początku nie bardzo rozumiał, a potem w sercu wybuchł mu wulkan ognia. Pochwycił ją, przytulając do piersi. Sita była zbyt wystraszona, żeby się bronić, lecz zadrzała, czując jego wargi na swoich. Wziął jej głowę w swoje ręce, spoglądając w pełne lęku oczy.

- Sito, kocham cię, i to nie od teraz, lecz już dłużej. Nie wiedziałem nawet, że aż tak bardzo. Przrzekam ci, że będziesz moja. Pobierzemy się, a jeśli zechcesz, nawet natychmiast.

Drżąc, uwolniła się z jego uścisku.

- O, sahib doktor! Co pan zrobił? Mnie wolno pocałować dopiero po ślubie, teraz bogowie będą gniewni.

- Nonsens, Sito. Przecież chcesz zostać chrześcijanką. Bogowie - nawet Kriszna - nie będą już mieć władzy nad tobą.

Drżącymi palcami doprowadziła do porządku swoje sari, okrywając jego połą głowę. Gest ten miał wyraźnie obronny charakter.

- Nie możemy zaraz brać ślubu. W Indiach nikt tak nie robi. Astrologowie muszą ustalić najlepszy moment. Poza tym musimy poczekać, aż dostanę mój dyplom.

Spojrzał na nią rozczerowany.

- To potrwa jeszcze przynajmniej z rok. Po co tak długo czekać?

Spuściła głowę.

- Nie dostanę dyplomu w Indiach, jeśli wyjdę za Europejczyka. Takie kobiety traktuje się z pogardą.

- Aha, to najwidoczniej wiąże się z porządkiem kastowym?

Przytaknęła bojaźliwie.

- Tak, małżeństwo z Europejczykiem oznacza również wykluczenie z kasty. Ale to nie stanowiłoby większego problemu, gdyż według obowiązującego teraz prawa byłabym pod opieką mojego męża. Wykluczenie i brak opieki to tragedia. Dlatego rodzina nie może się o niczym dowiedzieć, dopóki nie dopełni się wszystkich formalności.

- Więc nie będę mógł formalnie starać się o twoją rękę?

Niczym echo z przeszłości z jej ust padły słowa: „Nie zabiega się o rękę Sity!”. Tak powiedział jej brat. Teraz to zrozumiał. O małżeństwach decydowały tylko i wyłącznie rodziny.

Bramini nigdy nie zgodziliby się, aby ich córka poślubiła pogardzanego mleczach, cudzoziemca będącego „barbarzyńcą” i według świętych pism kimś na podobieństwo „zwierzęcia o ludzkim obliczu”. Chociaż to radykalne ujęcie straciło w nowoczesnych Indiach nieco ostrości, to jednak ciągle obowiązywało w wyższych sferach.

- To znaczy, że musimy się ukrywać przed moim ojcem i innymi w klinice? Nie podoba mi się to, Sito.

- O, to nie obłuda, sahibie, jeśli będziemy rozdzieleni wewnątrz i zewnątrz. W hinduskich małżeństwach poznaje się drugą stronę dopiero od dnia ślubu.

Pochwyił jej dłoń, ściskając mocno.

- Ale kiedy nie będzie świadków, będziesz mi mówić po imieniu!

Zaczęła się bronić wystraszona.

- Nie, nie, nawet po ślubie będzie pan moim czcigodnym małżonkiem!

- Wykluczone, Sito. Po zawarciu związku małżeńskiego zostaniesz, można powiedzieć, Europejką, i chcę, żebyśmy zwracali się do siebie po imieniu!

Uśmiechnęła się słabo.

- Europejką według prawa, owszem, ale w sercu pozostanę Hinduską. Będę pana czciła i nigdy nie pozwolę sobie na „ty”.

Musiał uzbroić się w cierpliwość. I to jaką cierpliwość! Pewnie aż do dnia ślubu nie dojdzie między nimi do żadnej zażyłości. Czy będzie to można wytrzymać i to w ciągłej bliskości, jaką narzucała praca w klinice?

- Sito, widziałaś już przecież filmy europejskie, filmy o miłości!

Wstrząsnęła się.

- Tak. Każda Hinduska odczuwa wstręt przed pocałunkiem na forum publicznym i czułościami na ekranie.

W ten sposób jej nie przekona. Ale nie rezygnował.

- Wiem coś na temat waszych sag o Krisznie, Sito. Wydają mi się absolutnie nie pasować do głoszonej powszechnie czystości hinduskich kobiet. Przecież słuchacie o tym podczas waszych kirtanów. Czy w duchu nie dopełnia się wówczas to, czym gardzicie czynem?

Poczerwieniała nieco, bezradnie rozkładając ręce.

- Rozumiem, to musi być wstrząs dla cudzoziemca, tylko że są to miłosne przygody boga, a nie ludzi. Podobnie należy pojmować obrazy boskiej siły płodności przedstawione symbolicznie w naszych świątyniach. Wszystko jest tylko przypowieścią i ujęte bardziej duchowo niż się to wydaje Europejczykom.

Wzruszył ramionami:

- Nie bardzo mnie to przekonuje, Sito. Weźmy kult Kriszny: ileż zmysłowości kryje się już w samych tylko ragas, które koło swojego math wygrywa wieczorami na flecie stary sadhu! Jeśli myślimy o duchu, to mamy na myśli ducha, a nie ciało. Duchowa tęsknota zdaje się kroczyć bardzo ludzką drogą.

I w tym momencie krowa zagradzająca im drogę niczym natchniona przez bogów podniosła się, krocząc dostojnie ku wiodącej przez pola ścieżce. Peter otrząsnął się i czując, że zbyt mocno wprawia Site w zakłopotanie, wystartował gwałtownie.

Teraz prowadził znacznie szybciej i wymagające koncentracji prowadzenie samochodu uspokoiło mu nerwy. Wkrótce nie myślał o niczym innym, jak tylko o możliwie najszybszym

pokonaniu trasy. Dopiero na krótko przed Jalnapurem zwolnił nieco, oznajmiając z zakłopotanym uśmiechem na twarzy:

- Dobrze, Sito, nawet gdybym musiał pójść na naukę do jogina, żeby nauczyć się doskonałego opanowania, to, o czym rozmawialiśmy, pozostanie między nami. W klinice i przy pracy będziemy mówić do siebie „pan” i „pani”. Niech dzień naszego ślubu zaskoczy Indie!

Sita odpowiedziała uśmiechem, skłaniając się z widoczną ulgą.

Kiedy weszli do budynku kliniki, nikt nie zauważył, by coś między nimi zaszło.

Był to dzień holi, hinduski karnawał obchodzony w marcu podczas pierwszego nowiu księżyca, gdy Peterowi znowu nadarzyła się okazja niezauważenie spotkać się z Sita. Dla niego to święto barw i powszechnej radości życia było czymś niezwykłym. Już wczesnym rankiem, idąc do miasta, zauważył, że wszyscy Hindusi włożyli nowe, bajecznie kolorowe odzienia. Ubodzy wyprali najlepsze sari i jeśli nawet miały one barwę białą, to długo takimi nie pozostaną.

Nie dotarł jeszcze do bazaru, kiedy na jego białe ubranie tropikalne spadły pierwsze krople czerwonej farby, które kilku roześmianych chłopców wystrzeliło w jego stronę z nowoczesnego pistoletu na wodę. Złościć się na nich? Wszędzie śmiechy, radość i tumult, wszyscy starali się, jak mogli, żeby nie dać się przemoczyć do suchej nitki kolorowymi farbami. Cały Jalnapur upajał się orgią barw.

W poprzek ulicy rozwieszono utrudniające przejście tęczowe płótna, z których szyje się sari, a kiedy przechodzić już się wykupił, to i tak sprawiano mu kąpiel w kolorowej wodzie zabarwionej na czerwono lub żółto. Wreszcie Peterowi udało się dotrzeć do kliniki. Wiedział już, dlaczego wczesnym rankiem ojciec doradzał mu skorzystanie z samochodu.

W samej klinice wszyscy, którzy tylko byli w stanie, pchali się na zewnątrz. Dzień był podobny do zachodniego karnawału, tylko się nie przebierano, lecz malowano jaskrawymi barwami twarze i sprawiano obcym psikusy za pomocą kolorowego proszku i farb wodnych!

Również służące kumari doktor miały dziś swój dzień wolny. Krzykliwie ubrane dołączyły do rozbawionego tłumu. W tym dniu nie obowiązywały też różnice kastowe.

Gdy po skończonym dyżurze Sita przebrana w złotoczerwone sari chciała opuścić szpital, Peter zapytał ją o znaczenie tych dziwnych zwyczajów.

Uśmiechnęła się zmieszana.

- Dla nas to dzień narodzin Kriszny, na ulicach i w świątyniach zapłoną ognie radości. Zdawało mu się, że myśli o czymś innym niż o hałaśliwym świętowaniu.

- Zauważyłem, że hinduskie kobiety mają w tym dniu więcej swobody niż zwykle. Czy wolno mi pani towarzyszyć, kumari?

Ociągała się z odpowiedzią, a potem wyszeptwała:

- Tylko dzisiaj. Dzisiaj wszystko wolno. Chodźmy!

Jego ubranie nie mogło być bardziej kolorowe. Nie przebierając się, ruszył wraz z nią. Jak pięknie wyglądała w swoim sari! Z jej oczu tryskała radość. Właśnie nadszedł długi list z Kuteli. Ojciec Stefan podjął już pracę misyjną, z każdym dniem czuł się coraz lepiej. Był gotów udzielać Sicie nauk katechizmu, o ile starczy jej odwagi i znajdzie się okazja, aby przyjechać do stacji misyjnej. Trzeba będzie zachować wielką ostrożność, aby ukryć to zamierzenie przed ayas pilnującymi jej niczym Scotland Yard. O tym wszystkim musieli teraz porozmawiać.

Dobrym argumentem mogłyby być odwiedziny chorych w Kuteli. Małżonka właściciela młyna ryżowego przy jej pomocy szczęśliwie przeszła poród, ale ponieważ był on bardzo ciężki, czuła się osłabiona i chorowita. Nikt nie będzie więc żywił podejrzeń, jeśli kilkakrotnie uda się do niej z wizytą lekarską. Sita w milczeniu przysłuchiwała się jego słowom. Wokół nich szalało święto holi, eksplodowały petardy, śpiewano pieśni, wszędzie śmiechy i krzyki, a oni rozmawiali o jej konwersji na chrześcijaństwo! Uwaga! Następna szajka z farbami!

Widać było, że gromadka hinduskich wyrostków zamierza ich okrążyć. Braminka zasłoniła twarz rękoma, ale Peter odważnie stanął na „linii strzału”. Tym razem zielony strumień! Czerwony, zielony, żółty - wyglądał jak papuga, ale nic nie dało się zrobić, młodzież miała dobrą zabawę. Otrząsnął się, marcowy upał sprawiał, że nie czuło się chłodu, wszystko zaraz schło.

- Czy w całym mieście nie ma ani jednego spokojnego kąta? - zapytał z komiczną

desperacją.

- Owszem, właśnie tam idę. Pójdę przodem, proszę zaczekać!

Nie, tędy nie mogli się przedostać, wokół świątyni Kriszny ludzie stali głowa przy głowie. Cóż tam takiego się działo? Aha, tancerki świątynne z umalowanymi na biało twarzami, jaskrawoczerwonymi wargami, kwiatami we włosach, girlandami kwiatów na ramionach, kroczące w korowodzie dziwnie sztywnym krokiem.

Tusz wokół oczu sprawiał, że wyglądały one jak ślepie tygrysa, czerwone znaki kastowe jeszcze jaskrawiej jaśniały na białych czołach. Przy każdym ruchu ręki rozbłyskiwały ozdoby, dzwoniły bransolety, powiewały zwiewne sari! Śpiewały w monotonnym rytmie - wszystkie gesty, a nawet spojrzenia były nie zmienione od stuleci.

- Proszę nie patrzeć! - poprosiła zawstydzona Sita, pociągając go nieśmiało za rękę. - Proszę się nie przyglądać, sahib doktor.

Natychmiast się odwrócił i ruszył za nią. Zobaczył dostatecznie dużo. Wiele figur tanecznych było wręcz perwersyjnie erotycznych, a śpiewany tekst na pewno do nich pasował.

Dziewczyna chciała odejść jak najszybciej, rzadko się tak spieszyła.

Na następnym rogu przysiadła kobieta w błękitnym sari, nie mrugając nawet okiem, gdy „dentysta” wkręcał jej złote sztyfty w lśniące białą siekacze. Widok ten sprawił, że Peter poczuł przelatujące mu po plecach ciarki! Co za tortura! Ale czego to nie robią kobiety powodowane próżnością?

Również i ten zakątek nie był celem wędrówki Sity, chociaż na ulicach stopniowo robiło się coraz ciszej. Wreszcie skręcili w ulicę garncarzy, gdzie można było dostać jedynie ręcznie robione dzbany - pomiędzy nimi prawdziwe dzieła sztuki z pięknie wymalowanymi ornamentami. Kasta garncarzy była jedną z najniższych i najbardziej pogardzanych. Czego mogła tu szukać?

Nagle przystanęła przed niewielkim ubogim domostwem.

- Dowiedziałam się, że mieszka tu biedna kobieta bunya, niemogąca urodzić. Jest zbyt uboga, aby przyjść do kliniki. Pójdę zobaczyć, poczeka pan, doktorze?

Nie pozostawało mu nic innego - jako mężczyzna nie mógł się zbliżyć do położnicy.

Nie stał zbyt długo przy małym kramie z garnkami, gdy został zagadnięty przez starszego człowieka w trudno zrozumiałej angielszczyźnie:

- Sahib doktor teraz odwiedzać również outcasts?

Peter spojrzał zdumiony.

- Niedotykalni? - Starzec przytaknął, wskazując na ciemne drzwi, za którymi znikła Sita.

- Tam mieszkają jedynie pariasi. Gdyby nie holi, to nigdy nie stałaby się czysta, bo tak brudni! - wstrząsnął się z obrzydzeniem, chociaż sam nie był niczym więcej jak żebrakiem.

- Pariasów wkrótce nie będzie - orzekł zdecydowanie Peter: - Gandhi nazwał ich harijans, nie wiesz o tym, bunya?

Jego rozmówca potrząsnął głową.

- Gandhi był święty, a my tacy nie jesteśmy. Kiedy jej brat się dowie, co robi, skończy się zabawa w lekarzę.

Poszedł dalej. A więc Sita była tak znaną postacią w Jalnapur, że nawet w zapadłym miejskim zaułku wiadano o jej przynależności kastowej i sytuacji rodzinnej. Musiał ją ostrzec.

Wyszła po dłuższej chwili. Twarz miała mokrą od potu. Wewnątrz musiał być zaduch nie do wytrzymania. Wyglądała jednak na zadowoloną.

- Wszystko poszło dobrze- poinformowała go. Nawet jej krok stał się pewniejszy, kiedy szła obok niego.

- Sito, czy nie narażasz się na niebezpieczeństwo?

Poczerwieniała.

- Skąd pan o tym wie?

- Wszyscy to wiedzą! Co się z tobą dzieje, Sito?

- Dzisiaj j est holi - odparła spokojnie. - Sam Kriszna zniósł na ten dzień porządek kastowy.

- Przecież już nie robisz tego z powodu Kriszny, Sito!

Ich oczy się spotkały. Milcząco położyła palec na wargach. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce będzie należała do osławionego „Kościoła niedotykalnych”. Po raz pierwszy poczuł o nią lęk. Jak bardzo się zmieniła od czasu wyjazdu na pielgrzymkę do Kalkuty! Chętnie dowiedziałaby się, co tam przeżyła, ale dziwna obawa zamykała mu usta. Gdy nabierze do niego pełnego zaufania, pewnie sama mu o tym opowie.

Ruszyli w drogę powrotną. Upał był nie do zniesienia, a każdy następny dzień przynosił wzrost temperatury. Wręcz lękano się bezchmurnego, kobaltowego błękitu nieba, kiedy rankiem spoza horyzontu ukazywało się słońce, prażąc niemiłosiernie aż do wieczora. Ten żar będzie narastał aż do cieszącego się złą sławą miesiąca ognia - maja, kiedy około południa ani zwierzęta, ani ludzie nie odważali się wyjść na zewnątrz, a noce prawie nie przynosiły ochłodzenia.

Odtąd Peter, podobnie jak wszyscy biali, zaczął sypiać na werandzie, skutkiem czego rozbity i w złym humorze zjawiał się na porannym dyżurze. Sen dawał odprężenie tylko na parę godzin, a praca wymagała zaangażowania wszystkich sił. Nikt nie mógł sobie pozwolić na wytchnienie. Ale łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. W połowie kwietnia noce zrobiły się tak duszne, że o spaniu prawie nie było mowy. Podobnie jak wszyscy przybyli do Indii nowicjusze, również Peter podjął próbę sprawienia sobie ochłody, i to na siłę. Kiedy miał już pewność, że ojciec nie przyjdzie go skontrolować, wylewał na podłogę sypialni kilka wiader wody, a następnie moczył w niej prześcieradło i układał się na nim. Woda stała w małym pomieszczeniu dwucentymetrową warstwą, ale kilka godzin później wszystko wysychało.

Owszem, dostawało się reumatyzmu, ale to było mu już obojętne.

Być może nawet by i zasnął, gdyby tylko mógł pozbyć się myśli o Sicie. Ale krążyły wokół niego niczym niedające się odpędzić stada moskitów. Na zewnątrz wszystkie krzewy błyszcząły od świetlików, które co kilka sekund zapalały i gasiły swoje światełka godowe. Czarujący widok! Do tego jeszcze wraz z pierwszą suchą burzą nadszedł również czas na flety Kriszny.

Nieustannie jęczały i skarżyły się pośród nocy. Gdy milkł jeden, zaraz rozpoczynał drugi, wszystkie błagały o jeden wcześniejszy monsun. Tak będzie przez całe tygodnie - łkanie, drzenie, ukryta zmysłowość jednostajnych ragas - Kleine Nachtmusik Indii. W takich godzinach trudne było niemyśle- nie o kobiecie nieosiągalnej przez jeszcze długi czas. Wtedy, w Würzburgu z pewnością przypominała sobie te noce przed monsunem, gdy oparta o balustradę spoglądała na pogrążony w ciemnościach pałacowy ogród!

Teraz wydało mu się, że kochał ją od samego początku. Gdy rankiem pojawił się w klinice, ogarnęło go dręczące uczucie, że wszyscy wokoło, siostry i pacjenci, muszą czuć, iż wypala go nie tylko atmosfera na zewnątrz. Czy można było ukryć ogień buchający takim żarem? Czasami niewiele brakowało, aby zwierzył się ojcu. Gdyby tylko miał jakiegoś współnika znajdującego jego tajemnicę! Czy pielęgniarki nie przyglądały mu się ukradkiem?

Drgnął wystraszony, gdy siostra Annemarie zagadnęła go pogrążonego w myślach:

- Panie doktorze, mogę z panem pomówić na osobności? To nie potrwa długo!

Wlepił w nią oczy. Czyżby się czymś zdradził?

Wszedł z nią do laboratorium, tam byli sami. Ale nie padło imię Sity.

- Panie doktorze, przykra sprawa! Nie, proszę się nie obawiać, chodzi o siostrę Margaret.

Chce się zwolnić z pracy i to natychmiast. Czy mógłby pan pośredniczyć między siostrami Redcliff i pańskim ojcem? Obie wstydzą się przyznać, o co chodzi. Mnie natomiast wydaje się, że pan nie będzie ich potępiał. Jest tyle powodów do usprawiedliwienia. Czy siostra Margaret mogłaby dyskretnie opuścić klinikę?

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście! Ale wybaczy pani, siostró Annemarie, nie bardzo rozumiem, o co chodzi!

Dołeczki na jasnych policzkach powiększyły się nieco, odwróciła się zakłopotana. Czyżby on, lekarz, niczego nie zauważył?

- Młodzi ludzie - zaczęła niezdecydowanie - wymusili na swój sposób małżeństwo. Trochę w tym winy samego klimatu. Wkrótce będą musieli się pobrać. Oczywiście rodzice są oburzeni. Nikt nie zostanie zaproszony na ślub, ceremonia odbędzie się dyskretnie gdzieś w Kalkucie.

A to ci dopiero! Stał jak ogłuszony, niezdolny cokolwiek powiedzieć.

Siostra Annemarie obrzuciła go krótkim spojrzeniem.

- Oczywiście w szczególnie nieprzyjemnej sytuacji znajdzie się siostra Ethel, która pozostanie sama i będzie musiała wysłuchać kilku niewygodnych pytań. Czy przejmie pan to zadanie?

Odetchnął głęboko.

- Oczywiście! Jak mógłbym postąpić inaczej! Porozmawiam w tej sprawie z ojcem. Ma pani rację, tu klimat drażni człowieka.

- Panie doktorze, to jeszcze nic. W maju bywa i czterdzieści osiem stopni, wtedy naprawdę człowiek nie wie, co robi.

To dopiero będzie zabawa. Nerwy wibrowały mu już teraz napięte niczym wysuszone struny przestrojonego instrumentu. Jedynie senior zdawał się stawiać opór igraszkom klimatu: spokojny i punktualny jak zawsze chodził do chorych na wizyty, przepisywał lekarstwa, badał, operował i złościł się, gdy młodszy w dobrej wierze chcieli przejść na za niego nocny dyżur.

Zmieniając ojca, Peter wykorzystał okazję, aby w cztery oczy porozmawiać z nim o problemie młodej siostry. Jego zdaniem nie należało utrudniać jej sytuacji, która i bez tego była wystarczająco skomplikowana. Wystarczyło udać, że nic się nie stało, i przyjąć do wiadomości zwolnienie z pracy.

Szef popatrzył na niego z irytacją.

Też masz już rozmiękczenie kości? Jeśli my, biali, będziemy zawodzić moralnie, to jak Hindusi mają nas traktować poważnie? Oni wytrzymują. Kult bożków, owszem, ale nie można mówić, że to naród bez obyczajów. Mam szacunek dla prostych ludzi z ulicy umiejących odczekać do chwili ślubu. Jeśli rezygnuje się tutaj z zasad, to jest się przegranym.

Siedzieli naprzeciw siebie w ciemnej dyżurce, paliła się tylko słaba żarówka.

Peterowi było to na rękę.

- Jeśli zachowamy rozsądek, to nie dowie się o tym żaden Hindus.

- Tak ci się wydaje? Mają w tych sprawach szósty zmysł. Już wystarczającym nieszczęściem jest to, że biali wciąż się zapominają, urządzając prawdziwe nagonki na biedne kobiety pariasów. Biorą wszystko, co im wieczorem stanie na drodze. Pytam więc, dlaczego się na czas nie ożenią? Nie przyjmuję w tym wypadku żadnego wytłumaczenia!

Junior napił się wody. Była letnia i bez smaku. Bolała go głowa, ostatnio zresztą dosyć często. Mechanicznie zażył tabletkę środka przeciwalarycznego, rozgryzając ją powoli.

- Być może powodem jest zbyt mała liczba Europejsek.

- Nonsens! Czy wtedy siostra Ethel i Annemarie byłyby jeszcze pannami? Jedna jest już nawet posunięta w latach. Takich typów powinno się przymuszać do zeniaczki, żeby zapobiec większemu nieszczęściu.

Peter usiadł tak, aby jego twarz schowała się w cieniu, stwierdzając możliwie najobojetniejszym tonem:

- Nie można ot tak, po prostu, wyłączać miłości, ojcze.

- Pomiędzy tymi, którzy z natury przynależą do siebie, nie. Ale te stosunki między Wschodem i Zachodem! To obłąd! Nie funkcjonują dobrze i rzadko kończą się zawarciem małżeństwa.

Junior przepędził natrętnego moskita.

- A gdyby zdarzyły się wyjątki?

Przez chwilę panowała cisza. Potem w świetle lampy ukazał się jasny i ostry kontur bezwłosej czaszki ojca. Pochylił się do przodu.

- Wyjątki, mój chłopcze, są dla tych nędznych mletszachs, rozbójników, o których właśnie wspominałem. Nie dla ciebie! Wypij i idź na górę. Chorzy cię potrzebują.

Peter wstał ciężko, odsuwane krzesło zaszurało, jego hałas zmałował spokój nocnej ciszy.

- Coś ci powiem, Peter. Można się starać o Hinduski, jeśli pochodzą z niższych kast.

Braminki są dla Europejczyka tabu.

Otworzył się drzwi, syn wyszedł z gabinetu bez słowa.

Kilka dni później napotkał siostrę Ethel. Jej policzki pokrywała hektyczna czerwień. Podeszła do niego szybkim krokiem - Margaret Redcliff opuściła już klinikę - i wyciągnęła rękę.

- Wielkie dzięki, panie doktorze. Wie pan za co. Jeszcze tylko jedno: proszę nigdy nie zdradzić kumari, dlatego moja siostra musiała odejść. Przed nią czułabym się najgorzej. A ona i tak gardzi nami, białymi kobietami.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Skąd to przypuszczenie, siostrze? Dlaczego kumari Sita miałaby panią gardzić?

Rumieniec na jej policzkach zapłonął jeszcze mocniej.

- Wiem o tym z naszych relacji. W zasadzie wszystkie kobiety hinduskie gardzą nami z powodu naszych swobód. Ponieważ same możemy wybrać sobie męża, uważają nas za wyuzdane, ponieważ obcujemy i rozmawiamy z mężczyznami, za bezwstydne, a ponieważ pracujemy zawodowo, za podobne do mężczyzn. Spoglądają na nas z góry, nawet gdy nas potrzebują. A ta braminka studiowała i jeszcze dogłębniej poznała Zachód.

Peter najchętniej by się roześmiał. A więc to było przyczyną napięć pomiędzy hinduską lekarką i siostrą Ethel! Bezpodstawna duma białej kobiety!

- Proszę posłuchać, siostrze! Jeśli zechce pani wysłuchać mojej opinii, to proszę mi wierzyć, że kumari nie gardzi żadną białą kobietą ze względu na jej swobody, wręcz przeciwnie, wiem, że zazdrości im ich.

Siostra Ethel otworzyła szeroko szare oczy.

- Co takiego? Ona jako braminka? Ona miałaby nam Europejczykom czegoś zazdrościć?

- Tak, wiem, że nawet tęskni za tymi swobodami. Proszę, żeby to na razie pani wystarczyło i pomogło w lepszym rozumieniu kumari.

Zmieszana siostra Ethel opuściła wzrok, wyglądała na wstrząśniętą.

- Nigdy bym o czymś takim nie pomyślała.

Uśmiechnął się do niej.

- Cieszyłbym się, gdyby wyciągnęła pani z tego odpowiednie wnioski. Czy może jest pani zdania, że kumari to lekarka, z którą nie da się pracować?

Zaprzeczyła oszołomiona.

- Ależ nie! Właściwie to chciałam powiedzieć, że jest znakomita. Podziwiam ją w skrytości ducha, gdy widzę, jak radzi sobie z najtrudniejszymi porodami. Nie zmarła jej dotąd żadna położnica.

Te słowa sprawiły Peterowi wiele satysfakcji, ale musiał się mieć na baczności, żeby się nie zdradzić. Odwrócił się, dodając od niechcenia:

- Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że o pani siostrze nie będzie już więcej mowy.

Od tego momentu odczuł wyraźnie, że współpraca w klinice z dnia na dzień staje się coraz lepsza. Było to wręcz konieczne, gdyż zastraszająco wzrosła zachorowalność na choroby gorączkowe i infekcyjne. Tylko dobrze zgrany zespół mógł poradzić sobie z nawałem pracy. W tych ciężkich miesiącach upałów jeden musiał bezwarunkowo polegać na drugim. Na porządku dziennym były nawałnice gorącego wiatru zaskakujące gwałtownością i paraliżujące na długie godziny wszelką aktywność. Kiedy już ustawały, nawet między zębami zgrzytał drobny czerwony piasek, który wbijał się także we włosy, a nawet w pory na skórze. Wszyscy chronili się w domach, lecz nie dało się ich szczelnie zamknąć dostatecznie szybko.

Takiego właśnie ranka, tuż po przejściu nawałnicy kurzu, cała klinika została poderwana na równe nogi. Krzycząc i załamując ręce przybiegł szpitalny sweeper, rzucając się lekarzom do nóg!

Jego żona wyszła niedawno z domu i oślepiąca tumanami kurzu wbiegła pod jadący samochód, doznając ciężkich obrażeń. Jest matką czworga dzieci i jedyną pociechą w nędznej egzystencji pariasa.

Ordynator próbował uspokoić zrozpaczonego męża, ale przeprowadzone badanie pokazało, że kobieta długo leżąc nieprzytomna na poboczu drogi, straciła zbyt dużo krwi. Jedyne ratunkiem była natychmiastowa transfuzja.

Co robić? Tak zwanych konserw z krwią przewidzianą do dłuższego przechowywania w

szpitalu nie mieli. Musiano by je dostarczyć drogą powietrzną z najbliższego ośrodka miejskiego. Wątpliwe zresztą, by w tym klimacie zachowały sterylność. Przy fobii, jaką Hindusi żywili do pobierania krwi, wydawało się prawie wykluczone znalezienie jakiegoś dawcy. A kto z nielicznych cudzoziemców zaryzykowałby osłabienie transfuzją, i to podczas największych upałów? Nieprzewycięzalna trudność wiązała się także z systemem kastowym. Nikt oprócz pariasa nie mógł oddać krwi dla niedotykalnego.

Peter wejrzał w rozwarte strachem oczy mężczyzny. Trząsał się jak osika, patrząc na lekarzy wzrokiem, jakim spogląda człowiek umierający z pragnienia. Nie ma ratunku dla Nirmali?

W tym momencie nadeszła hinduska lekarka. Zajęta dotąd na oddziale położniczym nie wiedziała nic o nieszczęśliwym wypadku. Nieszczęsny sweeper odsunął się instynktownie, żeby nawet jego cień nie skałał braminki!

Sita spojrzała na nieprzytomną kobietę, leżała na noszach blada jak wosk. Owszem, oczyszczono rany i założono opatrunki, ale nie dało się ukryć, że z minuty na minutę ucieka z niej życie.

Lekarka podniosła wzrok.

- Jaka grupa krwi?

- Grupa A.

- Doskonale, wobec tego mamy dawcę.

- Ma pani pacjentkę, która byłaby gotowa? - zawołał uradowany ordynator.

Braminka potrząsnęła głową, dodając z naciskiem:

- Nie, to ja. Proszę zaczynać, nie wolno nam tracić cennych minut. Mam grupę zero.

Obaj lekarze spojrzeli na siebie, nie pojmując od razu niezwykłości sytuacji. Trudno było sobie wyobrazić, że ta sama kobieta, która przed kilkoma miesiącami wzbraniała się asystować przy operacji pariasa, teraz dobrowolnie chciała oddać krew kobiecie z najniższej kasty!

Ale Sita nie zartowała. Gestem przywołała pielęgniarzy, którzy równie oniemiała ze zdumienia zawieźli wózek do sali operacyjnej. Peter ruszył za nimi.

- Sito, czy wie pani, jakie to może mieć skutki?

Nie odpowiedziała.

- Proszę przygotować narzędzia! - i już kładła się na sąsiednie nosze, odsłaniając lewe przedramię.

Wiadomość o tym wydarzeniu lotem błyskawicy obiegła cały szpital. Nikt nie myślał o tym, aby utrzymać je w tajemnicy. Pewnie łatwiej byłoby zatuszować wybuch bomby pośrodku bazaru w Jalnapuru albo zamach na pandita Nehru! Siostry stanęły razem, poszeptując, pacjenci, którzy mogli chodzić, wyszli z sal i usiadłszy w kręgu, zawzięcie dyskutowali. Na oddziale położniczym kobiety gestykulowały i przekrzykiwały się nawzajem w najróżniejszych dialektach. Służące Sity zamknęły się w jej apartamencie i przykucnąwszy przed wizerunkiem Kriszny, drżącymi wargami odmawiały święte mantry za przestępczynię, która odważyła się na coś tak strasznego! Jakże kiedykolwiek odzyska czystość? Jeden tylko człowiek pozostał niewzruszony.

Przykucnąwszy przed drzwiami sali operacyjnej pośrodku panującego chaosu sweeper zdawał się być uosobieniem spokoju. Kruchy, rozsypujący się świat nagle został przemieniony. Wiedział, że jest człowiekiem i harijan, dzieckiem bożym! To, czego nauczał Gandhi, nie było szaleństwem. Prawdziwie nastąpiła nowa epoka!

Gdy po dwóch godzinach transfuzja została zakończona, a lekarze umieścili Sitę w osobnym pokoju - według zasad swojej kasty musiała teraz poddać się izolacji. Nie wiadomo było, jakie spadną na nią pokuty, gdy guru ze świątyni Wisznu dowie się o całej sprawie. Kilka dni odpoczynku dobrze jej zrobi, zwłaszcza że oddała znaczną ilość krwi, ratując życie żonie sweepera.

W klinice nie można było przywrócić porządku. Pacjenci nie pozwalali się uspokoić, przez całe lata nie było wydarzenia, które tak by ich poruszyło! Ordynator kilkakrotnie musiał wręcz ich zgromić, by przywrócić jako takie normalne funkcjonowanie szpitala. Wyjaśniał też wciąż na nowo, że był to przypadek wyjątkowy. To jednak nie wzruszało Hindusów, gdyż odkąd istnieli bogowie Indii, nie słyszano o czymś podobnym.

Również w całym Jalnapurze, kotłującym się niczym poruszone mrowisko, rozmawiano

tylko o tym.

Niestety, przeważyło oburzenie ortodoksyjnych Hindułów. Nie zważano na dotychczasowe zasługi Sity. Tryumfowali tylko niedotykani!

Dwa dni później przybył posłaniec od guru acharji Rad- hakriszny. Braminka miała niezwłocznie przybyć do świątyni w celu złożenia pierwszej ofiary przebłagalnej.

Kiedy tylko poczuła się lepiej, Sita włożyła białe pokutne sari i bez służących opuściła klinikę. Ludzie schodzili jej z drogi, riksarze się nie zatrzymywali, nawet żebracy nie wyciągali ku niej rąk po jałmużnę!

Podpełtała przecież święte prawa hinduskie. Po śmierci będzie musiała rozpocząć wędrówkę od najniższego stopnia reinkarnacji, jeśli nie oczyści jej z winy dowodny znak łaski boga!

Peter miał zamiar jej towarzyszyć, ale tym razem stanowczo odmówił. To jeszcze wzmogłoby powszechne oburzenie i wzbudziło podejrzenia, że do tego czynu przymusili ją zachodni lekarze. Sama chciała zmierzyć się ze swoim losem.

Wróciła po godzinie milcząca, blada i wytrącona z równowagi. Lekarze natychmiast poprosili ją na rozmowę do gabinetu ordynatora. Czy mogą w jakiś sposób jej pomóc? Sita zaprzeczyła.

- Acharja powiedział, że nie ma zadośćuczynienia, chyba że klan nałoży pokutę. Będzie musiał powiadomić moich rodziców w Nagpurze.

Peter spojrział na nią ze strachem.

- A co potem? Jakie będą tego skutki?

Spuściła głowę i uniosła ramiona.

- Może być źle, najdalsza pielgrzymka do Hardwaru byłaby najłżejszą pokutą. Może też być wykluczenie z kasty.

Młody lekarz spojrział na nią z nadzieją. To otwierało drogę obojgu. Gdyby Sita nie wstała w tym momencie z miejsca, ser- ce by go poniosło. Tylko zatopiony w myślach ordynator stał dalej przy swoim biurku, gryząc dolną wargę.

- Wspaniały czyn, ale fatalny w skutkach! Trzeba ją stąd zabrać, nawet na parę dni.

- Tylko dokąd?

- Sam nie wiem, musimy się zastanowić!

Następnego dnia z pomocą przyszedł im nieoczekiwany przypadek. Księżę radza Singh z Saraipali zaprosił lekarzy na święto bogów ze wspaniałą paradą wszystkich swoich słoni.

Mieli nawet odbyć przejażdżkę na jednym ze zwierząt i to we własnym howdah. Było to jego podziękowanie za to, że jesienią lekarze uratowali życie bliskiemu krewnemu, a jednemu z jego mahouts podarowali proteżę. Z pewnością duży przywilej, a teraz szczególnie sprzyjająca okoliczność. Sita i Peter musieli zaraz udać się w podróż do Saraipali!

Teraz? Jak senior poradzi sobie sam? Ale co tam, w każdej chwili mógł poprosić o pomoc doktora Gardenera, wystarczyło tylko zadzwonić! Anglik miał słabość do pracy w klinice w Jalnapurze, gdzie mógł współpracować z białymi lekarzami.

W mgnieniu oka wszystko zostało przygotowane. Nagle Peter przypomniał sobie o małym chłopcu z bazaru, który tak bardzo pragnął choć raz w życiu odbyć przejażdżkę na słoniu. Natychmiast udał się na poszukiwania i wkrótce znalazł Khuba. Chłopiec wytrzeszczył czarne oczy, a kiedy dowiedział się, o co chodzi, podskoczył z radości. Gdy jednak lekarz poprosił, aby chłopiec zaprowadził go do swojej matki, zrobił się dziwnie cichy i małomówny. Peter nie ustępował. Gdyby nie powiadomił randi, można go było oskarżyć nawet o uprowadzenie dziecka.

Khub w milczeniu zaprowadził go do świątyni Kriszny, gdzie jego matka zwykła żebrac. Ale tam jej nie znalazł, dopiero w przybytku złej bogini ospy Szitala, której właśnie składano ofiarę puja, aby podczas nadchodzącego monsunu oszczędziła mieszkańców Jalnapuru przed zarazą. Zeszło się sporo ludzi, gdyż każdy Hinduś lękał się bogini, próbując ją przebłagać. Wkrótce dostrzegli wdowę odzianą w białe bawełniane sari, którego koniec zarzuciła na ogoloną głowę. Oferowała siebie przechodzącym mężczyznom - ku czci bogini. Przywołana gestem przez doktora chętnie podeszła bliżej, nieszczerne, upokorzone stworzenie, zmuszone do życia w ciągłej pokucie,

sycące się pogardą, a nie ryżem.

Tylko raz dziennie, po zachodzie słońca, udawało się jej coś spożyć. Życie miała bardziej niż nędzne.

Z początku nie chciała wierzyć, aż wreszcie syn przemówił do niej w hindustani. Peter nachylił się ku drobnej postaci. Sama była prawie dzieckiem, musiała bardzo wcześnie wyjść za mąż.

- Oczywiście, pojedzie pani z nami, shrimati.

Kobieta skamieniała.

- Ja, randi?

- Tak, i żadnych sprzeciwów. Razem z synem przeżyjecie święto narodzin boga Ram i obejrzyjecie paradę słoni.

Nieszczęsna wdowa nie chciała wierzyć. Czyż każda randi nie była winna śmierci własnego męża? Czy nie dlatego wyklęto ją, że przeżyła współmałżonka? Tylko dawne suttu, które pozwoliły się spalić wraz z nim, uważano za czyste i święte. A teraz ten biały zaprasza ją na wzniosłe święto bogów!

Konieczne były długie przekonywania, aby wymóc na niej przyrzeczenie. Wreszcie, ze względu na dziecko, zgodziła się niechętnie. Chłopiec w podskokach ruszył do domu, podczas gdy matce łzy płynęły po policzkach.

Kiedy Peter zaparkował samochód przed białym pałacem Raja Singha, zdumieni goście wytrzeszczyli oczy, gdy z pojazdu wraz z lekarzem wysiadła nie tylko braminka, lecz także uboga randi z bosymi stopami i w skromnym pokutnym sari trzymająca za rękę dziecko mające na sobie tylko szarą przepaskę biodrową. Goście spacerujący dostojnie wśród wypielęgnowanej zieleni i kwiatowych rabat rozległego pałacowego parku przystawali wstrząśnięci. Nie zwracając na nich uwagi, lekarz szedł dalej. Niemniej zachował tyle rozsądku, że udając się do jednego z chowkidars, odźwiernych, i zgłaszając swoje przybycie gospodarzowi domu, pozostawił wdowę na zewnątrz.

Wewnątrz, w sali bankietowej, goście spożyli najpierw przekąskę, co zazwyczaj trwało bardzo krótko. Tym razem jednak sprawa się przeciągnęła. Księżę wylewnie przywitał przybyłych z Jalnapuru lekarzy, dowodząc tym samym swojej życzliwości. Zadowolony Peter wyszedł wreszcie na zewnątrz, a wraz z nim Sita, której ostatni, budzący sensację czyn, najwidoczniej tutaj nie był jeszcze znany. Braminka miała na sobie białe sari w czerwone fantazyjnie malowane orchidee. Wyglądała uroczo, ale oczy trzymała spuszczone, jak gdyby świadomie chciała trzymać się na dystans.

Lekarz porozmawiał z wdową i wraz z synem powierzył ją jednemu ze służących, którzy mieli zatroszczyć się o wszystko, a następnie zwrócił się ku swojej towarzyszce. Wydawała mu się królową przyjęcia, chociaż wszędzie błyszczały diamenty - w uszach i na czołach hinduskich ladies, na turbanach ich mężów i synów, a także pod postacią drogocennej biżuterii zdobiącej gotowe do zamążpójścia córki. Ram navmi, narodziny boga Rama, były okazją do ukazania całego bogactwa i przepychu niegdysiejszego książęcego dworu.

Pod względem politycznym radża Singh utracił swoją władzę, ale nie udało się pozbawić go miłości i szacunku mieszkańców Saraipali. Przy podobnych okazjach można się było przekonać, z jaką pompą rządzili tu wcześniej jego przodkowie. Ciągle jeszcze słonie nosiły bezcenne czapraki, ich kły i szerokie paznokcie u nóg świeciły złotem, a uprzęż i ciężkie aksamitne draperie drogimi kamieniami. Każdy z wysokich howdahs, w których zasiadali członkowie książęcego klanu oraz wybrani goście, wyposażono z barokowym przepychem.

Rozbrzmiały bębny i flety, tamburyny i instrumenty strunowe. Słoniowy orszak wyruszył sprzed pałacu.

Potężne zwierzęta kroczyły powoli i dostojnie kierowane przez siedzących im na głowach mohouts ubranych w świąteczne stroje. Wzdłuż drogi stały setki wiwatujących gapiów. Sikhowie wyróżniający się kapiącymi od złota uniformami utrzymywali porządek.

Przy jednej z kolumn książęcego pałacu, nieco na uboczu, ze złożonymi rękoma, przystanęła randi z Jalnapur, czekając na słonia mającego nieść jej syna. Jeden z mahouts obiecał,

że na procesję weźmie chłopca ze sobą. Zwierzę nawet nie odczuje różnicy, czy jeden, czy dwoje przewodników zasiada mu na głowie! Lecz co to za wspaniały dzień, jaki dostojny widok w nędznym życiu wdowy! Nic już pewnie nie wydarzy się w nim lepszego.

Raz po raz rozbrzmiewały owacje, obrzucano kwiatami słonie niosące rodzinę książęcą. Potem zapadła cisza, gdyż nadszedł ozdobiony wieńcami słoń kapłanów ofiarnych boga Ramy. W pobliżu zachodni reporter gorączkowo manipulujący przy swojej kamerze kręcił jak najęty.

Gdy słoń go mijał, Sita zakryła przed nim swoją twarz. Dla Europejczyków nie było nic świętego. Uśmiechnięty Peter spojrzał na nią. Co za szczęśliwy dzień, wreszcie sam na sam z ukochaną kobietą w tym wspaniałym howdah nieomal płynie na grzbiecie słonia. W rzeczy samej, to prawdziwe święto dla bogów! Nigdy o czymś podobnym nawet nie marzył.

- Sito! - wyszeptał poruszony. - Rama to przecież bóg, który starał się o względy Sity i ją zdobył. Dlaczego milczysz i jesteś przygnębiona?

Jej wargi poruszyło drżenie.

- Sama nie wiem. Tak wiele zaszczytów dla tej, która popadła w niełaskę bogów, przyprawia o łzy.

Położył ostrożnie swoją dłoń na jej dłoni i przytrzymał mocno.

- Nie nas, Sito, nie nas. Przecież będziesz chrześcijanką, byłaś nią już przez to, co zrobiłaś dla żony pariasa. Zaden z hinduskich bogów nie ma już nad tobą władzy.

W tej chwili w zgromadzonym tłumie rozbrzmiały przeraźliwe okrzyki, wszyscy wskazywali na niosącego ich słonia. Dojrzeli szybki ruch podnoszącego się i opadającego bambusowego ościenia, którym mahouts kierował słoniem. Krzyczał coś do zwierzęcia:

- Zatrzymaj się, stój! Rokko!

Jeszcze krok, potem drugi i olbrzym na szczęście się zatrzymał. Również inni mahouts powstrzymali idące za nim zwierzęta.

Peter nachylił się do przodu, wołając do przewodnika słonia:

- Co się stało?

Ten przygarnął chłopca do siebie, przytulając mocno jego ciemną głowę do swojej piersi, a potem odparł po angielsku:

- Sahib doktor, wpadek, jaki często się zdarza podczas największych świąt bogów. Kiedy już przeżyła w swoim życiu darshan, jakaś randi rzuciła się pod nogi słonia! Zginęła na miejscu ze zmiażdżoną głową, pariasi zabierają ciało.

Rzeczywiście, złożone na kawałku płótna przenoszono czyjeś zwłoki.

- Nie może pan teraz zsiąść, sahib doktor! Jej nie można już pomóc! Spokojnie, chłopcze, spokojnie. Osiągnęła to, czego pragnęła, łaskę Ramy.

Słyszac to, Sita osunęła się zemdlna na ramię Petera. Była śmiertelnie blada. Czyżby przejażdżka na słońcu i to niedługo po transfuzji krwi mogła jej zaszkodzić? Zbadał jej puls, oczy, przetrząsnął gorączkowo wyszywany woreczek, poszukując lekarstw, ale znalazł w nim jedynie mocne hinduskie perfumy.

- Sito, Sito - szeptał jej błagalnie do ucha. Nie pozostawało mu nic innego, jak na oczach wszystkich trzymać ją mocno w objęciach. Niech gapie myślą sobie, co chcą.

Słoń tymczasem ruszył dalej, lecz jego potężnym ciałem wstrząsały owe dreszcze i skurcze, które doświadczonemu mahout zdradzały wzburzenie zwierzęcia. Nie mógł teraz troszczyć się o gości w howdah. Należało za wszelką cenę zapobiec panice wśród słoni wietrzących ludzką krew. Przewodnik wstał, półnagi, wysoki i chudy, lecz atletycznie zbudowany, i wymachując ościeniem, przemawiał uspokajająco do swojego podopiecznego. Tym sposobem minięto niebezpieczne miejsce.

Pariasi zasypali kałużę krwi piaskiem i przykryli ją, co szybko uspokoiło słonie. Gdy mahout mógł wreszcie znowu usiąść, jego ciało błyszczało od potu. Spojrzał do tyłu. Braminka odzyskała przytomność, lecz drżała na całym ciele.

- Spokojnie, Sito, nie mogliśmy nic zrobić. To szok, który wkrótce minie. Kiedy zsiądziemy, będziesz mogła odpocząć.

Zaprzeczyła, potrząsając głową. Trudno jej było powiedzieć choć parę słów, ale zrozumiała te, które wypowiedziała:

- Wydaje mi się, że dojrzałam, moje przeznaczenie.

- Sito, o czym mówisz? To była randi...

- Tak, a guru Radhakriszna powiedział mi, że jako karę od bogów będę musiała znosić los randi. Wcześniej owdowieję.

Peter nieomal się roześmiał wzruszony i rozzłoszczony jednocześnie.

- Co za bzdura! Jeszcze nie jesteś mężatką, a ja zrobię wszystko, co tylko możliwe, żeby w tym kraju pozostać przy życiu jak najdłużej.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc. Czyżby ciągle jeszcze się łudziła, że będą sobie poślubieni?

Wreszcie pojął.

- Sito, wyrzekłaś się naszej miłości?

W jej wnętrzu musiał szaleć prawdziwy orkan emocji. Kurczowo złożyła dłonie.

- O, Nishkalank Mata, pomóż nam!

Modliła się do jakiejś bogini? Spojrzał na nią gotowy zmierzyć się ze wszystkimi boginiami Indii. Czyżby miała na myśli okrutną Kali zdobiącą się ludzkimi czaszkami i noszącą setki imion?

- Sito, kim jest ta Mata?

- Nishkalank Mata to Niepokalana Maryja Panna - odparła Sita nieco pewniejszym tonem. Wytrzeszczył w zdumieniu oczy. Nigdy nie przyszłoby mu to do głowy. Uciekała się do Matki Bożej. Czy nie było to zwycięstwem w tym nieszczęsnym dniu?

Na szczęście parada dobiegała końca, mahout zatrzymał słonia. Peter przytrzymał Site, aż natrafiła stopą na szczebel drabinki. Przez jedną błogą chwilę spoczywała w jego ramionach.

Teraz musiał się zatroszczyć o dziecko nieszczęsnej wdowy, małego Khuba. Ku jego zdumieniu chłopiec był spokojny i opanowany.

- Mojej matce będzie lepiej przy ponownych narodzinach - wyjaśnił z powagą dorosłego - ponieważ zmarła pod nogami słonia bogów i w dniu ich święta.

Przewodnik słonia, któremu chłopiec bardzo się spodobał, przyciągnął go do siebie, oznajmiając:

- Być może będzie mógł zostać mahoutem. Napiszę prośbę do głowy klanu. Czy wesprze mnie pan, sahib doktor?

Peter chętnie się zgodził.

W pawilonie dla gości Sita poprosiła go, aby mimo wszystko zaraz wracali, gdyż dłużej nie może i nie chce tu przebywać. Wyruszyli więc w drogę. Podobnie jak w drodze do Saraipali, tak i teraz mogli przejechać samochodem przez wyschnięte koryto Mahanadi. Podczas monsunów była to rwąca rzeka, nad którą przerzucony był most kolejowy.

Peter pozwolił bramince na odpoczynek. Z tyłu samochodu przygotował prowizoryczne posłanie oraz prowadził pojazd ostrożnie, aby zaoszczędzić jej najgorszych wstrząsów. Myślał

o przyszłości. Z mieszkańcami Jalnapuru poradzi sobie, nawet jeśli doszłoby do wykluczenia dziewczyny z kasty braminów. Kto przeszkodziłby mu wtedy w poślubieniu jej? Zdecydował, że porozmawia o tym z Sitą, kiedy tylko dziewczyna poczuje się lepiej. Czyżby musiała za wszelką cenę zdobyć dyplom lekarski i to było warunkiem jej życiowego szczęścia? Jego zdaniem obecnie była to sprawa drugorzędna.

Pomógł jej wysiąść z pojazdu. Najchętniej zamknąłby ją w ramionach, wyznał miłość, opowiedział o swojej tęsknocie i nadziei. Ale czuł, że nie powinien tego teraz robić.

W milczeniu przekroczyli progi szpitala. Nikt się nie spodziewał, że wrócą tak szybko, dlatego, nie zwracając niczyjej uwagi, mógł jej towarzyszyć aż do drzwi apartamentu. Tam skłoniła się szybko ze złożonymi dłońmi, uśmiechając się nieśmiało.

- Sito, kocham cię - wyszeptał.

Spuściła głowę, otwierając drzwi. Kiedy weszła do środka, pozostał, wyczekując jeszcze przez chwilę z bijącym mocno sercem, a potem, czując się odrzucony, ruszył schodami w dół.

Nagle poczuł przeszywający mu głowę ból. Najwidoczniej zapomniał zażyć tego dnia

paludrine.

Na dole spotkał siostrę Annemarie, która aż zadrżała na jego widok. Zaśmiał się.

- Nie ma powodu do obaw, kiedy pojawia się niespodziewanie. Czy ojciec ma nocny dyżur?

- Nie, Gardener, panie doktorze. Gdzie jest kumari Sita?

Uspokoił ją:

- Nic się nie stało, jest na górze, w swoim pokoju!

Taca w rękach siostry Annemarie zatrzęsła się ponownie, aż zadzwoniły stojące na niej szklaneczki z lekami. Szybko ją podtrzymał.

- Dobry Boże, wobec tego spotkała go niespodzianie.

- Kogo? O kim pani mówi?

Przez myśl, jak błyskawica, przeszła mu jedna straszliwa możliwość.

- Pewnie pan jeszcze nie wie, ale z Nagpuru przybył niespodziewanie Ramdas Durpali.

Najwidoczniej guru powiadomił go o wszystkim.

Peter poczuł lodowaty chłód, a zaraz potem niedające się wytrzymać gorąco.

- Jest na górze?

- Tak, czeka na nią w jej pokoju.

Młody lekarz nie używał mocnych słów, teraz jednak miał ochotę zakląć. Z trudem udało mu się odzyskać panowanie nad sobą. Co za fatalny zbieg okoliczności! Sita sama w obliczu brata i to po przeżyciach w Saraipali.

- Dlaczego nie dano mu innego pokoju? Czemu nie poinformowano, że kumari jest jeszcze osłabiona i musi zostać przygotowana?

- Wejźmy do gabinetu, panie doktorze! Któryś z pacjentów mógłby nas usłyszeć.

Przełożona pielęgniarek zamknęła drzwi i wyczerpana odstawiła tacę. Peter stał dalej.

- Proszę mi opowiedzieć, jak to się stało.

- Panie doktorze, należało się tego spodziewać, ale nie aż tak szybko. Pański ojciec odbył już z nim ostrą rozmowę. Najlepiej, żeby pojechał pan do bungalowu. Nie wydaje mi się, żeby szef mógł zasnąć po niej.

Peter rozważał gorączkowo, co zrobić. Zostawić Sità samą?

- W środku nocy nie może pan iść na górę - siostra Annemarie przerwała jego rozważania.

Sprawiała wrażenie wyczerpanej, podobnie jak wszyscy Europejczycy w tym czasie, na początku maja, najgorętszym miesiącu w Indiach.

- Ma pani rację! Proszę powiedzieć doktorowi Gardenerowi, że rano przejmę dyżur. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak jechać do domu. Wielkie dzięki, siostrze! Proszę kontynuować obchód!

Wszystko było tak, jak gdyby ktoś rzucił zły urok.

Gdy przyjechał do bungalowu - nie oszczędzał pojazdu, a od kurzu i potu miał na sobie nieomal skorupę - hamals doradzili mu, aby zachowywał się cicho. Ordynator nie czuł się dobrze i wziął środek nasenny. Po tym nerwowym dniu nie należało wyrywać go ze snu.

Najprawdopodobniej prześpi noc aż do rana.

Peter wziął dwa razy kąpiel, ciepłą i zimną, a gdy wyszedł z łazienki, wstrząsały nim dreszcze. Przypisał to nadmiernemu napięciu nerwowemu, zażył lekarstwo i wyczerpany położył się do łóżka. Zapadł w krótką, niespokojną drzemkę, śniąc, że Sita rzuciła się pod nogi słonia. Zerwał się z pościeli, zęby mu szczękały. To już nie było zdenerwowanie, lecz prawdziwa gorączka. Trzeba zażyć paludrine! Wstał, zataczając się. Na zewnątrz ciszę nocną przecięło żalosne, przenikliwe wycie szakala.

Udało mu się położyć się z powrotem do łóżka, zanim pogrążył się w malignie. Resztką świadomości zarejestrował, że ma pierwszy atak malarii.

Nikt się o niego nie zatroszczył, spali zarówno hamals, jak i ojciec. Lekarzu - lecz się sam!

Gdy nadszedł ranek, ledwie mógł ustać na nogach. Nie- domyślający się niczego ojciec pojechał do kliniki, chcąc najprawdopodobniej pozwolić mu się wyspać. Gdy pierwsze stada małą zaczęły hałasować i zjawili się służący, natychmiast posłał jednego z nich do szpitala. Choćby mu

przyszło stanąć na głowie i przedawkować paludrine, nogi nie mogły odmówić mu posłuszeństwa, a ciału nie wolno było strajkować. Gra szła o wszystko!

Dziwne, że ojciec nie zjawił się natychmiast. Wstrząsany raz po raz dreszczami Peter przeczekał dwie godziny. Jeszcze nigdy nie wydawały mu się tak długie.

Słyszając energiczny krok seniora, chciał wstać, ale z ciężką głową opadł zaraz na poduszkę. Wchodząc do sypialni, ojciec zdjął okulary, co znaczyło, że ma coś nieprzyjemnego do zakomunikowania.

- Ładna historia, brak dwojga lekarzy na raz - wymruczał, po czym podszedł do łóżka syna, sprawdził mu puls, pokiwał głową i usiadł ciężko w wyplatany fotelu.

- Dlaczego dwóch? Gardener już pojechał?

- Nie, ona. Kumari. Można powiedzieć, że shri Ramdas powtórzył starą sagę o bogach. Brakuje tylko boga małp Hanumana, żeby przywiódł ją z powrotem. Nie denerwuj się, myślę, że końcem tygodnia wróci.

Peter leżał na wznak. Oczy świeciły mu chorobliwym blaskiem, oddech miał krótki, teraz już nie tylko z powodu gorączki.

- To drań! Zaskarżymy go z powodu zerwania umowy!

Ojciec pokręcił przecząco głową.

- Wykluczone. Możemy się cieszyć, jeśli to on nie pójdzie do adwokata. Sita zaryzykowała najcięższe wykroczenie, jakie może się przydarzyć ortodoksyjnemu braminowi. Dobrze będzie, jeśli rada rodzinna jej nie ekskomunikuje. Dałem jej pismo adresowane do ojca, w którym próbowałem ją usprawiedliwić. Nic więcej nie da się na razie zrobić, trzeba odczekać.

Peter próbował się zerwać.

- Ojczy, lekarstwa, wszystkie, jakie tylko są! Muszę za nią jechać.

- Z czterdziestoma stopniami gorączki i przy czterdziestu pięciu stopniach w cieniu! Nie ma mowy!

- Dlaczego nie negocjowałeś z Ramdasem?

- Oczywiście, że to zrobiłem i przy tej okazji dowiedziałem się wielu ciekawych nowinek.

Należy do ruchu Mahasabba. Mam nadzieję, że coś ci to mówi?

Syn zdrętwiał.

- Do tych fanatycznych hinduskich nacjonalistów?

- Zgadza się, sam mi o tym powiedział. Dlatego przewinienie Sity jest dla niego w gruncie rzeczy niewybaczalne. Ma- hasabla chcą przywrócić starego porządku kastowego we wcześniejszej, niezmiętej formie. Sprzeciwiają się wszelkim reformom hinduizmu. Walczyli przeciwko Gandhiju, a dziś są przeciwko Nehru. Zbyt zaślepieni, żeby mogli dostrzec, iż stają się agentami komunizmu wspierającego wszelkie podobne burdy.

To rzeczywiście były hiobowe wieści! Gdyby tylko wiedział o tym wcześniej, to pewnie od razu poślubiłby Sitę, żeby obronić ją przed ślepym fanatyzmem rodziny.

- Czy doszło do jakichś dyskusji między nią a Ramdasem? Nie skrzywdził jej? - Przez głowę przelatywały mu najgorsze przypuszczenia.

- Nie wiem o niczym. Kiedy już odjechała, przed hinduskim ołtarzykiem w jej pokoju znaleźliśmy podarty obrazek. Najwidoczniej zniszczony przez Ramdasa przedstawiał Nish- kalank Mata, Matkę Bożą z kościoła w Kuteli. Nieroztropna kobieta! Jak mogła go schować za wizerunkiem Kriszny! - Ale w jego głosie brzmiało wzruszenie, które z trudem ukrywał. Odchrząknął. - To jedyny ślad jakiejś dyskusji. Niestety, nie miałem już okazji, żeby porozmawiać z nią osobiście. Kiedy opuszczała klinikę, była blada, lecz wyglądała na opanowaną.

- Co powiedziała na pożegnanie? - Z oczu Petera wyglądało błaganie. Ojciec spuścił wzrok.

- Hinduskie pożegnanie: ashirawada. Nic poza tym.

Zapadło milczenie, słychać było jedynie furkot wentylatorów pod sufitem niedających żadnej ochłody. Rozpalonego gorączką chorego owiewało tylko poruszone przez nie powietrze.

- Wobec tego ty musisz za nią pojechać!

- Majaki malaryczne! Żeby tylko nie obarczyli nas żadną winą. Jedyne wyjście: prośba o

szybki powrót, najpóźniej do początku monsunów. Będzie musiała odbyć pokutę. Z tego nie zwolni jej nawet sam Nehru. - Wstał. - Odpocznij. To teraz dla ciebie najlepsze lekarstwo. Tu masz tabletki. Co godzinę zażywa się jedną, sam zresztą wiesz. Tylko laikowi nakazałbym, żeby nie wstawał. Dla ciebie powinno to być oczywiste. Szybciej odzyskasz siły, jeśli teraz konsekwentnie pozostaniesz w łóżku.

Nawet jeśli jego słowa brzmiały surowo, to w spojrzeniu odbijała się prawdziwa troska.

- Ojcie!

- Co znowu?

- Ożenię się z Sitą.

- Hm?

Senior odwrócił się do wyjścia.

- Porozmawiamy, jak wrócisz do zdrowia. Przyślę ci pielęgniarkę, będzie częściej zaglądał.

Każde życzenie do spełnienia oprócz opuszczania sypialni!

Wyszedł. Godzinę później Peter zaczął niebezpiecznie gorączkować. Majaczył nieprzytomnie, nie wiedząc nawet, kto się nad nim pochyla, ojciec czy jeden z hamals.

Minął tydzień, a młody lekarz na przemian trząsł się w atakach gorączki, to znowu popadał w stan apatycznego odrętwienia wywołany głębokim wyczerpaniem. Wreszcie stopniowo zaczęło się mu przejaśniać w głowie.

Któregoś ranka zapytał ojca czuwającego przy nim w nocy:

- Dlaczego właściwie nie leżę w klinice?

Szef z zadowoleniem skinął głową.

- Dobrze pytanie. Specjalnie zostawiłem cię tutaj, bo trudno nie domyśleć się wszystkiego, kiedy lekarz ciągle woła swoją koleżankę po fachu. Ale teraz możemy cię już wypuścić. Malaria ustępuje.

Peter poczuł wdzięczność dla ojca. Nie byłoby to wcale przyjemne, gdyby siostry i doktor Gardener dowiedzieli się o jego relacjach z Sitą. I bez tego ciężko mu będzie ukrywać, że wszystkie jego myśli krążą wokół jej osoby. Na szczęście minęło już niebezpieczeństwo, że wygada się z czymś w gorączce.

Poczuł ukłucie zazdrości, gdy zobaczył w klinice, że pomiędzy zarozumiałym Gardenerem i siostrą Ethel powstała więź niemająca nic wspólnego z zawodową koleżeńskością. Dziwna to była para, ale przynajmniej mogli otwarcie pokazać, co czują wobec siebie. Trzeźwy Brytyjczyk nie taił, że to indyjski klimat ponosi główną winę za ten spóźniony romans. Nie zdziwiło więc Petera, gdy zaczął wspominać o rychłym ożenku.

- Wie pan co, Larsen, tutaj najlepszym rozwiązaniem jest nierobienie żadnych ceregieli w sprawach sercowych. Korzysta się z okazji i bierze pierwszą lepszą białą kobietę, która okazuje zrozumienie dla naszego zawodu. Domaganie się czegoś więcej to nonsens. Pytam pana, czym w ogóle jest miłość? Infekcyjną chorobą umysłu, wcześniej lub później szybko ustępującą. Trzeba znać środki zapobiegawcze. To wszystko, jeśli chce się jakoś ją przetrwać.

W rzeczy samej dobrze się stało, że ojciec zostawił go w bungalowie, kiedy jego usta krzyczały za Sitą, podobnie zresztą jak serce i ciało! Wobec zimnych, krytycznych oczu Anglika byłoby nieopisaną torturą zdradzenie własnej miłości. Ten najwyżej wyjaśniłby mu cynicznie, że jemu, Gardenerowi, nigdy by się coś takiego nie przytrafiło, bo już jako żółtodziób w Indiach wiedział, że Wschód i Zachód nie dadzą się ze sobą pogodzić!

Z niezwykłym uporem i siłą woli Peter pracował nad odzyskaniem pełni sił.

Nie skończył się jeszcze maj, a z błękitnego nieba lał się prawdziwy żar, kiedy znowu zaczął pełnić dyżur. Z pierwszą wizytą udał się do Khuba, małego chłopca, który podczas święta w Saraipali stracił matkę. Udało mu się na tyle porozumieć z rodziną, że nie miała nic przeciwko temu, aby po dwóch latach mahout księcia wziął go do siebie, aby wykształcić na przewodnika słonia. Niewielka to była pociecha w morzu nieustannie drążących go pytań o Sitę! Wydawało mu się, że spełnienie dobrego uczynku i wsparcie dziecka w osiągnięciu życiowego celu w jakiś tajemniczy sposób dopomoże jej w trudnej sytuacji rodzinnej.

Ojciec miał rację. Dlatego po rekonwalescencji, dokąd nie poznali ostatecznej decyzji, nie

wspominał już o chęci wtrącania się w konflikt. Któregoś poranka z Nagpuru przyszedł list polecony zaadresowany do seniora. Powiedziała mu o tym w sekrecie siostra Annemarie, kiedy tylko pojawił się w klinice. Uścisnął jej z wdzięcznością dłoń i natychmiast poszedł do gabinetu ordynatora.

Wszedł, gdyż nikt nie odpowiadał na jego pukanie. Ojciec wsparłszy głowę na dłoniach, patrzył na leżące przed nim pismo i nawet nie usłyszał jego wejścia. Wzdrygnął się, gdy syn chrząknął, wpatrując się pytająco w niego płonąącym wzrokiem!

Senior wskazał milcząco na szeroki wyplatany fotel. Peter usiadł, czując nagle, że oblewa go zimny pot. Ojciec zdecydowanym ruchem złożył list. Widniała na nim błyszcząca złotem pieczęć hinduskiego klanu, mieniący się kolorami tęczy paw stojący na kwiecie lotosu. Herb Durpalich! Serce młodego lekarza uderzyło młotem, sekundy wlokły się w nieskończoność.

- No więc pojedziemy jednak, do Nagpuru, ale we frakach - oznajmił starszy doktor Larsen i spoglądając surowo na syna, dodał: - A ty, możliwie bez dynamitu!

- Co masz na myśli?

- Hm, jointfamily ma zamiar pozbyć się niewdzięcznej, pozbawionej czci córki i eksmituje ją do New Delhi! - wzruszył ramionami. - Niestety, nie po to, żeby zrobiła tam dyplom, na to byłoby jeszcze za wcześnie, tylko żeby wcielić ją do innego klanu, który ze względu na odległość nie dowiedział się jeszcze o jej wykroczeniu.

Przerwał, bo jego syn zrobił się kredowobiały.

Szef sięgnął po butelkę, nalewając Peterowi do szklanki zimną wodę. Odczekał, aż syn wypije, po czym kontynuował.

- Jedyne ratunek, to wygaśnięcie ognia weselnego. Wtedy Hindusi przerywają wszelkie uroczystości. Ale trudno oczekiwać, że coś takiego się zdarzy, bo podsycają płomień płynnym masłem. To trzeba zobaczyć.

Dłonie Petera zacisnęły się kurczowo na obstrzępionych poręczach starego fotela, który zatrzeszczał pod nim

- To niemożliwe! Sita obawiała się małżeństwa i nie kocha tego człowieka.

- To jasne. Mówiąc między nami, to prawdziwe świństwo, ale w Indiach jedyny sposób na odzyskanie czci. Nie możemy nic zrobić, jak tylko świętować wraz z nimi, ponieważ nas zaproszono. W przeciwnym wypadku: zegnajcie Indie, również i dla nas.

Schował pismo do kieszeni na piersiach.

- Najlepszym wyjściem jest postępować tak, jak gdyby nic się nie stało. I nie stracić twarzy, mój chłopcze!

Peter dyszał gwałtownie:

- Nie jestem Azjata, zamorduję.

- Site?

- Durpalich! Ramdasa pierwszego!

Ojciec spróbował się uśmiechnąć, chociaż wcale nie był w odpowiednim nastroju.

- Najlepiej wtedy, kiedy na powitanie zawiesi ci wieniec z kwiatów na szyi. Tak, ty też zostałeś zaproszony. Oczywiście pojedę sam.

Syn zerwał się z miejsca.

- Nie ma mowy, muszę tam być, choćby mi przyszło iść piechotą!

- Wobec tego w kajdankach i z eskortą policyjną, nieprawdaż?

- Peter dostał białej gorączki. Czyżby na dodatek ojciec nabijał się z niego? Nie, ordynator wyszedł zza biurka, chwytając go za ramiona.

- Peter! Wyobrażam sobie, co czujesz, ale za rok zrozumiesz, że to najlepsze wyjście. Do Nagpuru pojedziesz ze mną tylko wówczas, gdy, że tak powiem, położysz sobie na sercu woreczek z lodem. Jesteśmy cudzoziemcami, reprezentujemy nasz kraj i nie możemy się skompromitować jakimś incydentem. Masz zachować rozsądek, bo to jesteś winny Sicie. Tak ma być, w przeciwnym wypadku dostaniesz morfinę! Bez głupstw, Peter. Obiecuj mi to!

Syn patrzył błędnym wzrokiem, a potem skinął przytakująco głową. Ojciec podszedł do drzwi, po czym się odwrócił.

- Przez dwie godziny będę cię zastępował, a teraz zamknę cię tutaj, jasne? Potem musisz być na tyle opanowany, żeby móc pokazać się ludziom.

Rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Młody lekarz uderzył czołem w blat biurka. Suchy szloch wstrząsnął jego ciałem. Było on gorszy od łez. Wszystko stawało się suchą, spaloną pustynią, cały ten kraj, a teraz także i jego własne wnętrze.

V

Na przystrojonym kwiatami podwrocu rodowej siedziby Durpalich zasiadł w pozycji lotosu odziany w białą bramińską szatę stary grihasta pandit Kailath. U jego boku przykląkł służący trzymający w rękach dużą srebrną misę. Zaproszeni goście ustawili się w kolejce, aby nachylić się ku stopom pana domu, przekazać podarunek i otrzymać od niego na czoło czerwony znak wyróżnienia. Palec bramina raz po raz zanurzał się w czerwonej paście z drzewa sandałowego.

Odmawiając półgłosem w kapłańskiej postawie święte mantry, grihasta wyciągnął rękę - i zawahał się? Nie, z całą wyniosłością niezmaconego spokoju, jaki zdobywa się jedynie dzięki prastarym ćwiczeniom jogi, wymalował krwisty kumkum również na czołach cudzoziemców. W sercu Petera obudziło się wspomnienie. Dla niego powinien to być czarny popiół: Memento homo, quia pulvis es, gdyż tak nędznie się czuł.

Poczuł przelotne dotknięcie palca, skłonił się, a kiedy ojciec przekazywał panu domu podarunek ślubny, ciężką świąteczną zastawę ze srebra, wyprostował się i chwiejąc się na nogach, odszedł na bok. Przystrojone klejnotami kobiety, przybrane w bajecznie kolorowe sari, przemykały obok niego, rozsiewając wokół siebie aromat perfum i podzwaniające przy każdym kroku zausznicami oraz bransoletami. Sity nie było widać, jeszcze pozostawała w ukryciu przed wzrokiem wszystkich. W wielkiej siedzibie klanu, gdzie od wielu dni rozbrzmiewały instrumenty wieśniaczek, już od kilku godzin ubierano pannę młodą, malując jej twarz i ręce przynoszącymi szczęście tatuażami oraz obwieszając kilogramami biżuterii.

Przed głównym wejściem do domu służący wykładali właśnie kolorowymi płótnami wspaniałe, ozdobione kwiatami podium. W jego rogach umieszczono posadzone w pojemnikach bananowce, które miały dać trochę cienia.

- To pandal, tron dla młodej pary, a przed nim palenisko. Nie martw się, nie zostanie spalona, chociaż ty sam wyglądasz tak, jakby to był jej pogrzeb. Opanuj się, Peter!

Ruszyli dalej. Dobiegający nieustannie z wnętrza domu śpiew przypominał biblijne zawodzenie płaczek. Czyżby Hindusi nie mieli żadnego innego sposobu na wyrażenie radości?

Lokaj zajął się nimi, proponując herbatę. Upłynie jeszcze trochę czasu, zanim zjawi się pan młody.

Gdy Peter się ościągał, służący dodał:

- Obecny będzie także shri Ramdas Durpali!

To zadecydowało, na to właśnie czekał. Ojciec chwycił go za ramię, spoglądając surowo:

- Tylko się nie skompromituj, rozumiałeś?

Junior przytaknął i poszli za lokajem do salonu, gdzie zasiadł już syn rodu w aczkaniu z żółtego jedwabiu i zielonym turbanie, obwieszony błyszczącymi klejnotami niczym potomek maharadzy. Skłonił się, z uśmiechem witając przybyłych.

- Cieszymy się, widząc panów pośród naszych czcigodnych gości - zagaił uprzejmie, pokazując śnieżnobiałe zęby i osobiście podał im czarki z herbatą. Słodka, jaśminowa herbata ożywiała i odświeżała. W jednej chwili umysł Petera zaczął pracować jasno i spokojnie.

Doskonale opanowany przerwał nagle grzeczne wywody Durpalego:

- Shri Ramdas, muszę porozmawiać z pańską siostrą.

Oczy bramina znieruchomiały, ale tylko na sekundę, po czym odparł z jeszcze większą uprzejmością:

- Oczywiście, po ceremonii. Wtedy odbędzie się oficjalne przyjęcie dla gości.

- Shri Ramdas, wtedy będzie za późno. Obiecałem pańskiej siostrze małżeństwo i to wówczas, gdy o tym związku nikt jeszcze nie myślał.

Hindus błyskawicznie opuścił wzrok. Czarka w jego ręku drżała lekko, zaraz jednak odzyskał panowanie nad sobą.

- Przykro mi, sahibie, lecz nigdy nie pozostawiałem żadnych wątpliwości, że Sita Durpali jest nieosiągalna. Czy przypomina pan sobie, jak mówiłem: „O rękę Sity nie można się starać?”.

- Mimo to odważyłem się! Niszczy pan szczęście swojej siostry!

Bramin odpowiedział uśmiechem.

- Myli się pan, podobnie jak wszyscy Europejczycy. Kobieta staje się szczęśliwa przez posłuszeństwo i wierność. Nic nie przeszkodzi ani nie stanie na drodze temu szczęściu, wyraźnie przepowiedział to astrolog. Była to dla niej najkorzystniejsza godzina gwiazd, która - raz przeoczona - już więcej nie wróci. Oto moje wyjaśnienie, które jestem panu winien zgodnie z zachodnim zwyczajem.

Do rozmowy włączył się senior.

- Dobrze, że tak to pan rozumie, shri Ramdas, ale swego czasu zawarliśmy umowę.

- Oczywiście, ale bogowie stoją ponad ludzkimi umowami. - Wstał, podając służącemu pustą filiżankę. - Nie mam panom nic więcej do powiedzenia. Zapewniam, że pozostaję przyjacielem. Wszyscy okazujemy posłuszeństwo wyższemu od nas prawu.

Peter zerwał się z miejsca i zanim ojciec zdążył go powstrzymać, runął w stronę Ramdasa, stając jednak jak wryty na widok kamiennego spokoju Hindusa.

- Shri Ramdas, musi pan przynajmniej przekazać swojej siostrze, że nigdy jej nie zapomnę!
- wykrzyknął do niego. Bramin spojrział, jak gdyby go nie dostrzegł.

- Nic nie słyszałem moimi uszami, a jeszcze mniej moją duszą, sahibie. Niechaj to będzie dla pana pociechą, kiedy już odzyska pan panowanie nad sobą.

To mówiąc, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Ordynator, chwyciwszy syna za ramiona, potrząsnął nim kolejny raz.

- Jeśli będziesz się nadal tak zachowywał, to lepiej, żebyśmy się wynieśli! Jeszcze jedna taka scena, a chwycę pierwszy lepszy dzbanek z wodą i wyleję ci ją na głowę. Straciłeś rozum?

Junior doszedł do siebie. Ciężko dysząc, oparł się o cienką bambusową plecionkę, którą przystrojono ściany. Rzeczywiście, nie wrócił jeszcze całkiem do zdrowia. To stwierdzenie uspokoiło nieco ojca.

- Chodź do parku. Żadnych dalszych ekscesów. Unikajmy członków rodziny aż do chwili samej ceremonii.

Miał ją przynajmniej choć raz zobaczyć. Obiecał to synowi, ale modlił się w duchu, żeby obyło się bez większych kłopotów. Powoli spacerowali pod wyschniętymi drzewami. Powietrze było ciężkie, wszystkie fontanny też były suche!

Ognisty miesiąc maj, ostatni miesiąc, w którym zawierano małżeństwa w Indiach!

Nad parkiem zapadł już wieczór, kiedy zagrany przez orkiestrę donośny tusz zwołał rozproszonych gości. Z New Delhi przybył oczekiwany pan młody. Każdy chciał zobaczyć wjazd złoconej, przybranej kwiatami rikszy.

Ordynator powstrzymał syna.

- Posłuchaj, chłopcze! Teraz się zaczniesz. Przy najmniejszej oznace braku opanowania nie będę się zastanawiał i znokautuję cię, żeby mi było łatwiej cię odtransportować. Zrozumieliśmy się?

Po żylastym seniorze można się było spodziewać takiej siły, ale okazało się, że nie trzeba stosować przemocy fizycznej. Skwarny dzień przyczynił się do naturalnego osłabienia Petera, wprawiając go w stan apatii. Hindusi natomiast dopiero teraz ożyli. Rozbrzmiały okrzyki Dschai Hind! Najwidoczniej bogaty bankierski syn ze stolicy należał również do ruchu Ma- hasabba! Był to mężczyzna o szpakowatych skroniach, Peter przyjrzał mu się dokładnie. Według hinduskiego obyczaju także i Sita w wieku dwudziestu czterech lat przekroczyła dawno przyjęty dla dziewcząt wiek zamążpójścia.

Mogła się cieszyć, że o jej względy stara się tak szanowany zalotnik w średnim wieku.

Kolejny tusz, tym razem w wykonaniu męskiej orkiestry weselnej! Peter z płonąącym wzrokiem, choć na zewnątrz spokojny, wpatrywał się w smukłą postać w purpurowym weselnym sari, która podprowadzona przez rodziców pod portal witała narzeczonego. Pokornie skłoniła się ze

złożonymi rękoma przed panem i przedstawicielem bogów, mistrzem jej przyszłego kobiecego życia. Tryumfalnie poprowadzono ją ku pandal. Tam domowy kapłan braminów, przed którym Ramdas upadł kiedyś na twarz, zapalił święty ogień symbolizujący Hindusom obecność Brahmy, najwyższego boga. Jego blask odbił się tysiącem iskier w niezliczonych kosztownościach zdobiących ubiór Sity, gdy kierowana przez guru pochyliła się przy blasku setek lamp oliwnych, aby srebrnym czerpakiem podsyć ghee jego płomienie, nie można było dopuścić do jego zagaszenia! Języki ognia wystrzeliły jasno i czysto w górę, budząc pełen uznania szmer pośród gości! Dobry znak, małżeństwo będzie się cieszyło błogosławieństwem bogów. Raz po raz pobłyskiwała tika, okrągła diamentowa ozdoba na czole, kiedy Sita niczym posąg bogini siedziała nieruchomo przy ogniu ze spuszczonej oczyma.

Zdawała się obserwować języki ognia, aby je uspokoić i poddać swej woli. Czyżby pogrążyła się w medytacji, kiedy stojący obok niej guru odmawiał półgłosem długie sanskryckie modlitwy? Nastąpiła noc, a gwiazdy na firmamencie nieba rozblęskły jeszcze jaśniejszym blaskiem.

Nagle zabrzmiał ogłuszający tusz wszystkich kapel. Nadszedł kulminacyjny moment uroczystych rytów. Na dany przez kapłana znak młoda para powstała. Wysocy i smukli stali obok siebie na podium w otoczeniu siedzących na poduszkach najbliższych krewnych. Wszyscy spoglądali na ręce panny młodej.

A z tych drobnych, bogato ozdobionych tatuażem i wieloma pierścieniami dłoni posypały się w płomienie ziarna ryżu, symbol płodności. Kiedy pan młody powtórzył ten gest, podszedł do nich odziany na białą guru, składając uroczyste ich ręce, zaś szczęśliwy oblubieniec z rozradowaną twarzą założył Sicie na szyję złoty naszyjnik weselny - podobnie symboliczny jak obrączka narodów zachodnich. Następnie przystąpili do potwierdzenia nierozzerwalności małżeństwa w dokładnie obliczonym rytmie, okrążając trzykrotnie święty ogień.

Najpierw prowadziła Sita. Jej krok był lekki i pewny, obchodziła palenisko niczym pogrążona w transie. Peter wstrzymał oddech - następne siedem kroków, teraz prowadzenie przejął pan młody, który zawładnie nią do końca życia. Jedynie kawałek białego płótna łączył parę. Oblubienica szła posłusznie za nim.

Teraz już nie dało się powstrzymać rozochoconych gości. Z gromkimi okrzykami, gratulując, ruszyli do młodej pary, obsypując nowożeńców kwiatami i ryżem. Sita poddała się owacjom, stojąc nieruchomo. Złotoczerwone sari powiewało łagodnie na wietrze. Ani jednego uśmiechu, ani jednego gestu.

Ludzka fala porwała także i Petera. Ojciec nie musiał już trzymać jego ramienia niczym w imadle.

Sita była dla niego definitywnie stracona, a i serce umarło mu w piersi.

Wreszcie zobaczył dokładnie jej uroczą twarz sprawiającą teraz wrażenie zupełnie obcej. Wymalowany ochrą łańcuch gwiazd biegł od nasady nosa przez cienkie, czarne brwi ku skroniom, tworząc na policzkach fantazyjne kwiaty, lecz ich nie szpecąc. Pasma ciemnej farby sprawiały, że jej oczy niczym u gazeli płonęły jeszcze większym ogniem i rozmarzeniem. Zarys ust podkreślono krwistym karminem, błękitną czernią połyskiwały włosy ozdobione czerwonymi orchideami.

Tylko jedno spojrzenie, tylko jedno jedyne spojrzenie, Sito Devi!

Jak gdyby czując siłę tej niemej prośby, podniosła po raz pierwszy oczy, spoglądając na niego.

Sama bogini Sita wpatrywała się tym pełnym melancholijnego oddania wzrokiem w oblicze cudzoziemca, mletschaha, bez-kastowego Europejczyka. To nie była już Sita. To były Indie.

I zaraz ocienione długimi rzęsami powieki przykryły te bajeczne oczy niczym nieprzenikniony welon tysiącleci, tradycji i tajemnicy, jaka otacza hinduską kobietę.

Potem odwróciła się i u boku męża przestąpiła progi domu. Obaj lekarze w milczeniu ruszyli przez pogrążający się w ciszy park. Zrezygnowali z udziału w wystawnej uczcie. Jeszcze przez chwilę dochodziło ich echo gry nieznanymi instrumentów, a potem pochłonął ich mrok nocy.

Przez dwa ostatnie dzielące ich od monsunu tygodnie w klinice narósł taki ogrom pracy, że Peter nie był w stanie poddać się bólowi drążącemu jego wnętrze. I dobrze się stało. Poważnie i w milczeniu wypełniał obowiązki, nie zważając na ogarniającą go niekiedy słabość.

Ojciec ani słowem nie wracał do uroczystości zaślubin, zachowując się tak, jak gdyby nie usłyszał wyznania syna, które zakłóciłyby łączącą ich więź. Jak nigdy dotąd, w surowym rodzicu odnalazł teraz Peter dobrego, życzliwego przyjaciela.

Znacznie trudniej przychodziło znosić Gardenera, który przejął obowiązki Sity, więcej, zawarł z kliniką stosowną umowę o pracę. Kiedy młody lekarz przechodził w pobliżu, również i siostry przerywały rozmowę na temat kumari. Odczuł jednak zadowolenie, gdy dumna Angielka współczująco orzekła, że odejście braminki jest wielką stratą. Dopiero teraz zrozumiała, do jak wielkich wyrzeczeń zdolna była Hinduska.

Być może to właśnie sprawiło, że siostra Ethel stała się bardziej wyrozumiała i łagodniejsza w obejściu. Ale na wszystko było już za późno.

Nad Indiami zawisło gorączkowe wyczekiwanie. Każdego ranka wszyscy z utęsknieniem spoglądali na chorągiewkę pogodową, to z niepokojem, to znowu pełni nadziei. Trzepotała, kręciła się na wszystkie strony, zdawało się, że dopadł ją ten sam nerwowy niepokój co i ludzi. Flety Kriszny jeden przez drugi prześcigały się w błagalnych ragas - niechaj bóg ześle wreszcie upragniony deszcz. Jalnapur pogrążył się niczym w adwentowym oczekiwaniu. Deszcz rzeczywiście byłby wybawieniem.

Ubodzy zaczęli już miażdżyć pestki owoców mango, spożywając gorzką papkę, ponieważ zapasy ryżu topniały zatrwając. Do kliniki przywieziono też pierwszych pacjentów z oznakami choroby głodowej.

Wreszcie radio nadało wiadomość, że w Bombaju ruszyły pierwsze powiewy monsunu. Wszyscy odetchnęli z ulgą, z błyszczącymi radością oczyma wykrzykując do siebie tę radosną nowinę we wszystkich możliwych językach. Mogły jednak minąć jeszcze dwa tygodnie, zanim front pogody osiągnie Indie Centralne i okręg Jalnapur. Musiano uzbroić się w cierpliwość i dalej znosić 48stopniowy upał.

Peter zacisnął zęby i nie poddawał się. Tylko nie ulec jak nowicjusz, i to wtedy, kiedy najbardziej jest się potrzebnym! Któregoś ranka, gdy wziął samochód, bo po nieprzespanej nocy czuł się zbyt słaby, aby po zakurzonych drogach wędrować piechotą do miasta, zobaczył, jak wieśniacy, dziko gestykulując, wskazują ku niebu i roześmiani padają sobie w ramiona. Flaga pogodowa wskazywała teraz południowy zachód, choć wcześniej przez całe miesiące uparcie była zwrócona ku północnemu wschodowi. Nadchodziła zmiana! Musiał spaść deszcz!

Słońce tak prażyło, że odstawiając pojazd przed kliniką, Peter już wczesnym rankiem mógłby na jego karoserii smażyć jajka. Jeszcze koło południa niebo spowijał stalowy błękit, a każdy nerw wibrował z niecierpliwości. Wreszcie jaskrawa błyskawica przebiła warstwę chmur i chwilę później spadła pierwsza ciężka ulewa. Ziemia nie była w stanie przyjąć wilgoci. Czerwony kurz tworzył toczące się kulki i choć krople padały gęsto, to dziesięć minut później nie było śladu po deszczu.

Odtąd jednak kaskady wody spadały nieustannym werblem, spowijając nieprzeniknionym welonem całą naturę.

Hindusi wyglądali z domostw, radując się z wyciągniętymi ku niebu ramionami i korzystając z dobroczynnej kąpieli. Deszcz! Błogosławieństwo! Lekarze stanęli w drzwiach, oddychając głęboko. Ochłodzenie było oczywiście tylko złudzeniem. Jal- napur z gorącego piekarnika przemienił się w buchającą parą saunę. I nic więcej.

Peter wsparł się ciężko o futrynę drzwi. Monsunowy deszcz obmywał mu twarz. Ojciec wziął go na stronę.

- Wejdz do domu! Teraz zagrażają cholera i tyfus! Zostaw Hindusom upajanie się monsunem.

Junior zmęczonym ruchem odwrócił głowę, mówiąc zupełnie nieoczekiwanie:

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego Bóg na to pozwolił.

- Co takiego? Że wreszcie nadszedł monsun?

Syn potrząsnął głową, mrużąc:

- Przecież chciała zostać chrześcijanką. Ale tu rządzą bogowie.

Ojciec był zbyt zdumiony tą wypowiedzią, żeby coś odpowiedzieć. Dotarło jednak do niego, że musi upłynąć sporo czasu, zanim jego syn dojdzie jakoś do siebie. Na szczęście nie mógł się zatopić w ponurych rozmyślaniach, gdyż w okresie monsunu klinika pękała w szwach i nawet Gardener nie pozwolił sobie na realizację planów związanych z szybkim ożenkiem. Musiano przesunąć termin ślubu, gdyż nikt nie mógł się zwolnić nawet na parę godzin. To oczywiście sprawiło, że Anglik miał kiepski humor, był zły, rozdrażniony, próbował odreagować przez cyniczne wypowiedzi.

- Należy mieć przed oczyma tylko jedno, Larsen, mianowicie zachować spokój podczas kryzysu - stwierdził kiedyś w swoim protekcyjnie wyniosłym stylu. - Proszę spojrzeć na mnie! Biorę sprawy takimi, jakie są. Nie móc się ożenić, też dobrze. Powtarzam sobie to, co już od dawna wiem jako lekarz: miłość to czysto biologiczna sprawa. Bzdury na temat serca i uczuć to jedynie wynalazek poetów i marzycieli. A nawet gdyby się znalazło i tysiąc pięknych wyznań, to w gruncie rzeczy związek małżeński zawiera się, gdyż tak chce natura. To jak monsun: przychodzi, wyszumi się i przemija, gdy użyźni ziemię. Trzeba tylko o tym wiedzieć i znać wzajemne zależności, a wtedy wszystko jest jasne.

Peter obrzucił go z boku lodowatym spojrzeniem.

- Najlepiej zrobi Pandan, zachowując tę wspaniałą teorię dla siebie. Nie wyobrażam sobie, żeby pańska narzeczona mogła myśleć podobnie. Kobiety jeszcze wierzą, i w tym są od nas lepsze. Słowa Gardenera były pełne ironii.

- Kolejne złudzenie. Na szczęście Ethel jest tak samo rozsądna jak ja. Gdy ją zapytałem: „Darling, zaczekamy jeszcze?”, odpowiedziała zuchwale, że jeśli chodzi o nią, to nawet do następnego monsunu. W niczym mi to nie przeszkadza, a jej jeszcze mniej, ponieważ wiemy, że nie jesteśmy przeznaczeni dla siebie, tak jak to traktujecie wy, sentymentalni Niemcy, lecz że połączyły nas przypadek i konieczność. - Czyszcząc starannie własne instrumenty, kontynuował wywód: - Jest błędem, Larsen, uważać, że szczęście może dać jedna określona kobieta. Należy brać pierwszą lepszą, kiedy nadejdzie na nią czas. Wtedy nie popełnia się błędów. Na pana miejscu wziąłbym Niemkę. To nie tylko ta sama krew, lecz nawet, jak powiedzieliby Hindusi, prawie „ta sama kasta”.

Zerknął na przełożoną pielęgniarkę, która właśnie bez słowa opuściła salę operacyjną. Najwidoczniej i ją denerwowały przemądrzałe wywody.

- Niech pan posłucha, Gardener - wycedził Peter z wściekłością. - Jeszcze przekona się pan o tym, że nie będzie mógł posiadać kobiety biologicznie, gdy będzie się czuł nędznie duchowo. Ale wszystko jeszcze przed panem!

Gardener wzruszył ramionami, spoglądając na kolegę ze zdziwieniem. Monsun musiał zdrowo dawać mu się we znaki!

- Nie, w moim przypadku to się nie zdarzy. Zażył pan już jakiś środek zapobiegawczy, Larsen?

Rzucił w jego kierunku pudełko z lekarstwem.

- Uspokaja nerwy. Angielski preparat, przeznaczony głównie na eksport, bo my Brytyjczycy mamy zdrowe nerwy.

Monsun tymczasem pokazywał humory i raz po raz ustawał. Hindusi nie przestawali składać swoim bogom ofiar puja, aby tylko spadło wystarczająco dużo deszczu.

Trzymając nad głowami ogromne czarne parasole i promieniejąc radością, spacerowali w największym nawet deszczu boso, aby łatwiej przedostać się przez błoto i kałuże.

Co za nierozsądny naród! Wiedziano przecież powszechnie, że teraz nasilała się aktywność węży i żmii. Należało się obawiać każdego ukąszenia, gdyż wszystkie kończyły się śmiercią, jeśli natychmiast nie udzielono pomocy. Szczególnie niebezpieczna była mała, zwinna krait. Ale Hindusi przywykli już do tego, że w ich kraju życie i śmierć stały się podobne do niedających się rozdzielić bliźniaków syjamskich.

Młodego Dhobi, jeszcze rankiem znoszącego na głowie ku rzece stos brudnej bielizny szpitalnej, przyniesiono wieczorem w agonii, gdyż podczas prania ukąsił go wąż wodny. I tak było codziennie. Do tego dochodziły przypadki tyfusu i cholery, które należało natychmiast izolować!

Wieczorami młody lekarz, znużony śmiertelnie, zasiadał przy ogniu zapalonym o tej porze

roku tylko po to, by wysuszyć mokre ubranie. Noce nadal nie przynosiły wytchnienia, a już flety Kriszny zanosiły pieśni dziękczynne. Za co? Przecież odpoczynek nadal był niemożliwy.

Gdyby przewyciężył kryzys duchowy, to pewnie udałoby mu się przeżyć zmianę klimatu i zachować spokój, podobnie jak Hindusom, którzy miesiącami spali zwinieci w wyplatanych łózkach, choć napadały na nich niezliczone roje kąśliwych moskitów. Peterowi bardziej dokuczał dusznowilgotny zaduch niż suchy upał.

Z założonymi za głowę rękami przysłuchiwał się monotonnemu szumowi deszczu, klótniom małą o bezpieczne miejsce na czubkach drzew mangowych i palm oraz szelestom i popiskiwaniu biegających po ścianach jaszczurek!

Wciąż nurtowało go pytanie: dlaczego? Dlaczego doszło do klęski jego miłości? Czyżby Chrystus umarł? Tak szybko pozwolił odebrać sobie swój łup, On, który powiedział, że należących do Niego nikt nie wyrwie Mu z ręki? Od ojca Stefana nadszedł list pełen słów pociechy, ale Peter nie chciał go nawet przeczytać. Misjonarze muszą tak mówić, to ich zawód, im nie wolno się poddać. A poza tym, co duchowny może wiedzieć o miłości?

Próbował przecież kiedyś cierpieć za Się i Peter nieomal uwierzył w to wzajemne oddziaływanie łaski. Teraz jednak odrzucił od siebie wszelkie pobożne złudzenia. W Indiach niepodzielnie panowali bogowie i gwiazdy! Czy garstka zachodnich kaznodziejów mogła się przeciwstawić potędze tysiącletniego hinduizmu? Gdy ojciec wspomniał kiedyś o zaproszeniu do Kuteli, junior odpowiedział mruklawie:

- Nie zniosę teraz widoku czarnej sutanny, później.

Czasami wydawało mu się, że został okłamany i oszukany. Ale przez kogo? Kto go właściwie zawiódł? Ojciec Stefan był w porządku, podobnie i jego własny ojciec. Przeciwno komu mógłby więc zwrócić tępy gniew i palące go rozgoryczenie. Nie potrafił sobie ani pomóc, ani siebie zrozumieć.

Ordynator zdawał sobie sprawę, że jedno niewłaściwe słowo więcej zepsuje, niż naprawi. Peter nie był zdolny do sprawiedliwych sądów. Najpierw musiał nieco ustać dręczący go ból. W jakim stanie jest syn, o tym senior przekonał się dopiero, gdy junior wrócił z polowania w Saraipali.

Nadszedł sierpień, a ponieważ monsun uspokoił się nieco i deszcz zelżał, nadleśniczy Redcliff wysłał do lekarzy zaproszenie na rzadkie polowanie na tygrysa, gdyż w dżungli pojawił się znowu maneater. Ten ludojad porwał już kilkoro dzieci, a także napadał na kobiety z leśnych wiosek.

Wcześniej sam ordynator zaraz wyruszyłby w drogę, teraz natomiast propozycja była wręcz opatrnościowa. Petera należało wyrwać z codziennego kieratu, potrzebował jakiejś rozrywki. Poza tym ktoś musiał pojechać do Saraipali, ponieważ Gardener zapowiedział swoje zaręczyny i chciał spędzić przynajmniej parę godzin pod dachem przyszłych teściów. Przy tym niezbędna okazywała się obecność jednego z jego kolegów, jeśli chciało się dochować wierności starym obyczajom.

Przez jeden dzień szef poradzi sobie wspólnie z siostrą Annemarie, narzeczeni chcieli wieczorem wracać z powrotem, bo to odpowiadało rzeczowej naturze Gardenera. Dla niego wizyta miała jedynie charakter grzecznościowy, natomiast ordynator cieszył się, że nie musi posyłać syna samego. Choćby Anglik był mu stokrotnie niesympatyczny, powinni uczyć się wzajemnej tolerancji. Być może nadarzy się ku temu okazja podczas polowania.

Peter nie miał ochoty wybierać się w podróż, zgodził się jednak, bo nie sprawiało mu to żadnej różnicy. Wydawało mu się, że nic więcej nie może go już ucieszyć, nic nie podniesie go z upadku.

Bardziej egzotycznych zaręczyn jeszcze nie oglądał: narzeczona w bryczesach i zielonej lnianej koszuli z kapeluszem myśliwskim na głowie, natomiast jej oblubieniec w manchesterze i sztylpach do konnej jazdy niczym w Old England. Ze sztu- cerami na ramionach maszerowali do dżungli w towarzystwie shikaris.

Pani Redcliff spoglądała za nimi ze łzą w oku. Tak samo działo się w czasach jej młodości, choć bardziej romantycznie niż w tym pokoleniu. Polowanie w dżungli trudno było przyrównywać do łowów z nagonką w starym stylu szlacheckiej Anglii! Natomiast jej mąż, kierujący całym

przedsięwzięciem, był w doskonałym humorze. Ten Gardener, choć nie leśniczy, wykazywał zrozumienie i namiętność do prawdziwie męskiej rozrywki.

Bo Henocho Bordale, jego drugi zięć, interesował się tylko i wyłącznie maszynami!

Redcliff kroczył obok Petera.

- Pierwsze polowanie, doktorze?

- Tak.

- Hm, jeszcze się panu spodoba. To prawda, że droga jest teraz bardzo uciążliwa, a dżungla nieprzyjemna przy mon- sunie, ale zobaczy pan, gdy usiądzie w machan, na ambonie, i poczuje dreszczyk emocji...

Lekarz słuchał w milczeniu. Nadleśniczy obrzucił go krytycznym spojrzeniem i również zamilkł. Zaniepokojony przyrzekł sobie, że będzie miał oko na młodego Niemca. Bambusowa dżungla stawała się w tym okresie szczególnie niebezpieczna i wszyscy musieli zachować niezbędną ostrożność. Aby rozruszać trochę zamyślnego gościa, zaczął opowiadać o bestii, która od tygodni krążyła po lasach wokół Samii. Chodzi o bardzo sprytnie i podstępne zwierzę. Sądząc po śladach, nie będzie to stary osobnik. Utyka, kiedyś przez kogoś postrzelony, i jest mniej sprawny, więc rzuca się na ludzi.

Peter przytakiwał, ale nadal milczał. Zielona gęstwina wokół myśliwych parowała gorącym zaduchem. W tych warunkach niczym w cieplarni panoszyła się bujna roślinność: liany obejmowały bambusy zwodniczymi ramionami, mieniając się czerwienią i fioletem, rozsiewając odurzające zapachy, lecz dusząc całe życie pod sobą, przy ścieżce rosły olbrzymie grzyby wielkości głowy, mięsiste liście wielkości koła u wozu. Wszędzie cicha, lecz dzika orgia kwitnienia, kielkowania i wędnięcia! Tropienie ukrywającego się tu tygrysa to szukanie igły w stogu siana.

Nadleśniczy poczuł się zobowiązany do udzielenia krótkiego wyjaśnienia.

- Oczywiście przygotowaliśmy przynętę, przywiązaliśmy do drzewa starego bawołu.

Dzisiejszej nocy tygrys z pewnością go zaatakuje, dając nam okazję do strzału. W innym miejscu wystawiono kozy. Ciekaw jestem, kto zdobędzie birnak.

- Birnak? Co to takiego?

- Mała kość stawowa w okolicy łopatki. Tubylcy wierzą, że przynosi myśliwemu szczęście i szaleją za nim, ale dostaje go tylko ten, komu uda się oddać celny strzał.

Te myśliwskie historie nie dawały Peterowi żadnej rozrywki. Nie inaczej było na ambonie ulokowanej na wysokim bananie, na którą wspiał się razem z Redcliffem po zapadnięciu zmroku. Dzwoniąca w uszach cisza i samotność w dżungli przywołały mu wspomnienia bolesnych przeżyć z ostatnich tygodni. Była to swoistego rodzaju pokusa - ciągle odnawianie w sobie bólu i tęsknoty za Sitą. Pogrążony w myślach patrzył nieruchomym wzrokiem w milczącą ciemność, słysząc jedynie od czasu do czasu, jak w pobliżu tupie i parska zaniepokojony bawół. W każdym innym czasie miałby litość dla żywej przynęty, ale teraz była mu także obojętna męczarnia stworzenia. To przecież prawo natury. Śmierć jednego jest życiem innego. Czy nie są to słowa Gardenera?

Poderwał się. Właśnie wydawało mu się, że widzi przed sobą Sitę, jak spokojnym ruchem podsycy ghee płomień ognia małżeńskiego, gdy nagle Redcliff poderwał sztucer do ramienia. W jednej chwili w dżungli rozbrzmiał hałaśliwy koncert ostrzegawczych zwierzęcych głosów: świergot ptaków, dzikie wrzaski małp, przenikliwe skrzeczenie papug. Wszystkie zapowiadały zbliżanie się tygrysa lub innego wielkiego drapieznika!

Gdzieś niedaleko głuchy, miękki skok - i prawie w tej samej chwili ryk bawołu. Strzelba Redcliffa błysnęła dwa razy ogniem, dosięgając śmiertelnie napastnika i ofiarę.

Zapadła cisza, więc zeszli ostrożnie na dół. Nadleśniczy czujnie śledził pozostawiony trop, Peter szedł za nim, nagle zupełnie przytomny.

Redcliff wyprostował się rozczarowany. Na ziemi leżała pantera, a nie ludojad. Być może inni będą mieć więcej szczęścia. Zagrał sygnał, odsłuchał odzew i zabrał się do odwrotu. Strzały tak wylękły dżunglę, że można było bez obaw ruszyć w drogę. Każdy dziki kot schowa się w kryjówce, skąd tylko wietrzyć będzie zapach śmiertelnego wroga, człowieka.

- A pantera? - zapytał Peter, krótko zerkając wstecz.

- Nasi tragarze przyjdą po nią rankiem - odparł Redcliff.

W tej samej chwili młody lekarz odskoczył, błyskawicznie podrywając broń. Strzelił dokładnie pomiędzy dwoje zielonych świateł, jakie zapaliły się w gęstwinie lian. Odpowiedziało rżenie agonii - po czym zamilkło. Nadleśniczy zawołał ostrzegawczo:

- Stop! Nie podchodzimy bliżej, musimy odczekać.

Ale nieznaną bestia nie wydała już głosu. Zapaliło się światło latarki. Redcliff się wzdrygnął.

Podszedł powoli bliżej, pokiwał głową, po czym odwrócił się do Petera, mówiąc:

- Gratuluję, birnak należy do pana.

- To tygrys?

- Tak. Niewiele brakowało, a kolejny raz zasłużyłby na swoje miano. Młody człowieku, miał pan dużo szczęścia. Pański ojciec nigdy by mi nie wybaczył, gdyby zginął pan w ten sposób. Czy zdaje pan sobie sprawę, jak niewiele brakowało?

Peter wzruszył ramionami zupełnie obojętny.

- Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

Anglik gapił się na niego, nie rozumiejąc.

- Nie mówi pan chyba poważnie, doktorze.

- Nigdy nie byłem poważniejszy!

- Gdybym o tym wiedział, nie zabrałbym pana ze sobą!

Zaraz potem zadał w róg, jak gdyby chciał obudzić zmarłych.

Nieco później zaszeleściły zarośla, ze wszystkich stron zeszli się shikaris. Przy ogniu roztrząsano niezwykle wydarzenie, natomiast Peter trzymał się na uboczu, jak gdyby nic go to nie obchodziło. Dopiero gdy kulisi przywlekli tryumfalnie trofeum łowieckie, śpiewając radośnie w towarzystwie gromady drobnych wieśniaków, podszedł niechętnie bliżej. Jaki to wyczyn, że przypadkowo udało mu się celnie wystrzelić? Dlaczego pozostał przy życiu? To nie wola życia, lecz gorączka myśliwska czy raczej spontaniczna reakcja sprawiły, że na czas poderwał broń.

Gardener wiedzący zawsze wszystko lepiej, wyśmiał go.

- Mój drogi, wola życia w Europejczyku umiera dopiero pięć minut po zgonie. Musiałby pan udać się po nauki do jakiegoś sannjasi, żeby ją pokonać. Tyle tylko że pan sam tego nie chce. No, ale teraz co innego. Komu dostanie się birnak?

Peter spojrzał na siostrę Ethel.

- Narzeczona. Ona bardziej potrzebuje szczęścia niż ja.

Angielka zaśmiała się, ale potem oblała rumieńcem i szybko wyciągnęła rękę, kiedy parias oprawiający tygrysa podał jej mały talizman, przynosząc szczęście kość z łopatki. Szybko ją też schowała. U Brytyjczyków nie dało się wyplenić zabobonu, natomiast Peterowi nie zwróciłyby szczęścia nawet wszystkie birnaki Indii.

Redcliff pochwycił go za ramię:

- Larsen! Wziął pan włosy z brody?

- Co takiego? A na co mi one?

- Człowieku, należało przynajmniej zapobiec, żeby ich nie wziął któryś z Hindusów. Są trujące! Jeśli komuś rozdrobnione domiesza się do pokarmu, ten umiera w straszliwych męczarniach.

Rzeczywiście, tygrysowi brakowało włosów na brodzie. Nastąpiło ostre, lecz bezskuteczne przesłuchanie - nikt się nie przyznawał.

- Ma pan wrogów, doktorze?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- To dobrze. A jak z panem, Gardener?

Anglik się roześmiał.

- Wrogowie, ja? Niech się tylko któryś odważy zdrzeć ze mną! - Zirytowany zmienił temat.

- Niech pan nie robi zamieszania z powodu kilku kłaków, Redcliff. Ja i tak nie wierzę w te bajki. Odejdźmy trochę, bo teraz uczi się bohatera!

Nadeszli wieśniacy ze swoim panchayatem na czele, obwieszając Petera girlandami kwiatów i wymrukując niezrozumiałe formuły błogosławieństw. Lekarz cierpliwie pozwalał na wszystko, ale ucieszyło go, gdy shikaris ruszyli wreszcie ku leśnemu bungalowowi. Skórę tygrysa ofiarował nadleśniczemu jako wyraz wdzięczności.

- Nie słyszał pan, Larsen? Ten mały, krzywonogi pan- chat, byłby gotów oddać panu jedną ze swoich córek - zwrócił się do niego Gardener z krzywym uśmiechem na twarzy. Zagadniętemu krew uderzyła do głowy.

- Wielkie dzięki! Na temat miłości mam zupełnie inne wyobrażenie - odparł burkliwie. - U mnie zaczyna się ona właśnie tam, gdzie u pana kończy.

Redcliff obrzucił ich zdziwionym spojrzeniem. Nieco później wręczył Peterowi list.

- Czy mógłby mi pan wyświadczyć przysługę i przekazać ten świstek ojcu? Przykro mi, że tym razem nie udało nam się zagrać w szachy.

Niemiec bez słowa schował kopertę do kieszeni. Przypomniawszy sobie o niej dopiero wtedy, gdy po powrocie ojciec wspomniawszy, że na wypadek gdyby Gardener rychło po zaręczynach planował ceremonię ślubną, nie uniknęliby konieczności zaproszenia Redcliffa do Jalnapuru, ponieważ na czas trwania uroczystości weselnych nie mógł zrezygnować z jego pomocy oraz Anglika.

Najwidoczniej nadleśniczy chciał wysunąć podobną propozycję i to przypomniało Peterowi o liście.

Zamknięty w gabinecie ordynator długo myślał nad krótkim listem od przyjaciela, wciąż na nowo czytając kilka szybko skreślonych zdań: „... postaraj się, żeby syn odpoczął, zanim dojdzie do jakiegoś nieszczęścia. W tym względzie przeżyliśmy obaj już niejedno. Jest zmęczony życiem, przyznał mi się do tego, gdy zaatakował go tygrys. Jako lekarz wiesz lepiej ode mnie, że tego rodzaju amok klimatyczny jest gorszy od zwykłego szaleństwa. Na pewno znajdziesz sposób, żeby na jakiś czas wysłać go w zdrowsze okolice...”.

Poczuł wdzięczność do przyjaciela za tę radę. Jemu samemu duchowy kryzys syna nie wydawał się aż tak poważny. Ale Redcliff miał rację - tu znaczną rolę odgrywały przyczyny organiczne. Czyżby Peter odziedziczył skłonność do chorób po słabowitej matce?

Ale choć przez następne tygodnie pilnie go obserwował, syn wziął się w garść, nie dając niczego po sobie poznać i podporządkowując się bez szemrania, gdy rzeczywiście zaplanowano uroczystość ślubną w wąskim gronie znajomych. Przez kilka dni służący sprząтали bungalow, nieomal stawiając go na dachu, aż wszystko lśniło czystością, po czym z góry do dołu obwiesili girlandami.

Obaj lekarze wystąpili w Raipurze w roli świadków. Z początkiem sierpnia monsun ustawał już na dłużej, więc podróż sprawiała przyjemność, wkrótce minie uciążliwa pora deszczowa. Również i tę zmianę dawało się wyczuć w kościach.

Ethel żałowała, że Margaret nie może przybyć z Kalkuty. Urodziła właśnie pierwsze dziecko, chłopca, którego podobieństwo do starego Redcliffa najwidoczniej udobruchało nieco rodziców.

Ethel wystąpiła na ślubie w kostiumie, co zupełnie odpowiadało jej prozaicznej naturze, natomiast siostra Annemarie ubrana w zwiewną koktajlową sukienkę wyglądała znacznie lepiej od panny młodej.

Pozostała u boku Petera przez cały dzień, zadając sobie wiele trudu, aby oderwać go od ponurych rozważań, które obudziły się w nim na wspomnienie innej, bolesnej uroczystości weselnej. Ordynator zadeszował do Kuteli i otrzymał do pomocy jedną z francuskich zakonnice. Na szczęście mogła pozostać w Jalnapurze przez kilka miesięcy i wyuczyć się zawodu pielęgniarki. Tym sposobem towarzystwo mogło przynajmniej przez kilka godzin cieszyć się uroczystością.

Pito whisky, a także wino z południowego wybrzeża. Peter spożywał niewiele alkoholu, a jeszcze mniej mówił. Za to głośniejszy i weselszy był Gardener, zasypując gości lawiną słów - sam troszczył się o całą konwersację. Słuchając go, przez chwilę miało się wrażenie uczestniczenia w wystąpieniu doświadczonego eksperta. Był doskonale we wszystkim zorientowany, czy to jeśli chodziło o zwyczaje, czy ekonomię. Oczywiście wiedział także, jak rozwiązać najtrudniejsze

problemy Indii.

Młody lekarz poczuł się znudzony, więc po krótkim tańcu z siostrą Annemarie wyszedł na werandę, aby zaczerpnąć nieco świeżego, wilgotnego od deszczu powietrza. Pielęgniarka poszła za nim, wyczuwając intuicyjnie, że jest jedyną osobą, której towarzystwo zniesie. Był jej wdzięczny, gdyż milczała. Z wnętrza dobiegły dźwięki starego szlagieru: „Podaj mi na pożegnanie dłonie, good night”.

Peter tańczył przy tej melodii jeszcze jako sztubak.

Gdzieś w pobliżu łkał flet, jak gdyby był częścią akompaniamentu.

Spotkali się wzrokiem.

- To nie wieczorne granie - zagaiła siostra Annemarie, nadstawiając ucho. - Zaraz po monsunie rozpoczynają się dla Hindusów miesiące, w których można zawierać związki małżeńskie. W czasie pory deszczowej, kiedy bogowie są nieobecni, nikt nie świętuje. - Spojrzała na niego lekliwie.

- To musiałyby się stać w porze deszczowej - odparł na to, a ona wiedziała, że myśli o Sicie. Tak, w czasie monsunu nie wydano by jej za męża. To krótkie zdanie powiedziało siostrze Annemarie wszystko. Poczowała współczucie.

- Panie doktorze - rozpoczęła matczynym tonem. - Nie może pan wyobrazić sobie losu Sity tylko w czarnych barwach. Hinduskie kobiety nie wiedzą nic na temat miłości, inaczej niż my. Z pewnością nie cierpi.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Co takiego? A co pani wie o miłości? Więcej od Sity? Więcej od niej? - zapytał chrypliwie.

- Tak - przytaknęła siostra Annemarie. - Współczuję panu, doktorze, ale.. - Dalej nie mogła już mówić, bo przygarnął ją do siebie i namiętnie pocałował.

- Rozumiesz mnie - wyszeptał - tylko ty jedna mi współczujesz.

Wyrwała się, wsparła o balustradę i wyciągnęła obronnym gestem drugą dłoń. Ten gest przypomniał mu o Sicie i błyskawicznie go otrzeźwił.

- Proszę tego więcej nie robić i zapomnieć o tym, co się stało! Przecież myśli pan tylko o niej! - upomniała go ze łzami w oczach. Stał, jak gdyby oblano go zimną wodą. To prawda, serce pragnęło Sity, a tymczasem pocałował inną. Zawstydzony spuścił głowę. Czyżby Gardener miał rację, uważając, że wszystko co związane jest z miłością, można wyjaśnić odrobiną biologii?

Czyżby należał do tych słabych Europejczyków, którzy zadowolają się każdą kobietą, gdy tylko przyszła im na to ochota?

- Proszę wybaczyć, siostrze Annemarie - wymruczał, pocierając dłonią spocone czoło - myślę. niech to licha. że nie jestem jeszcze zupełnie zdrowy.

- Niech pan zostanie tu przez chwilę! Wejść sama do środka, a pan dopiero za parę minut, doktorze! Wszystko w porządku, między nami nic nie zaszło!

Oddaliła się energicznym krokiem. Peter zazgrzytał zębami, tak było mu wstyd. Co się z nim działo? W skroniach biło mu młotem, w głowie huczało. Nawrót malarii?

Kiedy odważył wejść do środka, Gardener właśnie się żegnał. Wracali do kliniki, wprowadzili się bowiem do dawnego apartamentu zamieszkiwanego przez kumari. Starsze towarzystwo pozostało jeszcze. Peter ruszył do szpitala na piechotę, na niego wypadał nocny dyżur. Dopiero szarym świtem wrócił do cichego już bungalowu, ciągle nieszczęśliwy i rozdarty wewnętrznie. Jak ma się jutro pokazać siostrze Annemarie na oczy? Jeszcze tylko tego brakowało, żeby poczuł się zobowiązany do poślubienia jej. Trzeba zachować choć odrobinę rozsądku.

Leżał w łóżku niewyspany i rozdrażniony. Jasność dnia nie przynosiła spokoju. Na figowcach skrzeczały i hałasowały małpy. Wstał i ogolił się starannie. Czy nie wyglądał już na jakiegoś opryszka? W niszy okiennej przycupnęła małpa, obserwując każdy jego ruch. Nie troszczył się o nią, gdyż przyzwyczaił się do tego towarzystwa.

W chwili, kiedy wyszedł na korytarz, aby poprosić służącego o świeży ręcznik, małpa zręcznym ruchem zsunęła się z okna na umywalkę, złapała golarkę i strojąc grymasy, zaczęła

naśladować golenie.

W każdej innej chwili Peter wybuchnąłby śmiechem, teraz jednak ogarnęła go furia.

- Oddaj to! - krzyknął i wystraszył zwierzę. Małpa jednym skokiem wylądowała za oknem, przyciskając do siebie maszynkę do golenia, i schroniła się na sąsiednim drzewie. Stamtąd dobiegło go jej skrzeczenie niczym szyderczy śmiech.

Czy już nawet zwierzętom wolno się z niego natrzasać?

Nieprzytomny z gniewu wyciągnął z szuflady colta i wystrzelił dwukrotnie. Na widok martwego osobnika spadającego na trawę stado rozbiegło się, wrzeszcząc przeraźliwie. Takiego okrucieństwa nie przeżyły od pokoleń. Nikt nie odważał się rzucić za nimi nawet kamieniem!

Kiedy Peter wybiegł, aby przynieść swoją golarkę, wszyscy służący zamarli z przerażenia, stali przy drzwiach, patrząc na niego, jak gdyby popełnił jakąś straszliwą zbrodnię. Ze też zemsta boga małp Hanumana nie dosięgła na miejscu tego mletszach!

Peter spokojnie zabrał aparat do golenia, po czym wszedł do bungalowu zadowolony i pewnej mierze odprężony.

Gdy wieczorem ojciec zjawił się w domu, pozostał tylko jeden służący, który wyjaśnił, co się zdarzyło, i również zrezygnował ze służby. Ordynator wpadł w szal:

- Straciłeś rozum? Chcesz, żeby następny strzał dosięgnął ciebie albo mnie?

Peter wzruszył obojętnie ramionami.

- Nonsens, co jest warta stara małpa? Mam się może mocować z tą hałastrą?

- Coś ci powiem, chłopcze. Tak nie może dalej być. Nie masz jeszcze żadnego pojęcia na temat Hindusów. Wszelkie życie jest dla nich jednakowo święte, natomiast twoje nie jest warte nawet złamanego szeląga. Jedyne wyjście w tej sytuacji: musisz zniknąć.

Junior spojrział na ojca z przestachem.

- Mam się wynosić z powodu małpy?

- Przynajmniej na jakiś czas, aż wszystko się uspokoi. Jestem w Indiach od trzydziestu lat. Poza tym czas na ciebie! Musisz się zrelaksować, inaczej dopadnie cię szok klimatyczny. Zadnych wymówek! Jestem twoim przełożonym! Wyjeżdżasz!

Peter wstał.

- Do kraju?

- Nonsens! Chikalda.

Syn nie rozumiał.

- Gdzie to jest?

- Można powiedzieć, że to Darjeeling centralnych Indii. W górach, na północy, powyżej Amraoti. Ellichpur to ostatnia duża stacja. Region wypoczynkowy pierwsza klasa. Pakuj się, i to szybko.

- Ojciec, ja

- Ruszaj się, powiedziałem! Musisz się wynieść, zanim ha- mals zdążą się zemścić.

Junior wyszedł ociężale. Ordynator uśmiechnął się do siebie. Sprawa z małpą, choć rzeczywiście nieprzyjemna, zdarzyła się w samą porę. Peter nie musiał wiedzieć, jak jest z nim źle, oraz że ojciec w tajemnicy przed nim rozmawiał już telefonicznie z ojcem Stefanem, który oczekiwał na przybycie przyjaciela w Mariampurze koło Chikalady. Misjonarz miał tam być jeszcze przez dwa tygodnie.

Po dłuższej chwili poszedł za synem i pomógł mu się spakować, opowiadając przy tym o urokach górzystej okolicy, przyjaznym narodzie Kukusów nieznanymi żadnymi świątyniami ani graniami na fletach, za to czczącym źródła, rzeki i drzewa. Tam było przede wszystkim jedno: cisza, głęboka cisza w rajskim krajobrazie. Ponadto należało oczekiwać najpiękniejszego w tamtych stronach okresu - trwającej aż do stycznia suszy po monsunie.

Peter spojrział na ojca, związując nieodłączną matę do spania.

- Jak długo możesz sobie poradzić beze mnie?

Senior spróbował nie patrzeć mu w oczy.

- Aż sam poczujesz, że chcesz wrócić. Nie ustanawiaj żadnych terminów ani dat. Wszystko zależy od ciebie.

Na razie pomaga mi Gardener, a Francuzka zastępuje lekarzkę. Zresztą kończy się czas zachorowań infekcyjnych.

Przygotowania do wyjazdu przebiegły w pośpiechu, by Peter nie mógł się otrząsnąć, nie mógł się domyśleć, dlaczego jest wysyłany, gdyż to przysporzyłoby mu dodatkowych cierpień duchowych. Stopniowo jednak zaczął się cieszyć niespodziewaną okazją do wypoczynku. Czuł, że coś w nim samym potrzebuje spokoju.

Kiedy wychylił się z okna przedziału pociągu do Nagpuru, ojciec wręczył mu książeczkę czekową.

- Uczciwie zarobiłeś, nie musi nic zostać, rozumiałeś?

Junior zaczerwienił się zaskoczony.

- Dziękuję, ojczu. Chętnie z tobą współpracowałem.

- Wszystko jasne. Wracaj zdrowy, to wystarczy. I nie waż się zjawić tu za wcześnie!

Peter uśmiechnął się, zawiadowca stacji dał sygnał do odjazdu.

- Do zobaczenia, ojczu.

Ordynator przetarł okulary, patrząc ze zmrużonymi oczyma za ruszającym pociągiem.

Potem podniósł dłoń i pomachał. Dzięki Bogu Peter nie zauważył, jak ciężko mu było wyprawiać go w drogę.

Podróż do Chikalady była bardzo uciążliwa. Z Nagpuru zatłoczonym autobusem dostał się do Kandoli, tam musiał się przesiąść do Amraoti, gdzie przenocował w małym, dusznym bungalowie dla pasażerów. Kiedy jednak dotarł do Ellichpu- ru krajobraz nabral swoistego piękna - pojawiły się góry, nieprzebyte lasy tropikalne, połyskujące w słońcu strumienie oraz droga pnąca niekończącymi się serpentynami w górę!

Ellichpur było ostatnim większym osiedlem. Od tego miejsca okolica stawała się coraz bardziej dzika, a autobus coraz bardziej pusty, jak gdyby pasażerowie bali się zawierzyć umiejętnościom zawadiackiego kierowcy. Chikalda leżała przecież 1200 metrów nad poziomem morza.

Wreszcie dotarł do celu! Po drodze udało mu się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. W dżungli nie brakowało grubej zwierzyny, nawet niedźwiedzi i słoni. Był także „lilipuci Mont Blanc”, z którego rozpościerał się doskonały widok na doliny i wąwozy. Mniej za to spodobały mu się wypielęgnowane parki zdrojowe. Ucieszył się, widząc, że wybrany przez ojca bungalow leży nieco poza miściną, w odległości półgodzinnego spaceru od stacji misyjnej Mariampur.

Gospodarz był obyty w kontaktach z Europejczykami, nawet studiował przez kilka lat w Anglii. Niedaleko posiadłości płynęła szeroka rzeka, wzdłuż jej brzegów ciągnęły się plantacje kawy, gdzie pracowały kobiety i dziewczęta odziane w kolorowe sari. Inne stały na przybrzeżnej płyciźnie, zbierając płaskie kamienie na budowę domu. Drobne przyjaźnie pozdrawiające kobiety Korfu obwieszane biżuterią nawet przy pracy!

Peter głęboko wciągnął do płuc czyste górskie powietrze. Tu rzeczywiście klimat był dużo zdrowszy niż w Raipurze! I kiedy podziwiał swoje nowe otoczenie, nagle doznał wstrząsu. Szeroką wioskową drogą zbliżał się do niego mężczyzna odziany w białą tropikalną sutannę. Nawet podniósł rękę.

- Hallo, old boy, jesteś wreszcie!

Lekarz jednym susem znalazł się przy nim.

- Stefan! Jak się tu dostałeś?

- Mniej więcej tak samo jak ty. Kiedy kolejny raz zasłałem, nasz prowincjał nie zastanawiał się długo.

Tam wyżej, w Mariampurze, mają doskonałą kuchnię, chociaż nazwali okolicę „krajną krzyża” - zaśmiał się wesoło, potrząsając dłonią przyjaciela.

- Ukartowana sprawa?

- A, gdzież tam! Kto by używał tak nieeleganckich nazw dla Bożej opatrności? No, rozchmurz się wreszcie! Ale, ale, coś mi kiepsko wyglądasz. Wyszczupiałeś, dobrze, że nie straciłeś włosów, Aha, tu będziesz mieszkał: to najlepszy adres w okolicy! - Z uznaniem pokiwał głową. - Gospodarz jest nawet chrześcijaninem. Ale do tego, jak wnioskuje z twojej miny, nie przywiązujesz

żadnej szczególnej uwagi!

Peter spuścił wzrok.

- A co mi tam! W każdym razie nie potraktuje mnie jak przestępcy z powodu tragedii z małpą.

Opowiedział o swoich przejściach, a ojciec Stefan miał powód do radości, choć ukradkiem przyjrzał się krytycznie przyjacielowi. Ordynator miał rację. Z Peterem było coś nie w porządku: jego twarz nabrała ponurego, spiętego wyrazu, a w oczach paliły się iskierki ciągłego niepokoju.

Lekarz przystanął na chwilę.

- A to co takiego?

Ojciec Stefan odwrócił się.

- Ach, tak, to nasz słynny swami Akjali, mnich jain zamieszkujący w dżungli. Ci odziani na żółto to jego uczniowie. Wędrują od wioski do wioski, uczą dzieci, od czasu do czasu zostają zaproszeni na posiłek, prawie jak Jezus i Jego Dwunastu. Szkoda, że nie należą do nas. Ich mistrz jest prawdziwym, uduchowionym ascetą.

Niestety, milczące chude postaci ruszyły w inną stronę. Rozczarowany Peter patrzył za nimi.

- Bez obaw! Całe to przedstawienie będziesz mógł oglądać dwa razy dziennie, bo rankiem adepci jain wędrują do lasu do swojego swami, a wieczorem wracają.

Muszą przejść obok twojego dakh, gospody. No, chodź już, co ci się stało?

Peter zafascynowany obserwował nadal gromadkę żebrzących mnichów, którzy wypraszaali sobie w wiosce dzienną rację ryżu. Nikt nie pozwoliłby im odejść z pustymi rękoma.

Ojciec Stefan poczuł, że Peter przede wszystkim chce zostać sam. Szybko się pożegnał, mówiąc, że udaje się do Mariampu- ru, nie zapomniał jednak zaprosić przyjaciela do wspólnych wędrówek po okolicy. W pojedynkę trudno było odbywać dłuższe wypady, gdyż należało znać ścieżki i szlaki, poza tym istniało zagrożenie ze strony grubej zwierzyny.

Ale w ciągu dwóch tygodni, jakie mu jeszcze pozostały, tylko dwukrotnie udało mu się spotkać Petera, który sam nie odwiedzał stacji misyjnej. Sprawiał wrażenie, że chce się zaszyć w leśnej głuszy i ciszy. Być może nieświadomie wybrał właściwe lekarstwo. Ciągłe też milczał, robiąc wrażenie znudzonego, więc duchowny nie podejmował prób narzucania mu swojego towarzystwa.

Tylko ostatniego dnia przed wyjazdem przeprowadzili dłuższą rozmowę - pierwszą i ostatnią jednocześnie. Oziębienie stosunków zdawało się ustępować. Udali się na dalszą wyprawę w góry i odpoczywali pod murami starego meczetu położonego na umocnionym wzniesieniu, kiedy Peter nagle i bez wstępów oznajmił:

- Indie wpędziły mnie w chorobę i choć nie jest ona śmiertelna, to już całkiem z niej nie wyzdrowieję, również w Chikaldzie.

Ojciec Stefan milczał, patrząc w dal. Jako kapłan nauczył się sztuki cierpliwego czekania.

- To siedzi dużo głębiej - wymruczał lekarz po dłuższej chwili niezakłóconej żadnym pytaniem. - Jestem chory na to, co się nazywa chrześcijaństwem. Straciłem nadzieję i ufność.

Czy nie zamierzałem ożenić się z Sitą i prowadzić normalnego życia małżeńskiego? A tymczasem Bóg niweczy moje plany i rzuca ją w ramiona poganinowi.

Ojciec Stefan odwrócił głowę, spoglądając na niego. Peter odruchowo spuścił wzrok.

- Bóg również przez długi czas wydawał Izrael na pastwę pogan, ale czy z tego powodu, że go porzucił? Czy może uczynił to, aby oczyścić i umocnić jego tęsknotę za wybawicielem?

Lekarz uśmiechnął się lekko.

- Daleko sięgasz z argumentami!

- Bóg dochowuje wierności, to chciałem ci powiedzieć. Izrael też wówczas nie pojmował Jego postępowania, a przecież.

Medyk wzruszył ramionami.

- Nie zwykłem zagłębiać się w tysiąclecia. Mam tylko jedno życie, i do tego zmarnowane.

- Przez nieszczęśliwą miłość? Mam nadzieję, że nie o tym myślisz, choć poniekąd masz rację - tylko że rana sięga głębiej. Mogę udzielić ci jedynie dobrej rady autorstwa jednego z

apostołów, bo w twoim obecnym stanie długa apologia nic nie pomoże: „Jeśli ktoś spośród was jest smutny, niech się modli”.

Peter osłupiał.

- Modlić się? I to już wszystko?

- Tak. Europa odczyła się modlitwy, prawdziwej, głębokiej, wewnętrznej modlitwy. W Niemczech i na całym kontynencie zadowolają się tylko liturgią od święta, a to nie jest to, czego chce Bóg. On pragnie naszego serca. Indie natomiast się modlą. W Kuteli jestem często wstrząśnięty, widząc z jak wielkim żarem. Ci ludzie wiedzą jeszcze, co to znaczy zanurzyć się w Bogu.

- Nie masz chyba zamiaru polecić mi kultu wizerunków w świątyniach hinduskich?

- Oczywiście, że nie, Ale mylisz się, sądząc, że ci prości ludzie czczą posągi. Traktują je jedynie jak symbole, przypomnienie o boskości, której składają hołd. Któryś z mędrców powiedział kiedyś, że wszyscy bogowie Indii są tylko symbolicznym wyrazem wielości jednego boga. Jeden z nich wyraża jego siłę, inny mądrość, jeszcze inny dobroć i tak dalej. Ale najważniejsze jest to, że także ubodzy wieśniacy zatapiają się przed nimi w tęsknocie za Bogiem w nich.

Lekarz spojrział na niego z ukosa.

Ojciec Stefan wsparł się o pień mangowca. Najwidoczniej rozboleły go plecy od długiego siedzenia, a może zmęczyły zmagania o duszę przyjaciela? Peter przyjrzał mu się oczyma lekarza.

- Wydaje mi się, że nieustannie myślisz o swojej misji, a powinieneś zażyć tu wypoczynku. Kochasz tych. tych Hindusów?

Twarz ojca Stefana rozjaśnił uśmiech.

- Tak - odparł szczerze - i chciałbym, żebyś i ty nauczył się tego w twoim zawodzie, bo to by cię uzdrowiło.

Lekarz kolejny raz okazał obojętność.

- Rozumiem. Aby ich kochać, musiałbym najpierw nauczyć się modlić. W jakimś stopniu jesteś podobny do mojego ojca, Stefanie. Uważa, że bez względu na zawód musi się być misjonarzem, jeśli chce się ostać w Indiach. Zgadza się z tym, ale rozumem, nie sercem.

Wstał, rozglądając się wokół. Za nim leżały ruiny milczącej twierdzy Gawilgarh, a przed nią opuszczony, zniszczony przez monsuny meczet. Choć stulecia przychodziły i mijały, Indie pozostawały takie same.

Również ojciec Stefan wstał z miejsca, wygładzając ręką swoją białą sutannę i poprawiając kapelusz.

- Nie martw się, Peter, jeśli nie będziesz się mógł modlić, przez jakiś czas zatroszczę się o to za ciebie.

- Wielkie dzięki, choć nie bardzo rozumiem, co pomoże, gdy lekarz zażywa lekarstwa zamiast pacjenta.

Zeszli szybkim krokiem ku dolinie. Nie miało sensu dalsze wiercenie w ranie, musiała się zagoić. Kiedy po długim marszu dotarli zmęczeni do dakh w Chikaldzie w dżungli znikali właśnie milczący uczniowie jain, idący boso w przewiązanym w pasie żółtym odzieniu i ze spuszczoneym wzrokiem. Każdy miał na twarzy opaskę zasłaniającą usta i nos.

- Wyglądają, jakby szli przeprowadzać jakąś operację. Co się dzieje?

Ojciec Stefan uśmiechnął się:

- Opaska ma zapobiec, że połkną jakiegoś insekta, bo również życie każdej muchy jest dla nich święte, a coś takiego łatwo może się tu zdarzyć. - Ręką odpędził brzęczące im koło uszu moskity, gdyż szybki spacer wycisnął im pot na czołach.

Niektórzy z adeptów nieśli bambusowe kije, na których powiewała jedna lub dwie wstęgi.

- A to co oznacza?

- Można powiedzieć, że odbyli właśnie nowicjat i są gotowymi mnichami, którzy złożyli swoje śluby. Mówi się, że swami Akjali, ich nauczyciel, złożył presha, a więc potrójne przyrzeczenie, a także jest sadhaka, czyli zna się na magii. Lepiej nie okazywać mu zbyt dużego zainteresowania. Całe nieszczęście w tym, że tych hinduskich świętych otacza sporo ciemnych

tajemnic.

Zamyślonym wzrokiem odprowadził ostatniego z mnichów.

Gdy się odwrócił, przeraził go wyraz twarzy Petera.

- Nie zapłacz się przypadkiem i nie idź za nimi! Swami trzyma Europejczyków na dystans, sprawiając, że zapominają o powrocie.

- Interesuje mnie tylko jedno: czy jest joginem?

- To dla niego oczywiste. Nie byłby sadhaka ani religijnym autorytetem, gdyby sam nie przeszedł szkoły jogi. Panowanie nad ciałem jest dla Hindusów pierwszym warunkiem medytacji. To stanowisko akceptujemy również i my misjonarze. Rozumiem, że jako medyka interesuje cię szczególnie fizjologiczna strona zagadnienia.

Peter potrząsnął głową.

- Myślę o czymś zupełnie innym. Od zawsze pociągały mnie posągi Buddy. Czy on sam nie był przypadkiem adeptem jain?

- Zgadza się. Uważa się go nawet za jednego z dwudziestu czterech proroków jain. Niestety, nie zadowolili się tak jak oni szukaniem Boga we własnym wnętrzu, lecz wybrał absolutną pustkę, postrzegając swój cel w odrzuceniu i wyrzeczeniu się wszelkich pragnień. Natomiast jains koncentrują świadomie swoje ja na atman - to boska część duszy, zamieszkanie boga w człowieku.

Zaniepokojony przyglądał się przyjacielowi, który wstał i niczym zahipnotyzowany nie mógł oderwać wzroku od miejsca, gdzie zniknęli mnisi.

- Chodź, Peter Nie próbuj nawet zawierać znajomości z swa- mim. Jeszcze żaden biały nie zdobył się na taką cierpliwość, której on domaga się od każdego, któremu się poświęca.

Młody lekarz z trudem otrząsnął się z zamyślenia.

Gdy nadeszła chwila pożegnania, Peter uświadomił sobie, że zaniedbał przyjaciela, dlatego, aby sprawić mu przyjemność, pozwolił się zaprosić do Mariampur. Stefan przyjechał po niego, a Peter dziwił się, że duchownego ze wszystkich stron spotykają pełne szacunku, radosne powitania. Na zdziwione pytanie o przyczynę, bo przecież przebywa tu od niedawna i to nie palotyni wzniesli tę placówkę, Stefan odparł z uśmiechem:

- To nie odnosi się do mnie, tylko do mojego stroju, do tego, że jestem palotynem. Jak niewiele dobrego udało mi się dokonać mnie samemu, tego dzięki Bogu nie wiedzą.

- Kiedy Peter zwiedził już całe Mariampur i zegnali się na wzniesieniu pod stojącym na nim ogromnym krzyżem misyjnym, to - choć złożył tylko wizytę grzecznościową - nie potrafił powstrzymać się od komplementu: Mój drogi przyjacielu i dawny nieuważny uczniu, zdumiony jestem tym, co zobaczyłem. Jeszcze bardziej dziwi mnie, że wam misjonarzom udało się zaskarbić sympatię czy wręcz miłość tutejszej ludności. Trzeba chyba być ślepym, żeby tego dostrzec.

- Tak, w Mariampurze niejedno już osiągnięto, i czasami zdaje mi się, że ojcowie niesłusznie nazwali tę okolicę Cross Land, Krainą Krzyża. My, następcy apostoła Rzymu, Wincentego Pallotti, mamy jeszcze wiele do zrobienia w powierzonych nam ośrodkach. Oby nie zabrakło nam wsparcia naszych dzieł! Ale nie chodzi tylko o pieniądze. Przede wszystkim potrzebna jest modlitwa, modlitwa wszystkich wierzących. Również twoja, Peter. A skoro nie chcesz jej nam ofiarować, to módl się za siebie. Odmawiaj przynajmniej jedno Ave Maria dziennie! Obiecuj mi to!

Lekarz uśmiechnął się zakłopotany:

- Wielkie dzięki za lekką pokutę, wielbny Ojcze! Jeśli tylko tyle, to przyrzekam. Nie kłopotaj się o mnie, Stefanie, i teraz ty mi obiecuj, że nie zdradzisz mojemu ojcu, co się ze mną dzieje.

- Ręka na to. Powodzenia!

Nad ich głowami na nieboskłonie świecił jasno Krzyż Południa.

VI

Zaraz następnego dnia po wyjeździe misjonarza, gdy rosa błyszczała jeszcze na soczystych zielonych liściach tropikalnej gęstwiny, Peter dołączył do pochodu milczących mnichów. Przyciągała go do nich jakaś magiczna siła. Żaden nawet nie spojrzał na niego. Szli bez słowa, posuwając się wzdłuż krętego strumyka.

Całą godzinę przeciskali się przez gęste bambusowe zarośla, wciąż słysząc szmer płynącej wody, potem skręcili i ścieżka stała się dla obcego niewidoczna. Nie wiadomo było, co służy im do orientacji w terenie. Wreszcie dotarli do leśnej przecinki. Korzenie wyrastające ze stojącego na niej bananowca tworzyły wokół niego kilka zielonych grot - naturalną katedrę, żywy klasztor. U podnóża potężnego pnia siedział ktoś w pozycji lotosu, patrzący na nich nieruchomo szeroko otwartymi oczyma. Uczniowie jeden po drugim podchodzili do niego, padali przed nim na twarz, po czym wstawali, udając się na przeznaczone dla nich miejsca pod korzeniami.

Wreszcie zbliżył się lekarz, który zdecydował, że pozdrowi hinduskiego mędrca na sposób europejski, uprzejmym ukłonem i kilkoma słowami. Zaledwie jednak spojrzał na wychudzone, ascetyczne oblicze, poczuł jak jakaś siła chwyta go i zwała z nóg. Leżał twarzą do ziemi, nie mogąc się poruszyć. Dziwnym sposobem daleki był jednak, aby odczuwać z tego powodu jakies zaniepokojenie.

Wręcz przeciwnie, coś w jego wnętrzu rozluźniło się i uspokoiło.

Leżąc tak, stracił rachubę czasu. Kiedy wreszcie mógł się podnieść, swami już dawno odszedł, zasiadając w kręgu słuchających go z uwagą uczniów. Peter bez słowa otrzepał odzienie, po czym usadowił w pobliżu, przyglądając się wszystkiemu w milczeniu.

Nie działało się jednak nic poza tym, że wszyscy adepci ze skrzyżowanymi nogami trwali prawie w bezruchu, wpatrując się w jakiś punkt na ziemi, podczas gdy swami recytował jednostajne mantry brzmiące jak powtarzające się ciągle zaklęcia. Jego uwagę zwróciło jedno ciągle powracające słowo om. Zaczęło mu się wydawać, że poddaje się go hipnozie. Hipnoza? Nie, przecież swami w ogóle na niego nie patrzył.

Nigdy wcześniej Peter nie sądził, że wytrzyma dobre dwie godziny, siedząc na leśnym podłożu i nie odczuwając najmniejszej ochoty, by robić cokolwiek innego. Nie przeszkadzał mu nawet głód, który zaczął odczuwać. Pustka żołądka zdawała się konieczna dla osiągnięcia duchowej koncentracji. Tylko o czym myśleli ci mężczyźni siedzący w kręgu z wyrazem odprężenia na twarzach? Nie dowiedział się niczego. Zanim milczący mnisi ruszyli się z miejsca, minęło prawie pół dnia.

Jeden z jain przyniósł mu kubek wody, przedtem starannie przecedzając ją przez chustę. Widząc to, Peter musiał się uśmiechnąć. Gdyby mógł obejrzeć kroplę tej wody pod mikroskopem, to pewnie wolałby raczej umrzeć z pragnienia!

Kiedy wypił, drugi z uczniów przyniósł mu na zielonym liściu porcję ryżu, skłonił się i też odszedł. W absolutnej ciszy mnisi spożyli swój skromny, wyżebrany posiłek. Peter zjadł również i nasycił się.

Popołudnie przeminęło prawie podobnie, tyle tylko że Peter siedząc, nagle zasnął. Jak długo spał, tego nie wiedział, ale miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie był pogrążony w tak głębokim i spokojnym śnie. Czyżby poddano go działaniu jakiegoś narkotyku? Słońce przecież skrywało się już za zaroślami! Zauważył, że uczniowie przygotowują się do powrotu, więc zerwał się na nogi, aby pójść z nimi. Tylko gdzie się podział swami Akjali? Nigdzie ani śladu po nim.

Droga do wioski się dłużyła, ale czuł się szczęśliwszy niż zwykle. Nie powiadamiając gospodarza o powrocie, udał się na spoczynek. Kiedy jednak następnego dnia wczesnym rankiem chciał znowu wyruszyć w drogę, gospodarz stanął przed nim ubrany jak zawsze w nieskazitelny

biały aczkan i podobnie jak Gandhi z białą furazerką na czubku głowy.

- Sahibie - oznajmił - to bezcelowe. Jain wyruszyli dzisiaj godzinę wcześniej. Nie chcą pana.

Peter się zaniepokoił. Czyżby właściciel gospody go szpiegował? Już chciał ostro zaprotestować, gdy dostrzegł spojrzenie dwojga spokojnych, dobrotliwych oczu.

- Sahibie, proszę się nie złościć. Chcę pana ostrzec, że niebezpiecznie jest odwiedzać swami Akjali. Może się zdarzyć, że już pan nie wróci.

Lekarz zachichotał.

- Zamorduje mnie?

Gospodarz zaprzeczył gorąco.

- Nie zrozumieliśmy się, sahibie. On ma wielką władzę nad duchem ludzkim. Być może sprawi, że się pan - proszę wybaczyć - zatraci. Któregoś dnia ściągnie pan tropikalne odzienie i przywdzieje żółtą szatę. Już niejeden Europejczyk unieszczęśliwił się w ten sposób, bo przez dłuższy czas żaden biały tego nie wytrzyma. A powrócić do życia też nie będzie można.

- Dlaczego?

Rozmówca Petera pokiwał głową.

- Wie pan, to jest tak, jak ktoś zaczyna palić bhang, środek odurzający, który jest zabroniony. Najpierw mówi, że tylko dla uspokojenia, a potem nie może zaprzestać.

Lekarz zaoponował z uśmiechem.

- Bez obaw, shri, robię to tylko z ciekawości naukowej.

- O, sahibie, proszę tak nie mówić! Czy jest się niespokojnym, gdy przepada dzień studiów?

Powiedziawszy to, gospodarz odwrócił się i poszedł do swoich spraw.

Peter zamyślił się. Nic, do czegokolwiek by się zabrał, nie przyniosło mu w ciągu dnia odprężenia. Wiedział, że wyczekuje na mnichów, i stał niczym uczeń na skraju dżungli, aż wreszcie się pojawili. Żaden nawet na niego nie spojrzał.

Następnego dnia nastawił budzik, czekając już dwie godziny przed świtem, i wyruszył wraz z nimi. Przez dwa tygodnie swami pozwolił mu przychodzić i odchodzić, leżeć przed nim w transie i siedzieć w milczeniu. Po południu wprawiany był w sen, nie będąc w stanie przed nim się obronić, wieczorem wracał zmęczony do domu. Gospodarz obserwował go z troską. Wiedział, że nic nie może zrobić - tego białego chwyciła prawdziwa gorączka.

Było to w trzecim tygodniu, gdy nagle swami gestem przywołał go do siebie. Po raz pierwszy wolno mu było zasiąść w kręgu mnichów i zachować przytomność umysłu. Spotkało go także niezwykle wyróżnienie, mógł być świadkiem, jak swami wprowadza się w samadhi, ekstazę. Tym razem jednak, inaczej niż na owym kirtanie w Jalnapurze, w którym uczestniczył wraz z Sitą, nie pozostał na etapie chłodnej i trzeźwej obserwacji. Opanował go dziwny stan najgłębszego spokoju.

Usłyszał w swoim wnętrzu jasne polecenia i dokładnie je wykonywał: spokojnie oddychać - głęboko oddychać - zrobić wydech - zatrzymać oddech - powoli wydychać - zatrzymać wzrok na kamieniu u stóp - żadnego ruchu - o niczym nie myśleć - cisza.

Wydało mu się, że sam zamienił się w kamień.

Potem nowe polecenie:

- Powtarzaj za mną: „wyzwalam się od rzeczy”; powtarzaj za mną: „wyzwalam się od pożądań”; powtarzaj za mną: „wyzwalam się od ludzi”.

Przy ostatniej formule musiał przewyciężyć i pokonać wewnętrzny opór, a potem poczuł się całkowicie lekki i wolny. Czas się zatrzymał - zapanował w nim spokój stojącej w bezruchu wody i kropli rosy na liściu. Powrócił niczym z odległej dali, z dziwnym blaskiem w spojrzeniu i głodem we wnętrzu, i nie wiedział jeszcze, jak go zaspokoić. Swami w milczeniu odesłał go wraz z innymi. Czuł, że został przyjęty.

Teraz już nic nie było w stanie mu przeszkodzić ani go zatrzymać. Czy były to listy ojca z Jalnapuru czy ojca Stefana ze stacji misyjnej - nic nie osiągało jego duszy poza wezwaniem i zewem jain. Dziwiło go tylko, że ciągle jeszcze, po sześciu tygodniach, czuł w sobie opór, gdy

swami rozkazywał, aby wyzwolił się od ludzi. Nigdy nie udało mu się osiągnąć tego w pełni. A przecież wiedział, że nie uzyska wewnętrznego spokoju, dopóki nie przezwycięży tego sprzeciwu.

Nocami śnił, że nosi żółte odzienie i dandi, bambusową laskę mnichów jain.

Rozpoczęła się właśnie pora sucha - tym razem zmiana klimatu nie wytrąciła go z równowagi - gdy od ojca nadeszło pierwsze dyskretne zapytanie, jak długo zamierza kontynuować kurację. Odpisał niechętnie, że właśnie wraca do zdrowia, ale potrzebuje jeszcze nieco spokoju.

Rankiem poszedł znowu do swamiego w dżunglę.

Tym razem mistrz polecił mu, aby usiadł nad brzegiem nal- lah, strumyka, i wpatrzył się w płynącą wodę.

- Weź patyk i wrzuć go do niej! Co widzisz?

- Odpływa.

- Zgadza się. Odrzuć od siebie wszystko co przemijające, również stworzenia, a także ludzi.

Kiedy pojmiesz, że żaden człowiek nie jest ci w stanie dać pokoju? Wszystko jest maya, złudzeniem, poza atman w twoim wnętrzu. Tego szukaj!

I rzeczywiście, gdy tym razem swami wprowadził go w ekstazę, opór w jego sercu był mniejszy. Tylko kiedy osiągnie zupełny spokój?

Rozgorączkowany niczym kochanek wrócił następnego dnia do dżungli. Ale swami nawet na niego nie spojrział, nie przywołał go do siebie, nikt nie przyniósł mu pożywienia, dostał tylko parę łyków wody, której to posługi żaden Hindus nie odmawia bliźniemu. Dopiero pod wieczór swami Akjali podszedł do Petera i przesywając go płonąącym wzrokiem ascety, powiedział:

- Wracaj! Oczekuje cię pokusa życia, która jest silniejsza ode mnie!

Co miał na myśli? Zanim zdążył zadać pytanie, mistrz się odwrócił. Zmierzał ku bananowcowi? Zniknie w jakimś tajemnym wejściu czy może dysponuje magiczną siłą, żeby uczynić się niewidzialnym? Peter nagle stracił go z oczu - w Indiach wszystko było możliwe. Wracał z mnichami rozkojarzony i zupełnie wytrącony z równowagi. Jeszcze nie wyszedł z gęstwiny, gdy zobaczył zmierzającego ku niemu właściciela dakh.

- Sahibie, przybył gość! Pytał o pana!

Otrząsnął się. Czyżby ojciec?

Gospodarz wręczył mu wizytówkę. Lśniący paw stojący na kwiecie lotosu? Dopiero po chwili, niczym z dalekiego, obcego kraju, powróciło wspomnienie.

- Ramdas Durpali!

- Tak, sahibie, bardzo ustosunkowany bramin z Nagpuru. Czeka już od kilku godzin.

Peter wyrzucił bambusową laskę, którą sam sobie wyciął, i ruszył w stronę domu.

Gwałtownym pociągnięciem otworzył drzwi do pokoju gościnnego, a w nim, na poduszce zasiadał Ramdas Durpali, brat Sity, i pił herbatę.

Uśmiechając się, jak gdyby pożegnali się przed chwilą, spojrział na lekarza. Starannie doprowadził do porządku jedwabny żółty aczkan, wstał, po czym zachodnim zwyczajem podał mu rękę.

- Sahib doktor, ucieszyłem się, słysząc, że został pan ja- inistą. Proszę pozwolić mi pogratulować tak nieoczekiwanej duchowej przemiany.

Peter nie potrafił opanować zdumienia.

- Co pan tu robi, shri Durpali?

Bramin wskazał na drzwi.

- Czy zechciałby mi pan wyświadczyć grzeczność? Chciałbym z panem pomówić w cztery oczy.

Lekarz zamknął pokój i mechanicznie, jak gdyby rozkazywał mu swami Kajali, zasiadł naprzeciw Hindusa. Ten najpierw wypił spokojnie herbatę, a potem zapytał:

- Czy była u pana moja siostra Sita?

Peter stwierdził, że chyba źle usłyszał. O czym fantazjuje Ramdas? Czyżby w gorączce potrzebował porady lekarskiej? Jego zdumienie i zaskoczenie robiły wrażenie tak prawdziwych, że Durpali zrezygnował z bardziej dociekliwych pytań.

- A więc nie orientuje się pan, gdzie może przebywać? Wobec tego musimy ruszyć na

poszukiwania. Tylko że pan, sahibie, nie będzie mi chyba mógł towarzyszyć, bo jest związany ze swami Kajali.

W głowie Petera zakotłowało się od natłoku myśli. W jednej chwili runął wyuczony spokój. wszelki spokój. Sita. Brat jej szuka. u niego?!

- Co się stało z pańską siostrą? - usłyszał swój własny, obco brzmiący głos. Hindus odstawił starannie trzymaną w rękę czarkę i złożył ręce na podolku.

- Ach, tak, pan jeszcze nie wie. Pański ojciec także pana nie poinformował. Tak właśnie myślałem. Przed dwoma tygodniami byłem u niego, poszukując Sity w Jalnapurze, ale tam jej nie było. Dowiedziałem się jedynie o miejscu pańskiego pobytu. Moją siostrę dosięgło spełnienie się klątwy bogów zapowiedzianej przez acharję Radhakrisznę. Została przedwcześnie randi. Jej małżonek został w czasie monsunu ukąszony śmiertelnie przez węża.

Peter pobladł straszliwie. Poczul, że cała krew spływa mu do serca. Zaciśnął kurczowo dłonie. Sita wdową, randi, w białym bawełnianym sari z ogoloną głową, Sita w nędzy. Ale, Boże dobry, znowu wolna!

Poczul na sobie wzrok obserwującego go uważnie bramina, więc otarł oblane zimnym potem czoło, pytając z wymuszonym spokojem:

- Jak to możliwe, że musi pan szukać siostry?

Tym razem oblicze Hindusa zdradzało lekki niepokój.

- Sita poinformowała ród, że jest gotowa wziąć na siebie przepisana pokutę za śmierć męża i wyraziła chęć odbycia pielgrzymki. Odmówiła jednak poinformowania, dokąd się uda. Zniknęła pewnego ranka i nie wróciła. Stało się to przed trzema tygodniami i od tego czasu nie mamy od niej znaku życia.

Peter zmartwiał. Przez głowę przeszła mu straszliwa myśl o święcie w Saraipali: wdowa pod nogami słonia, skrwawiony strzęp ciała.

- Czy myśli pan, że porwała się. - głos odmówił mu posłuszeństwa. Ramdas Durpali uśmiechnął się uspokajająco.

- Jeśli ktoś porywa się na swoje życie, to nie zabiera ze sobą kosztowności. Nie wzięła ze sobą kosztowności weselnych, które po śmierci małżonka zostały zniszczone, tylko prywatną biżuterię i kilka sari. To daje mi punkt zaczepienia, lecz obawiam się czegoś znacznie gorszego.

Coś gorszego od śmierci? Cóż to może być?

Ramdas Durpali zwiesił głowę.

- Obawiamy się, że mogła przejść do chrześcijan. Tylko dokąd? Przeszukaliśmy całe New Delhi, każdy chrześcijański instytut, również lekarską klinikę misyjną Stowarzyszenia z Würzburga w Jhansi. Nigdzie ani śladu. Pozostaje już tylko jedna możliwość: mogła rzeczywiście odbyć pielgrzymkę, a w tym wypadku w rachubę wchodzi tylko jedno miasto, Benares, sanktuarium pokutne hinduskich wdów. Tam chcę pojechać, żeby jej poszukać.

Peter poczul, że serce bije mu niczym młot.

- A co pan zrobi, gdy ją odnajdzie, shri Ramdas?

Bramin spojrzal mu w oczy.

- Poproszę pana, doktorze, o ponowne przyjęcie Sity do kliniki. Musi dokończyć praktykę. Moja siostra nie nadaje się do tego, aby przez całe życie prowadzić pokutnicze życie randi. Nie oznacza to oczywiście, że ma się rozstać z tradycją hinduizmu i zostać chrześcijanką. Ponieważ pan, sahib doktor, wstąpił do jainistów, wobec tego mogę z pewnością oczekiwać, że Sita będzie mogła bez przeszkód dokończyć u pana swoje studia, nie będąc narażona na pokusę konwersji na chrześcijaństwo.

Lekarz zmieszał się. Rozmówca uważał go już za przekonanego mnicha jain. Roztropność podpowiadała mu, aby nie odkrywał wszystkich kart. Odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Wspomniał pan, że zabierze mnie ewentualnie do Bena- resu. Mam swobodę, co do podejmowania decyzji. Czy wobec tego mogę panu towarzyszyć?

Ramdas Durpali z uśmiechem wyraził zadowolenie.

- Bardzo chętnie. Mając pana u boku, łatwiej uda mi się przekonać siostrę, aby powróciła do wcześniejszych obowiązków.

- A skąd bierze pan tę pewność?

Bramin opuścił wzrok.

- Nasz guru odczytał to z gwiazd. Takie jest jej przeznaczenie.

Peter poczuł, że musi to zaakceptować, bez względu na to, czy wypowiedź ta była całkiem szczerą, czy też coś przed nim ukryto. Wstał.

- Za godzinę będę gotowy do podróży, muszę tylko wydać polecenie, aby odesłano mi przesyłki pocztowe na poste restante w Benares. Poza tym nic mnie tu nie trzyma.

Naprawdę nic? Myśląc o tym, że nie będzie mógł już powrócić do dżungli w Chikalddie, poczuł ukłucie w sercu. Tylko czy swami Akjali nie miał racji? Pokusa życia była silniejsza od jego magii! W gorączkowym pośpiechu pakował rzeczy, choć gospodarz zaklinał go, aby pozostawił to służącym, to przecież praca niegodna sahiba! Mata do spania do hindustanu, kilka ubrań tropikalnych na zmianę, lekarstwa - to było wszystko. Mieli przed sobą długą drogę, ale była połowa listopada, najkorzystniejszy czas na podróż po monsunie, lepiej nie mogło się trafić.

Rozparł się wygodnie na siedzeniu eleganckiego samochodu. Gospodarz, machając na pożegnanie, stanął w drzwiach zadowolony, że jego goście udało się wyrwać spod władzy swami. Znikły zielone wzgórza, życie zwyciężyło! Sita! Sita! Chciał, musiał ją odnaleźć!

Tylko czy to nie był szalony pomysł - szukanie jednej samotnej randi w takim mieście jak Benares?

To przecież centrum trzech wielkich, światowych religii: sanktuarium Hindusów, muzułmanów i buddystów! Tysiące świątyń i setki meczetów, a także nieprzeliczone kolorowe tłumy przelewające się o każdej porze roku wąskimi ulicami! Nie do pomyślenia, co w tych warunkach może się przytrafić samotnie podróżującej kobiecie, zwłaszcza jeśli zostanie rozpoznana jako wdowa? W tłumie można było napotkać nie tylko Hindusów, lecz także wielu cudzoziemców, turystów, reporterów, łowców sensacji, a także Amerykanów w kanciastych limuzynach. Pobożność i przestępstwo trzymały się tam blisko siebie, święci i demony!

Zafascynowany Peter zatrzymał się przy miejscu, gdzie nad Gangesem palono zwłoki, patrząc, jak jego fale splukują popioły zmarłych, podobnie jak obmywają ciała pokutników zażywających oczyszczającej kąpieli. Okopcone czarną sadzą fasady domów dla pielgrzymów stały zwrócone ku rzece, a pomiędzy nimi ciągle buchające płomieniami stosy krematoryjne. Na schodach ghat leżały stygnące ciała nędzarzy, czekając na łaskę spopielenia. Kto tu oddał ducha, wyzwalał się z jarzma ponownych narodzin!

Szybko jednak Peter odwrócił się od tego przerażającego widoku, aby wraz z Ramdasem Durpalim udać się do świątyni, którą w szczególności upodobały sobie pokutujące wdowy hinduskie. Powoli przeciskali się przez ludzkie mrowisko. Półnaczy sadhus z zapadłymi policzkami i z płonącymi od ekstazy i fanatyzmu oczyma, gromady żebraków, pielgrzymi z czerpakami i naczyniami niosący przez setki kilometrów świętą wodę do domu, i kobiety, wdowy w skromnych, pokutnych sari, żebrzące, modlące się, wychudzone i wynędzniałe!

Lekarz z niepokojem wpatrywał się każdej w twarz. Nie do pomyślenia, żeby Sita wygląda teraz tak jak jedna z tych nieszczęśnic! Nie potrafił wyobrazić jej sobie z ogoloną głową i żebrzącą miską w ręku!

- Być może znajdziemy ją tam, przy świątyni Wisznawath, pana Wszechświata - oznajmił Ramdas rzeczowo, potem zaś z ociąganiem dodał: - Jeśli pan chce, sahibie, to proszę już tam iść, ja udam się do miejsca kąpieli dla kobiet, które nie jest dostępne dla białych.

Czyżby bramin chciał się go pozbyć? Ale, jak gdyby zgadując jego myśli, odwrócił się, wyjaśniając:

- Spotkamy się ponownie w hotelu. Będzie lepiej, jeśli się teraz rozdzielimy.

Czyżby ufał zmysłowi osoby zakochanej? Bo Peter z trudem ukrywał żar, który na nowo rozpalił się w jego wnętrzu. Wspomnienie imienia Sity znaczyło dolać oliwy do ognia, a co dopiero będzie, gdy ją odnajdzie?

W pojedynkę ruszył ku świątyni Wisznawath. Nagle zmienił kierunek marszu, bo w jednej z bocznych ulic widać było płomienie, a on odruchowo ruszył ku tłumowi, który się tam zebrał. Nie

płonął jednak żaden budynek. Jakiś fakir, wykopawszy dołek w ziemi, napełnił go benzyną i podpalił. Teraz podszedł bliżej, złożył ręce na piersiach i najspokojniej zasiadł w buchających płomieniach. Siedział pośród nich z uśmiechem - nietknięty, z jarzącymi się tajemniczym blaskiem oczyma - a zgromadzeni stali, patrzą na niego jak zakłęci.

Peter odwrócił się z niesmakiem. Miał dość tych magicznych sztuczek. Teraz nie zainteresowałaby go nawet doskonała ekstaza. Amerykańscy reporterzy fotografowali jak najęci. Nie, tu na pewno nie znajdzie Sity.

Próżne wszelkie wysiłki. Nie było jej u pana Wszechświata, nie było u Durgi ani przed niezliczonymi świątyniami Krisz-ny.

Opanował go gorączkowy niepokój. Czyżby Ramdas miał w tym czasie więcej szczęścia? Znużony dotarł do hotelu. Bramin zjawił się w nim krótko przedtem. Nie, ani śladu Sity, ale zwrócił się do policji na wypadek, gdyby zaobserwowano gdzieś randi wyprzedającą na bazarach swoją biżuterię - miał zostać o tym powiadomiony.

Peter wyraził zdziwienie.

- Skąd takie przypuszczenie, shri Ramdas?

Hindus się uśmiechnął.

- A z czego będzie żyła? Pewnie sprzeda również klejnoty, aby zapewnić sobie gdzieś możliwość dalszych studiów. Być może dawno to już zrobiła, na przykład u paserów czyhających na dworcach kolejowych. Zasięgnę wieści we wszystkich klinikach uniwersyteckich i w większych szpitalach. Jeśli jej tam nie znajdziemy, to znaczy, że wybrała inne miasto.

- Myśli pan, że Sita nie powróci do New Delhi ani do Nagpuru? - zapytał medyk bez tchu.

- Jest prawie pewne, że próbuje się wyrwać obu naszym rodóm, gdyż żaden z nich nie zgodzi się na to, aby została chrześcijanką.

Nagle Peterowi zaświtało coś w głowie - myśl jak błyskawica, niczym olśnienie. Szybko opuścił wzrok, aby się nie zdradzić.

- Co pan pocnie, shri Ramdas, jeśli jutro także nie odnajdzie pan siostry?

Bramin wzruszył ramionami.

- Wrócę do domu i poczekam na informacje od policji. Włączone jest także radio.

Ostatecznie żyjemy w nowoczesnym państwie - zakończył z blaskiem dumy w oczach. Rozstali się.

Młody lekarz, nie mogąc zasnąć, przewracał się pod moskitierą z boku na bok.

Docierający z zewnątrz hałas nie ustawał ani na chwilę. Pielgrzymi ciągle przychodzili i odchodzili - nocą przede wszystkim chorzy na trąd i pariasi - a także dzikie, włóczące się psy, które na schodach ghats, wyjąc, walczyły o zwęglone resztki spalonych ciał. Napęlniające odrazą, przerażające miasto! Nie, tu nigdy nie znajdą Sity. Do Petera dotarło, że dziewczyna ułożyła swój własny plan, ale Durpali nie mógł nawet przeczuwać jaki.

Bardzo ucieszyła go wiadomość, jaką wczesnym rankiem otrzymał na pocztce. Ojciec przesłał mu list ekspresowy. Coś się stało z doktorem Gardenerem, ordynator musiał go operować. O co dokładnie chodzi, wyjaśni Peterowi później osobiście. Jeśli natomiast to tylko możliwe, Peter ma bezzwłocznie przerwać urlop i przyjechać, gdyż jest pilnie potrzebny.

- Przykro mi, shri Ramdas. Teraz wszystko, co osobiste, musi ustąpić miejsca moim obowiązkom jako lekarza. Myślę, że pan to rozumie.

Bramin z ukłonem wyraził zrozumienie.

- Oczywiście! Proszę tylko o jedno, sahib doktor. Gdyby moja siostra pojawiła się u pana, proszę mnie natychmiast powiadomić. Ja ze swej strony uczynię to samo, gdy ją znajdziemy.

Pożegnali się ceremonialnie. Hindus również chciał wcześniej wyruszyć i kontynuować swoje poszukiwania, być może w Sarnath Park, gdzie przed 2500 laty Budda przeżył oświecenie. Było tam dość zakamarków, aby mogła się w nich ukryć samotna randi.

Zaledwie Ramdas zniknął w swoim hindustanie za rogiem, Peter zwrócił się do Sikha zatrudnionego w hotelu jako chow-kidar i mówiącego płynnie po angielsku.

- Czy w Benares jest jakiś znany chrześcijański klasztor, w którym można żyć w ukryciu przed światem zewnętrznym?

Sikh był obeznanym z hotelami, szpitalami, a pogańskie i chrześcijańskie świątynie mógł

wyliczać na palcach.

- Owszem, sahibie. Pragnie pan spokoju? Jest pan chrześcijaninem? W okolicy Benares jest tylko jeden - Christnagar. Aha, nie słyszał pan jeszcze o nim? Zna go każdy Hindus. Proszę zapytać głodujących, żebraków i randi. Każdego ranka chodzą tam po ryż do studentów.

Kiedy Sikh wymienił wdowy, Peter odczuł wstrząs.

- Co to za klasztor?

- Sahibie, stoi otworem dla każdego, kto chce się oddać medytacji. Tak, to chrześcijański ashram, klasztor na wzór hinduski. Chrześcijańscy mędrcy uczą tam każdego, kto przychodzi. Każdy ma tam chatę, w której może rozmyślać, jak długo tylko zapragnie. Wielu pozostaje tam, gdy chrześcijański bóg nie chce ich już wypuścić.

Lekarz w pośpiechu zebrał informacje o możliwości dojazdu autobusem. Następnie wezwał służącego, każąc pakować swoje rzeczy, a potem, nie czekając na komunikację publiczną, wybrał się do Christnagaru szybszą taksówką. Gdzie znajdzie poszukującą schronienia Sita, jeśli nie tam?

Wyruszył bardzo wcześnie i przybył na miejsce, kiedy studenci Indian Missionary Society rozdzielali pośród głodujących poranną porcję ryżu. Ubrani w białe stroje nowicjuszy pochylali się przyjaźnie nad gromadą żebrzących - nad starcami, dziećmi, kobietami, i, tak!, wdowami - którzy stali w kolejce, aby otrzymać porcję ryżu do miski lub do otwartych dłoni.

Peter przeszedł wzdłuż szeregu oczekujących, zaglądając w każde wynędzniałe oblicze, ale żadne nie miało rysów Sity.

Rozczarowany skierował swoje kroki do głównego budynku. Późniejszy gmach akademii otaczały rusztowania - trwały w nim jeszcze prace budowlane. Obszedł go wokoło, odnajdując wreszcie dom nowicjacki oraz furtę wejściową dla przybyszów.

Z pewnością Sita ukrywała się wewnątrz ashramu, aby uniknąć rozpoznania. Zapewne zgłosiła się jako przygotowująca się do chrztu katechumenka, mogąc studiować i modlić się!

Kiedy zasięgał języka u brata Crubshakta, przyjaźnie uśmiechniętego hinduskiego nowicjusza pełniącego również funkcję odźwiernego, spotkało go kolejne rozczarowanie.

- To prawda, że dajemy pożywienie również kobietom i udzielamy im pomocy, ale nie możemy ich przyjmować, bo jesteśmy klasztorem męskim. Skoro zaś dotarł pan tutaj, sahib doktor, to proszę przynajmniej zwiedzić nasz ashram. Czegoś podobnego nie znajdzie pan łatwo w Indiach.

Peter nie chciał urazić gościnnego młodego człowieka, więc ruszył za nim. Wkrótce stanął na przestronnym dziedzińcu. Doprawdy, dziwnie obca budowla. Wokół centralnego pawilonu, w którym mieściły się sala do modlitwy i kaplica, wzniesiono około dwudziestu lekkich szałasów, pustelni dla studiujących i poszukujących prawdy. Swego rodzaju klasztor kartuzów w hinduskim stylu!

- Proszę spojrzeć, sahib. Tę chatkę wzniesiono właśnie dzięki ofierze pewnego mężczyzny z Niemiec. Nad drzwiami wyryto w drewnie jego imię. Ten zaszczyt wyświadczamy każdemu, kto wspiera nasze dzieło.

Lekarz podniósł głowę, przeczytał - i był zaskoczony. Nieznany rodak nosił również imię Peter. Siedem mil od Benaresu znalazł ziomka z rodzinnego kraju.

- Ile kosztuje budowa takiej pustelni? - dowiadywał się zdziwiony.

Student uspokoił go z uśmiechem:

- Na niemieckie warunki niewiele, sahibie, tylko pięćset marek. Natomiast w Indiach jest to majątek, jeśli przeliczy się tę kwotę na rupie.

Za pięćset marek, a więc średnie miesięczne wynagrodzenie, można było wnieść schronienie dla Hindusa poszukującego Boga i prawdy Chrystusowej.

- Mogę zajrzeć do środka? - zapytał zaciekawiony.

- Proszę, sahibie, ta jest jeszcze pusta.

Brat Crubshakt otworzył drzwi. Proste, pozbawione ozdób pomieszczenie, wyplatane łóżko, stolik do czytania, półka na książki i lampa oliwna - to cały komfort. W kącie stał dzbanek na wodę i czarka na ryż.

- Co to za tomisko? Biblia w sanskrycie?

Braciszek zdjął książkę z półki. Na okładce zaświeciło oblicze Chrystusa o hinduskich rysach, uduchowione, ascetyczne, tak jak wędrownego kaznodziei.

- To słynna Purana o Chrystusie, dzieło jednego z ojców jezuitów przybliżające na hinduski sposób wierszem ewangelię hinduskiemu narodowi. Nie przeczyta jej pan, bo spisano ją w devanagari.

Peter z zainteresowaniem wziął wolumin do ręki. Tak wiele wersów!

- Tak, dziewięćdziesiąt pięć pieśni i prawie dwa tysiące rymów w owidiuszowej mierze wiersza, niezwykle dzieło intelektu europejskiego swami. Ojciec Satyaprakash posiada je także po angielsku. Chętnie go zawołam, jeśli ma pan jakieś pytania.

Trzymając książkę w rękę, Peter rozejrzał się wokoło z wahaniem. Przez serce przeszło mu płonące, bolące pragnienie, tęsknota - ale nie za Sitą. Co to było?

- Czy ojciec Satyaprakash jest Hindusem?

- Myśli pan o jego hinduskim imieniu? Nie. Misjonarze zmienili swoje imiona, aby się lepiej dostosować. Moje, Crubshakt, oznacza „Jan od Krzyża”, a Satyaprakash oznacza w pańskim języku „Franciszek Ksawery”. Jest Europejczykiem i chętnie się z panem spotka.

Zdziwiony lekarz usłyszał swój głos:

- Proszę go przyprowadzić, chciałbym z nim porozmawiać.

Usiadł w mnisej celi na twardym taborecie, jak gdyby był już w domu.

Po chwili jej próg przekroczył szczupły wysoki mężczyzna. Spokojną twarz miał okoloną siwą brodą, włosy według hinduskiego zwyczaju spadały mu swobodnie na ramiona, nadając całej postaci podobieństwo do Chrystusa.

- Wielebny Ojciec. ja.

Duchowny przerwał mu gestem ręki.

- Wszyscy zwracają się do mnie swami, proszę więc mówić do mnie tak samo.

Podał mu rękę, usiadł na łóżku, spojrzął na niego badawczo, a następnie z dobrotliwym uśmiechem na twarzy zagaił:

- Czego chcesz się dowiedzieć ode mnie, mój synu? Pytaj!

Lekarz zwiesił głowę. Nagle wydało mu się, że po długiej, niebezpiecznej wędrówce dotarł wreszcie do celu.

- Mogę tu zostać przez jedną noc, swami?

- Jak długo zechcesz.

- Nie, tylko jedną noc, żeby porozmyślać. Potem muszę dalej. Jestem lekarzem.

Ojciec przyglądał mu się w milczeniu. I nagle wargi Petera poruszyły się, lekko, swobodnie i bez żadnych zahamowań. Wypłynęła wszelka gorycz, jaka nagromadziła się w nim od miesięcy. Chciał ją zdusić w sobie surowymi ćwiczeniami jogi w dżungli, szukał zapomnienia, zatapiając się w najgłębszej jaźni swojej istoty, i prawie zostałby mnichem jain, aby znaleźć spokój w wyrzeczeniu się wszystkiego co ziemskie. Dopiero teraz dotarło do niego, jak blisko krawędzi przepaści się znalazł.

Ojciec słuchał, nie przerywając. W pewnym momencie założył fioletową stułę i słuchał dalej. Peterowe wyznanie, choć wcale tego nie zamierzał, przemieniło się w spowiedź z życia. Również i ten swami promieniał mocą, lecz bez przymusu, bez magii. Było to przewyciężenie łaską. Na koniec po twarzy penitenta popłynęły łzy.

- Szukając stworzenia, znalazłeś Boga - zwrócił się do niego swami. - I dobrze się stało. To była Jego droga dla ciebie. Teraz brakuje ci tylko jednego: zostań przy Nim, który pozwolił się znaleźć.

Peter spojrzął na niego nieomal wzburzony:

- Ale ja już nie wiem, jak się to robi, trzymać się Go.

- Owszem, wiesz doskonale, bo tego szukałeś. Czy to nie hinduska zdolność pogrążania się w ciszy tak mocno cię pociągała? Czy nie opadała cię tęsknota, gdy przyglądałeś się Hindusowi w stanie samadhi, ekstazy? Czy nie doznawałeś tęsknoty na widok wyniosłego spokoju jogina pogrążonego w medytacji?

- Tak, to wszystko prawda, tylko.

- Tylko my, chrześcijanie, porzuciliśmy medytację, zagłębianie się w prawdy wiary. To nasz błąd. Każdy Hinduś stający się chrześcijaninem wie doskonale, że nie można się obejść bez pogłębiania wiary, bez wewnętrznego rozważania prawdy. Bo Królestwo Boże nie jest tu i nie tam, lecz w nas. My natomiast poszukujemy go wszędzie tylko nie we własnym wnętrzu. Popatrz, właśnie dlatego powstał ten ashram, miejsce kontemplacji i medytacji. Nie musisz wędrować do joginów i jainistów, czy do Buddy do Sarnath Park. Masz Boga dużo bliżej. Tam można Go znaleźć bez wysiłku. - Wskazał na centralny pawilon kryjący kaplicę. - I tu - dotknął własnej piersi - w twoim sercu. Szukając głębi, nie patrz na swami Akjali, lecz na nią - znowu ruch ręki ku małemu wizerunkowi na ścianie, którego Peter dotąd nawet nie zauważył, przedstawiającemu hinduską Madonnę w sari, pogrążoną w kontemplacji, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i spuszczoneym wzrokiem, zasiadającą na trójlistnym złotym kwiecie lotosu. - Niech Ona ci będzie wzorem, mógłbym powiedzieć Matką medytacji, nawet jeśli ten tytuł wydaje ci się nowy i obcy. Nikt na ziemi nie mógł tak jak Maryja oglądać w sobie Bożych prawd. Była wolna od grzechu pierworodnego, nie potrzebowała zwalczać w sobie pożądań ani wątpliwości, aby w każdym czasie żyć całkowicie zanurzona w Bogu. Twierdzę, że predestynowano ją wręcz do medytacji, bo kiedy tylko spoglądała na Syna, widziała Boga. Jeśli uważasz to za pobożne fantazje, to zajrzyj do Biblii, gdzie dwukrotnie zostało podkreślone, że przyjętą prawdę Maryja rozważała w sercu. Zostawiam cię z Nią teraz. Jutro, wczesnym rankiem, zanim pojedziesz na dworzec, przyjmiesz Ciało Zbawiciela, twoją Drogę, twoją Prawdę, twoje Życie! - wypowiedziawszy ostatnie słowa ojciec Satyaprakash wstał i wyszedł.

Skrzypnęły za nim drzwi i zapadła cisza. Otuliła go, łaskawa, święta, czysta, bliska boskością cisza, taka, jakiej na próżno dotąd poszukiwał. Była uzdrowieniem, pocieszeniem, nasyceniem. Nigdy dotąd nieprzespana noc nie minęła tak spokojnie.

Duchowny zostawił mu lekturę - angielski przekład Purany o Chrystusie. Wstrząśnięty Peter dowiedział się, że dzieło przez całe stulecia pozostawało ukryte. Jego autor nie przeczuwał nawet niezwykłego tryumfu, jaki odniesie, zdobywając hinduskie serca.

Przy tym, według jego opinii, niektóre fragmenty były tak cenne, że nie można było ich zapomnieć. Zaraz na samym początku znalazły się wspaniałe wersety o spotkaniu Chrystusa z Janem Chrzcicielem, gdzie wstrząśnięty pokutnik zapytuje Pana:

Czy Słońce prosi noc o światło?

Czy rzeka pyta w domu pragnienia o wodę?

Czy zwraca się ogień do mrozu o ciepło?

Ty jesteś wodą ze źródła sprawiedliwości,

Dlaczego domagasz się ode mnie obmycia chrztem?

Z jakimi odczuciami czytali te słowa stęsknieni zbawienia Hindusi, tysiącami oczekujący nad brzegami Gangesu, aby obmyć się w jego oczyszczających z winy nurtach? Tutaj znajdowali to, czego szukali.

Z prawdziwym Panem Wszechświata w sercu wyruszył Peter rannym świtem do centrum miasta, mijając świątynię Wisz- nawath i otaczające ją setki pokutujących randi. Nie próbował już odnaleźć Sity, czuł, że ona także znalazła to, czego poszukiwała. On natomiast wiozł ze sobą do domu cierpliwość w czekaniu, aż Bóg mu ją przywiedzie.

VII

Ojciec, kiedy odbierał Petera z dworca w Nagpur, natychmiast odczuł przemianę, jaką przeszedł syn. Peter powiadomił o swoim powrocie, wysyłając depeszę. Ordynator przyjrzał się mu badawczo.

- Nie miałeś nawrotu malarii? Doskonale, wyglądasz na wypoczętego, a to się przyda. Czekaj nas mnóstwo pracy, bo Gardener wypada, i to niestety nie przejściowo, tylko na zawsze!

Peter spojrzął na ojca zdziwiony.

- Tak źle z nim? Miał wypadek drogowy?

- Nie on, tylko krowa, i to go pograżyło. Tobie przebaczone zastrzelenie małpy, kiedy rozeszła się wieść, że byłeś w Benares. Pomyśleli, że udałeś się tam, aby pielgrzymką przebłągać bożka małp. Gardener nie jest człowiekiem uznającym swoje uchybienia, więc postawił na swoim, kiedy przypadkowo albo

1 celowo przejechał krowę, ponieważ zabrakło mu cierpliwości, aby poczekać aż wstanie. Niestety, przymusił szofera, żeby podwiózł go potem samochodem do kliniki. Następnego dnia wił się od bólów żołądka. To była zemsta.

Junior nie rozumiał.

- Słucham? Nie bardzo wiem, co masz na myśli?

- Dodali mu do jedzenia sierść z brody tygrysa. Przekupiono kucharza, co okazało się stosunkowo łatwe, kiedy usłyszał o jego wykroczeniu.

- Truje się człowieka z powodu krowy?

Ordynator wzruszył ramionami.

- Krowa była bardziej święta, nic nie zrobisz. Operacja okazała się niezbędna, musiałem mu wyciąć dwie trzecie żołądka. Gardener to umierający człowiek, nawet jeśli po części odzyska siły.

Syn pobladł z wrażenia.

- To jakiś koszmarny. Wydawało mi się, że dla Hindusów każde życie jest święte.

- Nie w wypadku, jeśli zawini przeciwko czemuś, co jest jeszcze świętsze. Nie wszyscy zrozumieli wywody Gandhiego. Sikh i kucharz zostali aresztowani, ale nie przyznają się do niczego. Dużo zamieszania, ale cały Jalnapur trzyma ich stronę. Obstają przy tym, że mogło się to zdarzyć również i w którejś z kuchni na bazarze, bo Gardener miał zwyczaj jadać na zewnątrz - możliwie najostrożniejsze curry z ryżu.

- A siostra Ethel?

- Tak, Ethel, wspomniała kobieta. Byłoby źle z ich małżeństwem, gdyby miłość była jedynie funkcją biologiczną. No, ale zostawmy to. Mam dla niej wiele szacunku, ale niestety wkrótce ją stracimy.

- To znaczy?

- Chce wracać z nim do Londynu, bo ma nadzieję na pomoc i ratunek w Europie. Nie dziwi mnie to, ale przysparza nam kłopotów, bo oprócz francuskiej zakonnicy i siostry Annemarie nie mamy żadnej białej pielęgniarki. Na szczęście Francuzka znalazła w Kuteli kilka dziewcząt, które będą się u nas uczyć pielęgniarstwa.

- Kiedy Gardenerowie chcą wyjechać?

- Jak tylko on będzie się czuł na siłach, być może w styczniu, jeszcze przed Dniem Republiki i zanim rozpoczną się upały.

Peter wyjrzał przez okno. Już niedługo będą w Jalnapurze. Przepelniła go radość.

- Nie troskaj się, ojczu. Mogę zastąpić dwóch, bo czuję się naprawdę zdrowy.

- Hm, przewyciężyłeś historię z Sitą?

Peter poczerwieniał.

- Tak myślę - odparł pewnym głosem, ale nic nie wspominał o swoich poszukiwaniach.

- To chyba najlepsze - odparł ojciec, biorąc do ręki gazetę - bo pewnie wiesz już o tym, że wdowa jest jeszcze mniej osiągalna niż wolna braminka. Małżeństwa z wdową nikt tu nam nie wybaczy.

To mówiąc, zagłębił się w lekturze dziennika. Peter milczał. Kiedy przybyli do kliniki, na spotkanie wybiegła im przełożona pielęgniarek, siostra Annemarie, która jako jedyna pozostała na miejscu. Młody lekarz odzyskał dobry humor. Kiedy go witała, zachowywała się tak, jak gdyby między nimi nic nie zaszło. Mógł rzeczywiście zacząć wszystko od początku i tak też postanowił zrobić. Gardener wyglądał bardzo nędznie i Peter musiał się bardzo starać, żeby nie okazać, jak bardzo przeraził go jego widok. Anglik był pacjentem kłótliwym i przysparzającym najwięcej kłopotów. Już na wstępie prawie obraził Petera, ale on wcale się tym nie przejął. Ktoś tak bliski śmierci ma prawo stracić nerwy. Siostra Ethel troszczyła się ofiarnie o męża. Nigdy by nie przypuścił, że surowa w obejściu dziewczyna może mieć w sobie tyle dobroci.

Sporo wysiłku kosztowało przyzwyczajenie się do obecności niewyuczonych dziewcząt z Kuteli. Prawie nie rozumiały angielskiego, a jeśli już, to najczęściej opacznie, więc musiano je stale mieć na oku. Ich „matka”, francuska przełożona pielęgniarek starała się o dyscyplinę pośród nich. Peter zorganizował dla nich kurs pielęgniarski. Po raz pierwszy miał do czynienia z ludźmi z kast o niższym statusie, tkaczami i wieśniakami.

Przy tym dowiedział się niejednego o nędzy panującej wokół Kuteli. Ojciec Stefan miał tam pewnie niejedną kamienistą rolę do obrobienia. Jakże trudno uczyło się miłości Boga i bliźniego ludzi walczących o każde ziarnko ryżu.

Jedna z dziewcząt opowiedziała bez ogródek, że jej ojciec za trzydzieści rupii miesięcznej pensji utrzymuje pięcioosobową rodzinę. Co jedzą o tej porze roku? Bhat i dal, dal i bhat - ryż i soczewicę, soczewicę i ryż, powszedni chleb ubogich w regionie Raipur. Czy dałoby się temu zapobiec? O tak, mężczyźni wywędrowali do pracy w przemyśle, ale z powodu nadmiernej podaży rąk do pracy zatrudniono jedynie najzdrowszych i najsilniejszych. Współczucie?

Nie, myśl o karmie, sumie życia, na którą zasługiwało się w poprzednim bytowaniu, splot dobra i zła, jaki każdy w swoim bytowaniu miał do przejścia, zagłuszał wszelką naturalną litość. Niech każdy niesie na grzbiecie to, na co zasłużył! Przecież sam jest winien, własnego losu!

Jaki wielkim dobrodziejstwem okazywała się pomoc kobiet w utrzymaniu rodziny. Na przykład ich praca! Były chrześcijankami, więc nie musiały się obawiać gniewu bogów, gdy - jak mężczyźni - szukały sobie zajęcia i to do tego jednego z najbardziej pogardzanych - opieki nad chorymi!

Tak mówiły, spoglądając na niego prostodusznie błyszczącymi czarnymi oczyma. Nędza? Do niej przywykało się od dzieciństwa. Głód? To codzienny gość w domu. Choroba? Znosiło się, co musiało się wycierpieć. Śmierć? Wiedziało się, że w Indiach umiera się wcześniej, aby zrobić miejsce następnym pokoleniom.

Młody lekarz wracał zamyślony z prowadzonych zajęć. Czuł, że sam uczestniczy w kursie o straszliwej pogładowości. Doprawdy, na wsi musiało być bardzo źle! Peter przez długi czas zastanawiał się, jak mógłby - przynajmniej w zakresie swojej działalności - postarać się o polepszenie dramatycznych warunków.

Któregoś ranka ordynator zastał syna, gdy ten młotkiem i dłutem skuwał napis nad wejściem do kliniki, aż leciały iskry. Oniemiały przyglądał się jego pracy.

- Ten napis to przeżytek - poinformował go Peter, nie podnosząc głowy. - Tu nie ma już żadnych zakazów dla pariasów.

Usta ojca drgnęły cieniem uśmiechu, bez słowa wszedł do budynku. Kiedy już zniknął ostatni ślad Limited, wokół pracującego zebrała się spora grupa gapiów. To była „operacja”, w której można było uczestniczyć! Wydarzeniem tym zaczęli się żywo interesować policjanci, dowiadując się uprzejmie, czy sahib doktor postanowił zamienić klinikę w szpital dla pariasów. Młody lekarz odparł:

- Nie, wszystko pozostaje tak, jak było. Ale kiedy przyjdzie niedotykalny, to i on otrzyma miejsce i opiekę. Niech wiedzą o tym wszyscy, zanim udadzą się do znachorów.

To powiedziawszy, zniknął w sieni szpitala. W gabinecie czekał na niego ojciec.

- Odważne wystąpienie - mruknął - ale nie myśl sobie, że Jalnapur będzie ci za to wdzięczny. Dobrze, jeśli Hindusi z wyższych kast będą jeszcze do nas przychodzić.

Ale nie wyglądał na zbyt zmartwionego. Junior podejrzewał nawet, że cała sprawa wprawiła go w dobry humor.

- Ojcie, każdy w miarę rozsądny i postępowy Hindus wcześniej lub później będzie musiał zrozumieć, że zbyt sztywny system kastowy nie pozwoli na stworzenie przemysłu i rozbija jedność Indii. Jedyńm wyjściem jest zrobienie pierwszego kroku, żeby coś ruszyło z miejsca i ustawy Nehru nie pozostały wyłącznie na papierze.

- Hm, no to pewnie zwrócisz się do pandita Nehru z prośbą o pomoc, jeśli w najbliższym czasie nasza dziupła opustoszeje - skwitował rozmowę ordynator, przechodząc nad wszystkim do porządku dziennego.

Nie, nie nadeszła poczta z Nagpuru. Codziennie było tak samo, pierwszym spojrzeniem Peter obrzucał dostarczone przesyłki. Ale na żadnej nie widniał połyskujący paw na kwiecie lotosu. Czy Ramdasowi Durpali udało się już odnaleźć siostrę? Nic na to nie wskazywało, lecz pozostawało nieprzyjemne uczucie, że w ukryciu rozstrzygają się być może decyzje

O wielkiej doniosłości. Jedno natomiast zmieniło się zasadniczo - Peter nie tracił już panowania nad sobą z powodu swoich osobistych spraw.

Trzymał nerwy na wodzy, tym dokładniej wypełniając swoje obowiązki, im większym niepokojem napełniała go niepewność.

Odkąd znalazł w Christnagarze siłę do zastanowienia się

I namysłu, każdego dnia znajdował dla siebie godzinę, aby w samotności zdystansować się od zewnętrznych wrażeń życia, a także od swojego własnego wnętrza, i zagłębić się w prawdach wiary. Nigdy nie przypuszczał, jak ogromne rezerwy siły kryją się w nich dla chrześcijan. Czy większość ludzi nie poprzestaje na płaszczyźnie kultu i surowych zasadach moralnych? Wszystko stało się prawem, które się spełniało, ale serca pozostawały puste.

I z nim nie było inaczej. Wydawało mu się, że postawiwszy stopę na indyjskiej ziemi był chrześcijaninem bez zarzutu, wypełniającym „obowiązki religijne”, mogącym wylegitymować się metryką chrztu. Teoretycznie wiedział o wielkiej walce toczącej się współcześnie pomiędzy Chrystusem i Antychrystem, ale czy płonął w nim ogień, który zapalił Jezus, przyszedłszy na ziemię?

Utrata ciszy i spokoju stwarzała większe zagrożenie dla Zachodu niż komunizm. Można się było odwrócić tylko w jednym kierunku - do wewnątrz. Ale nie miała to być wyobcowująca ze świata ucieczka z doczesności w medytację, jak to zarzucano żyjącym w odosobnieniu pustelnikom.

Rozmyślanie i kontemplacja zaopatrywały duchowość człowieka niejako w „tlen”, bez którego udusiłby się i zginął. Nigdy dotąd Peter nie odmawiał różańca, uważając go za modlitwę typowo kobiecą, ale teraz nagle doświadczył, że właśnie stałe powtarzanie było uspokajającym podkładem muzycznym dla wielkiego tematu „Bóg”, jaki wypełniał duszę.

I zupełnie inny niż z dżungli w Chikalddie powracał z duchowej odnowy, z gorącym pragnieniem w sercu poświęcenia się cierpiącemu bliźniemu. To właśnie stanowiło istotną różnicę pomiędzy medytacją pogańską a chrześcijańską. Pierwsza zadowalała jedynie własne ja, druga dawała siłę do miłującego zwrócenia się ku człowiekowi, gdyż nikt nie może na dłużej rozpamiętywać życia Pana, nie chcąc pójść za Jego przykładem. Znikła nawet jego dawna niechęć względem Gardenera.

Współczuł nieszczęsnemu Anglikowi, z którego chępliwego, pewnego siebie zachowania nic nie pozostało. Kiedy wreszcie mógł opuścić łóżko, snuł się niczym cień dawnego siebie. Dlatego Peter zgodził się natychmiast, kiedy Gardener poprosił go o towarzyszenie mu podczas podróży do Kalkuty. Naprawdę potrzebował lekarskiej pomocy doświadczonego kolegi, gdy dopadały go kolki i zapaści. Oczywiście ze względu na nawal zajęć niełatwo było opuścić klinikę, ale ponieważ chodziło jedynie o dwa dni, ordynator wyraził zgodę.

Przecież doktor Gardener bardzo często występował w roli „trzeciego”, spiesząc z pomocą,

kiedy tylko jej potrzebowali. Teraz oni mieli obowiązek zatroszczyć się o niego, aż z lotniska w Kalkucie odleci do Londynu.

Ethel chciała zobaczyć swoją młodszą siostrę, zanim sama powróci do starej ojczyzny. Na dzień przed wyjazdem - nadeszła połowa marca - z Saraipali przyjechali jeszcze ich rodzice. Przy całym smutku pożegnania to właśnie pani Redcliff odczuwała ulgę, wiedząc, że przynajmniej jedna z jej córek osiadzie na ukochanej mglistej wyspie, do której nieustannie przenosiły ją w duchu pełne tęsknoty sny.

Doktor Gardener wyjątkowo ciężko znosił podróż. Peter dwukrotnie musiał podać mu zastrzyk, ponieważ wstrząsały nim potworne skurcze żołądka i jelit. Jad z drobno posiekanej sierści z brody tygrysa rozkładał ich ściany. Anglika czekała powolną śmierć. Cóż z tego, że osądzono i skazano zamachowca, skoro jego ofiara również była skazańcem. Peter odetchnął z ulgą, kiedy ekspres zaczął wreszcie pędzić przez prażoną bezlitośnie słońcem równinę delty. Pozostawały jeszcze dwie godziny drogi.

Pożółkła i drżąca od gorąca ciągnęła się nieprzebyta dżungla. Jeśli w tej okolicy zdarzyłaby się katastrofa kolejowa, to nie było ratunku dla podróżnych. Tu panowały niepodzielnie stada dzikich słoni, bawołów i wiecznie głodnych krokodyli, których siedlisko tworzyły zlewające się w jedno potężne koryta nurty Gangesu i Brahmaputry. Monotonny żółtoczerwony nasyp, po którym ze świstem gnał pociąg, wysokie trzciny skrywające żółte, leniwie toczące się wody, które, gdy tylko zbliżą się ku morzu, podzielą się na niezliczone odnogi, bagna, łachy piaskowe, wyspy - prawdziwy labirynt - teraz nagła ciemność.

Czyżby to już słynny tunel Kalighat? Tak, gdy go przebyli, w oddali ukazało się zbudowane na wzgórzu ogromne mia- sto Kalkuta. Gardener leżał apatyczny i wyczerpany. Pomimo klimatyzacji temperatura w przedziale osiągnęła czterdzieści stopni. Wilgotne, duszące powietrze znad morza! Ciężkie, kierowane przez pilotów statki manewrowały wzdłuż stale zamulanych piaskiem torów wodnych, ostatnie dwieście kilometrów żeglugi stanowiło dla nich ciągle niebezpieczeństwo niespodziewanego wpłynięcia na mieliznę!

Pociąg przyspieszył. Teraz można już było rozpoznać oddzielone od siebie części miasta, typową dzielnicę angielską oraz hinduską, obie połączone nowoczesną konstrukcją stalowego mostu Howrah, którego kratownice śmiałymi łukami rysowały się na tle turkusowego nieba!

- Gardener, jesteśmy na miejscu, to Kalkuta!

Zona pomogła mu wstać.

Drżącymi rękoma Anglik zapiął ubranie tropikalne, na wychudzonej twarzy pojawił się wyraz napięcia, a zaciśnięte wargi stały się jeszcze węższe. Tylko nie pokazać słabości Hindusom! Choćby mu przyszło paść trupem na miejscu! Wysiadł sam, wyprostowany jak struna, nie życzył sobie niczyjej pomocy, nawet ze strony Larsena. Gestem prawdziwego gentlemana rzucił napiwek niosącym bagaże kulisom, odpędzając jednocześnie natarczywych żebraków.

Dopiero wewnątrz wielkiej hali dworcowej zgodził się znowu, żeby przynajmniej Ethel wzięła go pod ramię. Na próżno riksarze hałasowali dzwonekami. Przybysze podziwiali metropolię nad deltą z okien taksówki. Kopuły i minarety, pałace, kamienice, domy towarowe, beton, szkło i chrom. Dzielnicę europejską z szerokimi, prostymi jak strzała alejami nie różniła się od zachodnich stolic. Tylko tu i tam widziało się ślady ostatniego trzęsienia ziemi. Okolice Kalkuty od zawsze były terenem wysokiego ryzyka, ale to nie przeszkodziło Brytyjczy- kom w zbudowaniu tu miasta będącego przez długi czas stolicą Indii i aż do dziś gigantycznym centrum handlowym.

Wreszcie kierujący taksówką Sikh skręcił w boczną uliczkę, zatrzymując się przed skromnym, płaskim bungalowem mogącym uchodzić raczej za domek letniskowy. Byli na miejscu. Tutaj, w centrum Kalkuty, a przecież niczym na wsi i pod palmami, mieszkał młody inżynier Henoah Bordale.

Do czegoś takiego zdolny był jedynie Anglik. Nie spodziewano się gości tak wcześnie. Margaret, kiedy tylko otwarła drzwi, rzuciła się siostrze na szyję. Zaraz też poprosiła o wybaczenie, gdyż pilne sprawy służbowe zatrzymały męża poza domem aż do wieczora.

Sporo czasu spędzała sama w milionowym mieście, choć był ktoś, kto dotrzymywał jej

towarzystwa - podprowadziła gości do kołyski, w której spał dorodny maluch z jasnymi lokami, duma młodej matki.

- Proszę mi wierzyć, doktorze Larsen, w Indiach nic nie jest ważniejsze od szczęśliwego zamążpójścia - powiedziała wzruszona. - Wtedy można sobie poradzić ze wszystkimi innymi trudnościami.

Cała rozmowa, którą prowadziła, była jedną wielką wariacją na ten temat. Na szczęście nie dała poznać po sobie troski o stan Gardenera, lecz zachowywała się tak, jak gdyby miała do czynienia z rekonwalescentem planującym dłuższy wypoczynek. Nie potrafiła ukryć rozczarowania tym, że już następnego dnia rano chcieli jechać dalej. Peter dał jej dyskretny znak i zrozumiała. Szybko zmienili temat rozmowy. Kiedy zjawił się Henoch, zrobiło się już późno. Gardener musiał się wcześniej położyć. Aby nie odniósł wrażenia, że rozmawiają o nim, wkrótce wszyscy poszli w jego ślady, a poza tym każdy naprawdę odczuwał zmęczenie. Chociaż miał kiepską noc, chory uporczywie obstawał przy chęci dalszej podróży. Wczesnym rankiem inżynier odwiózł krewnych na położone za miastem lotnisko Dumdum. Jego nazwa przypominała złowieszczo o pierwszej wojnie światowej - to stąd straszliwe pociski wyruszały na europejskie pola bitew, i to z kraju, w którym chroniono każde życie!

Niestety, ludzie byli tacy sami na Wschodzie i Zachodzie, zwłaszcza gdy omamił ich nacjonalistyczny fanatyzm!

Mijali szybko osobliwości miasta: Lord Clive Street, Viktoria Memorial, Quenns Way, Grand Hotel. Bordale mówił takim tonem, jak gdyby to on zbudował miasto. Wreszcie dotarli do lotniska. Wszystko zagłuszał huk startujących i lądujących maszyn. Średnio trzy tysiące sześćset samolotów ze wszystkich stron świata lądowało tu miesięcznie. Reprezentowane były także hinduskie linie lotnicze, stewardesy w sari i piloci w turbanach!

- Szkoda, że wyjeżdżacie - ubolewał młody inżynier. - Ja chcę tu żyć i umrzeć.

Gardener, którego trzymała na nogach gorączka podróży, jeszcze raz dał próbkę swego zwykłego stylu:

- A jak myślisz, dlaczego wyjeżdżamy? Tylko po to, żeby tu wrócić, tak samo jak wędrowni ptaki! Nieprawdaż, Ethel? On myśli, że damy się zabalsamować w Westminsterze. Nie, mój drogi, ta odrobina trucizny nie pozbawi życia Gardenera.

Ale wyglądał jak śmierć. Przy pożegnaniu Ethel wyteźrzała wszystkie siły, aby nie wybuchnąć płaczem. Peter serdecznie jej żałował. W gruncie rzeczy była doskonałą pielęgniarką, sumienną i obowiązkową. To, co ją spotkało, to było jej przeznaczenie - Hindusi powiedzieliby karma - więc przyjmowała swój los z godnością.

Na schodkach do samolotu Gardener odwrócił się jeszcze, rugając amerykańskiego reportera, który zwrócił się do niego z pytaniem, dlaczego opuszcza Indie.

- Czego szukają tu ci wścibscy jankesi? - mruknął. - Pewnie im się wydaje, że nadszedł dla nas zmierzch bogów.

Z wysiłonym uśmiechem machnął ręką ku Peterowi. Cała trójka czekała przy pasie startowym, aż maszyna wzniesie się w powietrze i ruszy ku zachodowi. Margaret płakała wsparta o ramię Henocha. Inżynier zagadnął lekarza.

- Odwiozę żonę do domu, a potem muszę udać się do pracy. Pojedzie pan nocnym pociągami, nieprawdaż? Dobrze by było, żeby udało się panu obejrzeć miasto. Tylko nie taksówką, bo to za szybko. Proszę wziąć riksę, tu nikomu to nie przeszkadza. Warto zobaczyć dzielnicę wokół Chowringhee Road, to najbardziej znane centrum handlowe.

Zaczekał, aż Peterowi udało się zatrzymać godnego zaufania riksarza, ale opadła mu szczęka, gdy Niemiec powiedział:

- Do świątyni Kalighat!

- Larsen, to chyba jakiś żart! Wybiera się pan do najgorszego slumsu?

Peter się uśmiechnął:

- Tak, szukam Indii, a nie Europy.

- Miejmy nadzieję, że ma pan ze sobą dość lekarstw, bo tam można spotkać wszystkie

choroby tropikalne tego kontynentu, i to na jednym metrze kwadratowym! Ale wolna wola!
Szerokiej drogi!

Spojrzał rozczarowany za Peterem. Ci Niemcy byli niepoprawnymi romantykami. Miał zamiar odkrywać stare, brudne Indie, Indie, którym rząd chciał wreszcie położyć kres!

Kiedy riksza wioząca Petera skręciła do dzielnicy świątyni, Peter zrozumiał sens ostrzeżenia danego mu przez Henocha Bordale'a. Stare, wysokie hinduskie domy o wąskich fasadach, ściśnięte w ciasnych, cuchnących uliczkach, których nawierzchnia czerwona była od śliny żujących betel! Pożywka dla szczurów i ognisko zarazy w jednym. Tłum ustępujący przed rikszą nie wyglądał na Europejczyków, tylko gdzieś widziało się cudzoziemca przeciskającego się przez kłębowski niskich, brunatnych ludzi zmierzających ku świątyni bogini Kali.

Czego tam właściwie szukał, sam nawet nie wiedział.

Dzielnica nad kanałem nie cieszyła się dobrą sławą. Świątynia leżała na południu, nad samym brzegiem Hugli, odnogą Gangesu. Już z daleka czuło się otaczający ją ciężki zapach krwi, który wznosił się ku ołowianemu niebu z zabijanych kóz ofiarnych i innych drobnych zwierząt.

Gromadzącą się na podwórku padlinę sprzątano najczęściej dopiero nocą, a zajmowali się tym pariasi i dzikie psy. Chmary much, góry odpadków, a sam kanał Hugli niczym jeden wielki ściek nieczystości! Oniemiały Peter dał znak rikszarzowi, by się zatrzymał, wysiadł z pojazdu i zapłacił za kurs, postanawiając iść dalej piechotą.

To pewnie były schroniska dla pielgrzymów, ponure, ciemne gmaszyska pękające w szwach od nawału cizby ludzkiej! Przed nimi ustawili swoje stragany sprzedawcy pamiątek, których, podobnie jak w chrześcijańskich sanktuariach, również i tu nie brakowało, z tą różnicą, że miejscowi byli głośniejsi. I bogini Kali, żadna krwi, mająca setkę imion, które można było głośno wykrzykiwać, aby zwabić klientów, używając akurat tego, pod jakim akurat ją czczono - Straszliwa, Niszczycielka albo Durga, Opiekunka, Obrończyni, Matka. Wszystko to skrywało się w Kali, zjednoczone i rozdzielone.

Z boku dostrzegł uśmiechnięty złowieszco wizerunek bogini zonglującej wieloma rękami ludzkimi czaszkami. Wlepił w niego wzrok - i nagle pojął, dlaczego tu przybył. Jego wyobrażenie o hinduskiej religijności nie było pełne. Zapoznał się jedynie z medytującymi, zatopionymi w kontemplacji ascetami. Do pełnego obrazu Indii przynależało i to - kult bożków szerokich mas prostego ludu! Stojąc pośrodku szerokiej alei wiodącej ku ponurej świątyni bogini Kali, wiedział już, że po raz drugi nie zwiedzie go pokusa hinduizmu.

Słyszac obok siebie głuchy jęk, odwrócił głowę. Dobry Boże! Ten człowiek leżał w agonii!

Szybkim krokiem podszedł do wychudłego starca, który wstrząsany atakami cholery przykucnął skulony w niszy bramy. Wychudłe nogi wznosiły się i opadały w drgawkach, szkliste oczy zachodziły mgłą. Gdy jednak Peter chciał mu pomóc, ktoś szturchnął go w bok, a odziany w postrzępione dhoti nędzarz zawołał:

- Zabieraj się, nieczysty cudzoziemcze! Pozwól umrzeć wiernemu Hindusowi, gdzie chce. Czy nie przybył tu, aby oddać ducha w cieniu świątyni? Kim jesteś i czego chcesz?

Młody lekarz próbował udobruchać przeciwnika. Jest lekarzem i chce pomóc.

- Umierających jest tu pełno na każdym kroku. Proszę się zabierać i zostawić mojego dziadka w spokoju, bo w przeciwnym wypadku wezwę straż świątynną!

Oszołomiony Peter ruszył dalej. Pierwszy raz zdarzyło mu się, że w tak nieuprzejmy sposób odrzucono oferowaną przez niego pomoc lekarską. Ale rozmówca miał rację - teraz to dostrzegł. Kalkuta, podobnie jak Benares, była pełna śmiertelnie chorych i umierających. Niemożliwością było udzielenie pomocy wszystkim. Czyżby opieka państwa zawiodła tu zupełnie? Po przeciwnej stronie ulicy dojrzał młodą jeszcze kobietę, która najwidoczniej miała krwotok, gdyż leżała nieruchomo w kałuży krwi. Miał zamiar do niej podejść, ale nagle stanął jak trafiony gromem.

Szczupła niewiasta w białym bawełnianym sari pochyliła się nad nieszczęśnicą, pomagając jej wstać. Teraz dostrzegł również szeroki na palec niebieski pas okalający brzeg ubioru, otaczający twarz, brunatne oblicze, i serce zabiło mu głucho. Miłosierna samarytanka skinęła na kulisówtragarzy, którzy nieśli nosze, i najwidoczniej przybyli wraz z nią. Podtrzymała chorą i wtedy zobaczył na jej ramieniu mały błyszczący krzyż spinający sari. Nikt nie zabraniał jej udzielać

pomocy umierającym.

Młody lekarz zastąpił samarytance drogę.

- Sita!

Jeśli za nieobyčajne uchodzi już samo zwrócenie się na ulicy do hinduskiej kobiety, to ta wyglądała, jak gdyby trafiono ją w samo serce. Oliwkowy brąz policzków poszarzał, niezdolna przemówić słowa, obronnym gestem wyciągnęła rękę. Jeden z kulisów wystąpił w jej obronie:

- Proszę nie przeszkadzać, sahibie. Pomagamy Matce Teresie, a shrimati opiekuje się śmiertelnie chorymi.

Już chcieli odejść, ale Sita powstrzymała ich gestem, opanowała się i odrzekła:

- Sahib doktor, dlaczego mnie pan odszukał?

Spoglądając jej prosto w oczy, odpowiedział tak, jak gdyby poza nimi w całej Kalkucie nie było nikogo.

- Ponieważ Bóg tak chciał, Sito. Ale nie obawiaj się! Nie towarzyszy mi nikt z twojej rodziny.

Widać było, że kamień spadł jej z serca. Po chwili, pochylając głowę, odpowiedziała, a w tonie jej głosu zabrzmiały niewypowiedziane pokorne nuty.

- Proszę wybaczyć, sahib doktor. Muszę do Dharmashala, gdzie mamy nasz przytułek. Należę do sztabu Matki Teresy.

Nie odstępował od niej.

- Kim jest ta matka?

Wydawała się być zdziwiona, że nie słyszał jeszcze imienia, które znało całe miasto.

- Jeśli pan chce, to proszę ze mną. Matki Teresy nie da się opisać, trzeba zobaczyć jej dzieło.

- A cóż to takiego, ta Dharmashala?

- Mieści się w pobliżu świątyni! To dawne schronisko dla pielgrzymów, które odstąpili nam hinduscy kapłani, teraz szpital dla umierających, nasza dying hall!

Szedł z nią i choćby mu przyszło wędrować tak na koniec świata, nie zostawiłby jej.

Kiedy tragarze przenieśli nosze przez próg spiczastej wysokiej bramy, Sita odwróciła się do niego.

- Ma pan ochraniacz na usta?

Potrząsnął przecząco głową. Sięgnęła w fałdy swojego sari i podała mu prostokąt gazy tak, jak gdyby stała wraz z nim jak dawniej w sali operacyjnej.

Jakże była spokojna, jak bardzo opanowana, pogodzona z niezwykłym zbiegiem okoliczności, który doprowadził do ich spotkania, podczas gdy jego serce było młotem, a oczy nie mogły oderwać się od jej postaci! Jaki urok bił od niej, była ładniejsza niż kiedykolwiek, choć bez żadnych ozdób, cała skąpana w blasku miłosierdzia!

Był wstrząśnięty: goła, kamienna podłoga, maty i prycze, a na nich okryci kocami i prześcieradłami wszelkiego rodzaju śmiertelnie chorzy i umierający. Leżeli jeden obok drugiego, w długim szeregu, po jednej stronie mężczyźni, po drugiej kobiety. Zaden z pacjentów nie był w stanie stanąć na nogach. Co najmniej połowa znajdowała się w agonii. Na każdym obliczu widziało się nadchodzącą śmierć, a przecież również coś innego, tchnienie pokoju, bo pomiędzy umierającymi przemykały wciąż niewiasty odziane tak samo jak Sita w białe sari z niebieskim pasem. Podawały lekarstwa i napoje, przyklękały tu i tam, trzymały uspokajająco drżące ręce, szeptały słowa współczucia albo modlitwy za umierających. Nie rozumiał ich, bo mówiły po bengalsku.

Mogło się wydawać, że jest jednym z nich, nikt nie zwracał na niego uwagi. Sita przykucnęła, podając do wychudłej kości- stej dłoni czarkę ciepłej herbaty, a potem pomogła przytrzymać ją przy spieczonych gorączką ustach. Trędowaty w ostatnim stadium choroby! Peter zadrżał, ale Sita już wstała i wręczyła mu strzykawkę.

- Tam musimy pomóc dawką morfiny, nieprawdaż?

Tak, starzec wił się w nieopisanych bólach.

Nagle lekarz uspokoił się, znalazł się w swoim żywiole. Może pomóc, jest przecież lekarzem. Błagalne spojrzenie ciemnych oczu skierowane na jego twarz. Czy będzie jeszcze ratunek? Dla suchotnicy być może, jeśli po krwotoku zapewni się jej trochę spokoju, natomiast w większości przypadków można było już tylko ulżyć w zmaganiach ze śmiercią.

Nachyliła się znowu, tym razem nad wynędzniałą dziewczyną, którą znaleziono prawie umierającą z głodu, karmiąc ją drobnymi porcjami ryżu. Każdy nadmiar pokarmu oznaczał dla niej natychmiastowy zgon. Być może uda się ją uratować.

Wreszcie miała nieco czasu dla niego.

- Tak, doktor sahib, to największe dzieło Matki Teresy, Misjonarki Miłości.

Misjonarki miłości, doprawdy, zasłużyły na to miano. Spojrzał na nią poruszony.

- Sito, gdzie poznałaś to dzieło? Kto cię tu przysłał?

Zamyśliła się, jak gdyby wspomnienie było bardzo odległe, a potem odparła z uśmiechem:

- Dowiedziałam się o nim od swami w Christnagarze, kiedy schroniłam się u nich, przebywając w Benares.

To go zaskoczyło. A więc tak niewiele brakowało i wpadłby na jej ślad.

- A jak się dostałaś do Benares, Sito?

- O! - nagle przeszła na niemiecki, choć mówienie w tym języku przychodziło jej z większym trudem niż wcześniej, gdyż od dawna się nim nie posługiwała. Teraz wybrała zupełnie nieznaną tu mowę ze względu na swoje bezpieczeństwo. - Uciekłam z zamknięcia mojego klanu. Chciano zrobić ze mnie wieczną pokutnicę, ponieważ nie potrafiłam pomóc mojemu mężowi. Pragnęłam zostać chrześcijanką za wszelką cenę, rozumie mnie pan? Aby zmylić rodzinę, przyjechałam do Benares, do sanktuarium hinduskiego. I znalazłam Chrystusa. Uczony swami doradził mi, żebym pojechała do Kalkuty, bo Matka Teresa potrzebuje pomocy lekarzy.

Nagle Petera przeszły straszliwa myśl. Minęła dłuższa chwila, nim zdołał wykrztusić:

- Sito, czy zostałam zakonnicej?

Zaprzeczyła.

- Nie, doktorze, tylko pomocnicą. Uczestniczę w nauczaniu dla katechumenów, a w przyszłym tygodniu przyjmę chrzest!

Twarz zajaśniała jej rozpromieniona wewnętrzną radością. On także się uśmiechnął.

- Sito, to była twoja droga tutaj. Również i moje ścieżki wiodły przez Christnagar. -

Opowiedział jej szybko koleje swojego losu. Gdy wspomniiał imię jej brata i napomknął o policji, ogarnął ją lęk, tak że z trudem udało mu się ją uspokoić. - Nie możesz tu zostać, Sito, bo znajdą cię któregoś dnia. Ochrczuj się jak najszybciej, a potem przyjedź do Jalnapuru. Klinika zawsze będzie dla ciebie miejscem schronienia.

Spuściła głowę niezdecydowana.

- Musimy zapytać Matkę Teresę. Ona zadecyduje.

- Gdzie jest?

- W naszym domu dla sióstr przy Lower Circular Street.

- Proszę mnie zaraz zaprowadzić do Matki Teresy - przynaglił, przechodząc nagle na angielski, gdyż podeszła do nich jedna z opiekunek. Sita wdała się z nią w rozmowę po bengalsku. Po chwili tamta, obrzuciwszy Petera krytycznym spojrzeniem, przyzwoliła skinieniem głowy. Sita była wolna, jeśli doktor zrobi jeszcze tu i tam zastrzyk!

Wreszcie mogli zdjąć z twarzy opaski. Razem wyszli na zewnątrz. Przez chwilę musiał się wesprzeć o futrynę drzwi, gdyż zakręciło mu się w głowie.

- Sito, jak ty to wytrzymujesz? Czy codziennie przebywasz tylko pośród umierających?

Zaprzeczyła, wychodząc energicznym krokiem wraz nim.

- Pełnimy również posługę w slumsach oraz opiekujemy się porzuconymi dziećmi. Uczymy też niedotykalnych i ubogich higieny, aby ustały zarazy.

- Przecież jest tyle szpitali w mieście, dlaczego Matka Teresa wyszukała sobie najcięższą służbę umierającym?

- Doktorze, wszystkie szpitale są przepelnione, a my zajmujemy się chorymi, których wszędzie odprawiono z kwitkiem. Ponieważ nikt nie chce im pomóc, umierają na ulicach jak bezpańskie psy.

Tak, widział to na własne oczy. W Kalkucie widać było całą brutalność socjalnej nędzy Indii.

- Przyjmujecie tylko pariasów?

- Nie, gdy przychodzi śmierć, kończą się różnice kastowe.

To znowu go poruszyło. Jak to dobrze, że w Jalnapurze usunął ze ściany szpitala fatalną tablicę z zakazem wstępu dla niedotykalnych.

W pewnym oddaleniu od głównej alei, w ciasnej bocznej uliczce Sita przystanąła przed wąskimi drewnianymi drzwiami. Umieszczono na nich tabliczkę z napisem „Mother Teresa”. I nic poza tym. Wkroczyli do ubożego domostwa. Tutaj w skromnych warunkach mieszkała Matka Teresa ze swoimi siedemdziesięcioma pomocnicami. Schronienie sióstr promieniowało miłością.

Zdumiony Peter przystanął w małym korytarzyku. Ponieważ musiał chwilę poczekać, sięgnął po leżącą na stole gazetkę zawierającą krótką historię dzieła. Dowiedział się, że Matka Teresa jest rodowitą Albanką. Zanim rozpoczęła działalność w Pat- na, wraz ze swoimi siostrami została przeszkolona w pielęgnowaniu chorych przez Medical Sisters. Od 1952 roku przyjeły w Dying Hall ponad sześć tysięcy umierających i mówiło się, że nikt tam jeszcze nie zmarł bez Boga! W najpodlejszych slumsach założono dwadzieścia ośrodków szkolnych, stworzono centrum dla trędowatych, otwarto aptekę dla najuboższych.

Peter wsparł głowę na dłoni. Jak wiele dokonała ta kobieta przez te kilka lat, i to nie dlatego, że była typem „managera”, lecz ponieważ traktowała chrześcijaństwo poważnie!

Z zamyślenia wyrwały go ciche kroki. Spokojna, opalona twarz starszej zakonnicy spoglądała nań z pełną wyczekiwania dobrocią.

- Matka Teresa?

- Tak, chciał pan ze mną rozmawiać?

Usiadła swobodnie naprzeciw niego. Po niedługim czasie, nim się spostrzegł, zaczął jej o wszystkim opowiadać, nie pomijając nawet tego, co pewnie przemilczałby wobec każdej innej, obcej osoby. Czuł się tak, jak gdyby zwracał się ku matczynym oczom, którym można powierzyć wszystko.

- Skoro tak się sprawy mają, panie doktorze, to najlepszym wyjściem byłoby, gdyby Sita pojechała razem z panem - odparła wreszcie z rozbijającą prostotą. - W tych okolicznościach nie można już ani dnia zwlekać z chrztem, gdyż może się zdarzyć, że zostanie wytropiona przez brata. Macie przecież misjonarzy w Raipurze, nieprawdaż?

- Tak, ojciec Stefan, palotyn, zajmie się nią z radością.

Matka Teresa uśmiechnęła się do własnych myśli, a potem spoważniała.

- Co zaś się tyczy innego pańskiego pytania, panie doktorze, to musi pan zostawić Sicie wolność podjęcia decyzji. Proszę pamiętać o tym, że jako wdowie niesłychana jest dla niej myśl

1 ponownym zamążpójściu. Oczywiście, ze strony chrześcijaństwa nie ma ku temu najmniejszych przeszkód, ale czy zdaje pan sobie sprawę, co to znaczy zerwać z tak silną hinduską tradycją? Doradzałabym, aby nie spieszyć się zbyt.

- Ale Sita potrzebuje mojej opieki, którą mogę jej zapewnić jedynie jako małżonek.

- Będzie sporo trudności!

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Matko Tereso, czy przeszkody kiedykolwiek pozbawiły siostrę odwagi?

Twarz zakonnicy rozjaśnił promienny uśmiech.

- Nie, wręcz przeciwnie. Wszyscy kapłani ze świątyni Kali byli moimi zagorzałymi przeciwnikami, aż do momentu, kiedy jeden z nich zachorował i potrzebował mojej pomocy. Trudności ze strony władz, głód, prześladowania, nic nie mogło mnie powstrzymać.

- I ta sama, niczym nie dająca się spętać wola jest również we mnie, Matko Tereso. Nie

mogę kolejny raz utracić Sity,

I jestem gotów walczyć o nią wszelkimi środkami.

- A przecież może się zdarzyć, że stanie pan przed wyborem zrezygnowania z pracy zawodowej albo z wybranej kobiety - przypomniała mu rozmówczyni w białym sari. Wzruszył ramionami.

- Dobrze, wobec tego prędzej opuszczę Indie niż Sitę.

Na te słowa Matka Teresa wstała z miejsca, podając mu rękę.

- Teraz już wiem, że jest pan przyjacielem tego kraju. Tak nie mówi ktoś, komu w pierwszym rzędzie zależy na karierze i sławnym nazwisku. Proszę wybaczyć, że byliśmy nieco nieufne, podobnie jak wszyscy Hindusi. Postaram się zrobić wszystko, co tylko będzie leżało w mojej mocy, aby wysłać Sitę z panem. Ale chcę uniknąć zgubnego pośpiechu. Proszę dać jej przynajmniej jedną noc do namysłu. To minimum, jakie należy przyznać każdemu człowiekowi. Poza tym Sita należy do bliskiego grona moich „współpracownic”, chociaż jako Hindusce, do tego o tak wysokim pochodzeniu, niełatwo jej przychodzi pracować w slumsach i przytułkach dla umierających.

Peter pożegnał się z nadzieją i niepokojem w sercu. Aby się czymś zająć i uspokoić, jeszcze raz wyruszył na wędrowną podróż po mieście. Na poczcie nadał telegram do ojca, że przyjedzie później. Musiano się bez niego obejść jeszcze jeden dzień. Wreszcie tak beznadziejnie się zabłąkał, aż w końcu musiał poprosić policjanta, żeby mu wezwał taksówkę.

Gdy znalazł się w okolicy, gdzie nie brakowało lokali z muzyką i śpiewem, nie miał na nic ochoty. Roztargniony i milczący przysiadł nad szklanką whisky, jedynie od czasu do czasu otrząsając się z natłoku myśli. Wreszcie próbujący wciągnąć go do swojego towarzystwa młodzi ludzie spojrzeli po sobie i zostawili go w spokoju.

Następnego dnia wziął pierwszą lepszą riksę i ruszył do dzielnicy świątyni. Ale pośpiech był niepotrzebny, ponieważ Matka Teresa udała się wraz z Sitą do dzielnicy Motiji, aby otworzyć tam szkołę dla ubogich. Siostry zajęły się dziećmi żebraków spędzającymi całe dnie w ulicznych rynsztokach. Nadzieja rozpaliała się w nim, to znowu opadała niczym wykres gorączki malarycznej. Nie miał pojęcia, co pocznie, gdyby Sita miała odmówić wyjazdu.

Słyszając ciche kroki, zerwał się jak rażony prądem. Matka Teresa wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Tak! - oznajmiła z błyskiem w oku. - Powiedziała tak, ale pod warunkiem, że również w Jalnapurze będzie jej wolno zajmować się najuboższymi.

Peter poczuł łzy w oczach. Przełknął ślinę.

- Nie tylko jej wolno, lecz nawet musi! - wymruczał.

Matka Teresa odwróciła się, przywołując gestem Sitę, która miała na sobie proste białe wdowie sari, ale już bez niebieskiego pasa Misjonarek Miłości i krzyża, jaki nosiły pomocnice. Wkrótce też pozbędzie się i ubioru wdowy, to było pewne. Nie, nie było możliwe objąć ją uściskiem, pochylił się więc nad jej dłonią. Na ten pocałunek wyraziła zgodę. Również dzieci w slumsach całowały jej ręce.

- Idź bez obaw, Sito - posłyszał głos zakonnicy. - Towarzyszy ci moje błogosławieństwo, I nie zapomnij, tutaj zawsze możesz liczyć na pomoc, bez względu na to, co się stanie!

Matka Teresa wraz z gromadą sióstr przyszła nawet na peron przed odjazdem ekspresu KalkutaBombaj. Jeszcze raz Sita i Peter musieli podróżować osobno, Sita w osobnym przedziale dla kobiet.

Dla nieumiejących czytać na jego drzwiach umieszczono obrazek kobiety w sari, niepozostawiający wątpliwości znak izolacji!

Lekarz wychylił się z okna swojego przedziału, aby wszystko lepiej widzieć. Czy wysiadzie w ostatnim momencie? Nie, dotrzymała obietnicy, ale teraz, gdy lokomotywa gwizdnęła, odsunęła się szybko od drzwi. Matka Teresa śpiewała ze swoimi towarzyszkami. Była to hinduska pieśń, a on zrozumiał jedynie tęsknotę melodii. Ostatni raz machnął na pożegnanie, a potem pociąg ruszył ku dzikim pustkowiom delty.

Widząc przybyłych do stacji misyjnej Kutela lekarza i jego towarzyszkę, ojciec Stefan pomyślał, że chyba śni na jawie. Potem biegiem, bez okrycia głowy, ruszył w dół zbocza. Uściśnił sobie dłonie, aż zatrzeszczało w stawach.

- Mam dla ciebie zajęcie - oznajmił Peter z dumą w głosie. - Musisz jak najszybciej zorganizować chrzest. Tę shrimati mogę zabrać ze sobą do Jalnapuru tylko jako chrześcijankę.

Duchowny uśmiechnął się promiennie. Sita trzymała się skromnie z tyłu, bo lekarz mówił za dwoje, tryskając radością życia i szczęściem. Ojciec Stefan nie mógł się nadziwić. Nie poznawał w nim melancholijnego człowieka szukającego schronienia pośród mnichów jain. Ale to nie był tylko skutek cudu spełnionej miłości. Palotyn czuł, że lekarz powrócił do źródeł swojej wiary.

Pod obrazem Chrystusa Króla stanęli ramię w ramię braminka jako kandydatka do chrztu oraz lekarz jako jego świadek i płonąca świeca nie zadrżała w jej ręku, gdy wymawiała trzykrotne „wyrzekam się”. Przybyły wszystkie siostry katechistki, misjonarze z Kuteli i młodzież z wioski, gdy woda chrzcielna spłynęła z czoła braminki, z którego nie trzeba już było zmywać znaku przynależności do kasty.

Już jako wdowa nie miała do niego prawa. Na chrzcie otrzymała imię Miriam. Zaraz po ceremonii liturgicznej Sita uklękła w skupieniu przed wizerunkiem Madonny Nishkalank Mata, której kopię podarły gniewne ręce jej brata. Białe wdowie sari zostało szatą chrzcielną, przestając być znakiem hańby, lecz stając się oznaką godności dziecka Bożego.

W stacji misyjnej ojcowie zorganizowali w pośpiechu skromny posiłek, zanim autobus z Raipuru do Jalnapuru zabrał niezwykłych gości. Przygotowano baranka. Sita po raz pierwszy spożywała mięso, był to dla niej jednocześnie „baranek paschalny”, gdyż zbliżała się właśnie Wielkanoc. Widać było po niej, że jest wyciszona i zamknięta w sobie, pozwalając się unosić wewnętrznemu szczęściu tego wielkiego dnia.

- Co ostatecznie zdecydowało o staniu się chrześcijanką? - ojciec Stefan nie mógł się powstrzymać od zadania ciekawskiego pytania. Zagadnięta Sita zastanawiała się przez chwilę, po czym odłożyła niezwykle dla niej europejskie sztuce.

- To stało się już dawno - odparła po niemiecku, po czym zwróciła się do Petera: - Przypomina pan sobie, jak udałam się w podróż na wyspę Sagar, aby odprawić pielgrzymkę pokutną, ponieważ dotknęłam pariasa?

Lekarz doskonale o tym pamiętał. Powróciła dziwnie odmieniona, a on tłumaczył jej stan silnym przeżyciem atmosfery hinduskiego sanktuarium pielgrzymkowego. Potrząsnęła głową.

- Nie, już wtedy spotkałam Matkę Teresę, tylko że nie znałam jej imienia i jej dzieła. Widziałam tylko, jak zbiera umierających i dowiedziałam się, że jest chrześcijanką. To bardziej mi pomogło niż wszystkie nauki o chrześcijaństwie.

Ojcowie spojrzeli na siebie znacząco. Usłyszeli właśnie to, co zawsze podkreślał Gandhi: „Gdyby chrześcijanie żyli bardziej po chrześcijańsku, to nawróciłyby się całe Indie!”. Peter patrzył przed siebie zawstydzony. Właściwie to wyznanie zabrzmiało niczym wyrzut pod jego adresem, ale postanowił, że to się zmieni, zwłaszcza kiedy zostaną już parą.

Ojciec Stefan okazał szczerą przerażenie, gdy mu oznajmił, że wkrótce będzie musiał udzielić im również ślubu.

- Peter, proszę cię, nasza stacja misyjna nie jest tak bogata.

Lekarz spojrzął na niego, nie pojmując.

- Nie bardzo rozumiem. Chcemy skromną ceremonię w ścisłym gronie!

- To wiem, tylko co potem z kolektą? To znaczy, skąd mam wziąć pieniądze, żebyście po ceremonii mogli jak najszybciej wynieść się do Niemiec?

Peter się roześmiał.

- Chyba sam w to nie wierzysz.

- Poważnie, na coś takiego nie zdobył się tu jeszcze żaden biały. Nie bardzo wiem, jak chcecie poradzić sobie z fanatyzmem tutejszych ludzi. Poślubienie wdowy!

Lekarz spojrzął z troską na Sitę. Zachowywała się tak, jak gdyby rozmowa zupełnie jej nie dotyczyła - nagle, podobnie jak wszyscy Hindusi, zatopiła się w medytacji. Czy uda się jej przejść przez „ogniową próbę” i oprzeć prastarej tradycji? Gdy wymówił jej imię, drgnęła przestraszona.

- Sito, czy i tym razem posłuchasz swojego ojca, gdy ci nakaze powrócić do Nagpuru?

Spojrzała na niego opanowana.

- Nie zrobi tego, bo jestem chrześcijanką.

- Co to znaczy?

- Nigdy już nie będzie mi wolno przekroczyć progów mojego rodzinnego domu.

Z jakim to powiedziała spokojem, z jaką ufnością w przyszłość! Jak gdyby nic nie mogło nią wstrząsnąć. A może to była pasywna natura Azjatów godzących się ze swoim losem?

Z jaką przecież niezrozumiałą obojętnością wzięła na siebie wymuszone zamążpójście!

- Sito, jest dosyć ustaw, które cię ochronią. Nikt nie zrobi czegoś wbrew twojej woli.

Przytaknęła.

- Owszem, ale rodzice mnie odrzuca!

Na ile musiała się zgodzić ze względu na wiarę! Wciąż na nowo wprawiała go w zawstydzenie. Nadszedł czas powrotu. Czy czekały ich nowe kłopoty? Z Kuteli zatelefonował do ojca, informując o najważniejszych szczegółach. Ordynator odpowiedział jedynie sucho, że najwyższy już czas, aby się zjawili. A co dopiero będzie, kiedy dotrą na miejsce?

Tak, słynne „rentgenowskie spojrzenie” ojca, prześwietlające jednocześnie duszę, już raz go przeszło, gdy przedstawiał mu Site.

- Gratulacje z okazji chrztu - oznajmił tylko, jak gdyby nie było jej w szpitalu zaledwie chwilę. - Proszę się ubrać w fartuch, potrzebna każda para rąk. Od tygodnia szaleje czerwonka. Do pory monsunu jeszcze się nasili.

No, nie było tak źle. Sita uśmiechnęła się nieśmiało do Petera. Czyżby wygrali bez walki? Ordynator odwrócił się jeszcze.

- Trzeba zająć się oddziałem kobiecym, i to w pojedynkę. Nie ma, niestety, siostry Annemarie!

Peter stanął jak wryty.

- Co takiego, teraz i przełożona pielęgniarek? Choruje może?

Szef energicznym ruchem otworzył drzwi gabinetu.

- Tylko bez sentymentów. Coś takiego może się przytrafić każdemu. Tak, infekcja. Ciężka czerwonka. Szkoda, będzie brakowało jej radosnej osoby. Była znakomitą pielęgniarką.

Junior zdrtwiał. Co to miało znaczyć? Ojciec przytaknął.

- Robiłem wszystko, żeby ją uratować, ale na próżno. Nagle poddała się jak Hindusi. Nie rozumiem tego.

Syn nie potrafił wydusić z siebie słowa. Siostra Annemarie nie żyje! Nie potrafił tego pojąć. Śmierć zabrała ją podobnie, jak codziennie - nie robiąc żadnej różnicy - zgarniała tysiące Hindusów. Ojciec podsunął mu pudełko z lekarstwami.

- Zażyj paludrine, mamy czas malarii!

Peter usiadł, mechanicznie wykonując wydane mu polecenie. Podeszła Sita, ściskając mu dłoń. Miała w oczach łzy.

- To bardzo smutne, doktorze. Była moją białą siostrą. Jak to się mówi? Przyjaciółką!

Ordynator chrząknął energicznie, podniósł plik listów, po czym przysunął Peterowi jeden z nich.

- Od Ramdasa Durpali. To teraz ważniejsze niż oplakiwanie zmarłych. Czytaj!

Młody lekarz zatopił się w lekturze, Sita stała obok niego bez słowa. Oddychał szybko, gdy dzielił się z nią treścią pisma.

- Sito, twój brat pisze, że policja natrafiła na twój ślad w Kalkucie. Co za szczęście, że wyjechaliliśmy razem. Zaprasza mnie, żebym udał się tam razem z nim na poszukiwania. Teraz musimy się przyznać.

Hinduska skinęła głową.

- Proszę do niego natychmiast napisać, że jestem tutaj - powiedziała pewnym głosem. - I dodać, że jestem ochrzczone. Proszę!

Ordynator zdjął z nosa okulary.

- Czekają nas wiele kłopotów, ale nic nie można zmienić. Dobrze, przeprowadź tę „operację”. Tylko trzymaj się mocno na nogach, jak coś zacznie się dziać. No, a teraz do roboty, bo nie ma czasu do stracenia!

Najlepszym wyjściem było wrzucenie ich w codzienność trzeszczącą w szwach od nawału obowiązków. Nadchodziły najgorętsze miesiące, kwiecień stał u progów, zaraz po nim zaczynał się najcięższy miesiąc w Indiach, maj, kiedy to powietrze zionęło ogniem. Upał źle wpływał na każdą chorobę, wzmagając zagrożenie epidemiami, które wybuchały w tym czasie szczególnie często. Woda w stawach cuchnęła, koryta rzek wysychały, odsłaniając spękane dna łożysk!

W okresie dojrzewania owoców mango niebezpieczne stawały się cholera i dur brzuszny. Każdego roku powtarzało się to samo. Lekarze nie mieli prawie czasu, aby choć przez chwilę pomyśleć o sprawach osobistych. Od rana do wieczora nie było chwili wytchnienia. Peter napisał do rodziców Sity list, ale, przepracowany, zupełnie zapomniał o tym, kiedy może przyjść odpowiedź. Również po Sicie nie widać było zaniepokojenia. Nie okazując żadnej słabości, pełniła dzielnie swoje obowiązki u jego boku. Skoki klimatyczne dokuczały jej w znacznie mniejszym stopniu niż Europejczykom. Ponadto na oddziale kobiecym wiele się zmieniło. Musiała się przyzwyczaić do obecności młodych dziewcząt z Kuteli. W gruncie rzeczy wykazywały wiele dobrej woli, nawet jeśli od czasu do czasu zdarzyło im się zapomnieć o przestrzeganiu nakazów związanych z dezynfekcją.

Sita asystowała przy porodzie bliźniąt młodej hinduskiej matki, gdy właśnie wybuchła pogodowa zawierucha. Im bardziej na zewnątrz szalał żywioł, tym bardziej musiała być opanowana.

W najbardziej nieodpowiednim momencie pochyliła się nad nią jedna z „uczennic”, szepcząc do ucha:

- Shrimati, wzywa się panią. W gabinecie oczekują goście przybyli z Nagpuru!

Sita zadrżała, ale zaraz odzyskała panowanie nad sobą.

- Proszę zejść na dół i powiedzieć lekarzom, że teraz to niemożliwe. A moich krewnych poinformować, że rodzi się dwóch hinduskich synów!

Dziewczyna skłoniła się z czcią i wymknęła na zewnątrz! Dwóch synów - jakież błogosławieństwo bogów! Przed drzwiami sali operacyjnej przysiadł na podłodze ojciec dzieci, wygrywając na flecie Kriszny żarliwie błagania o pomyślny poród, a tymczasem niebiosa otworzyły śluzy potopu.

- Dwóch synów - wyszeptwała asystentka w hindi. Mężczyzna opuścił flet i rzuciwszy się na kolana, dotknął czołem ziemi.

Również Peter wyszedł na górę, aby sprowadzić Sitę, ale i jego spotkało to samo. Lekarka nie pozwalała oderwać się od obowiązków. Nie było rady, czcigodna rodzina braminów musiała czekać, podobnie jak zwykli śmiertelnicy. Dopiero gdy niemowlęta kwiliły w ramionach pomocnic, a wyczerpana matka zapadła w sen, Sita obmyła sobie dłonie, zmieniła sari i zeszła na dół.

Gdy otworzyła drzwi gabinetu stanęła przez sekundę znieruchomiła. Dopiero po chwili uklękła przed guru rodziny, ojcem oraz bratem. Przybyli we trójkę. Doskonale wiedziała, co oznacza obecność hinduskiego kapłana, ale nie uchylała się. Być może dodało siły jej i to, że pomieszczenia nie opuścił Peter Larsen, a także zjawił się ordynator, aby nad tym, co się będzie działo, mieć kontrolę. Kto bowiem mógł przewidzieć, do czego dojdzie?

Niestety, młody lekarz nie rozumiał dostatecznie tego, co mówiono, ale gest, jaki nauczyciel Sity uczynił, był dostatecznie jasny w pogardliwej wymowie. Sita ciągle klęczała, a rysy jej twarzy odzwierciedlały kolejno strach, chęć usprawiedliwienia, pokorę - i nieodwracalne zdecydowanie. Według hinduskiego prawa nie wolno jej było jako kobiecie i wdowie odezwać się choć jednym słowem we własnej obronie.

Teraz coś powiedziała: padło wyraźnie słyszalne imię Chrystusa.

Potem zapadła cisza, tylko z zewnątrz dobiegał szum deszczu. Po chwili podszedł do niej ojciec, wyciągając jakiś przedmiot z zanadru aczkanu. Złamał go z trzaskiem i rzucił ku niej.

Ramdas Durpali dotknął stopą połamany przedmiot, po czym wypowiedział ostre słowo, które zabrzmiało jak trząśnięcie biczem. Zaraz też się odwrócili i wyszli, nie zaszczycając lekarzy

ani jednym spojrzeniem.

Sita wstała z klęcezek blada, ale spokojna. Peter podszedł do niej i nie zważając na to, co powie ojciec, przygarnął ją ramieniem.

- Jestem jeszcze niżej od pariasów, przekłeto mnie w doczesności i na wieczność! - wyszeptała cicho.

- Co to za skorupy?

- Wizerunek Wisznu, naszego boga, i pieczęć mojego klanu. Wyrzekła się mnie także rodzina mojego męża. Teraz Sita nie przynależy do nikogo, tylko do Chrystusa.

Przyciągnął ją ku sobie.

- Mylisz się, również i do mnie.

Spojrzał pewnie w stronę ojca.

- Ojcze, pobierzemy się. Mam nadzieję, że nas rozumiesz.

Ordynator uniósł brwi, patrząc na nich surowym wzrokiem.

- Gdybyś tego nie zrobił, chłopcze, wyrzuciłbym cię z kliniki i z Indii, i to jeszcze szybciej, niż postaraliby się o to inni!

- Ojcze!

- Tak jest! Nawet ja zdecydowałbym się na to, gdybyś ty nie wiedział, co masz do zrobienia. Moje błogosławieństwo! Hm, dlaczego jej nie pocałujesz? W moich czasach tak się robiło.

Syn zaśmiał się z ulgą, ale poczuł też lekliwy opór Sity.

- Powoli, ojcze. W Indiach robi się to po ślubie. Bez obaw, Sito, czekałem tak długo, więc zaczekam jeszcze. Wy, Hindusi macie rację. O miłości nie stanowią zewnętrzne znaki.

Ordynator nałożył znowu okulary.

- Hm, nie ma czasu na dyrdymałki. Rozejrzyj się za misjonarzami. Podróż poślubna na razie odpada. Będzie na to czas po monsunie. Jasne?

- Oczywiście, ojcze. Wystarczy nam cicha ceremonia ślubna.

- Pomyłka! Będzie najgłośniejsza w całych Indiach. Zobaczysz, postarają się o to ludzie od Jalnapuru do Nagpuru. Musimy trzymać się razem, to wystarczy. A teraz do roboty!

Ale w jego oczach widać było uśmiech i Peter najchętniej by go uściśnił, tylko że tę czułość ordynator wziąłby mu za złe. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby obchodzili radosne święta rodzinne, podczas gdy w klinice szalała śmierć. Zanim się obejrzel, każdy był już na swoim stanowisku, podejmując zmagania z podstępą przeciwniczką.

Nie płonął żaden inny święty ogień weselny, jak ogień ich serc, gdy w Kuteli ojciec Stefan połączył ich dłonie. A kiedy powiedzieli sobie nawzajem „tak”, zdawało się, że Zachód mówi swoje „tak” Indiom, zawierając tajemnicze i pełne łaski przymierze obu kontynentów. Kobieta z kraju baśni i grozy ufnie oddawała swoje życie pod opiekę mężczyzny pochodzącego z trzeźwej rzeczywistości zachodniego świata. Ale to brzemiennie w skutki wzajemne „tak” mogło zostać wypowiedziane tylko w ogromnej ufności wyrastającej ze wspólnej wiary.

Jaśniej niż kiedykolwiek świecił im nad głowami Krzyż Południa, gdy wracali do domu. Wkrótce zaciemnią go chmury monsunu. Nadszedł czerwiec i każdego tygodnia mogła się rozpocząć pora deszczowa. Gdy wysiedli przed bungalowem, ciemności nocy nie rozświetlał blask oliwnych lampek ani nie zaproszono żadnych gości. Rozbrzmiewał tylko flet Kriszny, prosząc o błogosławiony wczesny monsun! Ku gwiazdom nieustannie wznosiły żebrzące i skarżące się dźwięki ragas.

Flet Kriszny błagał o miłość. Dwoje ludzi było jej spełnieniem, gdyż doświadczyli miłości Boga i to zanim odnaleźli miłość ku sobie!

Nikt spośród pacjentów nie domyślił się, co się wydarzyło, bo następnego ranka Sita jak zawsze podjęła swój obchód, a junior towarzyszył seniorowi w sali operacyjnej. W tym ciężkim okresie przed monsunem lepiej było pozostawić ludzi w nieświadomości, aby uchronić chorych przed niepotrzebnymi emocjami. Nikt więc nie przeczuwał, że spotkało ich szczęście, jakie w tym kraju było rzadkością, było jedyne samo w sobie.

I znowu z zachodniego wybrzeża doniesiono o monsunie czternaście dni wcześniej, zanim

osiągnął Indie Centralne. Już na kobaltowym niebie pojawiły się pierwsze zwały chmur, lecz palące słońce rozpraszało je wciąż na nowo. Przygniatający upał spoczął ciężkim brzemieniem na nerwach wszystkich. Musiało się wyteżać wszystkie siły, aby zapanować nad rosnącym napięciem. Stopniowo niebo poszarzało, ale nie było śladu ochłodzenia, wszystkie stworzenia z utęsknieniem wyczekiwały na zbawienny deszcz.

W straszliwej ciszy południowej spiekoty tym głośniejszym echem rozbrzmiał głos chłopca z bazaru, który najszybciej, jak tylko mógł, ruszył biegiem suchą, pełną kurzu drogą w kierunku kliniki. Kilkoma skokami pokonał schody, wołając głośno: „sahib doktor”. Czyżby przydarzyło się jakieś nieszczęście, jak wtedy, gdyż żona pariasa dostała się podczas burzy piaskowej pod koła samochodu? Wystraszony i zdenerwowany Peter wyszedł z laboratorium.

- Sahib doktor! Szybko! Proszę zaryglować drzwi i zabarykadować okna! Idą!

Lekarz wziął go na stronę. Chłopiec był mokry od potu i roztrzęsiony.

- Nie wydzieraj się tak, Khub, to szpital. Co się dzieje? Kto idzie?

- Wszyscy! - zawołał mały przybysz, wyrzucając ręce w górę. - Wszyscy! Cała dzielnica bazarów jest na nogach, cały tłum. Chcą szturmować klinikę i zlinczować doktora.

Czyżby chłopiec oszalał? Stracił rozum na skutek udaru? Peter już chciał go chwycić za kark i wyrzucić za drzwi, gdyż pomyślał o jakimś figlu, ale zobaczył schodzącą szybko po schodach Sitę, bladą i zdenerwowaną. Przywoływała go gestem obu rąk.

- Szybko, szybko! Musimy zrobić, co powiedział. To z powodu naszego ślubu, dowiedzieli się o nim! Zobaczyłam z góry, że wszyscy zacierają tutaj!

Jej głos brzmiał tak poważnie, że Peter zostawił malca i natychmiast zamknął oraz zaryglował drzwi. Potem głośno zaczął wołać dziewczęta oraz ojca. Wszyscy oderwali się od swoich zajęć, aby pozamykać okna od strony ulicy. Ponadto ordynator zarządził, aby stołami i krzesłami zabarykadować drzwi.

Z ciasnych uliczek bazaru zbliżał się tłum dziko krzyczących i wściekle gestykułujących fanatycznych Hindusów. Wielu wymachiwało kijami bambusowymi lub pałkami. Złani potem, pokryci kurzem, z płonącymi wściekłością oczyma zacierali do kliniki.

Gdy ordynator dzwonił na posterunek policji w Jalnapurze, od okiennicy odbił się pierwszy rzucony kamień. W głosie starszego doktora Larsena słychać było tłumiony gniew, podczas gdy na zewnątrz krzyki tłumu przemieniły się w jedno zgodne wycie.

- Co się stało? Nic! Mój syn ożenił się z randi. Co znaczy niemożliwe? Złożę zażalenie w Nagpurze, jeśli się nie zjawicie, a jeśli okaże się to konieczne, zażądam ochrony rządowej z samego New Delhi, ostatecznie nie jesteśmy Anglikami, czy to jasne?

Po chwili rzucił słuchawkę na widełki.

- Co za tchórze! Nie chcą się wtrącać, boją się najwidoczniej wściekłości tłumu. Wiedzą, że prawo nas chroni, ale niczego nie robią. Tłumaczą, że nie należy się obawiać linczu, takie zbiegowiska rozpraszają się równie szybko, jak powstają, i tak dalej. Tylko że wcale nie słyszą, żeby tak właśnie było!

Rzucane kamienie z hukiem uderzały raz po raz to w okna, to w drzwi. Wracający do zdrowia pacjenci, którzy mogli wstać z łóżek, zebrali się na korytarzach, słuchając, co się dzieje, z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Co wykrzykują? - dowiadywał się Peter, gdyż mówiono w hindi. Rozumiał jedynie powtarzające się wciąż na nowo pogardliwe mletszach.

Sita poczerwieniała.

- Domagają się, żeby bezkastowy barbarzyńca wydał randi. Używają na mnie złych słów. Przytulił ją do siebie.

- Niech ochrypną, my należymy do siebie.

Wciąż na nowo słychać było imię Sity. Senior podszedł do nich, wskazując głową.

- Sita, idź do góry na oddział kobiecej!

Zawahała się, a potem złożyła ręce.

- Tak, pandit ojciec!

Była bezwzględnie posłuszna, odkąd ordynator został jej teściem. Senior spojrział na nią, po czym wcisnął niezdecydowanie stojącemu synowi rewolwer do ręki.

- Na wszelki wypadek, mam nadzieję, że nie posuną się tak daleko.

Ale krzyki i zamieszanie rosły, w drzwi uderzały coraz większe kamienie. Rozległ się trzask pękającego drewna i brzęk rozbijanych szyb. Po policji z Jalnapur nie było widać ani śladu.

- Wezwę pomoc z Nagpuru! - zdecydował wreszcie ordynator, ale zaledwie zrobił krok, zatrzymał się, gdyż nagle na zewnątrz zapadła cisza.

Co się stało? Skądś wyraźnie dobiegał zdecydowany kobiecy głos. Nagle Peter pochwycił ojca za ramię.

- Sita!

Tak, to był jej głos. Peter zbladł ogarnięty przerażeniem. Musiała stać na pierwszym piętrze, na werandzie, odważyła się wyjść przed rozjuszoną tłumaczkę! Bez słowa rzucił się po schodach na górę ku oddziałowi kobiecemu. Z podestu zobaczył otwarte szeroko drzwi werandy i - tam - tak, stojącą na niej szczupłą postać Sity w białym lekarskim sari. Ale nie była całkiem sama. Trzymała na rękach, przytulając, nowo narodzonych chłopców. Nie poleciał żaden kamień. Przed świętym życiem w jej ramionach opadły wszystkie wzniesione do pogroźek pięści.

Wyraźnie i pewnie brzmiały jej słowa, jak gdyby przywykła przemawiać do wielu osób. Zawahała się tylko na chwilę, gdy nagle Peter stanął u jej boku. Rewolwer zostawił na parapecie okna. Szeroko otwarte oczy Sity bez lęku patrzyły na spoglądające ku górze, zaciekle twarze. Czyżby się uśmiechała?

W jej słowach powracało wciąż jedno imię: Franciszek Ksawery? Czyżby wygłaszała do swoich rodaków kazanie? Jeszcze nie skończyła mówić, gdy wtrąciło się samo niebo.

Wreszcie rozwarły się gromadzące od wielu godzin chmury, z siłą żywiołu wylewając na tłum prawdziwy potop pierwszego, dającego ulgę monsunowego deszczu. Jeszcze raz wzniesiono w górę ręce - ale teraz, aby z radością powitać błogosławieństwo niebios. Z prawdziwie dziecięcą radością cieszyli się Hindusi deszczem. Nastrój zmienił się w jednej chwili. Śmiano się, tańczono, rzucano się sobie w ramiona. Zapomniani zostali lekarze, randi, ich oburzenie i rozgoryczenie! Kilku prowodyrów próbujących jeszcze porwać za sobą ludzi wyśmiano i zostawiono samych.

A deszcz szumiał i szumiał!

Sita zawołała z góry:

- Otwórzcie okna i drzwi, wszystko skończone!

Szeroko można było otworzyć bramę wejściową. Nikt z napastników nie przekroczył progu - tłum rozszedł się tak szybko, jak się pojawił.

Lekarka odniosła dzieci na oddział.

Peter chciał się dowiedzieć tylko jednego:

- Sito, co im powiedziałaś?

Ona spojrzała na niego, uśmiechając się czarująco.

- Och, nic takiego. Powiedziałam, że powinni się wstydzić przed Franciszkiem Ksawerym, gdyż od jego dni stało się zwyczajem chrześcijan, że wdowy mogą ponownie wychodzić za mąż. To nie pandit Nehru wymyślił to „zachodnie prawo”, lecz święty Franciszek Ksawery, nasz apostoł i bohater narodowy!

Mąż spojrział na nią zdumiony.

- Ale przecież mówiłaś do Hindusów, a nie do chrześcijan!

- To nic nie szkodzi. Ksawery jest świętym, sadhana, dla wszystkich. Nie ma Hindusa, który by go nie znał i nie czcił. Gdybyś w 1952 roku był w Goa, zobaczyłbyś, jak Indie obchodzą czterechsetlecie jego śmierci! Minęło wówczas dokładnie 1900 lat, odkąd apostoł Tomasz wkroczył na ziemię hinduską.

Na tę podwójną uroczystość przybyli Hindusi ze wszystkich stron naszego kontynentu.

- Tak, słyszałem o tym. Czy to nie było wtedy, kiedy jakiś porwany zapalem Hinduś odgryzł palec u nogi relikwii świętego?

Spojrziała na niego prawie obrażona.

- Nie śmieję się, Peter. Przemawia przez nich wielka tęsknota za prawdą promieniejącą ze świętych swami. Franciszek Ksawery jest jednym z najświętszych, których nauczyli się czcić.

A póki będą to robić, nigdy nie zostaną komunistami.

Znowu w jego wzroku pojawił się podziw. Miała rację! Był tylko jeden sposób, aby skutecznie chronić Indie, ale politycy nie zwracali nań uwagi.

Zeszli razem po schodach, lecz nagle stanęli. Z sal w pośpiechu wychodzili pacjenci, którzy mogli opuścić łóżka, niosąc w ręku swoje drobiazgi. Szpitalną „kuchnię ludową” opuszczały kobiety, jedną ręką utrzymując w równowadze na głowie naczynia kuchenne, drugą prowadząc dzieci.

Zatrzymał jednego z nich.

- Dokąd to, shri? Nie jest pan jeszcze zdrowy, to chyba jasne?

Hindus nie zaszczycił go nawet spojrzeniem, spoglądając martwo przed siebie i człapiąc w kierunku drzwi. Sita stanęła zmartwiona.

- Trzymają z podżegaczami. Teraz klinika opustoszeje.

- Ale na miłość boską, większość ma dur brzuszny, zawłoką do miasta epidemię. Sito, powstrzymaj ich!

Potrząsnęła ze smutkiem głową.

- Kto teraz chce odejść, tego nie zatrzymamy. Zaraz pójdą pozostali.

Tak, wszędzie pojawił się ruch. Kto tylko mógł się czołgać, opuścił klinikę, inni kazali się wynieść krewnym na noszach.

Pozostały tylko kobiety na oddziale położniczym. Przeżyły, jak tego nieszczęsnego dnia lekarka doznała błogosławieństwa bogów, gdy kolejny raz uratowała bliźnięta, synów!

- Wyjście z ziemi obiecanej - stwierdził gorzko szef, wspierając zaciśnięte pięści o boki. - Niech wszystkie plagi Egiptu spadną na tę bandę! Jeszcze wrócą. Ale to tutaj, jest dla nas gorsze od rewolty!

Nie, z tymi ludźmi nie dało się rozmawiać, gdyż w oczach ich płonął fanatyzm. Nie mieli zamiaru pozostawać w domu, gdzie podeptano hinduskie prawo, w którym randi dopuściła się tak niesłychanego występku i ponownie wyszła za męża. To już lepsze były te czasy, kiedy kobiety dawały się spalić na stosie ze zmarłymi mężami, aby dotrzymać im wiecznej wierności!

Teraz, gdy wszystko już minęło, rozmowy z ordynatorem zażądał oficer policji.

Usprawiedliwiając się gęsto, tłumaczył, że musiano zachować ostrożność, gdyż za zbiegowiskiem kryła się działalność wpływowej hinduskiej Mahasabba. Tak, również w Jalnapur znajduje się centrum tej nacjonalistycznej organizacji.

Peterowi przysłała do głowy pewna myśl. Zapytał bez ogródek:

- Czy znane jest nazwisko przywódcy?

Policjant nie chciał mówić.

- Wobec tego ja podam je panu. To Ramdas Durpali nawoływał do bojkotu. Proszę przyznać, że jest dla pana zbyt wpływowym człowiekiem.

Oficer nie wiedział, gdzie podziać oczy.

- Wiedzieliśmy, że jest najbliższym krewnym pańskiej lekarki.

Również i on unikał wyrażenia „małżonka”.

- Aha, to znakomicie. Z tym panem rozliczymy się osobiście. Ale pomylił się, skoro myśli, że tym sposobem zmusi nas do rezygnacji z prowadzenia kliniki.

Stróż porządku wrzucił ramionami, a czując, że jest niepotrzebny, wysunął nieśmiało propozycję wystawienia warty przed budynkiem. Lekarze odmówili.

- Dziękuję, poradzimy sobie sami. Ten kryzys dotyczy tylko i wyłącznie nas.

Policjant oddalił się jak niepyszny.

Czy nie byli zbyt pewni siebie?

Po trzech dniach klinika prawie świeciła pustkami.

Mówiono, że pilne przypadki przyjmuje się w Raipurze i Bhilaspurze. Odnosiło się wrażenie, że w Jalnapurze zabrakło lekarzy. Po raz pierwszy mieli dużo czasu, dużo, za dużo swobody! Nie mogli już dłużej zatrudniać dziewcząt z Kute- li. Prawie opustoszał również oddział

kobięcy, ponieważ nie przybywały nowe pacjentki.

Czyżby to miał być koniec wszystkiego?

Peter czuł wdzięczność wobec ojca, że nie robił Sicie wyrzutów, ale w jego sercu wzbierała zawzięta złość. Na ich oczach rozpadało się to, co jego rodzic budował wytrwale przez trzydzieści lat, bo przecież jeszcze przed przejściem kliniki cieszył się opinią znanego powszechnie i cenionego lekarza.

Nie wiedząc, co począć, Peter pojechał do Kuteli. Być może misjonarzom uda się nakłonić chrześcijan do przewiezienia swoich chorych do kliniki. Tyle tylko że mieszkańcy misyjnej osady byli zbyt ubodzy, aby skorzystać z porady kogoś innego niż lecząca ich siostra zakonna oraz z wydającej bezpłatne lekarstwa miejscowej apteki.

Sita też była przygnębiona, poczuwając się do winy za wszystko. Oczywiście, życiu lekarzy nic już nie zagrażało, ale mimo to nie odważała się sama wyjść na ulicę. Zawsze towarzyszył jej małżonek, skrywając w kieszeni rewolwer. Nie mogli zresztą zbyt często wychodzić, gdyż monsun szalał ze wszystkich sił, przemieniając ulice i place w jedno wielkie bagnisko. Nadszedł okres epidemii. W innym czasie klinika pękałaby w szwach.

Podczas takiego spaceru nagle w jednej z bocznych uliczek zobaczyli leżącego na ziemi mężczyznę wstrząsanego atakami dreszczy. Nikt się o niego nie troszczył. Sita podeszła do chorego w pośpiechu i pochyliła się nad nim.

W tej samej chwili przez głowę lekarza przeszła niczym objawienie pewna myśl. Już wiedział, co powinni zrobić.

Nie, nie mieli tragarzy.

- Chodź, Sito, bierzemy go! - I wziął chorego na plecy. Sapiąc ruszył w kierunku kliniki. Zona próbowała zatrzymać riksę, ale na próżno. Lekarz był potępiony przez opinię publiczną, nikt go nie słuchał. Powoli przedzierali się przez błoto do szpitala. Ojciec wytrzeszczył na nich oczy, gdy zjawili się z pierwszym pacjentem od czasu zamieszek.

Peter spokojnie złożył swój ciężar.

- No - orzekł, ocierając sobie ręce o ubranie tropikalne. Twarz świeciła mu od potu i deszczu. - Teraz poważnie potraktujemy Ewangelię. Wyjdziemy na ulice i na opłotki, aby nasz dom znowu się nappełnił.

Usta ordynatora drgnęły, a potem ruszyła lawina wyrzutów:

- Oszalałeś? Każdy chory to ognisko zarazy! Następnym razem trzeba wziąć nosze, zrozumiano?

Syn się uśmiechnął:

- Nawet gdybym potem musiał wziąć kąpiel w alkoholu, będę ich znosił tutaj na rękach.

- Chcesz się ośmieszyć przed Hindusami?

- Niczego innego bardziej nie pragnę.

Senior wymruczał coś pod nosem, po czym udał się do swoich zajęć. Wychodząc, wziął Sitę na stronę.

- Nakłoń go przynajmniej, żeby następnym razem założył na twarz maskę.

- Oczywiście, pandit ojciec!

Następnego dnia na nową watch round wyruszył również ordynator. Cały Jalnapur stał się ich „szpitalem” - i rzeczywiście, znaleźli dość chorych, którzy byli albo zbyt słabi, albo ubodzy, aby pozwolić sobie na przewiezienie do szpitala. Oczywiście na tych pacjentach nie dało się nic zarobić, ale to już się liczyło. Chodziło o sam wzór, o przykład.

Khub, chłopiec z bazaru, okazał się w tych tygodniach nieoceniony.

Wciąż wynajdywał pacjentów, którzy nękani straszliwymi bólami i gorączką, okazywali jednak gotowość do skorzystania z porady wyklętych lekarzy. Któregoś dnia przybiegł rozgorączkowany, przynosząc wiadomość:

- Sahib doktor, przybyła policja z Nagpuru. W dzielnicy bazarów wybuchła cholera.

Powiedzieli, że miasto będzie kwarantanną. Co to takiego kwarantanna?

Lekarze spojrzeli po sobie. Oczywiście nie mieli powodu do radości, gdy miało się do

czynienia z tak niebezpieczną epidemią, ale mogło to oznaczać punkt zwrotny! Zasięgnęli informacji w mieście i potwierdzono im wiadomość. Gdy wracali do szpitala, przywożono właśnie pod nadzorem policji pierwszych chorych. Musiano użyć siły, gdyż w przeciwnym wypadku całe Jalnapur zamieniłoby się w jedno wielkie ognisko zarazy. Policja dostarczyła również z okolicznych miast odpowiednie ilości permanganatu i kaolinu, co pozwoliło na dezynfekcję wszystkich źródeł i stawów. Pomimo tych środków choroba rozprzestrzeniała się z siłą huraganu.

Nadeszły chwile przypominające najcięższe czasy kliniki. Lekarze prawie się nie rozbierali. Różnice kastowe? Starano się przynajmniej, aby pariasi byli umieszczani osobno na dolnych piętrach, ale tak naprawdę nikt nie myślał o przestrzeganiu porządku kast. Ciężko chorzy i umierający leżeli obok siebie tak, jak ich przywieziono, a lekarze mieli do spełnienia samarytańską posługę.

Ręce, które kiedyś podnosiły kamienie, teraz wyciągały się o pomoc. Traktowali wszystkich równo. Nigdy jeszcze ordynator nie walczył tak zacięcie oko w oko ze swoim odwiecznym wrogiem, śmiercią, jak właśnie teraz. Wyrwał jej życie po życiu! Ale nie byli to tylko pacjenci z Jalnapuru - również z pól ryżowych, gdzie ludzie, stojąc po kolana w wodzie, wysadzali młode rośliny, przywożono robotników wstrząsanych gwałtownymi dreszczami.

Ich cierpienia były straszne. Nawet kilka godzin po śmierci ciemniejące członki zmarłych podnosiły się i opadały w skurczach!

Argusowym okiem pilnował ordynator, aby oboje jego współpracowników korzystało odpowiednio ze środków zapobiegawczych. Nikt nie mógł zachorować, wszyscy musieli pozostać przy zdrowiu w tym piekle epidemii. I było tak, jak gdyby anioł czuwał nad nimi.

Czy wychodzili w strumieniach deszczu zbierać nagle tracących przytomność na ulicy ludzi, czy pracowali w i tak zakażonych przez brud i szczury zewnętrznych dzielnicach, czy godzinami chodzili w klinice od łóżka do łóżka - prawdziwym cudem nie zarazili się.

- To dzieło Franciszka Ksawerego - twierdziła Sita. - Wiedziałam, że pomoże.

Mąż chylił czoło przed jej wiarą, bo przecież nie udzielali śmiertelnie chorym jedynie medycznej pomocy. Za przykłą- dem Matki Teresy odmawiali z umierającymi ostatnie modlitwy i rozmawiali z Hindusami na temat płomiennych kwestii religijnej tęsknoty, która właśnie w czasach niedoli wzmagała się do żaru dręczącego dusze. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, byli otwarci przyjąć Dobrą Nowinę: nie mądrość zachodnich ludzi, nie obcą religię białych ciemniejszych, lecz prawdę Bożą, która zajaśniała w Ziemi Świętej i została przeniesiona do Indii znacznie wcześniej niż do niejednego kraju starej Europy.

Sita wiedziała, jak ująć własnych rodaków. Znała hinduskie serce, jego samotność, dumę i głębię! Z jej pomocą Peter bez trudności nauczył się trudnego języka, który dotąd był dla niego zupełnie obcy.

Nawet śmiertelnie znużeni pochylali się nad łózkami chorych, aby dodać cierpiącym siły i odwagi, wyrwać ich z niebezpiecznej apatii i obudzić wolę życia. Wszędzie, gdzie się udawali, powiewał za nimi zapach lizolu, każdą kroplę wody dezynfekowano chlorem. Czy jednak na dłuższą metę możliwe jest przy takim wysiłku uchronienie się przed zagrożeniem infekcji?

Gdyby Peter nie miał żony, tego był pewien, dawno już uległby cholercie. Jedno spojrzenie, jeden uśmiech ciemnych oczu wystarczał, aby poderwać do czynu i utrzymać przy siłach. I kiedy przed wszystkimi świątyniami Jalnapuru zasiedli kapłani mruczący pod nosem swoje zaklęcia, lekarze zawiesili w każdej sali kliniki obraz Niepokalanego Poczęcia. Przysłali je misjonarze z Kuteli - Sita wyraziła nagle takie życzenie.

I - czy to nie cud? - epidemia nagle wygasła, kończąc się równie niespodziewanie, jak zbiegowisko przed kliniką rozeszło się w strugach monsunowego deszczu. Nadszedł dzień, gdy spojrzeli w ślad za ostatnim konduktem pogrzebowym, który przemaszerował obok kliniki w stronę miasta, a leżący w salach Hindusi zaczęli sobie przypominać o dzielących ich różnicach kastowych. Tylko że lekarze nie tolerowali ponownego wznoszenia barier, jakie zniosła sama śmierć. Zabobonny lęk powstrzymał ludzi przed sprzeciwem. Czy to nie bogowie stanęli u boku medyków? A im po raz pierwszy od wielu tygodni udało się przebrać, wziąć orzeźwiająca kąpiel i wyspać na

zmianę do woli. Zrujnowane nerwy doznały ukojenia, do czego przyczyniło się stopniowe wyciszenie monsunu. Mogli powiedzieć, że przeszli najcięższą próbę.

Któregoś dnia jednak ordynator siedział znowu z ponurą miną przy swoim biurku, obracając w dłoniach pilny list. Nie podniósł wzroku, gdy w gabinecie zjawił się syn. Tym razem seniorowi zabrakło odwagi, więc wręczył Peterowi pismo, nie mówiąc ani słowa. Nie nadszedł on wprawdzie od Durpalich, lecz - również Peter poczuł ściskający go za serce chłód - od adwokata pana Wellingsa z Londynu, który wydzierżawił im klinikę. Zapraszał lekarzy na pilną rozmowę do stołecznego miasta Jabalpur.

- Mogę się domyślać, co to oznacza - mruknął szef zrezygnowanym tonem. - Murzyn zrobił swoje... epidemia wygasła... teraz dla nas nadeszło quit India, sam zobaczysz. Nasz czas się skończył.

- Skąd to przypuszczenie, ojcze? - zapytał syn, choć i on sam prawie nie żywił nadziei. Senior spojrzął na niego zdziwiony.

- Śmieszne pytanie. W październiku i tak skończyłaby się nasza umowa, a dalej nie ma mowy o dzierżawie, gdyż pan Wellings ma zamiar przekazać klinikę testamentem temu, kto okazał się jednoznacznie „przyjacielem Indii”. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, a wiadomości na pewno dotarły do jego uszu, nie mam żadnych wątpliwości, że znajdziemy się za burtą. O zbiegowisku pewnie można było przeczytać w prasie nawet w Jabalpurze.

Wstał z miejsca.

- Ale dziękuję. Nie mam zamiaru osobiście odbierać własnego wyroku śmierci. Niech powiadomi nas pisemnie. W końcu ten Pers jest prawnikiem. I tak ubierze całą historię w wymowne strofy hinduskiej purany.

Peter schował list do kieszeni.

- W porządku, wobec tego ja pojedę.

Ordynator drgnął zaskoczony.

- Ty? Przecież wcale cię nie zna!

- No to mnie pozna. Sam się przekonasz. W końcu wszystkie kłopoty, to wyłącznie moja wina. Tę drogę do Canossy biorę na siebie.

Senior machnął niezdecydowanie ręką.

- Niepotrzebne wyrzucanie pieniędzy. Po tym, co włożyliśmy w klinikę podczas epidemii, powinniśmy oszczędzać.

- Sita sprzedała swoją biżuterię, ojcze.

Uśmiechnął się, widząc zamarłe w zaskoczeniu oblicze.

- Tak, nawet ślubne sari ze złotym pasem, który jej kupiłeś. Powiedziała, że lekarskie sari w zupełności jej wystarczy.

Senior spuścił wzrok.

- Odkupię je znowu, nawet gdyby mi przyszło przekopać cały bazar. Tak nie można. Jeśli chcesz, jedź. Tylko bez Sity. Niech będzie jej to oszczędzone!

Peter przytaknął. Ojciec przeciągnął dłonią po łysej czaszce.

- Czasami wątpiłem, czy się nada i będzie dla ciebie tą jedyną - mruknął. - Dziś widzę, że musiałeś popełnić to „świętokradztwo”, nawet jeśli zapłacimy za nie głową. Ale zostawmy to. W Würzburgu lekarze zawsze są potrzebni. Ostatecznie możesz starać się o posadę w Instytucie jako lekarz misyjny, masz do tego talent.

Peter poczuł, że to największa pochwała, jaką mógł usłyszeć od ojca, więc wyprostował się.

- Nie poddam się tak łatwo, ojcze.

Ordynator skinął głową bez słowa. Zrobiło mu się żal syna.

Raipur dzieliło od Jabalpuru prawie trzysta kilometrów. Linia kolejowa wiodła przez urokliwą górską okolicę Mandla- Bhalaghat, ale Peter nie miał nastroju do podziwiania piękna natury. Serce przepełniała mu troska. Co dalej, gdyby im przyszło wkrótce wyjechać z kraju? Wkrótce nadejdzie czas podróży i pojawi się znowu wielu turystów z bagażami i pakunkami. Nikt nie zwróci na nich uwagi. Ale myśl o tym bolała z dnia na dzień coraz bardziej. Czyżby naprawdę

pokochał Indie?

Jabalpur, stolica Indii Centralnych, funkcjonowało przez długi czas jako centrum angielskiej okupacji i dzięki temu stało się nowoczesną metropolią. Kiedy na horyzoncie pojawiły się słynne marmurowe skały, wiedział już, że wkrótce znajdzie się u celu. Chwilę później zobaczył most łączący brzegi świętej rzeki Nerbudda.

Z dworca wziął taksówkę, która szybko przewiozła go przez typowe europejskohinduskie miasto. Dom Vakila najwidoczniej był znany, ponieważ kierowca nie pytał o nic. Leżał nieco na uboczu, sprawiając wrażenie dostojnej rezydencji. Jako Pers adwokat nie czuł się związany z żadną hinduską tradycją. Wynajął bungalow po wysokim angielskim urzędniku. Najwidoczniej zamieszkiwał w nim także sam pan Wellings.

Peter przekroczył próg zdecydowanym krokiem.

W środku powitało go nowoczesne biuro. Szafy z aktami, maszyny do pisania, telefon i dyktafon oraz elegancko ubrana hinduska studentka pełniąca rolę sekretarki. Jak się później dowiedział, była to córka Persa.

Poczuł, że ogarnia go zdenerwowanie, więc chętnie przyjął zaferowanego mu przez młodą damę papierosa. Wreszcie wpuszczono go do gabinetu. Vakil sprawiał wrażenie człowieka światowego, dostrzegało się to na pierwszy rzut oka. Przywykły do obcowania z cudzoziemcami, w swoim zachowaniu przyjął zachodni styl. Wypięłgnowane siwe włosy ufrizował po europejsku, granatowy garnitur też leżał na nim bez zarzutu. Bawił się hinduską cygarniczką przedstawiającą groźnie spoglądającego bożka małp Hanumana i prowadził swobodną konwersację na temat szczęśliwe przeżytego monsunu, dając swojemu gościowi czas na uporanie się ze zdenerwowaniem.

Po raz pierwszy w Indiach Peter zasiadł na wygodnym, wyściełanym krześle, lecz mimo to nie czuł się swobodnie. Kilkakrotnie miał zamiar przejść do sedna, ale Vakil sprawiał wrażenie, jak gdyby tego nie dostrzegał.

Wreszcie pozornie niezamierzonym gestem sięgnął po jakieś akta, przeglądając je obojętnie i zaczął rozmowę o urzędowej statystyce. Liczono się z większą liczbą zgonów i było przyjemnym zaskoczeniem, gdy się okazało, że utrzymały się w tak niskich granicach.

Liczyby! Ten człowiek był prawie Europejczykiem. Przecież chodziło o życie ludzi! O każde jedno życie walczyli w pocie czoła.

Vakil podniósł wzrok. Biel jego ciemnych oczu miała żółtawy odcień, jak gdyby przeszedł niedawno malarię. Na pełnych wargach pojawił się uśmiech.

- Przeliczył się także Ramdas Durpali - oznajmił nagle, co poderwało Petera z miejsca. - Wydawało mu się, że po odejściu lekarzy dostanie mu się klinika, a po rozwodzie siostry zrobi z kliniki typowo hinduskie hospicjum kastowe. Ale jak powiedziałem, przeliczył się.

Młody lekarz patrzył na niego osłupiały.

- Nie rozumiem.

- To proste, sir! Na wypadek wygaśnięcia dzierżawy shri Durpali od samego początku podjął starania w imieniu swojej siostry. Bez wątpienia bramin uchodził za przyjaciela Indii, lecz, niestety, w zupełnie innym sensie niż wyobrażał to sobie pan Wellings.

- Proszę wybaczyć, ale nie mogę w to uwierzyć - zaproponował Peter. - To chyba jakaś pomyłka.

Vakil znowu sięgnął po akta.

- Na pewno nie. Oczywiście pańska małżonka nie dowiedziała się nigdy o planach brata. To jednoznacznie wynika z jego pisma.

Larsen milczał, w głowie kłębił mu się natłok myśli.

- Wydaje mi się, że nie domyślał się pan niejednego, sir - kontynuował Vakil, nie przestając się uśmiechać. - Również doktor Gardener starał się przez dłuższy czas o przejęcie kliniki. Bez pańskiego współdziałania został poniekąd wyeliminowany. Przyglądałem się temu z zainteresowaniem. Miał pan szczęście w Indiach.

Zawiesił na chwilę głos. Aha, teraz pewnie się dowie, że szczęście jest zmienne, o tym się wie zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, i dlatego - wstrzymał oddech.

- Było aktem wielkiej odwagi, że ożenił się pan z Sitą Durpali, a ona sama również

zaimponowała panu Wellingsowi. - kontynuował Pers. - Postanowił więc zapisać panu klinikę na zawsze, gdyż jest przekonany o tym, że droga przewycięzania różnic kastowych jest najlepszym rozwiązaniem dla Indii.

Peterowi krew uderzyła do głowy. Nie potrafił wydusić z siebie ani słowa. Pers obrzucił go szybkim spojrzeniem, wstał z miejsca, obszedł biurko i podał mu dłoń. Na palcach błysnęły złote pierścienie.

- Czy wolno mi panu pogratulować, doktorze? Pan i pański ojciec okazaliście się prawdziwymi przyjaciółmi Indii, gdyż kilkakrotnie nie szczędziliście wysiłków, aby usunąć problemy związane z kastami. To właśnie było głównym punktem zainteresowania mojego zleceniodawcy, pana Wellingsa. Klinika przechodzi na własność pańskiego ojca. Od tej chwili kończy się moja rola, chyba że będzie pan potrzebował mojej porady w innej sprawie.

Ogłuszony Peter poczuł energiczny uścisk dłoni Persa.

„Ten Niemiec nie bardzo to wszystko pojmuje”, Vakil z uśmiechem odczekał, aż jego gość ochłonie z wrażenia.

- To akt darowizny. Proszę zerknąć i porównać datę i podpis.

Lekarzowi zamigotało przed oczyma.

- Dziękuję panu - wymamrotał oszołomiony. Vakil odwrócił się, sięgając po telefon.

- Sheila, przynieś proszę pismo, które nadeszło dzisiaj z New Delhi. Tak, właśnie to.

Sekretarka weszła do gabinetu, podając coś na srebrnej tacy.

- Dyplom uznania ze strony rządu ze stolicy. Zasłużyliście nań wszyscy. Proszę go oprawić i powiesić na ścianie według zachodniego zwyczaju. Ważniejsza oczywiście wydaje się kwota, jaką z kasy rządowej przekazano pańskiej klinice. Myślę, że dopomoże panu w kontynuowaniu dotychczasowej drogi.

Wreszcie Peterowi udało się coś wykrztusić, ale czym były słowa w takiej chwili? Vakil usiadł znowu za biurkiem, strzepując niewidoczny pyłek ze swojego eleganckiego garnituru.

- Proszę nic nie mówić, mnie takie interesy sprawiają wielką przyjemność. Jestem postępowym człowiekiem. Jako Pers stoję ponad kastami i wyrażam przekonanie, że na swój sposób skutecznie przyczyni się pan do zwalczania niebezpieczeństw mogących zagrozić Indiom.

Kolejny uścisk dłoni.

- Postępuje pan właściwie. Na Zachodzie jednostka zbyt łatwo kapituluje przed komunizmem. Brzmi to może jak sprzeczność, ale globalizacji da się uniknąć właśnie tylko poprzez jednostkę. Proszę pozostać przyjacielem naszego kraju!

Kiedy pociąg dotarł do Raipuru, słońce właśnie chowało się za horyzontem. Peter zmęczony i niewyspany wysiadł na peron. Podniecenie i radość nie pozwoliły mu zasnąć. Stał, drżąc z chłodu, chociaż powietrze było jeszcze duszne.

Zanim zdążył rzucić się ku niemu pierwszy tragarz, poczuł nagle oplatające mu szyję dwie ręce. Kobieta odziana w błękitne sari z kwiecistym wzorem przywitała go po europejsku - i to nie zwracając uwagi na gapiących się ze zgrozą przechodniów. Sita!

Miał wrażenie, jak gdyby cały kraj zaczął śpiewać puranę o miłości. Później, kiedy zasiedli już w pociągu do Jalnapuru, podziękował jej za ten akt przewycięzania samej siebie.

- Jeśli u mojego boku staniesz się w połowie Europejką, to postaram się zostać dobrym Hindusem. Doprawdy, czuję się tak, jakbym po raz pierwszy w Indiach wracał do domu.

- Tak szybko? - zapytała Sita z przekornym uśmiechem. - Inni potrzebują na to całego życia. Nie możemy czekać na ponowne narodziny, Peter, jako chrześcijanie mamy tylko to jedno życie. Ale jestem wdzięczna, gdyż mogę je dzielić z tobą.

- Teraz dopiero wszystko się zacznie - odpowiedział jej mąż. - Również dla mojego ojca. Jestem szczęśliwy, że przywożę mu dobre wieści. Nie musimy wyjeżdżać.

- Owszem! - wyszeptła Sita. Spojrzał na nią wystraszony.

- Dlaczego? Co się stało?

Wsparła się mocno na jego ramieniu.

- Pandit ojciec powiedział, że powinniśmy udać się w podróż poślubną, i to bez względu na to, z czym przyjedziesz.

Zaśmiał się z ulgą.

- A więc o tym myślał w tym całym zamieszaniu. To wzruszające z jego strony.

Jego żona zaprzeczyła.

- Wręcz przeciwnie, nagle stał się zupełnie spokojny. Przyjechał ojciec Stefan, aby go pocieszyć, i od tego czasu ma znowu dobry humor. Swami powiedział dziwne słowa.

Spojrzał na nią pytająco.

- Tak - powiedział - klęski chrześcijan są ich zwycięstwami.

Wzruszyła ramionami.

- Potrafisz to zrozumieć?

- Owszem - odparł z powagą w głosie. - Wyjaśnię ci to. To, można powiedzieć, cała historia Kościoła, jej nic przewodnia. Spójrz, pierwsza świątynia Kriszny w Jalnapurze.

Wstali z miejsc, pociąg dojeżdżał do celu.

Już z dala dostrzegli ordynatora oraz ojca Stefana z ogromnymi girlandami kwiatów w rękach. Utonęli prawie w morzu pąków i zapachów.

- Ojcze, co się stało? Przecież nie wiesz jeszcze o niczym!

- Przykro mi, chłopcze. Vakil nie mógł się powstrzymać. Uspokaja mnie świadomość, że czasami i Hindusi tracą nerwy. Telefonicznie złożył mi gratulacje. Nie, nie gratulował mi sukcesu, tylko syna. Dziwne, że odbywa się to, kiedy powiedzą o tym obcy!

Chwycił za ramiona syna, spoglądając mu w oczy.

- Dziękuję, Peter!

- Ależ ojcze, to przecież ty

- Nie kłóćcie się publicznie - wtrącił się z uśmiechem ojciec Stefan, i dopiero teraz dostrzegli, że dworzec jest pełen ciekawskich gapiów. Zbiegła się połowa miasta. Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób hinduskie miściny i wioski dowiadują się o nowinkach, i to zanim tak naprawdę dotrą one do białych!

Palotyn z pewną miną stanął u boku Petera.

- Dokąd się wybieracie w podróż poślubną?

Peter zawahał się, spoglądając na ojca.

- Czy to rzeczywiście konieczne, ojcze? Jesteśmy potrzebni w klinice.

- Arogancja młodego lekarza, że bez niego się nie obejdzie. Oczywiście, że jedziecie. Jeśli o mnie chodzi to nawet w góry, do Darjeeling czy Simli, tam gdzie jest najpiękniej.

Peter spojrzał na żonę.

- Czego ty sobie życzysz, Sito?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Mam wyrazić życzenie ?

Czy to nie czcigodny ami zawsze i wszędzie miał ostatnie słowo?

Ale Peter nie odpuszczał. Stali już pod ozdobioną girlandami bramą wejściową do kliniki, gdy powiedziała:

- Znasz Taj Mahal, mauzoleum i pomnik nieśmiertelnej miłości?

Przytaknęła z uśmiechem.

- Słyszałem o nim. Dobrze, wybierzemy się do Agry, żeby zobaczyć to hinduskie чудо. Ale w drodze powrotnej pojedziemy inną drogą, do Mariampur!

Ojciec Stefan był zaskoczony.

- Ludzie święci, naprawdę? Myślałem już, że wtedy w Chi- kaldzie nie zrobiło na tobie żadnego wrażenia.

Peter poczerwieniał.

- Owszem, tylko że wówczas miałem, można powiedzieć, opaskę na oczach. Teraz spadła i muszę przyjrzeć się wszystkiemu na nowo. Co myślisz, Sito, jeśli przez jakiś czas będziemy gośćmi stacji misyjnej Madonny i Palotynów?

Obrzuciła go promiennym uśmiechem, to wystarczyło jako odpowiedź.

Ramię w ramię wędrowali przez wspaniałe ogrody otaczające niczym kolorowy dywan kwiatów najpiękniejszy grobowiec świata. Taki dywan miłość rozpościera kochającym u stóp w każdym czasie i miejscu.

A przed nimi ponad mozaiką barw unosił się bajkowy zarys Taj Mahal. Ten poemat z białego marmuru, z potężną okrągłą kopułą w czysto hinduskim stylu i czterema minaretami, odbijał się niczym fatamorgana na tle błękitnego nieba!

Sita szeptem opowiedziała mężowi historię tego niesłychanego pomnika. Dwadzieścia tysięcy robotników przez ponad dwadzieścia lat pracowało przy budowie mauzoleum, które szach Jehan wzniósł dla swojej ulubionej małżonki Mumtaz Devi. „Wybranka pałacu”, bo tak brzmiało jej imię, taką pozostała. Księżę był muzułmaninem, ale doskonałym rządcą Indii, dzisiaj każde dziecko pamięta jego imię.

A każda młoda Hinduska marzy o roli Mumtaz, która obdarowała męża dwanaściorciem dzieci, zanim śmierć zabrała mu ukochaną z Teheranu. Ale i ona nie była w stanie ich rozdzielić, dlatego do dziś pielgrzymują tu wierzące hinduski i chrześcijanki. Każda fuga monumentalnej budowli nad rzeką Jumna jest świadectwem nieśmiertelnej miłości księżęcej pary - tak opiewa ją pewna hinduska pieśń.

W milczeniu wychodzili po schodach wiodących od ogrodu do potężnej budowli. Bez słowa dali się poprowadzić strażnikom sanktuarium do krypty, gdzie zakochani spoczywają obok siebie we wspaniałych sarkofagach zjednoczeni na wieki. Niczym „wieczne światelko” czuwających przy zmarłym oświecła je blask lampek oliwnych, których płomień mienia się czerwienią krwi. Zgodnie z surowym nakazem szacha żadna z nich nie może nigdy zgasnąć. Cały swój majątek władca poświęcił pielęgnowaniu tego miejsca ostatniego spoczynku. Nie zakłócając panującej ciszy, podszli bliżej. Kwiaty ze szlachetnych kamieni, akanty z diamentów, rubinów i szafirów nigdy nie zwiędną. Na całe wieki wmurowano je w ściany sarkofagów. Sita odwróciła głowę, szepcząc:

- Jest tu także wielki czar. Proszę, powiedz słowo, imię! Ale nie za głośno!

Peter zastanawiał się przez chwilę.

- Sita! - zawołał półgłosem, nieomal szeptem jak ona. I w następnej chwili usłyszeli jak Sita. Sita. Sita. odpowiedziało śpiewnie echo, oddalając się, to znowu przybliżając, narastając niczym uderzenia dzwonu, przenikając do szpiku kości. Stali jak zaczarowani. Cały krypta rozbrzmiewała jej imieniem.

Dopiero gdy echo ucichło, opuścili zabytek. Wielu Hindusów odwracało głowy spoglądając za szczupłą kobietą w srebrzystobłękitnym sari, pewnie kroczącą u boku Europejczyka.

Nikomu nie przyszłoby do głowy, że jest pogardzaną „an-glohinduską”, ponieważ z taką godnością, wyprostowana i wolna, opuściła mury pomnika wiecznej małżeńskiej wierności.

Kilka dni później stanęli pod wielkim krzyżem misyjnym w Mariampurze. Tu ich miłość otrzymywała największe błogosławieństwo, wciąż na nowo pod krzyżem.

- W Jalnapurze wprowadzimy coś nowego, a jednocześnie bardzo starego - oznajmił Peter tajemniczym głosem. - Będziesz musiała mi pomóc, bo lepiej niż ja znasz swój naród. Nie wystarczy, że jesteśmy dobrymi lekarzami w ciężkich czasach epidemii. Życie zawsze jest w niebezpieczeństwie, a przede wszystkim życie wewnętrzne, które nosimy w sobie.

Spojrzała na niego czule.

- Co chcesz zrobić? - zapytała cicho.

Odwrócił się do niej, mając krzyż za plecami.

- Tylko tutaj mogę ci o tym powiedzieć, tu gdzie kiedyś nieomal zbłądziłbym i zostałbym mnichem jain. Zaczniemy gromadzić wokół siebie rekonwalescentów i tam, gdzie brakuje misjonarzy, zorganizujemy dla nich coś na podobieństwo chrześcijańskich „kirtanów”, miejsc medytacji nad prawdami naszej wiary.

Jej wzrok wyrażał obawę.

- Jak chcesz tego dokonać, Peter? Ani ty nie jesteś swami, ani ja nie jestem zakonnica. Uśmiechnął się pewny siebie.

- To właśnie jest znamię naszego czasu, którego wielu zdaje się nie dostrzegać. Nie wszystko w Europie jest uschłą gałęzią na winnym krzewie. Wszędzie On zjawia się w sercach, nakłaniając nas, abyśmy przestali prowadzić tylko własne życie. Powstali księżarobotnicy oraz Mali Bracia i Siostry Charles'a de Foucauld, Legion Maryi i wiele innych stowarzyszeń, mających jeden cel, naśladowanie Chrystusa, naszego Zbawcy.

Gdy tu przybyłem, byłem letni, Sito. Ale teraz mnie dopadło, pośrodku Indii! Medytacja, tak, nasze czasy domagają się medytacji, ale trzeba także wyjść poza nią, trzeba pomagać, tymi rękami pomagać, całym ja! Rozumiesz mnie, Sito!

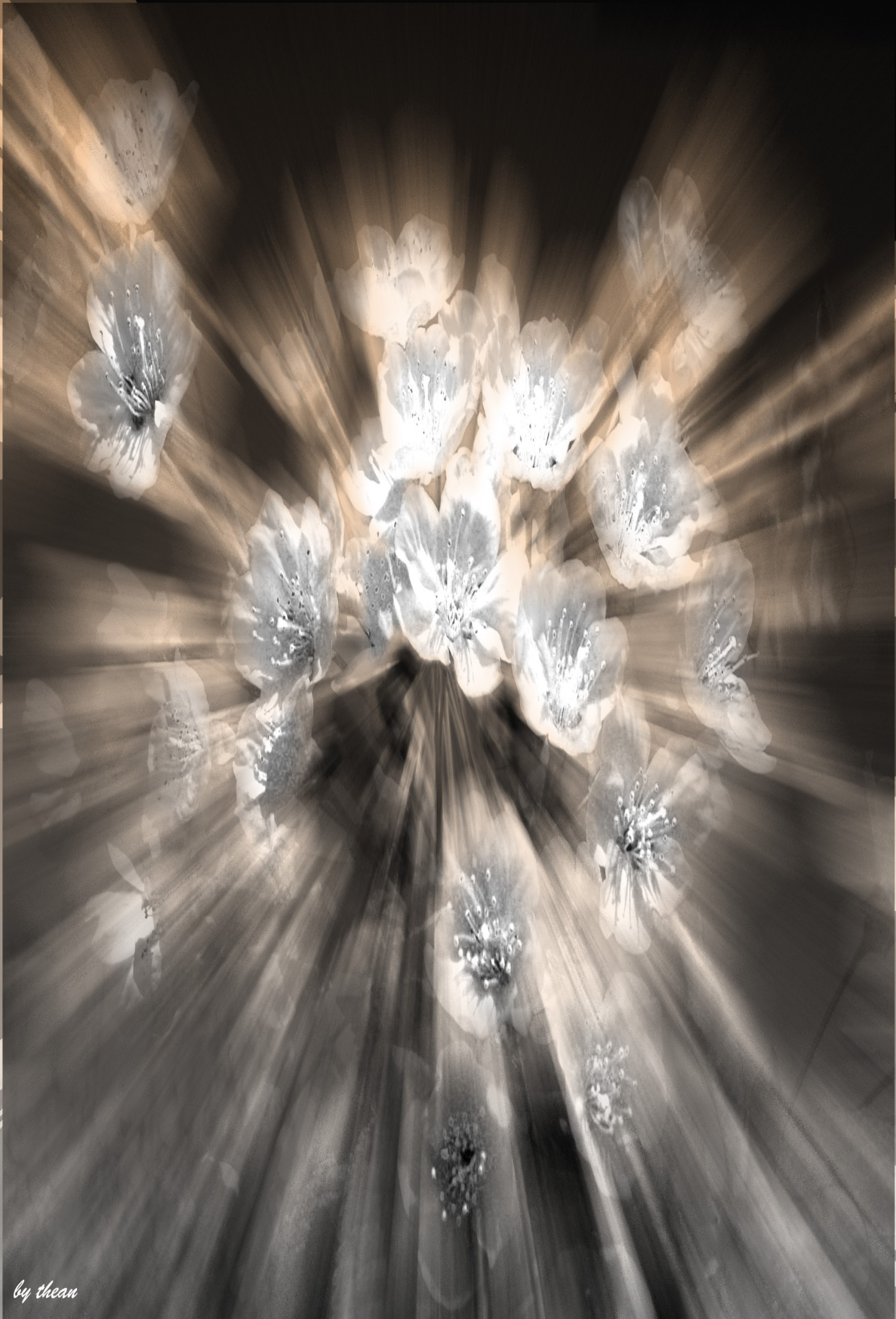
Spojrzał na nią płonącym wzrokiem, a jednocześnie z obawą, jak gdyby oczekiwał pierwszego „tak” jej miłości. Przytuliła się do niego, składając mu głowę na piersi.

- Tak bardzo cię kocham - wyszeptała. - Nie tylko jako mojego męża, któremu chcę dochować wierności na zawsze, jak Mumtaz Devi. Miłuję cię jeszcze inaczej. Hm. Czy można tak powiedzieć? Jak Miriam swojego Pana!

Stali objęci. Gdzieś łkał flet Kriszny, a oni wiedzieli już, za jaką miłością zawodził...

Uwaga:

Występujące postaci zostały wymyślone. Stacje misyjne i postać Matki Teresy odpowiadają realiom historycznym.



by thean